

Lazur Luna

Żony Warszawy

Piękne żony bajecznie bogatych mężczyzn!

Najpopularniejsze spikerki TV, ich rozterki i romanse...

Intrygi, skandale towarzyskie...

Romantyczna przygoda pewnej

tajemniczej i szalonej pary kochanków!

To zaledwie początek opowieści o żonach Warszawy...

Rozdział 1

Posiadłość Anny i Jerzego Naderów oglądana nawet z odległości kilku kilometrów prezentowała się imponująco.

Na szczycie ogromnego zielonego wzgórza, wśród strzelistych, błękitnych świerków i rozłożystych bujnych buków stał nieomal zamek. Można się było domyślać jakich jest rozmiarów dostrzegając prześwitujący między dumną zielenią czerwony spadzisty dach. Dach ten był tak długi jak spory blok na każdym z identycznych osiedli w całej Polsce. W jednym takim bloku mieszka około stu rodzin.

Zwieńczeniem dachu były dwie wieże.

Jedna na północnym, druga na południowym skrzydle posiadłości. Już z daleka były bardzo widoczne ponieważ bieleły się wśród plamy zieleni i wysoko wystawały ponad czerwień dachu.

Były to typowo gotyckie wieże, okrągłe, smukłe, zwieńczone taką samą dachówką co cały dach. Tyle, że misternie ułożone w kształt odwróconego kielicha kwiatu.

Na północnej wieży, jak ogromne oczy, umocowane zostały obok siebie dwie anteny satelitarne.

Na południowej czaiło się tyhko jedno oko.

Ale nie było skierowane jak wszystkie anteny w górę, tylko lekko w dół.

Czasza ta różniła się jeszcze czymś od tych wszystkich anten, którymi upstrzone są tysiące balkoników w ogromnych mrówkowcach od Bałtyku do Tatr - była ruchoma.

Obracała się powoli przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czasami ni stąd ni zowąd zatrzymywała się, wolniutko obracała w drugą stronę. Ale ruch był ciągły.

Przyglądając się jej jeszcze chwilę można było dostrzec, że różni się jeszcze czymś.

Była ażurowa jak gęste sitko z promieniście wystającymi na wszystkie strony długimi cienkimi wąsami.

Całość dla przeciętnego człowieka kojarzyła się z jednym - z lotniskiem, ewentualnie z bazą kosmiczną z amerykańskiego filmu o gwiazdnych wojnach.

Zadanie tego potwornego oka było zupełnie inne.

A było ono tak czułe, że zmieniało kierunek obrotu nawet w momencie, w którym ze ściółki ogromnego lasu wokół posiadłości odważył wychlić swój łąpek mały grzybek.

Wzgórze to nie było dostępne dla przeciętnego oka. Jeżdżąc po drogach całego kraju z żadnej z nich nie można było dostrzec czerwonego dachu z gotyckimi wieżyczkami.

Trzeba było wiedzieć, którą drogą pojechać, żeby przeżyć emocje związane z tym zapierającym dech w piersiach widokiem. Droga wiodąca do tych wrażeń była zwykła i niepozorna jak każda leśna droga. Wystarczyło przejechać trzysta metrów. Do drugiego zakrętu. Ale mało kogo taka sytuacja interesowała.

Po pierwsze dlatego, że nie było niczego szczególnego w zjeździe w polną drogę z głównej trasy w okolicach Warszawy. A po drugie, że nawet jak już się jakaś rodzina zapuściła, wracając z taniego urlopu, żeby dzieciaki zrobiły siku a tata mogł wypić resztę podłej kawy z ciekącego termosu, to oczom intruzów ukazywała się ogromna żółta tablica z czerwonym napisem: "Teren wojskowy!! WSTĘP SUROWO WZBRONIONY !".

A wystarczyło przejechać lasem tylko trzysta metrów. Do drugiego zakrętu...

Anna Naderowa wchodziła szerokimi schodami na górę. Celowo nie zapaliła światła na dole w holu. Szła powoli nasłuchując, czy Mercedes jej męża wyjechał już z garażu. Garaże wprawdzie położone były na samym końcu lewego skrzydła domu, ale charakterystyczne mruczenie silnika można było usłyszeć.

W końcu usłyszała je. Zatrzymała się na moment. Po chwili usłyszała, że rozpędzony z góry samochód Jurka zwalnia. Znaczyło to, że podjeżdża pod automatycznie otwieraną bramę. Po chwili szum silnika zanikł. To znaczyło, że brama w ogromnym murze zamknęła się z powrotem.

Teraz jest nareszcie sama.

Weszła na górę i powoli przeszła długim korytarzem. Ostatnie drzwi po lewej stronie prowadziły do jej pokoju. A właściwie do osobnego mieszkania. Jeden z pokoi zajmował cały szczyt budynku, do drugiego, który mieścił się w okrągłej wieży wchodziło się po trzech schodkach w górę,

Całą ścianę tego pięknego okrągłego pokoju wypełniały wąskie, umieszczone obok siebie witrażowe gotyckie okna.

Anna weszła do środka. To było miejsce, w którym czuła się najlepiej. Dwa miesiące temu założyła zamki patentowe w drzwiach do tego pomieszczenia.

Miała serdecznie dosyć użerania się z Jurkiem kiedy wracał pijany z kasyna lub od swoich dziwki. A może jednej dziwki? Tego jeszcze nie wiedziała, ale postanowiła się dowiedzieć. Dopiero wtedy da mu popalić. Już od dawna miała ochotę się go pozbyć. Ale nie było to wcale takie proste. Za dużo wiedzieli o sobie nawzajem. Dlatego musiała mieć na niego takiego haka, żeby móc go zniszczyć całkowicie. Najlepiej rozgnieść jak pluskwę.

Miała też inny powód zamykania się w pokoju na klucz. Właśnie dzisiaj postanowiła zrobić to ponownie.

Już dwa razy to zrobiła. Wprawdzie i za pierwszym i za drugim razem była pijana, ale pomimo to zabawa okazała się przyjemniejsza niż przypuszczała.

I tak podniecająca!

Anna sama dobrze nie wiedziała, jak to się stało, że wpadła na tak genialny pomysł. Może po prostu instynkt jej to podpowiedział? Jakoś ostatnio nie trafiało jej się za często uwieść czyjegoś męża. Zresztą i tak wszyscy byli tacy sami. Okropnie nudni, a w łóżku do niczego. Każdy chciał albo zwyczajnie, albo na leniu-szka.

Tych, na których miała naprawdę ochotę, już dawno uwiodła.

Niestety, nie było to wcale takie trudne, jak by sobie czasami życzyła. Jak już sobie upatrzyła czyjegoś męża, to nie wychodziła sama z przyjęcia.

Teraz miała ochotę wybrać to, co lubi.

Oczyma wyobraźni widziała napięte męskie ramiona, owłosioną klatkę piersiową i zwierzęcą gwałtowność w oczach.

Postanowiła, że najpierw przygotuje pokój. Dotknęła koniuszkiem palca płytki kontaktu.

Cały pokój roziskrzył się odbijającymi się w lustrach promykami światła. Efekt był piorunujący. Umieszczone między witrażowymi oknami lustro odbijały we wszystkich kolorach tęczy. Załamujące się promienie, odbijając je bajecznymi kolorami.

- Za jasno - pomyślała - w takim oświetleniu nie będę młodziej wyglądała. - Mocno przykręciła oświetlenie. Stwierdziła z satysfakcją, że efekt był dużo przyjemniejszy. Postanowiła, że kiedy wróci, to w zależności od sytuacji rozjaśni oświetlenie przy lustrach nad łóżkiem.

Anna była dumna z tego, że sama wymyśliła ten system oświetlenia. Żadnego ostrego światła z góry. Same boczne kinkiety na ściemniaczach. W dodatku tak połączone, że w zależ-

ności od okoliczności można mniej lub bardziej przyciemnić poszczególne miejsca w sypialni.

Cały ten dom był dla Anny powodem do dumy. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tego. Jak niedawno zaprosiła do siebie swoje koleżanki z dawnej pracy.

Tak się zapowietrzyły, że wychodząc po kilku godzinach nie mogły wydusić z siebie słowa.

Jeszcze raz rozejrzała się z przyjemnością po pokojach. Podeszła do małego, antycznego stoliczka przy oknie tarasowym. Wzięła do ręki ciężką kryształową karafkę i nalała do takiej samej szklanki trochę whisky. Srebrnymi szczypcami uzupełniła do pełna kostkami lodu. Przyciskiem w ścianie podniosła żaluzje i popijając zimną whisky patrzyła przez chwilę na ogromny punktowo podświetlony ogród. Żyła jak w bajce. Nawet samochód miała jak z bajki. Uparła się na czerwonego Jaguara XJ 220 osiągającego 320 km/godz, który zobaczyła na fotografii w "Vogue", będąc u fryzjera. Od razu zadzwoniła do firmy, zajmującej się sprowadzaniem luksusowych samochodów. Ci durnie odpowiedzieli, że takiego samochodu nie można kupić, bo na razie nie ma.

- Jak to nie ma! - spytała - a ten na zdjęciu to co?! Atrapa?

Po dwóch tygodniach miała ten samochód.

Nikt nigdy bogatemu niczego nie zabroni.

Odstawiła szklankę. Lubiła ten stan. - Zupinie jak w amerykańskim filmie - pomyślała z satysfakcją.

Uwielbiała patrzeć na to wszystko, co ją otaczało i było jej własnością, tak samo jak jeszcze kilka lat temu patrzyła na film video.

A najbardziej podniecała ją świadomość, że dla 99% ludzi w tym kraju nadal jest to tylko wypożyczana za 8 tysięcy na sobotę lub niedzielę kasetą.

Dla niej, dla Anny Naderowej było to prawdziwe życie.

Bardzo zadowolona z siebie przeszła na drugi koniec pokoju. Zatrzymała się przed lustrzanymi, wypełniającymi całą ścianę, rozsuwanymi drzwiami.

Lekkim ruchem rozsunęła dwa skrzydła. Weszła do środka. Zapaliła światło. W tym pomieszczeniu oświetlenie było ostre. Rozejrzała się wokoło. Kochała to miejsce. Pieszczotliwym ruchem dotykała ciuchy wiszące po trzech stronach. Robiła to dla samej przyjemności napawania się rzeczami. Po kolei zatrzymywała wzrok na ogromnej ilości bardzo drogich kostiumów i sukienek z najlepszych butików Berlina, Wiednia, a ostatnio z Majorki. Właśnie tam kupiła to ostatnie ulubione futro.

Takich nerek nie miał nikt w Warszawie. Były oszałamiające. Jeden jedyny model, uszyty specjalnie przez firmę Chanel na światową wystawę futer w Paryżu. Mimo że futro było do ziemi, to ważyło tyle co jedwabne majtki. Za to wyglądało jak z bajki. Jeszcze raz spojrzała na wieszaki. Wzruszyła ramionami. I tak wiedziała co dzisiaj założyć.

A raczej czego nie założy.

Zdjęła z wieszaka właśnie to futro. Pieszczotliwym ruchem wtuliła na chwilę w nie twarz.

Ze złotego pudełka wyjęła czerwone aksamitne szpilki od Valentino. Pomyślała, że wprawdzie połowa października to nie najlepsza pora na norki do ziemi, ale przecież właśnie o to chodzi.

Z futrem w jednej ręce, ze szpilkami w drugiej, z zamiarem realizacji najprzyjemniejszej przygody w życiu, wyszła z garderoby, gasząc za sobą światło.

Rzuciła obydwie rzeczy na ogromne łóżko. Wzięła do ręki szklanę z resztą whisky. Dodała dwie kostki lodu. Dzisiaj nie musi się spieszyć. Jurek wróci najwcześniej za dwa dni. Zresztą akurat to było jej obojętne. Od dawna.

Spojrzała na zegarek.

Na wyjazd "w długą" było jeszcze trochę za wcześnie. Wyszła z pokoju. Jednym kontaktem zapaliła oświetlenie w całym domu. Schodząc na dół, szerokimi jak w paryskiej operze schodami, w połowie zatrzymała się na chwilę. Dokładnie w miejscu, z którego jak na dłoni widać było cały parter. Przez chwilę patrzyła na wielki, piękny salon. Właściwie były to połączone ze sobą dwa salony. Przedzielone tylko marmurowym łukiem z dwiema kolumnami po bokach.

Salon po lewej stronie miał ściany wyłożone dębem. Na środku stały potężne skórzane kanapy. Anna musiała kupić trzy komplety, bo okazało się, że dwóch na takiej powierzchni prawie nie było widać*. Drugi salon był jej specjalną chlubą. Oprócz marmurowego łuku oddzielały go od pierwszego trzy szerokie schody w dół. Największą ozdobą tego salonu było półokrągłe okno od podłogi do sufitu. Tam kazała ustawić super nowoczesne włoskie meble. Białe skórzane kanapy i fotele. Na środku stał gruby kryształowy stół. Na marmurowych nogach w kształcie głów słonia z podniesioną trąbą. Podłoga pokryta była płytami marmurowymi w takim samym kolorze jak nogi stołu - kremowym. Anna kazała tak wyszlifować płyty podłogowe, że lśniły zupełnie jakby były pokryte cienką warstwą wody.

W miejscach, w których stały kanapy i fotele, rozłożone zostały grube, welurowe, chińskie dywany. Te dywany trzeba było specjalnie zamawiać w Wiedniu. Takich dużych w żadnym normalnym sklepie nie było.

Ale najbardziej imponujące było oświetlenie.

Żyrandole zamawiali w Hamburgu. Ani Jurkowi, ani jej, nic się w sklepach nie podobało. W końcu trafili do firmy specjalizującej się w indywidualnych zamówieniach dla oper i teatrów.

Dyrektor tejże fabryki, przyjmując zamówienie, szalenie się zdziwił, że ktoś w Poisce, w takich czasach, buduje operę. Kiedy się dowiedział, że to do prywatnego domu, to o mało nie zleciał z krzesła.

Ale Anna musiała przyznać, że warte były ceny jaką zapłacili. Nadawały całej posiadłości atmosferę bogactwa, przepychu, wręcz kapały złotem i iskrzyły się wszystkimi kolorami jak prawdziwe brylanty.

Anna najbardziej jednak lubiła antyki, które sama kupowała. Ostatnim jej nabytkiem był prześliczny XVI-wieczny sekretarzyk z blatem wyściełanym zielonym sukniem. Sekretarzyk ten ustawiła w pierwszym salonie. Idealnie pasował do czekoladowej skóry kanap. Zeszła na dół. Będąc na ostatnim stopniu zsunęła pantofle z nóg. Lubiła poczuć pod stopami puszystość dywanów. Postanowiła, że wypije jeszcze jednego drinka.

Przeszła przez salon i weszła do kuchni. To też był jej ostatni nabytek. Dosyć kosztowny, nawet jak na nią. Kosztowała przeszło pół miliarda, ale jak wszystko co drogie warta była tej ceny. Wszystko co możliwe było automatyczne. Największym bajerem była kuchenka elektryczna na pilota.

Lodówka najnowszej generacji miała na zewnątrz drzwi dwa prostokątne wgłębki, idealne miejsca na postawienie szklanki. Służyły one do napełniania szklanek lodem, bez konieczności otwierania drzwi. Pierwszy dozownik nasypywał pół szklanki lodowych igiełek. Drugi wypełniał szklankę taką ilością kostek lodu, jaką się zakodowało na przycisku. Zarówno pierwszy, jak i drugi, na życzenie napełniał szklanki zamrożonym sokiem pomarańczowym lub grapefruitowym.

Anna wolała lodowe igiełki. Nalała sobie trochę whisky i napełniła nimi szklankę do pełna.

Wróciła do salonu. Usiadła na środku białej kanapy. Położyła nogi na kryształowym blacie stołu. Pilotem włączyła telewizor i

płytę Tiny Turner. Drink, telewizor z wyłączoną fonią i Tina na cały regulator. To było to. Właśnie to wprowadzało ją w taki stan, jaki najbardziej lubiła. Wypiła ostatni łyk ze szklanki i odstawiła ją na stół.

Już zupełnie rozprężona wstała i śpiewając razem z Tiną piosenkę, poruszając tyłeczkiem w rytm melodii powoli poszła na górę.

W sypialni stanęła przed lustrem.

Powoli zdejmowała to, co miała na sobie. Cały czas poruszając się w rytm melodii sączącej się z głośników stereo ukrytych pod sufitem. Zdejmując garderobę rozrzucała ją wokół siebie. Zupełnie naga przegięła się lekko do tyłu. Cały czas obserwując swoje kocie ruchy sięgnęła ręką po futro i szpilki.

Nie schylając się, wsunęła bose stopy w czerwone pantofle, a nagie ciało otuliła futrem.

Jeszcze trochę perfum Shalimar w zgięcia łokci i pod kold-nami, trochę na karku i w okolicy pępka.

Perfumując się, nie spuszczała wzroku ze swojego odbicia w lustrze. Musiała przyznać, nie bez satysfakcji, że jej nagie ciało w rozchylającym się futrze wyglądało imponująco.

Wychodząc, zostawiła światło w sypialni.

Wsiadła do windy i zjechała do garaży.

Nie wychodząc na zewnątrz osobnym przyciskiem otworzyła dolną bramę wyjazdową. Nastawiła kod na automatyczne sterowanie.

Musiała tak zrobić, bo zdecydowała się pojechać do miasta maluchem ogrodnika. A czujniki bramy nie były zaprogramowane na coś takiego jak maluch.

Wcale nie miała ochoty jechać tym autkiem. Ale poprzednio była bardzo nieostrożna.

Mniej więcej miesiąc temu bardzo nierozważnie zaparkowała swojego czerwonego Jaguara XJ 220 w okolicach miejsca, do którego wpadła na godzinę.

Akurat pech chciał, że przyfilowała jej wóz największa plotkarka w mieście.

Ta wścibska Aśka przez tydzień robiła prymitywne podchody, żeby się dowiedzieć, co taka wielka dama jak Anna Naderowa mogła robić w najpodlejszej dzielnicy miasta - na Pradze.

Wsiadła więc do malucha i szybko wyjechała z posiadłości.

Zrobiła tak jak chciała.

Nago, tylko w futrze i szpilkach, upojnie pachnąca jechała na swoje ulubione polowanie.

Rozdział 2

28 grudnia 1970 roku.

Po dziecięcych policzkach Moniki spływały łzy. Łykała je. Czuła ich smak. Pomyślała ze zdziwieniem, że jak płakała ostatnio, bo samochód potrafił jej pieska, to wyraźnie czuła, że są słone. A teraz, łykane z gardła są gorzkie.

Były to najstraszliwsze i najokrutniejsze łzy jakie mogą istnieć. Łzy krzywdzonego dziecka.

Była bardziej zawstydzona niż wystraszona. Ten okropny wstyd paraliżował ją. Nie krzyczała. Nie ruszała się.

Z jej gardła wydobywało się tylko kwilenie.

- Nie, nie!! Tatusiu, proszę cię nie!! - Przestała kwilić.

Przywalona jego ogromnym cielskiem nie mogła już nawet oddychać. Jej drobne, szczupłe ciało było całkowicie obojętne na to, że ona chciała się wyrwać. Wysunąć się spod niego. Po prostu nie mogła się ruszyć.

Wiedziała tylko tyle, że ta obrzydliwa jak szczur, owłosiona łapa między jej udami chce jej zrobić coś złego.

Czuła nad sobą coraz szybszy, chrapliwy, ciepły, śmierdzący alkoholem głośny oddech.

Zacisnęła z całej siły oczy. Już nie tylko ze wstydu. Tym razem z bólu. Z potwornego bólu, który nagle poczuła.

Wszystko to skończyło się nagle. Otworzyła oczy dopiero kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Przełknęła ostatnie łzy i przez chwilę przyglądała się ścianie obok swojego łóżka. - To dziwne, ale ściana wyglądała tak samo

jak co rano - pomyślała. Różowa, w błękitne chmurki i kolorowe kwiatki. Patrzyła na tęczę, którą tak lubiła. Patrzyła na ten obrazek bezmyślnie.

Zawinęła się w kołdrę. Nie chciało jej się wstać. Poczwała oblepiającą ciepłą maź, ale nadal nie chciało jej się wstać. Już nie płakała.

Jej wzrok błędził po pomalowanej ścianie. W pewnej chwili spostrzegła napis w rogu. "Tę ścianę pomalowała sławna malarka Monika jak miała 12 lat".

Jej ostatnią myślą przed zaśnięciem było: - "O Boże jakim ja byłam dzieciakiem jeszcze rok temu". Potem zaraz zasnęła.

Wacek wszedł do ogromnej kuchni. Podszedł do lodówki i wyjął piwo.

Wanda siedziała przy stole i obgadywała przez telefon swoje własne wczorajsze wesele.

- Przestań już! Ile można gadać przez telefon! - Powiedział głośno, siadając naprzeciwko swojej nowej żony - widzę, że leczysz kaca koniakiem - wyraźnie niezadowolony skinął ręką w stronę stojącej na stole butelki Maxima.

Wanda przykryła dłonią słuchawkę i syknęła - będę gadała ile chcę - zdjęła dłoń, ale rozmyśliła się. Ponownie zakryła słuchawkę i dodała - pić też będę to, co chcę i ile chcę.

- Następnie przez godzinę kontynuowała obgadywanie wszystkich gości weselnych. Najważniejsze było kto przyniósł jaki prezent.

Wacek wyjął z lodówki to, co rano przywieźli z knajpy, w której odbywało się ich wesele. Krojąc pierś indyka i smarując ją obficie majonezem pomyślał: - Niezła jest ta córeczka mojej żonki. Jeszcze rok i będzie rewelacyjna. Ma takie świetne szczupłe ciało.

Wanda w końcu przestała jazgotać przez telefon.

- Może coś zjesz kochanie? - Wacek przysunął się do niej i włożył rękę między uda. Wziął jej dłoń i położył sobie na nabrzmiałym kroczu.

Wanda roześmiała się wyraźnie zadowolona. - Mogłeś od razu powiedzieć, że to jest na kolację, tobym natychmiast przestała gadać przez telefon - wstała i powiedziała: - Chodźmy szybko na górę! Wacek zatrzymał ją chwytając za szlafrok.

-Nie!

Odwróciła się zaskoczona - dlaczego nie!? - spytała. Wacek spojrział wymownie na duży dębowy stół. Wanda roześmiała się.

- A jak Monika zejdzie z góry?! - w jej głosie słychać było obawę.

- Nie zejdzie. Nie zejdzie. No chodź! Już teraz!

- Skąd wiesz, że nie zejdzie. Byłeś u niej?

- Byłem, byłem. Już śpi. - Zsunął spodnie i dodał, całując Wandę po szyi - też jest, biedne dziecko, zmęczona po weselu swojej pięknej mamusi.

Rozdział 3

Jacek Rutkowski Jak zawsze w piątek, starał się zachowywać tak, żeby jego matka nie zorientowała się, że chce wyjść. Przed chwilą był na dole i przed matką stała opróżniona do połowy butelka brandy i jeden kieliszek.

Wiedział, że jak Wanda wypije jeszcze dwie brandy, to zacznie się piątkowy cyrk.

Napierw przez pół godziny będzie robiła głuche telefony nowej żonie ojca. I tymi telefonami zmusi Wacka do podniesienia słuchawki.

Wtedy dopiero się zacznie. Najpierw płacz, później prośby i groźby, obrzydliwe wyzwiska, a na końcu awantura. Ile razy już tak było! A teraz już co tydzień. Pomyślał z niesmakiem: -Dzisiaj też tak będzie. Zawsze tak było kiedy Wanda zostawała sama. To znaczy gdy okazywało się, że wyrolował ją kolejny kochanek.

Po ostatnim powrocie matki z Grecji, gdy tylko zobaczył zdjęcia, od razu wiedział, że tak będzie.

Nie tylko dlatego, że uśmiechnięty, beżowy pysk dwudziestoletniego chłopaka obok jego matki wyraźnie mówił kim on jest.

Nie tylko dlatego, że pewnie przyłożył matce między nogi tak, że świeczki zobaczyła. A było tak, bo matka tygodniami wisiała na telefonie i jak idiotka chwaliła się wszystkim swoją ostatnią przygodą miłosną. Nawet ustawiła sobie ołtarzyk w sypialni i na biurku w hurtowni.

Ale Jacek wiedział kim jest ten mały owłosiony jak mała brunecik.

Po pierwsze, tam gdzie Wanda była na wakacjach nie było ośmiocyfrowych numerów telefonów, które złotymi-czarnymi literami aż kol iły oczy z wizytówki.

A po drugie już na zdjęciach było widać, że jest to typowy hotelowy jebaka.

To, że miał najwyżej 20-24 lata już Jacka nie dziwiło.

- Jak ta stara zgreda pojedzie w lutym na narty do Austrii, to będzie miała jeszcze młodszego. - Rozmyślał chodząc ze złością tam i z powrotem po swoim pokoju. Ale z tym Grekiem, to tak jej odbiło, że nie mogąc się przez tydzień do niego dodzwonić, zadzwoniła w końcu do swojej siostry do Austrii.

Ciotka Zosia nie bardzo miała ochotę na szukanie jakiegoś pokątnego Greka.

Ale Wanda nie znosiła sprzeciwu. Kazała wynająć prywatnego detektywa.

Po tygodniu ciotka przysłała fax.

Oczywiście wszystko okazało się bzdurą. Nie tylko ośmiocyfrowy numer telefonu był lewy. Adres i nazwa hotelu, którego Grek był dziedzicem i dyrektorem generalnym też był fałszywy. W całej Grecji takiego hotelu nie było.

Rachunek za to rozczarowanie wyniósł półtora tysiąca dolarów. Ale to było tylko honorarium detektywa.

Ile matka wydała na tego małego alfonsa w Grecji, Jacek nie pytał.

Domyślał się jednak że sporo, bo od wieczora, w którym dowiedziała się prawdy, piła więcej i częściej dzwoniła do ojca.

Jacek postanowił już dzisiaj przygotować książki i zeszyty na poniedziałek do szkoły i schować je jeszcze dzisiaj w swoim samochodzie.

Miał nadzieję, że uda mu się wyrwać z domu. Tym bardziej, że był umówiony z Łukaszem. Miał zamiar nie tylko się wyrwać. Miał ochotę nie wrócić do domu przez sobotę i niedzielę. Dopiero w poniedziałek po szkole. Akurat matka wytrzeźwieje.

Nie miał ochoty na tradycyjne sobotnio-niedzielne kłótnie i awantury. Nie mówiąc już o tym, że od jakiegoś czasu czepiała się dosłownie wszystkiego.

Wszystko chciała o nim wiedzieć. Gdzie chodzi, z kim, a przede wszystkim z kim sypia.

Zrobiła się tak zaborcza, że nawet dwa miesiące temu proponowała, żeby dziewczyny przyprowadzał do domu.

Oczywiście zaznaczyła, że chodzi jej o dziewczyny z dyskotek.

Postawiła tylko jeden warunek - żadnej rano nie chce widzieć.

Wyraźnie podkreśliła, że nie ma mowy o stałej dziewczynie.

Uważała, że na to Jacek jest jeszcze za młody.

Do kochania to jest własna matka. A nie jakieś tam panienki.

Jacek spojrział na zegarek. Nasłuchiwał. Nie licząc nastawionego stanowczo za głośno telewizora - na dole była cisza. Pomyślał, że jeżeli matka nie znajdzie sobie ofiary na dzisiejszy wieczór, to jednak może mieć kłopoty z wymknięciem się z tego koszmarnego domu.

Po kilku minutach usłyszał, że Wanda walczy z telefonem, wykręcając różne kierunki. Zadowolony pomyślał, że być może odpuściła dzisiaj ojcu.

Bardzo nie lubił być świadkiem właśnie tych telefonów.

Upokarzało go takie prymitywne i wulgarne zachowanie matki. Już był gotów do podjęcia próby wymknięcia się z domu, gdy usłyszał głośne wołanie:

- Jacek!

- No tak - pomyślał, wyraźnie słysząc w jej głosie cztery brandy. Będzie ciężko. Nie odezwał się jednak.

- Nie udawaj, że nie słyszysz!! Chodź tu natychmiast!

Jacek pomyślał szybko: Cholera, mogłem zwiać dziesięć minut temu, a nie litować się nad głupią alkoholizką. Ale zawołał: - Już idę! Do torby treningowej szybkim ruchem wrzucił dwie książki i jeden zeszyt. Na plecy narzucił piękny, szary sweter od Montany, który Wanda mu przywiozła z Grecji w prezencie. Już

wychodząc z pokoju szybko wyjął z kieszeni dzinsów kluczyki od samochodu i też wrzucił do torby.

Zbiegając po dwa stopnie w dół rzucił okiem na salon. Mimo że Wanda siedziała tyłem do schodów, to po sposobie trzymania głowy wiedział, ile wypła. Wcale nie musiał widzieć twarzy matki, żeby odpowiednio ocenić ilość alkoholu w jej krwi.

- Zadzwoń do ojca! - powiedziała ostrym tonem, nie odwracając się w stronę syna.

- Po co? - w głosie Jacka był bunt.

- Jak ja ci mówię, że masz zadzwonić, to dzwoń!! - Wanda była wyjątkowo agresywna tego wieczoru.

- Oj, no dobrze, zaraz zadzwonię - za wszelką cenę chcąc uniknąć awantury. Wiedział, że to jest jak w toto-lotku. Padło dzisiaj na niego i jakoś musi to załatwić. Matce wcale nie chodziło o to, żeby synek porozmawiał z tatusiem. Koniecznie chciała zepsuć wieczór możliwie jak największej ilości osób.

I niestety, to akurat zawsze jej się udawało.

Żeby wziąć telefon od matki, Jacek musiał podejść do niej bardzo blisko. Wanda trzymała słuchawkę w ręku. Wiedział, że celowo to zrobiła. Gdy tylko podszedł i nachylił się, Wanda szybkimi, sprawnymi ruchami obmacała mu kieszenie w spodniach.

- Gdzie schowałeś kluczyki do samochodu!?! - zadarła wysoko głowę do góry i patrzyła na niego złym wzrokiem.

- Nigdzie nie schowałem. Są na górze - skłamał, ale pomyślał, że już by mogła wymyślić coś nowego. Numer z obmacywaniem spodni dawno przerobił.

- Nie wychodzisz dzisiaj na dziwki! - nadal mu się uważnie przyglądała.

- Jakoś przeszła mi ochota - usiadł naprzeciwko matki i położył nogi na marmurowym blacie niskiego kwadratowego stołu.

- To po co zabrałeś torbę treningową?! - mówiła coraz głośniejszym głosem. - I postawiłeś ją za mną, za kanapą?

- Żeby nie zapomnieć zabrać jej w poniedziałek - nie dał się zbić z tropu.

- Ach tak!! - już krzyczała.

- Właśnie tak, - Jacek nadal był opanowany. Postanowił nie dać się sprowokować.

- Zadzwoń w końcu do swego tatusia, czy znowu będziesz mi robił na złość?

- Zadzwonię, zadzwonię! - odpowiedział nie ukrywając sarkazmu w głosie. - Tylko powiedz mi, co mam przekazać od ciebie - spytał i dodał już zły - boja wcale nie mam ochoty z nim rozmawiać.

Siedział naprzeciwko matki i bawił się najnowszym modelem bezprzewodowego telefonu w ten sposób, że podrzucał słuchawkę do góry i w ostatniej chwili łapał nad marmurowym blatem stołu.

Dobrze wiedział, że to matkę denerwuje.

- Tak?! A to ciekawe?! - Wanda mocno zmrużyła oczy i przyglądając się przez chwilę synowi spytała - A jak w środę byłeś u niego i tej jego nowej dziwki przez trzy godziny, to chciałeś rozmawiać?!

Wanda patrzyła na Jacka wzrokiem żmii.

Jacek o mało nie upuścił telefonu. Chwycił słuchawkę w ostatniej chwili. Ale myślał błyskawicznie - Skąd do chołuiy matka może o tym wiedzieć? Przecież na posesję ojca wjechałem bramą z polnej drogi, a nie od frontu. No i cała posiadłość otoczona była dwumetrowym murem. Nie! Wacek na pewno jej nie powiedział - Jacek analizował możliwości.

Wanda przyglądała się jemu uważnie - a nowa żona ojca? Czy ona mogła mnie zakablować, że jednak do nich przyjeżdża? Nie! To już był zupełnie idiotyczny pomysł. Tak się z Wandą nienawidziły, że na ulicy prawie na siebie pluły. Pewnie by to zrobiły, gdyby nie przechodnie.

- Nie ona nie! - Rozwiął swoje wątpliwości.

Jackowi nowa żona ojca była obojętna. A niech sobie ojciec sypia z kim chce. I tak ją zdradzał. Jacek jeździł do nich, bo mu ojciec obiecał sztucer...

- Natychmiast zadzwoń do tej kurwy i powiedz, że byłeś z nim umówiony na dzisiejszy wieczór, ale odwołujesz spotkanie. - Ostry głos Wandy przerwał rozmyślenia Jacka...

Wanda patrzyła na syna ponurym spojrzeniem. Jacek nagle stwierdził, że nie dotyczy to tylko jego czy ojca. Ono dotyczy wszystkich i wszystkiego, w czym może tlić się jakieś uczucie, czy chociażby małe zadowolenie z życia, jakikolwiek optymizm. Patrząc przez chwilę matce w oczy stwierdził z przerażeniem, że ona karmi się nienawiścią.

Już od paru lat Wanda lubowała się w tego typu telefonicznych zabawach. Teraz też tak było. Jacek zdawał sobie sprawę, że matka dobrze wie, iż Wacka nie ma w domu. A co ważniejsze, jest doskonale zorientowana gdzie jest i z kim. I w którym łóżku. Aktualnie, któreś tam z kolei, małżeństwo ojca w sumie niewiele różniło się od tych poprzednich.

- Nie możesz tego załatwić kimś innym? - Jacek jeszcze raz podjął próbę wymknięcia się z jej szponów.

W odpowiedzi Wanda naląła sobie jeszcze jedną sporą lampkę brandy. W butelce zostało mniej niż połowa. - Gdybym mogła, tobym załatwiła. - Przechyliła mocno głowę do tyłu i jednym haustem wypila zawartość kieliszka.

Jacek obserwował matkę z niesmakiem.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział ze złością.

- Ty! Ty nie bądź taki cwany! I tak zrobisz, co ci każę! Odstawiła pusty kieliszek z niechęcią. - I tak zadzwonisz, bo sobie myślisz, że wtedy uda ci się wyjść z domu. Co! Może się mylę!? - przez chwilę patrzyła mu w oczy i wysyczała: - Jak jeszcze raz podrzucisz telefon, to ci przekłuję wszystkie opony w samochodzie!

Jacek wiedział, że teraz to już żarty się skończyły.

Wykręcił numer do ojca. Odpowiedział głos Alicji - aktualnej żony Wacka. Odbierała telefony tak pretensjonalnie, że nawet gdyby zmieniła głos, to i tak trudno by było to pseudoerotyczne, przeciągłe "hallooo" pomylić z kimś innym.

Bacznie obserwowany przez matkę, Jacek powiedział dokładnie to, co mu kazała.

Alicja wydusiła z siebie całe zdanie w postaci "achaaa" i na tym koniec.

Jacek wyprysnął z domu nie słuchając już bełkotliwych wynurzeń Wandy. Miał wszystko gdzieś. Wcale nie miał zamiaru zastanawiać się nad tym, co u ojca w domu po tym telefonie będzie się działo. Oni i tak sobie nawzajem tyle mącili w życiu, że jedna awantura więcej, czy jedno oko podbite i tak niczego nie zmieni.

Dla Jacka najważniejsze było, że udało mu się wyjść z domu i że opony w Jeepie były całe.

Wiele spraw zaczął rozumieć jakieś pięć lat temu.

Akurat teraz nie miał wcale ochoty o tym myśleć, ale z dręczącymi sumienie wspomnieniami tak już jest. Wbrew woli umysłu i wszystkim wysiłkom myśli narzucały się i dręczyły. Co by człowiek w takiej chwili nie zrobił, to i tak musi się im poddać. - Cholera - pomyślał. - A może powodem tych wspomnień są moje częste ostatnio spotkania z ojcem?!

Kiedyś nie zastanawiał się nad tym, czy to co widział i słyszał zdarzyło się naprawdę. Czy może jednak było tylko wytworem jego dziecięcej wyobraźni.

Teraz już wiedział, że tak, że to była prawda.

To było wesele Moniki. Jego przyrodniej siostry. Córki Wandy z pierwszego małżeństwa. Ale jak by na to nie patrzeć jednak jego siostry.

Jacek wyczuwał, że Monika go kocha. Nie mógł wiedzieć na pewno, bo i skąd.

Tylko Monika okazywała mu czułość i dobroć. Właśnie to pamiętał z czasów jak mieszkali razem we czwórkę.

Wacek zdecydował się w końcu ożenić z Wandą gdy Jacek miał pięć lat.

Wspólne zamieszkanie z Moniką trwało tylko rok.

Wanda kupiła mieszkanie dla starej ciotki i Moniki. Nie chciała mieć dorastającej córki w domu. Wacek za bardzo się nią interesował.

Jacek pamiętał, że z Moniką zawsze były kłopoty, choć nie bardzo rozumiał o co chodzi. Monika była starsza od niego o trzynaście lat.

Ale pamiętał dokładnie, że w domu często bywała milicja. Matka robiła wtedy wystawne kolacje i kupowała dużo zwykłej wódki.

Libacje te często kończyły się na drugi dzień w południe.

No i w końcu jakaś baba z obyczajówki tak się na Monikę uparła, że zwykłą kolacyjką i wiadrem wódki nie dało się tego załatwić. Wanda musiała wtedy sprzedać nowego Poloneza. Akurat była to równowartość rachunku, jaki wystawił sędzia prowadzący sprawę Moniki.

Wyrok, zgodnie z ustaleniami był uniewinniający.

Jacek nie przypominał sobie o co dokładnie wtedy chodziło. Ale z awantur, które słyszał dowiedział się, że Monika podźgała nożem jakąś swoją konkurentkę z orbisowskiego hotelu.

Tamta wtedy miała nie więcej niż szesnaście lat.

Sprawa była skomplikowana. Nawet rewizja nadzwyczajna.

Nadzwyczajna to ona owszem była, ale tylko w cenie, jaką Wanda musiała zapłacić za utrzymanie wyroku w mocy.

Ci od tej pokłótej też chcieli przepłacić sędziego, ale sędzia nie był durny i dwa razy nie wziął.

Wesele Moniki, które tak bardzo utkwilo mu w pamięci, odbywało się w kacykowskim dworku pod Warszawą.

Wanda w tamtych czasach miała świetne układy ze wszystkimi ważnymi kacykami i kilkoma dobrze i sprytnie funkcjonującymi SB-kami.

Jacek dokładnie nie pamiętał, ale miał wtedy pięć czy sześć lat. Monika wychodziła za mąż za obleśnego grubego Araba z Amsterdamu. Ale wóz to ten Arab miał wtedy fantastyczny. Teraz takich pełno w Warszawie, ale wtedy! Największy szpan w mieście! Pod kościół podjechała czerwona Corwetta z namalowanym na masce węzem cobra.

. Jacek dokładnie pamiętał, że samo wesele nie podobało mu się. Wszyscy byli tak urznięci, że jeszcze godzina i powinno zacząć się rzyganie.

Około pierwszej w nocy Jacek poszedł do swojego pokoju na górę. Wacek, specjalnie dla Jacka przywiózł i podłączył w jego pokoju telewizor z video i świetne (jak na tamte czasy) filmy. Jacek już w domu był przyzwyczajony do zasypiania przy filmach. Tym razem też tak było.

Już zasypiał, gdy usłyszał podniesione głosy. Najpierw pomyślał, że to jakaś normalna awantura na dole, ale po chwili zorientował się, że głos dochodzi z pokoju obok. Nie bez zdziwienia stwierdził, że jest to głos Moniki!! I to w dodatku wściekły. Monika krzyczała na kogoś.

- Już ci mówiłam, żebyś mnie dzisiaj zostawił!!

- A co za różnica czy dzisiaj czy wczoraj?! - ten głos był Jackowi znajomy. Nie należał jednak do Araba, za którego jego siostra wychodziła dzisiaj za mąż.

- Żadna! Ale spieprzaj!! - Jacek wyraźnie słyszał, że Monika jest wściekła.

- Dalej, nie wygłupiaj się! Przecież, nie musisz się rozbierać! No dalej! Już! - Jacek usłyszał głucho uderzenie w ścianę - no już! Bo powiem twojej matce jaka z ciebie dziwka - Męski głos też już krzyczał.

- Ty! Ty powiesz mojej matce!! Ty głupi impotencie!! - roześmiała się agresywnie - przecież tobie stają tylko z dziewczynkami. A moja mama wie o tym lepiej ode mnie. - Jacek cicho wstał z łóżka i przyłożył ucho do ściany.

- Monika, jeszcze tylko chwilę! Nie zostawiaj mnie tak! Zobacz, no zobacz! Nie bądź taka. Pokaż na chwilę te swoje piękne piersi. - Teraz z pokoju obok dochodziły do uszu Jacka takie same dźwięki jak z filmu porno, przy którym pół godziny temu zasypiał. Ale tylko męski i głos. I po chwili znowu - Monika, nie bądź niedobra. Masz takie piękne piersi! Nie takie jak twoja matka! - głos stawał się coraz bardziej chrapliwy i proszący.

- Nie i koniec!! Zostaw mnie!! - głos Moniki był nadal wściekły.

- Ty kurwo!! Nie będziesz mi mówiła "nie" jak ja tego chcę!

- Weź te łapy!! Bo będziesz tego żałował. Tak cię za chwilę urządzę, że zostaniesz golasem. Matka wygoni cię na zbity pysk!!

- Zamknij się. Jeszcze tylko chwilka - głos był sapiący i bardzo chrapliwy.

Jacek już od dłuższej chwili wiedział czyj to głos.

Po chwili usłyszał, jak drzwi od pokoju otworzyły się gwałtownie. Aż odskoczył od ściany i wskoczył jak strzała do łóżka. Ale tylko na chwilę, bo usłyszał stukot wysokich obcasów na kamiennej posadzce korytarza. Wyskoczył z łóżka. Koniecznie chciał zobaczyć jak jego siostra wygląda "po tym". Po cichu wymknął się ze swojego pokoju i bosko skradał się za nią ciemnym korytarzem. Korytarz był naprawdę ciemny i bardzo długi. Mimo to Jacek dokładnie widział idącą przed nim postać w długiej białej sukni. Na końcu korytarza było jasno. Miejsce przy schodach w dół oświetlał snop światła dochodzący z sali balowej. Dochodził również gwar rozbawionych głosów.

Nagle Monika zatrzymała się. Jacek wystraszony przykleił się do ściany. Odwróciła się i spojrzała w głąb ciemnego korytarza. Następnie z pasją rozrywała suknię. Najpierw na dekolcie. W następnej kolejności z przodu i z boku. Widocznie miała z

tym kłopoty, bo pomogła sobie zębami. Jacek przeszedł na palcach kilka metrów i wtulił się we wnękę drzwi, która całkowicie chroniła go przed wzrokiem siostry. Obserwując jak ona szarpie zębami obręb sukni stwierdził, że to jest dużo fajniejsze niż film video. Bardzo ostrożnie wychylał głowę. Nie chciał żeby go spostrzegła. Wtedy zabawa by się skończyła.

Monika skończyła rozdzierać suknię. Wyprostowała się i idąc powoli doszła do końca korytarza. Zatrzymała się na chwilę w snopie światła i powoli zaczęła schodzić po schodach.

Nagle na dole umilkły wszystkie głosy. Jacek pomyślał, że to zupełnie tak jakby wyłączyć dźwięk w telewizorze.

W tym samym momencie Monika zatrzymała się na schodach.

Jacek wykorzystał ten moment. Wiedział, że na niego nikt nie zwróci uwagi. Podbiegł na palcach do schodów. Ukląkł i ostrożnie wysunął głowę zza poręczy schodów. Spojrzał w dół.

Czegoś takiego jeszcze nie widział.

Wszyscy, cały tłum weselnych gości w milczeniu patrzył w górę na jego siostrę, która w podartej sukni stała na środku oświetlonych schodów.

Jackowi zachciało się śmiać. Wszyscy mieli wytrzeszczone oczy i otwarte usta.

Zaraz przy schodach stała mama ze swoim nowym zięciem.

Monika powoli zeszła jeden stopień niżej i odezwała się łamiącym się głosem.

- Mamo!! - Mama zrobiła gwałtowny ruch, jakby chciała podbiec do córki, ale w tej samej sekundzie Monika gwałtownie cofnęła się o stopień wyżej i powiedziała głośno:

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że twój mąż uwielbia mnie gwałcić na naszych weselach. - Zrobiła chwilę przerwy. Przechyliła głowę w bok i patrząc matce prosto w oczy dodała:

- Pięć lat temu zgwałcił mnie na twoim weselu. A przed chwilą na moim.

Rozdział 4

Tego wieczoru Agata była w świetnym nastroju. Jej nowo poznana przed dwiema godzinami zdobycz była strzałem w dziesiątkę. Patrzyła na Mariana i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech. Agata miała trzydzieści pięć lat. Aie nie wyglądała na tyle. Wieziała, że najwyższy czas zacząć normalnie żyć. Ten poznany dwie godziny temu mężczyzna robił wrażenie. A poza tym był bardzo przystojny i elegancki. Pomyślała, że jednak nie zaszkodzi w najbliższym czasie zrobić mały wywiad. Instynktownie czuła, że w łóżku nie będzie porywający. Będzie tak samo poprawny jak teraz w dyskotecce. Tak sobie rozmyślała, prowadząc z nim banalną rozmowę przy barze w dyskotecce "Stodoła".

Przy okazji dyskretnie rozglądała się, kogo by tu jeszcze poderwać. - Paru osobom się tu bardzo podobasz - Marian powiedział to, ale nie patrzył na Agatę. Wpatrywał się w lustro naprzeciwko baru. A właściwie w kawałki luster prześwitujące pomiędzy rzędami kolorowych butelek.

Agata uśmiechnęła się zdawkowo. Dobrze wiedziała, że się podoba. Miała na sobie obłędnie obcisłą, wściekle żółtą sukienkę. Z łożkowatym wycięciem na plecach sięgającym kości ogonowej. Wiedziała, że jak siada na wysoki barowy stołek, to wszyscy co stoją za nią muszą zatrzymać wzrok na jej pośladkach. A właściwie na kuszącym rowku, mocno się w takiej sytuacji ukazującym.

- Gdyby teraz przyszedł tu jakiś fotoreporter, to pomyślałby, że jesteś modelką, albo gwiazdą filmową. Wszyscy się na ciebie patrzą. Marian już przestał obserwować salę za swoimi plecami, gapiąc się w lustro naprzeciwko. Całą postacią odwrócił się w stronę Agaty, i przysuwając się do jej ramienia dodał cicho patrząc jej prosto w oczy - no kim jesteś?

Agacie dziwny dreszcz przeleciał po plecach. Zupełnie tak, jakby diabeł się do niej przytulił na chwilę.

Perwszy raz od dwóch godzin spojrzął na nią takim wzrokiem. - Cholera - pomyślała. - Lepiej żebyś nie wiedział kim jestem. A już na pewno ja nie mam ochoty dowiedzieć się kim ty jesteś.

Agata lubiła mężczyzn. Lubiała poznać kogoś w dyskotecie.

Uwielbiała troszkę namącić w głowach, wyskoczyć na elegancką kolację, czy do dyskoteki.

Ale bała się takich mężczyzn jak ten. Już kiedyś takiego знаła i wiedziała czym to pachnie.

- Przepraszam cię na chwilę. Zaraz wrócę - posuwistym ruchem zsunęła się ze stołka, jednocześnie wyciągając rękę po torebkę. Marian delikatnie, ale stanowczo chwycił ją za przegub dłoni. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Zostaw torebkę - w jego głosie było coś agresywnego.

- Coś ty!? Muszę poprawić makijaż!

- Ach tak. Makijaż - mocno podkreślił ostatnie słowo. To rzeczywiście jest ci potrzebna torebka. No popatrz, a ja pomyślałem, i trochę się wystraszyłem, że chcesz mi zniknąć - już mówił innym, łagodniejszym tonem.

- Zwariowałeś! Przecież bym nie wyszła bez torebki! - Agatę ta sytuacja trochę zdenerwowała. Ale Marian puścił jej rękę.

- Tego nie jestem pewien. Jutro byś ją sobie odebrała od zaprzyjaźnionej barmanki. A ja bym teraz został sam. - Przyciągnął jej łokieć do siebie i przytulając się do biustu szepnął do ucha - a ja mam ochotę żebyśmy wyszli razem.

Rozdział 5

Jacek jak zawsze jechał przez centrum miasta za szybko. Ale lubił to. I tym razem musiał się spieszyć. Powinien być u Lukas; a przeszło godzinę temu. Patrzył z wiaduktu na rozciągające się na dole osiedle mieszkaniowe i pomyślał, że zupełnie nie rozumie jak ludzie mogą tak mieszkać. Jeden na drugim.

Z piskiem opon skrócił sobie drogę przejeżdżając przez szeroki trawnik oddzielający od siebie dwa kierunki jazdy.

Skracając w ten sposób drogę musiał dwieście metrów jechać pod prąd. Ale robił to tylko wtedy, gdy był pierwszy na światłach na skrzyżowaniu.

Jego ogromny Jeep robił tak piorunujące wrażenie, że jeszcze nikt nigdy nie odważył się ruszyć z pasa, po którym pędził z naprzeciwka. Najzabawniejsze dla Jacka było to, że w chwili, w której pojawiał się na pasie pod prąd, to ci z naprzeciwka akurat dostawali zielone światło.

Jednak pędzący prosto na nich, z zapalonymi długimi ośmioma światłami, wielki samochód, na oponach wielkości trabanta, musiał robić tak przerażające wrażenie, że najodważniejszego wciskało w fotel.

Jacek za każdym razem pękał ze śmiechu. Tej jazdy było tylko dwieście metrów. Tuż przed stojącymi na zielonym świetle samochodami był zjazd w prawo. To był zjazd w osiedle, na którym mieszkał Łukasz. Uliczka była krótka, ale skracała cały objazd na ogromne osiedle o dobrych kilkanaście kilometrów.

Jacek wyłączył połowę świateł i powoli przeciskał się wewnętrznymi uliczkami w głąb osiedla. Zawsze to go denerwowało.

Samochody stary zaparkowane jeden przy drugim po obu stronach wąskich uliczek między ogromnymi blokami.

Jechał bardzo powoli. Kilka razy widział tu zupełnie niezłe dziewczyny. Wieczorami wychodziły z domów na spacer z psem. Już po chwili jego ogromny Jeep zbliżał się do bloku, w którym mieszkał Łukasz. Nie mógł znaleźć miejsca do zaparkowania. Zaklął ze złością i powiedział na głos. - Znowu chołota tak zaparkowała te swoje gówna, że nie ma się nawet gdzie zatrzymać. - W końcu z impetem wjechał na chodnik pod samo wejście bloku, zatrzymując się o kilka centymetrów od szklanej klatki wystającej nie wiadomo czemu parę metrów przed budynek. Zatarasował w poprzek cały chodnik. Już chciał wysiąść i pójść na górę po Łukasza, gdy zobaczył go wybiegającego z wewnętrznych drzwi klatki schodowej. Łukasz biegł i zakładał kurtkę. - Chołera - pomyślał - niezłe się spóźniłem. - Jacek zerknął na zegarek - pewnie już od godziny czekał przy oknie. Łukasz wskoczył do samochodu i jeszcze nie zamknął dobrze drzwi, gdy warknął - ruszaj! - Jacek ruszył natychmiast.

- O której miałeś być!!? - Łukasz był wściekły.

- Nie mogłem wcześniej! - Jacek manewrował między samochodami, jadąc stanowczo za szybko. - No mówię ci, naprawdę nie mogłem - próbowałem się usprawiedliwić.

W ostatniej chwili nadusił na hamulce, prawie wgniatając go w podłogę. Na środku jezdni, metr przed maską, stał mały, płowy cocker-spaniel, ze zwisającą żałośnie smyczą. Po chwili podbiegł do niego niewiele większy chłopczyk. Przytulił psa i chwycił smycz. W tym samym momencie Jacek zapalił wszystkie przednie światła w samochodzie. Chłopczyk zamarł. Stał jak sparaliżowany, ze smyczą w rękę i patrzył z przerażeniem na samochód. Widocznie rozumiał, że jedyne poczucie bezpieczeństwa daje mu to, że nie jest sam. Ma psa. Szarpnął gwał-

townie smycz, ale jeszcze mniej rozumiejący niż dziecko pies zaparł się czterema łapami o asfalt i nie chciał się ruszyć.

- Odepnąłeś!!? - Łukasz krzyknął na Jacka - zgaś natychmiast te reflektory! - Jacek posłusznie zgasił. Wcale nie chciał wystraszyć dzieciaka. Sam nie wiedział dlaczego to zrobił. Ale Łukasz nie miał zamiaru się uspokoić - Czyś ty kompletnie zwariował!? Jacek nie odpowiedział.

Dziecku udało się uciec i zabrać psa. Schylił się, wziął psa na ręce i uciekł. Musiało to być dla niego trudne, bo sam był niewiele większy od cocker-spaniela.

- Co ty kurwa sobie myślisz, czemuś go tak wystraszył!!

- Łukasz nie dawał za wygraną. Jacek pomyślał, że lepiej stąd natychmiast odjechać.

- Słuchaj stary. To był pies i dziecko, a nie nocne polowanie w lesie, gdzie oślepią się zwierzynę i strzela!!

- Odpierdol się, wcale tak nie myślałem! - Jacek powoli ruszył.

- Gdzie jedziemy? - spytał. Był zły na Łukasza. Nie chciał się przyznać do tego, że odruchowo zapalił te światła. Chyba jednak było tak jak powiedział Łukasz. I właśnie o to Jacek się rozżłościł na przyjaciela. - Boże co za dzień! - pomyślał.

- Muszę się jakoś uspokoić. Przydałaby mi się szybka dupa.

- Pytałem gdzie jedziemy? - spytał zatrzymując się na czerwonych światłach.

- Jak to gdzie! Tam gdzie byliśmy umówieni godzinę temu! Do "Stodoły"!

Łukasz był wściekły i wcale nie starał się tego ukryć. Jacek dobrze wiedział, że Łukasz od kilku tygodni czekał na interes i akurat dzisiaj miał go doprowadzić do końca.

- To ty byłeś umówiony z tym pedałem! A nie my!

- Nie wkurwiał mnie! Już ci mówiłem, że "Pingwin" nie jest pedałem!

- No, może i nie jest. - Dla świętego spokoju powiedział Jacek, ale był innego zdania. Postawa Łukasza w tej kwestii była dla Jacka jasna. Kroił mu się świetny interes i jeżeli czasami "Pingwin" go trochę pogłaszcze to i co z tego.

Jacek przyduśił trochę gaz. Manewrował między jadącymi trzema pasami autami. Gwałtownie zajeżdżał drogę. Zmieniając pasy ruchu prawie wcale nie jechał środkowym. Robił sobie zygzaki z lewego na prawy.

- Jedź do cholery normalnie!! Jak nas złapią to spóźnimy się jeszcze bardziej. A tak w ogóle to nie wtrącaj się w moje sprawy. O interesach to ty nie masz nawet mglistego pojęcia.

Łukasz był bardzo inteligentny i potrafił to wykorzystać. Jacek wiedział, że to nie każdemu się zdarza. Inteligentnych ludzi na świecie jest na pęczki ale nie wszyscy inteligentni są mądrzy.

Łukasz był mądry. Potrafił wykorzystać swoją inteligencję tak, żeby na tym zarobić. I to jest mądrość. A nie czytanie encyklopedii.

Potrafił manipulować ludźmi. Z premedytacją wkręcał się w środowiska szemrane. Sam mówił, że ma słabość do tego towarzystwa. Kilka razy otarł się o kryminał, zawsze jednak wychodził gładko z takich sytuacji. I właśnie to go bawiło.

Był bardzo przystojny. Nawet Wanda to stwierdziła. Nie wspominając o tych starych pudłach, koleżankach Wandy, które jak tylko Łukasz pojawiał się u nich w domu i akurat któraś była na kawce, wypinały uzbrojone w szelki cycki i - to najbardziej Jacka śmieszyło - wydymały usta wciągając policzki. - "Czy one naprawdę nie wiedzą, że to te ich stare pyski jeszcze bardziej postarza?" - myślał wtedy.

Ale było coś w przyjacielu, co Jacka naprawdę dziwiło.

Jak tylko Łukasz poznawał jakiegoś bandziora, to już po tygodniu wyglądał prawie tak samo. Zaczynał się tak samo

ubierać, chodzić, akcentować słowa. Wykonywał takie same ruchy. Jacek stwierdził, że każdy ma jakiś gest charakterystyczny dla siebie. I właśnie ten gest za każdym razem stawał się obsesją Łukasza.

Ale z drugiej strony w przebiegły i wyrafinowany sposób urabiał ich na tyle na ile było mu to potrzebne. Czasami było to nawet zabawne, czasami jednak ocierało się o krawędź poważnego ryzyka.

Ale Jacek musiał przyznać, że zawsze było podniecające.

Oprócz podziwu, Jacek darzył Łukasza jeszcze jednym silnym uczuciem. I to było dużo bardziej niebezpieczne.

Zazdrościł mu. I to czegoś, czego mało kto zazdrości, bo mało kto docenia.

On mu zazdrościł matki.

Uważał, że to właśnie jej Łukasz zawdzięczał większość tego co potrafi.

Ostatnio nawet pozwoliła Łukaszowi przeprowadzić się do osobnego mieszkania, które mu wynajęła i zapłaciła za trzy lata z góry.

Jacek uważał, że przez swoją pracę i przez kontakt z ludźmi na poziomie potrafiła inaczej podejść do dorosłego syna.

Nie tak jak Wanda, która stworzyła domowy faszyzm w czterech ścianach.

Matka Łukasza - Magdalena była znaną spikerką w telewizji. To wprawdzie bardzo imponowało Jackowi, ale w jego przekonaniu nie tylko to było przyczyną życiowych sukcesów przyjaciela. Ta wysoka ocena matki Łukasza w oczach Jacka brała się stąd, iż uważał, że ta kobieta jest bardzo cwana.

Łukasz urodził się w Bydgoszczy. Jego matka była wtedy bardzo młoda.

Magdalena była wtedy studentką pierwszego roku uniwersytetu.

Takiej pospolitej prowincjonalnej "Sorbonny". Już po roku

Magdalena zorientowała się, że to nie dla niej, że Bydgoszcz to nie Warszawa. Zostawiła swojego męża i przeniosła się do stolicy. Ze swoją urodą i cwaniactwem, tak charakterystycznym dla studentów z prowincji, szybko osiągnęła to, co chciała. Rozkochała w sobie znanego - wręcz sławnego aktora. Sprawa była tym łatwiejsza, że Magdalena była bardzo piękna, a aktor był profesjonalnym alkoholikiem. Gdy go poznała pił wszystko i ze wszystkimi. Rozwiodła się z nim kiedy któregoś ranka obudziła się, bo poczuła, że leży w czymś ciepłym i lepkim. A tak właściwie to obudził ją smród.

Leżała w rzygowinach. Obok niej chrapał jej sławny mąż. Z kącików ust wypływały mu resztki kolacji. Pomidory wcale nie wyglądały tak jak na talerzu.

Ale życie wynagrodziło i jej i Łukaszowi wszystko z ostatnim mężem i tatusiem.

Trzeci mąż pani Magdaleny był nie tylko przystojny, elegancki, ale co najważniejsze bajecznie bogaty. Znał wszystkich którzy się liczyli. Jego nie znał prawie nikt. Nie pokazywał się nigdzie ze swoją piękną żoną. W zamian za to spełniał jej wszystkie zachcianki. Łukasz opowiadał, że jego matka nawet nie zdąży pomyśleć o czymś, a już to ma.

Całe miasto wiedziało o tym, że interesy jakie prowadził Marian Blumsztein są tak obłędnie nielegalne, że lepiej nawet się nie dowiadywać kto za tym stoi.

Jacek szczerze podziwiał matkę swojego przyjaciela. Ona przynajmniej wiedziała z kim się przespać i po co.

Nie tak jak jego matka.

Wanda sypiała z byle kim i byle po co. W dodatku zupełnie bez korzyści.

Rozdział 6

W "Stodole" było jak zawsze głośno, tłoczno i smrodliwie. Kręciło się sporo małych. I damskich i męskich. Jackowi i Łukaszowi udało się jednak za parę złotych dostać najlepszy stolik pod ścianą. Dzięki temu mieli pełen wgląd na sytuację w barze i na schodach. Zarówno na te prowadzące na górę do toalet, jak i na dół, do wyjścia.

- Kto to? - spytał Jacek nie spuszczać wzroku z dziewczyny w żółtej sukni przechodzącej obok nich.

- Gdzie? - Łukasz siedział bokiem do przejścia między stolikami. Wpatrywał się w wejście na dole. Zniecierpliwiony czekał na "Pingwina". Dzisiaj mieli się ostatecznie dogadać w interesie omawianym od miesiąca.

Łukasz już się dowiedział od zaprzyjaźnionego barmana Marka, że "Pingwina" jeszcze nie było. To go trochę uspokoiło.

Jacek spostrzegł nie bez ulgi, że Łukaszowi wraca dobry humor. Ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Obserwował wchodzącą po schodach dziewczynę. Nie dość, że miała wspaniałą figurę, to jeszcze kręciła szczupłym tyłeczkiem tak jak lubił.

- Zanim ty się odwrócisz, to ja bym już zdążył ją przelecieć.

- Czasami złościła go powolność Łukasza - właśnie wchodzi na górę.

- No to jak poszła na górę, to wróci za pół godziny - Łukasz się nawet nie odwrócił w stronę schodów. Nadal wpatrywał się w wejście.

Jacek popijając gin z tonikiem rozglądał się po dyskotecę.

Dwupoziomową powierzchnię wypełniały małe stoliczki typu łoże. Typowo dyskotekowe oświetlenie, to znaczy prawie żadne, bez przerwy migało.

Mimo to można było rozpoznać niektóre osoby. Powód był prosty. Oni tu prawie mieszkali. Ten klub był dla nich drugim domem. A tak między Bogiem a prawdą, to jedynym domem. Tu jedli, tu pili, zawierali nowe znajomości, kradli, robili małe plugawe interesiki, żeby całą zarobioną forszę wydać właśnie tu.

Większość z nich to byli ludzie z małych mieszkańek w ogromnych mrówkowcach, z podmiejskich miejscowości, do których musieli wrócić ostatnim pociągiem. Dla nich Europa zaczynała się i kończyła właśnie w takich dyskotekach. Tacy ludzie byli skłonni zrobić wszystko, żeby poczuć się członkami tej specyficznej społeczności.

Ale bywali tu też inni. Tacy jak on i Łukasz.

Rozmyślenia Jacka przerwało pojawienie się dziewczyny. Nie trwało to wprawdzie pół godziny, ale wystarczająco długo, żeby zaczął się niepokoić.

W końcu pojawiła się u szczytu schodów. Patrzył na nią zachwycony. Zatrzymała się na chwilę. I zaczęła schodzić. Schodziła powoli, z gracją modelki. Lekko przegięta do tyłu, pewna siebie. Pewna swojego magnetyzmu. Zupełnie tak jakby te schody zostały zbudowane tylko dla niej.

Jacek prowadził ją wzrokiem. Była oszłamiająca! Obłądnie seksowna. Wyczuwał to na odległość. Fluid seksu emanował z niej z daleka.

Mocno szturchnął łokciem Łukasza - kto to jest?!

- Co? Kto? O co ci chodzi?

- O rany! Nie wygłupiaj się! Właśnie idzie.

- Aaa! Idzie. To znaczy, że była tylko spojrzeć w lustro. Bez malowania.

- Przestań! Lepiej powiedz, kto to jest?

- Nie mogę - odpowiedział Łukasz, patrząc w stronę schodów na górę.

- Dlaczego do cholery?

- Bo nie widzę.

- Jak to nie widzisz?! Co ty pierdolisz. Idzie dokładnie tam gdzie patrzysz! Oooo! Właśnie przechodzi.

Łukasz zmrużył mocno oczy i powiedział. - Aaa! Ten do połowy rozpięty żółty zamek błyskawiczny, który kieruje się w stronę baru.

- Nie wygłupiaj się! - Jacka wcale nie ubawił ten żart.

- Ja się wcale nie wygłupiam. Wiesz, że jak nie założę szkieł kontaktowych, to nie widzę z daleka. - Łukasz popatrzył w stronę przechodzącej dziewczyny. Podrapał się po głowie i dodał wyraźnie rozbawiony. - I tak masz szczęście, że nie jestem daltonistą. Bo wtedy bym nawet nie wiedział w jakim kolorze jest ten chodzący zamek błyskawiczny.

- To czemu do cholery nie założyłeś tych szkieł?

- Jak to czemu? - wzruszył ramionami - bo zapomniałem.

- No to będziesz musiał ruszyć tyłek i pójść ze mną do baru. - Jacek wzrokiem szukał dziewczyny, która zniknęła mu w tłumie przy barze.

- Stary! Ona jest za chuda dla ciebie - Łukasz miał jeszcze nadzieję, że Jacek zrezygnuje. Wcale nie miał ochoty przepychać się do baru. Tym bardziej, że musiałby zrezygnować z pilnowania drzwi wejściowych.

- Wcale nie jest taka chuda! Jest dokładnie taka jak modelki z Paryża.

- No chodź szybciej! - Wstali. Jacek ciągnął Łukasza za marynarkę i razem przepychali się w stronę baru.

Kilka razy musieli przeprosić kotłujące się w strasznym ścisku na parkiecie pary. Jacek z sekundy na sekundę stawał się coraz bardziej zdenerwowany i rozdrażniony. Dziewczyna zniknęła mu z oczu.

Rozglądał się niecierpliwie. W końcu zauważył

żółtą suknię na końcu baru po lewej stronie. Szybko przeciskał się w jej kierunku. Trzymany za marynarkę Łukasz za nim.

Od dawna mieli opracowany sposób na podrywanie dziewczyn.

Warunek tego podrywu był jeden.

Musieli działać razem.

Zasada była prosta. Dziewczynę zaczepiał ten, który po chwili miał się ulotnić. Mówił: - Bardzo panią przepraszam, ale pani jest chyba znajomą mojego przyjaciela, Jacka Rutkowskiego? Na to

dziewczyna mówiła, że nie jest znajomą Jacka Rutkowskiego. - Na to padała odpowiedź: - Och to niemożliwe. Taka piękna dziewczyna i nie zna Jacka Rutkowskiego!? To taki przystojny, wysoki brunet.

Proszę sobie przypomnieć! Jeżeli dziewczyna jeszcze nie złapała o co chodzi i nie uśmiechnęła się to mówili jeszcze. - Bardzo

przepraszam, za śmiałość ale jak to jest możliwe. To w takim razie pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Łukasz Blumsztein.

Jacek!! Chodź tu kłamczuchu! - Pani pozwoli. To jest właśnie Jacek.

Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby taki podryw się nie udał.

Dziewczyny były zawsze zaskoczone i prędzej czy później zaczynały się śmiać.

Teraz też mieli zamiar zastosować ten sposób. Jacek trochę zwolnił tempo przeciskania się w stronę baru. Już ją dokładnie widział.

Mimo, że dzielił ich jeszcze tłum ludzi. Jakieś trzy rzędy przy barze.

Nie spuszczał wzroku z nieznajomej. Blondynka. Długie, świetnie obcięte gęste włosy. Szczupła. Nawet bardzo. Ale o ładnych pełnych piersiach. Chciał jeszcze z bliska ocenić tyłeczek i uda. Ale nie było to możliwe. Było za dużo ludzi między nimi.

Nagle dostrzegł, że ona też go zauważyła. Aż mu mrówki przeleciały po plecach!

Przyglądała mu się w lustrze nad barem. Ich oczy spotkały się na sekundę. Ale zaraz odwróciła wzrok. Rozmawiała z siedzą-

cym obok niej mężczyzną. Jacek nie mógł go dostrzec. Akurat w tym miejscu stał barman, zasłaniając swoją wielką posturą lustro.

Ale mimo to postać w szarym garniturze siedząca obok dziewczyny wydała się Jackowi znajoma...

Nagle poczuł, że ktoś gwałtownie go z tyłu szarpie. Jednocześnie usłyszał wyraźnie zdenerwowany głos Łukasza. - Wycofujemy się !!
- Jacek odwrócił się zdziwiony. Twarz Łukasza wykrzywiona była grymasem strachu i złości.

- No coś ty! Ona zaraz odejdzie od baru i wtedy ją wyhaczy-my!

- Chyba mówię wyraźnie! Idziemy! - i nie czekając na odpowiedź Łukasz odwrócił się i zanurkował w tłumie na parkiecie.

Jacek krzyknął za nim - o co ci do cholery znowu chodzi! Znasz ją czy co?

Łukasz usłyszał pytanie, bo odwrócił się i rzucił przez ramię.

- Nie ją tylko jego!

Jacek przez sekundę stał niezdecydowany. W końcu ruszył w stronę parkietu. W ostatniej chwili rzucił okiem w lustro. Ich oczy ponownie spotkały się. Uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech. Aż mu się zrobiło miękko!!

Niestety z tego samego lustra patrzyły na Jacka lodowatym wzrokiem jeszcze inne oczy w okularach. Mężczyzna, z którym była przyłapał ich na tym porozumieniu. - Skąd ja znam tego faceta - pomyślał i odwrócił się, żeby zapytać Łukasza. Ale przypomniał sobie, że Łukasz uciekł. Musiał uciec, bo nigdzie go nie było. Jacek bacznie się rozglądał po parkiecie. W migających światłach trudno było dostrzec własną rękę, a co dopiero postać ubraną na ciemno. W ostatniej chwili spostrzegł plecy Łukasza. Akurat zbiegał po dwa stopnie w dół po schodach do wyjścia. - Zaraz do ciebie kotku wrócę - pomyślał i prawie biegiem ruszył w stronę schodów.

Nie rozumiał tak gwałtownego zachowania się przyjaciela. Dogonił go już przy drzwiach na zewnątrz. Już otworzył usta, żeby łyknąć na niego, ale zobaczył zaciśnięte zęby i bladą jak ściana twarz. Łukasz był bardzo rzadko tak zdenerwowany jak teraz. Jacek nie odezwał się. Łukasz tak szarpnął wejściowymi drzwiami, że o mało co nie rozbił szyby. - Idziemy! - rzucił krótko w stronę zdziwionego przyjaciela i szybko ruszył w stronę parkingu. Zatrzymał się pod migającym kolorowo neonem.

Łukaszowi było bardzo nie na rękę, że się nadział razem z Jackiem na swojego ojczyma. Miał wobec Jacka bardzo określony wręcz koronkowy plan. Jednym z ogniw tego planu było, żeby Jacek był osobą nieznaną ojczymowi. Marian nie powinien mieć żadnej możliwości skojarzenia Łukasza z Jackiem. A w tej cholernej dyskotecie, przed chwilą, niewiele brakowało, żeby wszystko poszło w diabły.

- Widział cię? - Łukasz starał się mówić opanowanym głosem.
- Kto? - Jacek wzruszył ramionami.
- Nie rznij głupa! Ten, który był z tą dziwką!
- Zaraz dziwką...
- Wszystkie, które tu przychodzą to dziwki.
- Dobra - Jacek zawahał się, chciał powiedzieć, że nie wszystkie, ale zrezygnował. Dla świętego spokoju powiedział - niech ci będzie, że wszystkie.
- No więc widział cię, czy nie?!
- Jezu, czego się tak wściekasz? Nie wiem czy mnie widział.
- W głosie Jacka było rozdrażnienie. Nie rozumiał o co chodzi.
- No to musimy założyć, że cię jednak widział - Łukasz zamyślił się.
- Niech ci będzie. Widział mnie. Ale na parkiecie było ze sto osób! Więc o co ci chodzi do cholery. A tak w ogóle to kto to jest ten facet, że tak wiałeś, i czemu nie miał mnie widzieć?
- Jacek wyrzucił z siebie wszystko jednym tchem.

Łukasz jeszcze przez chwilę stał zamyślony i spokojnie odparł -
lepiej zostaw tą dupę w spokoju.

- Zaraz, zaraz! A to dlaczego, ja mam rezygnować z czegoś na co mam ochotę?! Co!

- A nie wydał ci się ten facet znajomy? Co!

- Kto? Mógłbyś mówić jaśniej.

- Właśnie ten facet, z którym ta w żółtej sukni siedziała przy barze.

- No ... trochę - Jacek się zawahał - ale widziałem go tylko z tyłu.

- No właśnie! A to jest facet, który ma oczy nawet z tyłu - Łukasz cały czas rozglądał się po parkingu. Nadal dobrze pamiętał po co tu przyjechał. Ale postanowił wyjaśnić w końcu, o co w tym wszystkim chodzi. Nadal patrząc przed siebie powiedział. - Widziałeś go tylko raz. Dobrych parę lat temu.

- Gdzie ... czekaj, czekaj! Już wiem! O rany to niemożliwe?

- Jacek był tak zaskoczony, że sam nie mógł w to uwierzyć.

- Dobrze sobie przypominasz. Niestety. To był mój ojczym - ponownie się zamyślił, ale tak jakby mu przyszedł do głowy jakiś pomysł.

- Ty to jesteś dopiero cycek! Właśnie, że trzeba było mu się pokazać. Moglibyśmy wyciągnąć parę złotych za to, że nie powiesz matce o tym, że siedział z dupą w dyskotecie. O rany! Taka okazja! - Jacek był tak zachwycony swoim pomysłem, że aż się zapowietrzył jak mówił. Zrobił krok do tyłu, tak jakby natychmiast chciał wrócić do dyskoteki.

- Ty chyba na głowę upadłeś!! Tylko dlatego, że on jest skurwiel, to ja mam denerwować swoją matkę! - Łukasz był wyraźnie wściekły. W ostatniej chwili spostrzegł ten ruch Jacka i gwałtownie chwycił go za ramię. Opanował się jednak i powiedział - stary, daj sobie spokój, obiecuję ci, że znajdziemy tą dziewczynę. Dowiem się nawet gdzie mieszka i jak się nazywa.

Łukasz poczuł się upokorzony tym, że Jacek pomyślał w taki sposób o jego matce. Ale z drugiej strony wiedział, że nie powinien mieć do niego o to pretensji. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę z jakiego domu jego przyjaciel pochodzi. I właśnie z tego, a nie z innego powodu Jacek był mu tak przydatny. Dlatego nigdy nie dał poznać po sobie, że o swojej rodzinie myśli inaczej.

Roześmiał się i poklepał Jacka po ramieniu. Zwolnił w ten sposób poprzedni kleszczowy chwyt i powiedział: - Wiesz, nie chciałem, żeby nas razem zobaczył, bo tego szantażu użyję jak będę potrzebował. A sam przyznasz, że taki argument lepiej trzymać w rękawie.

Jacek zadowolony z tego wyjaśnienia dodał tylko - a to skurwiel! Taką ma żonę i jeszcze wrywa dupy w barze.

Łukasz pokiwał głową. Nie miał zamiaru wtajemniczać nikogo w to co się naprawdę u niego w domu działo. Mimo że przez tyle lat mieszkał z matką i jej mężem, to nigdy nie tworzyli rodziny.

Obiektywnie musiał jednak przyznać, że Marian obsesyjnie kochał swoją żonę.

W tej miłości było jednak coś nienaturalnego.

Marian od początku tej znajomości traktował Magdalenę jak świętość. Kupował jej wszystko. Pilnował jak pies, żeby przynajmniej dwie godziny dziennie spała. Jeżeli przespała trzy godziny to cieszył się jak dziecko. Do domu zamawiał fryzjerki, manicurzystki, masażystki. Jak miała dyżur w telewizji, to nastawiał zegarek na wszystkie sekundy, w których ukazywała się na ekranie.

W dzień, w którym się pobrali i przeprowadzili do nowego pięknego domu, sam przeprowadzał rozmowy z gospoiami, które się zgłosiły na ogłoszenie. Magdalenie uzasadnił to tym, że on najlepiej wie, jak sprawdzić czy ktoś dobrze pracuje czy tylko opowiada. Miał rację. Gospoia, którą wybrał, była ze wsi

i zasuwała tak, że nawet szorowała ryżową szczotą chodnik i ulicę przed domem.

Sam wybierał dla swojej żony buty, kostiumy, torebki. Wszystko w najlepszym gatunku. Decydował nawet o tym, jakie ma używać perfumy.

A ponieważ był bardzo bogaty - Magdalena miała wszystko. Gdy tylko zauważył, że jest trochę zmęczona, i nie daj Boże ma siniaki pod oczami, zaczynał ją faszerować jakimiś syropami, których masę przywoził ze Szwajcarii.

Do Łukasza miał stosunek obojętny. Nie interesowało go nic, co nie miało związku z jego żoną. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie widzi żadnych niezbędnych związków pomiędzy matką a synem.

Przez parę lat wspólnego zamieszkania doprowadził do tego, że tak się naprawdę stało. Magdalena uwierzyła w to, że ona jest pępkiem świata. Bez przerwy znajdowała wokół siebie potwierdzenie tego.

Tak naprawdę to i tak Łukasz jej nigdy nie interesował.

Łukasz bardzo szybko zorientował się, że to dla niego też najlepszy układ pod słońcem. Mało który dorastający chłopak, opływający we wszystko, może robić co mu się żywnie podoba.

Tak więc wszyscy mieli to, co chcieli. A rodzina to pierdoły i koniec.

Doszło nawet do tego, że jak Łukasz kiedyś bąknął, że chciałby mieszkać sam, to po miesiącu okazało się, że może się przeprowadzić do pięknego luksusowo urządzonego mieszkania.

Łukasz nigdy się nie interesował tym, jakie interesy robi jego ojczym. Wiedział tylko, że bardzo często wyjeżdżał za granicę. I wtedy i teraz. Pomimo że podobno władza się zmieniła, system pracy ojczyma Łukasza nie uległ zmianie. No, zmieniło się może jedynie to, że teraz jeździł luksusowym BMW i że kupował swojej żonie coraz droższe buty.

Łukasz nigdy nic nie słyszał o przeszłości ojczyma. Nigdy nie było mowy o żadnej rodzinie. Całą i jedyną rodziną dla Mariana była Magdalena. Zwłaszcza, gdy pokazywała się promiennie uśmiechnięta na ekranie telewizora.

Rozdział 7

Marian Bluma już od dziecka lubił seks. Uwielbiał to. A zaczęło się jak zawsze niewinnie. Jak to się robi pokazał mu jego starszy brat Edek. Marian miał wtedy siedem lat.

Jak co wieczór poszli się wykąpać nad rzekę. Edek kazał mu się schować w krzakach. Po chwili nad rzekę przyszła córka sąsiadów - duża, gruba cycata dziewczucha, z wiecznie tłustym, jakby posmarowanym smalcem warkoczem i pryszczami na twarzy.

Marian był szczerze rozczarowany tym, co zobaczył.

Edek obiecał mu świetną zabawę, a tu co! Było tak samo, jak robiły to wszystkie zwierzęta w obejściu. Tyle tylko, że z Edkiem suka musiała się położyć na plecach.

Ale jak naprawdę jest wspaniale, Marian przekonał się mając trzynaście lat.

Ojciec i matka pojechali do wsi obok, do GS-u kupić cukier do pędzenia bimbru. Jak zawsze wyprawa odbyła się w nocy. Tylko pod osłoną ciemności, zarówno oni jak i milicjanci z posterunku, jak i kierowniczką GS-u byli bezpieczni. Cukru było bardzo dużo i musieli go wszyscy ładować na wóz.

Cała czwórka rodzeństwa została sama. Dobrze wiedzieli, że starzy nie wrócą wcześniej jak za kilka godzin. Starsza siostra Mariana, Maria, przyprowadziła koleżankę, z którą chodziła do zawodówki w miasteczku.

To wtedy Marian przekonał się, że lubi seks najbardziej ze wszystkiego co dotychczas poznał. Tyle, że mu się Kryska nie podobała i nie uważał, że miejsce za oborą jest najlepsze do

tego. Zapinając rozporek - może pod wpływem siły tego przeżycia stwierdził, że żeby mieć ciągle lepsze dziewczyny trzeba mieć forszę. Dzieciństwo spędził z sześciuosobową rodziną w dwóch nędznych pomieszczeniach wiejskiej walącej się chałupy i wiecznie obsranym podwórzu.

Gospodarstwo było obrazem nędzy i rozpacz. Tyle, że nikt poza Marianem nie dostrzegał tej rozpacz. Budę w której mieszkali, trudno było nazwać domem. Mała smrodliwa chałupka z niewiarygodną ilością brudu i much.

Ojciec był typowym chłopo-robotnikiem. Codziennie rano jechał na piątą do roboty, do pobliskiego miasteczka. Wracał też o piątej. Ale miał talent. Najlepiej z całej wsi potrafił pędzić bimber. Wracał z roboty, szedł do obory i pędził. Upijał się i zasypiał. Był spokojny. Nie robił awantur. Nie bił rodziny -nawet żony, która przecież jest obca.

Dzięki temu bimbrowi żyli trochę lepiej niż reszta wsi, ale nie tak jak sobie Marian wyobrażał. Ojciec nie potrafił walczyć o swoje.

Dla świętego spokoju dawał bimber za darmo wszystkim, którzy chcieli. Dzięki temu nie miał kłopotów ani z sołtysem, potworną moczymordą, ani proboszczem, ani z milicją. Ale też nie miał takich pieniędzy, jakie powinien mieć z takiego interesu.

Matka zajmowała się dwuhektarowym gospodarstwem i kurami.

Gdyby nie to, że od dziecka mówili do tej skurczonej małej postaci "mamo", to trudno by było z innego powodu zgadnąć, że jest kobietą. Po oborowo-alkoholowej śmierci ojca, bimbrownię przejął starszy brat Mariana - Edek.

Nie potrafił jednak prowadzić interesu. Był głupi i zادیorny. Gdy się upił robił awantury, bił. Stopniowo, ale zgodnie ze

swoim planem porządku w domu i bimbrowni zaczął wprowadzać Marian.

Nie obyło się bez walki. Edek zaczepiał Mariana i bił go. Uważał, że jako starszy brat ma do tego pełne prawo. W końcu, którejś zimnej, jesiennej nocy Marian zakradł się do obory, w której zamroczony alkoholem spał Edek.

Przywiązał go do słupa, tak, żeby nie mógł się ruszyć. Do gardła włożył mu rurkę od baniaka z bimbrem. Jeszcze nie oczyszczonym. Podłączył to wszystko tak, że Edek musiał to łykać. Przez dwa dni robił wszystko sam, żeby nikt nie zaszedł do obory. Tylko on tam chodził. Edek był tak zamroczony, że nawet się nie budził. Wtedy przekonał się, że każdą sprawę trzeba zrobić samemu i co ważniejsze skutecznie. Skończyły się zaczepki i bicie.

Po tych upojnych dwóch dniach Marian odwiózł Edka do szpitala w miasteczku. Jak Edek wrócił do domu po pięciu tygodniach - po odtruwaniu organizmu, to miał już zaawansowaną marskość wątroby.

Marian, tak jak sobie zaplanował, zaczął pędzić ogromne ilości bimbrowu. Gospodarze mówili, że nawet lepszy od tego, który pędził jego świętej pamięci ojciec.

Wcale nie był lepszy, za to prawie o połowę tańszy.

Marian nienawidził bimbrowu. Pił tylko wtedy kiedy musiał, to znaczy, kiedy pomagało to w zarabianiu pieniędzy.

Nikt we wsi nie mógł zrozumieć, dlaczego Marian ni stąd ni z owad, zostawia tak świetnie prosperujący interes starszemu choremu bratu i idzie do szkoły. Do miasta. I to do technikum budowlanego.

Obie siostry: Teresa i Maria powychodziły za mąż w wieku siedemnastu i osiemnastu lat. I obie od razu miały bachory. Marian postanowił, że on nie będzie żył w smrodzie i gnoju, z usmarkanymi, wrzeszczącymi dzieciakami przez całe życie. I dlatego szkołę traktował bardzo poważnie, jak każdy ze wsi, kto

dobrze wie, że trzeba wykorzystać szansę i nie wracać tam skąd się uciekło.

W szkole nie zawierał, tak typowych alkoholowo-seksualnych, znajomości. Kiedy miał ochotę (a miał nader często) na mały, szybki numer, to wybierał sobie z sąsiadującego żeńskiego internatu najmniej ciekawą dziewczynę. Robił to tylko raz i płacił. Nie kupował upominków, tylko płacił. Wiedział jedno - żadna nigdy się nie przyzna, że wzięła forszę.

Jak zawsze w takim przypadku rozeszła się wiadomość jaki to z Mariana Bluma Kozak. Po pół roku miał dodatkowo opinię bardzo bogatego faceta.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczął się przyglądać swoim rówieśnikom. Nie mógł już dłużej wszystkich lekceważyć. W końcu wybrał sobie do zaprzyjaźnienia się najbardziej odpowiednią osobę - Pawła Misiunę.

Paweł Misiuna był synem bogatego prywaciarza. Chodził do klasy o rok wyżej od Mariana, ale był od niego o cztery lata starszy i była to jego trzecia szkoła w ciągu czterech lat.

Ojciec Pawła miał prywatne przedsiębiorstwo budowlane. Marian bardzo szybko zorientował się, że prawdziwe pieniądze w tym interesie są z robionych na lewo pustaków.

Rodzina Pawła mieszkała w pięknej willi z ogrodem. W oczach Mariana wtedy był to pałac. Teraz, gdy Marian czasami wracał wspomnieniami do tamtych lat, chciało u się śmiać z zarozumiałstwa i prymitywnej pewności siebie Pawła i jego ojca.

Ale wtedy to wcale nie było śmieszne. Żadne marzenie nie jest śmieszne. Bywając u nich często przyrzekł sobie, że pewnego dnia będzie miał jeszcze lepszy dom i ogród. Myślał tak tylko kilka miesięcy, aż do pewnego zdarzenia.

Paweł powoli stawał się alkoholikiem. Marian w ten sposób systematycznie i skutecznie uzależniał go od siebie. Dostarczał mu każdą ilość bimbrow. Któregoś poranka, po kolejnej tygo-

dniówce Pawia, który cały tydzień waletował w ich pokoju w internacie, doszło do brzemiennego w skutki wydarzenia.

Paweł cały tydzień pił, dostarczany na każde swoje życzenie przez Mariana, bimber. Oczywiście nie sam. Koleżków do picia w ośmioosobowym pokoju z piętrowymi łózkami było pełno.

Marian miał już tego dosyć.

Tego poranka na wspomnianych ośmiu pryczach obudziło się czternaście osób. W skład przecierającego zaplute oczy towarzystwa wchodziły dziewczyny z sąsiadującego obok internatu zawodowej szkoły gastronomicznej, które tradycyjnie w sobotni wieczór wpadały na małe pieszczoty z dużą wódką.

- Marian, skocz po piwo! - Paweł był na tym etapie, że zanim otworzył oczy, musiał chlapać jedno piwo.

- Nie chce mi się - bąknął Marian, odwracając się na swoim parterowym łóżku twarzą do ściany.

- Nie pójdziesz po piwo!? - głos Pawła był agresywny. Zawsze taki był jak miał trzęsionkę.

- Odwal się! - Marian był zły. Wcale nie chodziło mu o to piwo.

Przyzwyczał się już do tego. Miał tylko dosyć tych wszystkich niedomytych kurewek, które rano zakładały brudne gacie szukając ich przedtem po podłodze i kłócąc się przy tym, które są czyje. Dodał jeszcze - Najlepiej to się ubierz i spierdalaj do domku!

- Jaa? To ty... - Paweł był jeszcze pijany, więc trochę bełkotał.

- To ty dupku ze wsi spierdalaj do gnoju!! Tam skąd przyla-złeś!!

Marian przez chwilę był tak zaskoczony, że nie zareagował od razu.

Był wściekły, ale rozsądek podpowiadał opanowanie siebie i sytuacji. Analizował szybko. Nigdy nikomu się nie przyznał, że jest ze wsi. Twierdził, że przyjechał z Tarnowskich Gór. Jak już musiał, to opowiadał że jego rodzina ma duży prywatny pensjonat. Ubierał się w tak drogie ciuchy, że nigdy nikt nie podejrzewał czego innego. To, że przyjechał na drugi koniec

Polski tłumaczył tym, że machnął dzieciaka córce sołtysa i musiał wiać. Zresztą nikogo to tak naprawdę nie obchodziło. Marian miał stały dopływ gotówki, i jak trzeba było to był hojny. No i stawiał. I to często. A to rozmydlało wszystkim mózgi.

Taka sytuacja jak ta, wprowadzała dla planów Mariana spore zagrożenie.

Akurat teraz miał szanse wejścia w świetny układ z ojcem Pawła. Marianowi udało się wkraść w łaski tej tłustej świni. Miał obiecanie, że od przyszłego tygodnia będzie rozwoził pustaki po lewych budowach.

Prawie się udało. Miał zamiar później starego tym szantażować! Prawie rok nad tym pracował! A teraz ten durny spitek mógł wszystko popsuć. Marian postanowił, że za wszelką cenę musi załagodzić sytuację.

I dlatego nie zareagował. Nie chciał pokazać jak bardzo go to zabolalo. Ale Paweł nadal rechotał na swojej pryczy na górze.

- No i co kurwa, zatkało cię!!? Cha, cha, cha! Prywatny pensjonat! Nie mogę! Słuchajcie! Prywatny pensjonat ze sra-czem za stodołą! Wiecie jakim?! Niee, nie wiecie! Aleja wam powiem! Z dziurą w ziemi! A na drzewie wisi sznur! Założę się, że nikt nie wie po co ten sznur. O rany! Nie mogę! Sznur, żeby się trzymać i nie wpaść w gówno przy sraniu!! - Paweł aż podskakiwał z radości na łóżku.

- Aaa! Nie wiecie najlepszego! On nie ma żadnego pensjonatu! Jest bambrem ze wsi! Gównowozem!!

Marian powoli wciągał spodnie. Jednocześnie spode łba obserwował reakcję reszty. Większość z zaciekawieniem wpatrywała się w niego. Nawet przetrawiony do połowy wczorajszy alkohol nie przeszkodził im zwietrzyć sensacji. Wręcz mieli wyostrzony węch na sensację. Nareszcie ktoś komuś przyłoży i będzie się coś działo.

Marian widział to wyraźnie! Nie chciał dać tej chołocie takiej satysfakcji. Wkładając koszulę burknął tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Zamknij się! Spiłeś się i pierdolisz trzy po trzy! - i spokojnie zapinał guziki koszuli.

- Taak?! Ja pierdolę trzy po trzy?! No to zgadnij kogo rznąłem dzisiaj w nocy!? A może chcesz zobaczyć? Co?! No chodź tu i zajrzyj pod kołderkę! - po tych słowach na górnej pryczy zaczęło się coś gwałtownie kotłować.

Mimo tak poważnego zagrożenia, Marianowi udało się opanować nerwy. Spokojnie usiadł na łóżku i wkładając skarpetki, spytał:

- No ciekawe kogo - udawał rozbawienie tą sytuacją. Pozory wskazywały na to, że nie interesuje go co się w łóżku naprzeciwno działo. Ale instynkt podpowiadał mu, że coś mu poważnie zagraża.

- Zupełnie niezła ruchawica z tej twojej siostrzyczki Maryśki! - wszystkie głowy w łóżkach gwałtownie odwróciły się w stronę Pawła. Paweł zachwycony taką reakcją zarechotał i dodał -jakby ją dobrze umyć, to by była super ruchawica! Wyraźnie mu się to słowo spodobało. - Ale w rodzinnym pensjonacie nie ma się gdzie umyć! - Paweł zanosił się pijackim śmiechem. Jednocześnie usiłował wyciągnąć spod koca szamocącą się postać. Tak się szamotali, że o mało nie spadli. W końcu Paweł się wkurzył - dalej Maryśka spierdalaj! Opowiedz swojemu braciszкови co mi wczoraj opowiedziałaś! - znowu szamotanina. -Nie chcesz!? Dobra, to ja powiem! Paweł uniósł się na łokciach i spojrzał w dół na Mariana, zmrużył pijackie, zacięte oczka i przez zaciśnięte zęby powiedział - słyszałem, że po śmierci tatusia-pijaczka przejąłeś nie tylko kwitnący interes, ale i rodowy zwyczaj - ostre czknięcie - a to bardzo ważny zwyczaj! Sypania w niedzielę białego piasku na klepisko! Kurwa, nie mogę, dziura za stodołą i klepisko w chacie!! Ale pensjonat...

Marian doskoczył do niego, chwycił za gardło i z całej siły rzucił nim na stół.

Paweł jeszcze się śmiał, gdy przefruwał odległość ze swojej pryczy na stojący na środku stół.

Na stole stały z poprzedniego dnia puste butelki, brudne, oblepione szklanki i tłuste talerze ze stołówki. Na tym wszystkim wylądował Paweł. Tylko jęknął. Ale już się nie śmiał. Marian siedział na nim okrakiem.

Z zaciśniętymi zębami, z lodowatym nic nie widzącym wzrokiem z poczuciem nadludzkiej siły, zaciskał dłonie na gardle charczącego już Pawła.

Kumple z sali w jednej sekundzie wytrzeźwieli. I to uratowało życie Pawłowi.

Właśnie wtedy Marian Bluma postanowił dwie rzeczy.

Po pierwsze - nie będzie kupował lepszego domu i ogrodu.

To będzie ten dom i ten ogród!

A po drugie - to właśnie on, ten Marian, który sypał biały piasek na klepisko w niedzielę, ożeni się z najpiękniejszą kobietą w Polsce.

Rozdział 8

Wanda znowu została w sobotę wieczorem w swoim wielkim domu sama. Wprawdzie zmusiła Jacka do tego, żeby namącił ojcu, ale satysfakcja z tego już minęła.

Wypity alkohol tylko wzmacniał potrzebę wpuszczenia komuś sporej porcji jadu. Uczucie to zawsze nasilało się w sobotę wieczorem - w najgorszy wieczór tygodnia.

Większość ludzi w ten dzień nastawiona jest pozytywnie do życia. Każdy wie co się wydarzyło, albo nie wydarzyło w mijającym tygodniu i żyje nadzieją na nadchodzący.

Wanda w pewnym sensie też tak myślała. Jej nadzieją, dzięki której żyła, była chęć uczapienia następnej ofiary.

Już większość osób, od których mogła się dowiedzieć nowych plot i kto z kim sypia, obdzwoniła, ale jakoś nikt nie reflektował na jej zaproszenie.

Wanda przypomniała sobie o jednej lekarce, którą spotkała na ostatnim spotkaniu Lions Clubu. Wanda zwróciła na nią uwagę tylko przez nazwisko. Nazwisko najślawniejszego kierowcy wyścigowego. Ale już w trakcie rozmowy okazało się, że to żadna atrakcja. On ją już dawno zostawił. Wanda zresztą wcale się nie dziwiła. Baba była głupia jak but.

Lekarka wprawdzie opowiadała sensacje o swoim mężu, ale Wanda przekonała się, że o tym wszystkim już dawno trąbiła cała Warszawa. No i Wanda nie zadzwoniła do niej. Dlaczego miałyby się napić za darmo pomyślała - Innym razem się z nią umówię w mieście i niech za siebie płaci. - Postanowiła i nalała koniaku tylko do jednego kieliszka. Do swojego.

Włączyła swój ulubiony film porno. Z Teresą Orłowski. Patrzyła na nią z przyjemnością. - Boże jaka ja byłam do niej podobna - pomyślała z rozrzewnieniem. - No może nie jestem taka wysoka, ale talent do tych spraw to miałam kiedyś jeszcze lepszy.

Lubiła pooglądać trochę przed wyjściem. Wiedziała, że jak się trochę napali, to ma intrygujący błysk w oczach.

Akurat wczoraj kupiła sobie w butik "Escada" nową suknię w ostrym zielonym kolorze. Nie rozpakowany karton z suknią stał jeszcze przy drzwiach w holu.

Wanda wzięła karton, kieliszek z koniakiem i poszła na górę się przebrać. Wkładając suknię spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Przyglądała się sobie przez chwilę. Następnie z niecierpliwością i wściekłością zaczęła się szarpać z zamkiem błyskawicznym. W końcu się jej udało. Zrzuciła suknię na dywan obok łóżka. Pomyślała z wściekłością - cztery miliony za kieckę, a wyglądam w niej jak utuczona gęś. Za co oni do cholery biorą tyle forsy!

Stała przed dużym, barokowym, owalnym lustrem i wyglądała zupełnie jak ono. Całą taflę lustra wypełniało szczelnie jej odbicie. Z niesmakiem patrzyła na swoje tłuste ciało. Mimo że miała na sobie elastyczny ściągający gorset, niewiele to zmieniało. Nawet było jeszcze gorzej. Nie pomogło nastrojowe oświetlenie sypialni. Nawet w tak słabym oświetleniu widać było wylewające się fałdy na biodrach i brzuchu. Piersi, które kiedyś były jej dumą, teraz były pustymi balonami włożonymi w sztywny stanik. - To przez te dzieci - pomyślała. - Gdybym ich nie miała, tobym nie wyglądała teraz jak krowa. A jeszcze do tego, mam przez nie same kłopoty! O Monice to szkoda gadać. To co mi zrobiła... ech tam, lepiej nie będę o tym teraz myślała! - postanowiła. Wspomnienie Moniki i sytuacji na jej weselu wzbudziło w Wan-

dzie bezsilną złość. Wypiła resztę brandy z kieliszka. - Całe szczęście, że ta mała dziwka wyjechała i nie odzywa się od kilku lat - pomyślała.

Jacek też już nie dawał się tak łatwo przekupić. Poza obietnicą nowego samochodu, niewiele było rzeczy, które potrafiły go zatrzymać w domu - całe szczęście, że są jeszcze sytuacje, w których można komuś upieprzyć życie - pomyślała i otworzyła drzwi do wielkiej szafy.

Jej oczom ukazał się rozkoszny widok. Długi na kilka metrów rząd ciuchów. Suknie wieczorowe, kostiumy, bluzki, spodnie, spódnice i po sam sufit kartony z butami. W Polsce kupowała tylko w dzień otwarcia jakiegoś butików znanej zachodniej firmy. Bywała na wszystkich takich imprezach.

Słyszała, że później w takich sklepach bywają już tylko resztki szmuglowane przez granicę z Berlina czy Paryża.

Zdecydowaną większość swojej garderoby kupowała na zachodzie, głównie w Berlinie.

Zastanawiając się nad tym, w czym jest jej najlepiej, postanowiła, że nie będzie siedziała dzisiaj sama w domu.

Postanowiła sprawdzić, kto, gdzie i z kim jest w mieście. W tym celu przejedzie się po wszystkich parkingach hotelowych.

Wcale nie musiała wchodzić do restauracji, czy kasyna, żeby przekonać się kto tam siedzi. Parkingi były dużo lepsze i bezpieczniejsze.

Wszystkie samochody osób liczących się w elicie Warszawy miały dwie podstawowe cechy. Pierwszą była marka wozu. Najczęściej był to Mercedes powyżej trzysetki lub BMW w nowej karoserii.

Drugą cechą była tablica rejestracyjna z charakterystyczną kolejnością cyfr. Każdy kto się liczy, musiał mieć przynajmniej dwie takie same cyfry obok siebie. Oczywiście najbardziej szpa-nerskie były cztery takie same.

Cztery były najdroższe w wydziale komunikacji, ale to nie wszystko. Dla takiego szpanu cena nie grała roli. Gorsze było to, że oprócz sporej łapowy, wymagało niezłych układów. A układy ostatnio bardzo często się zmieniały.

Wanda dobrze pamiętała, że Wacek potrafił zarejestrować nowy wóz nawet w innym mieście, tylko po to, żeby mieć **cztery** takie same cyfry.

Dzięki temu, nawet jak ktoś bardzo często zmieniał samochód, to cały czas był rozpoznawalny przez tych co trzeba.

Postanowiła poszukać BM-ki Wacka. Od paru lat jej były mąż miał cztery trójki na tablicy rejestracyjnej.

Wiedziała, że dzisiejszy wieczór Wacek spędzi w knajpie na kolacji. Wiedziała nawet z kim.

Napuściła na niego swoją manicurzystkę.

Dziewczyna pracowała w Yiktorii u fryzjera, do którego w każdy piątek chodził Wacek.

Wanda poświęciła temu cały miesiąc. Dwa razy w tygodniu, we wtorek i sobotę przychodziła do tej dziewczyny na przyklejanie sztucznych paznokci.

We wtorki napuszczala Beatę na Wacka, opowiadając jej o nim, jaki jest bajecznie bogaty. W wielkiej tajemnicy opowiadała, że słyszała, jaki potrafi być hojny. I jak bardzo podobają mu się dziewczyny, które mają 50 cm w pasie i duży biust.

Czasami w sobotę przynosiła dziewczynie jakieś klipsy i rajstopy. Zostawiała spory napitek. Delikatnie, niby od niechcienia, wyciągała od niej informacje, jak jej idzie z Wackiem. W zeszłym tygodniu, zdobyła zaufanie tej głupiutkiej panienci na tyle, że dowiedziała się o planowanej kolacji w mieście. Niestety nie dowiedziała się, gdzie pojada, bo Wacek obiecał dziewczynie, że przyjedzie pod jej dom.

Ale Wanda знаła zwyczaje swojego byłego męża. Wiedziała, że zabierze dziewczynę do luksusowego hotelu na późną kolację. W tym samym hotelu zarezerwuje pokój.

- Cholera jasna, tyle pracy mnie kosztowało, żeby doprowadzić do tego spotkania, a teraz bym o mało co o tym zapomniała. I to przez co! Przez głupią kieckę! - pomyślała patrząc na zegarek. - No muszę się naprawdę spieszyć! Inaczej psu dupę! Wszystko pójdzie w diabły! Muszę zdążyć, żeby ich zobaczyć razem! No i co najważniejsze, żeby mój kochany mąż mnie zobaczył. Przez jakiś czas będę go miała w garści!

Znała łóżkowe zwyczaje Wacka. W restauracji będzie urabiał Beatkę najwyżej do jedenastej. - Później znikną w pokoju i tyle ich zobaczą! - pomyślała.

Przez chwilę zastanawiała się co założyć. Chciała wyglądać tak, żeby Wackowi oko zbiegało na jej widok. W końcu zdecydowała się na drogi szaro-błękitny skórzany kostium, aplikowany złotą wężową skórą.

Dwa. miesiące temu kupiła go w Wiedniu. Podobał jej się bardzo. Dokładnie taki sam miała Alexis w jednym z odcinków.

Już w lepszym humorze usiadła przed lustrem toaletki i nałożyła kolejną warstwę pudru na twarz. Wąskie, już i tak mocno umalowane usta poprawiła ciemno-czerwoną konturówką. Starannie namalowała kreskę nad górną wargę. Przypudrowała sypkim pudrem i poprawiła jeszcze raz. Pomyślała, że nie zaszkodzi powiększyć i dolną wargę. Całość wypełniła lśniąca amarantową pomadką. Malując czerwone kreski poza naturalną linią ust, uważała, że je powiększa i że jest to bardzo sexy.

Chwyciła się w pasie, wypięła biust, dwa razy odwróciła głowę w lewo i w prawo, wydeła usta i przez chwilę przyglądała się sobie z satysfakcją.

- No! Wyglądam świetnie! - powiedziała do swojego odbicia.

Jeszcze trochę lakieru Elnetna misternie spleciony francuski warkocz. Ustawiała skrzydła luster tak, że mogła się dokładnie przyjrzeć fryzurze z tyłu. Z zadowoleniem przyznała, że Zosia, nowa fryzjerka u Laurenta potrafi tak wpleść sztuczną przypinkę, że włosy wyglądają jak własne.

Wstała i ponownie przez chwilę się sobie przyglądała. Włożyła rękę za dekolt jedwabnej bluzki i podniosła piersi do góry tak mocno, że wypełniły dekolt obfitym ładnym rowkiem. Wzięła torebkę. Włożyła do niej flakon perfum Magie Noir, obficie się nimi przedtem spryskując. Jej wzrok padł na pusty kieliszek. - No, jeszcze małego na dole i mogę jechać. - Pomyślała. Zeszła na dół i nalała. Stojąc, jeszcze przez chwilę oglądała ostrą scenę w nastawionym pół godziny temu filmie pornograficznym.

Wyprowadzając samochód z garażu postanowiła, że poprawi sobie nastrój już teraz. Było bowiem coś, co uwielbiała.

Tym czymś było powolne przejeżdżanie swoim własnym, wielkim i pięknym jak cudze marzenie Mercedesem 500 SL, wąskimi, biednymi, brudnymi uliczkami Pragi.

Napawała się zazdrosnymi spojrzeniami przechodniów na tych ulicach. Jednak największą przyjemność sprawiało jej czekanie przy przystankach tramwajowych i autobusowych na zielone światło.

Te pół minuty dawało jej więcej satysfakcji, niż niejeden orgazm. Z nieukrywaną satysfakcją patrzyła na kulących się z zimna ludzi.

Zawsze wtedy myślała o tym, że Bóg ją musi jednak lubić. Gdyby tak nie było, to teraz też by była taką frajerką, jak ten szary tłum. A kiedyś była. Kiedyś też tak stała na przystankach Pragi, kuląc się z zimna.

Mieszkała tu przez kilka lat. Chodziła do zawodówki i mieszkała u starej ciotki, we wstrętnej norze z ubikacją na podwórzu. Wanda odgoniła od siebie wspomnienia o tym, co tu przeżyła.

- Nie po to tu dzisiaj przyjechałam - pomyślała.

Powoli jechała wąskimi ulicami, które kiedyś były jej domem.

Z obrzydzeniem patrzyła na brudne, szare, niskie domy, nasiąknięte wilgocią, przesiąknięte nędzą, wyglądające jak przeżarte robactwem rozsypujące się grzyby. Patrzyła na ma-leńskie okna z nędznymi firankami, bramy z wyrwanymi drzwiami, ziejące czeluścią nędzy. Wcale nie musiała wchodzić do środka, żeby poczuć obrzydliwy zapach stęchlizny, starości, szczurów i ubikacji na półpiętrze.

Pamiętała ten smród aż za dobrze.

Właśnie miała skrócić w lewo, gdy nagle, w ostatniej chwili spostrzegła przekrzywiony zakaz wjazdu. Zastanowiła się kiedy go postawili. Nie pamiętała tego znaku. - No tak, ale dawno tu nie byłam - pomyślała. Znak był postawiony tak fatalnie, że Wanda parę metrów wjechała w głąb ulicy. Zaklęła zdrowo. Przed nią, dosłownie parę metrów przed maską samochodu spostrzegła głęboki, niczym nie zabezpieczony dół.

Ostrożnie zaczęła się wycofywać z wąskiej ciemnej uliczki. Nie dość, że było to bardzo uciążliwe, to jeszcze wyjazd zatarasował ten maluch, który też widocznie jadąc na pamięć, wpakował się w zakaz wjazdu.

Wanda nadusiła na hamulec i włączyła światła awaryjne. Bała się, że ten maluch wjedzie jej w tył. Obserwowała samochód we wstecznym lusterku. Odetchnęła z ulgą. Maluch też się wycofywał.

W tamtym samochodzie siedziała kobieta. Wanda ją wyraźnie widziała.

Kobieta w maluchu otworzyła drzwi i wycofując auto, mocno się z niego wychyliła. Wanda aż zamrugnęła ze zdziwienia. Nie było mowy o pomyłce - to była Anna Naderowa! Tak, to na pewno ona! Ale przypadek! - pomyślała. - Jak tylko się stąd wydostaniemy to mignę jej światłami i może uda mi się ją namówić, żeby pojechała ze mną. - Nagle Wandzie jak olśnienie

coś się przypomniało. - Zaraz, zaraz! - pomyślała. - Dlaczego Anna Naderowa, mając najpiękniejszego Jaguara w Warszawie jedzie maluchem! I to gdzie?! Na Pradze!? To jest mocno podejrzané! Tak, to musi mieć związek z tą rozmową! - pomyślała. Rozmową, którą mniej więcej miesiąc temu udało się jej podsłuchać. Siedziała w swoim pokoju, gdy usłyszała, że Jacek w łazience rozmawia przez telefon. I tak się śmiał, że z łazienki dochodził rechot.

Wanda nie zwracała uwagi na to, o czym rozmawiali. Ale nagle usłyszała nazwisko Anny i znowu rechot. Więcej jej nie było trzeba. Szybko zeszła do garażu i ostrożnie podniosła słuchawkę aparatu.

-... żartujesz? - Jacek się śmiał.

- Oj, przecież ci mówię, że tak było! - Wanda rozpoznała głos Piotra, o kilka lat starszego kolegi jej syna. Nie lubiła go gdyż, wciągał Jacka w złe środowisko. Jednak mocniej przydusiła słuchawkę do ucha.

- Ale skąd taka baba się wzięła w nocy w melinie na dworcu! - Jacek był podekscytowany.

- O rany słuchaj uważnie i nie przerywaj! To nie jest ważne! O tym, że poprzednio polowała na dworcu, to ona mu sama opowiedziała.

- Ale po co? Mów jaśniej. - Wanda pomyślała dokładnie to samo. Bo jak na razie, to nic z tego nie rozumiała. A tak bardzo chciała się dowiedzieć!

- Jak to po co? Żeby go podniecić. Czekaj, wszystko ci opowiem. Ona mu kazała zeskakiwać na siebie z łóżka na podłogę. A jak nie mógł w nią trafić za trzecim razem, to się na niego wściekła i powiedziała, że nawet dworcowy facet, którego wyrwała w zeszłym miesiącu z meliny na dworcu potrafił to zrobić.

- Pierdolisz, ale jaja! - Jacek tak głośno się roześmiał, że Wanda odsunęła na chwilę słuchawkę od ucha, ale natychmiast przytuliła ją z powrotem.

- A skąd wiesz, że to właśnie ona? - Wanda zamarła.

- A znasz kogo innego, "kto pasuje do tego opisu! Przecież on dokładnie opisał samochód i z detalami opowiadał o pałacu, do którego go zawiozła. A wszyscy wiemy, że taka fura i taka chałupa jest jedna w mieście.

- I co mówił, co mówił?

- Przecież właśnie ci opowiadam.

- Nie o chałupie, tylko o dupie.

- Aaaa, że kiepska. Ale to nieważne. Posłuchaj! Najlepsze dopiero będzie...

- Słuchaj stary - Jacek wpadł w słowo Piotrowi - a czy to co mi teraz opowiadasz, to ty słyszałeś na mieście, czy może sam tam byłeś?

Co?! - Jacek się roześmiał i dodał - tak dokładnie wszystko wiesz?

- No jak z tobą gadać? Jak nie przestaniesz, to ci nie opowiem najlepszego! Zresztą zapytaj Łukasza, on wszystko wie najlepiej o tej sprawie. Wiesz, że Łukasz lub sobie czasami umilić wieczór i prosto z Marriotta pojechać do "Szwejka" na Pragę. A facet opowiadał takie cuda, że Łukasz się zaraz do niego przypiął i dowiedział się, co chciał.

Nikt, poza tym szuszczykiem, nie widział Jaguara, którym ona przyjechała...

- A czemu?

- Bo cwaniara zaparkowała przed zakrętem. I dlatego nikt mu nie wierzył. Jak mi jeszcze raz przerwiesz to ci najlepszego nie opowiem.

- No dobra gadaj. - Wanda też czekała na to najlepsze.

- Jak weszła do "Szwejka", to miała na sobie długie futro z norek. Do ziemi.

- We wrześniu?!!

- O Jezu. Już nic nie powiem!

- Nó więc miała na sobie długie futro z norek. Jak tylko wsiedli do czerwonego Jaguara i dojechali do pierwszego skrzyżowania to je zdjęła!! I całą drogę do siebie prowadziła nago!! Wyobrażasz sobie nagą dupę jeżdżącą w środku nocy czerwonym Jaguarem po Warszawie!!!

- Pierdolisz!! - Jacek się tak roześmiał, że Wanda ponownie odsunęła słuchawkę od UGha. Dla niej wcale to nie było śmieszne. Było pyszne!!!

Wykorzystując spory hałas w słuchawce delikatnie rozłączyła się. . A teraz zadowolona z tego, że przypomniała sobie tę podsłuchaną rozmowę powoli śledziła Naderową.

- O Boże! - myślała. - Jeżeli to co podejrzewam okaże się prawdą, to Warszawa dawno nie miała takiej rozrywki! I to właśnie jai to będę opowiadać! - Wanda dla takiej intrygi była nawet skłonna zrezygnować z zepsucia wieczoru Wackowi. Dopaść na tak jawnym puszczaniu się najbogatszą kobietę Warszawy. To było coś!

-Wandzie aż dreszcz podniecenia przeleciał po plecach na myśl o tym.

Jechała za samochodem Anny zachowując bezpieczną odległość. Dla bezpieczeństwa też przepuściła nawet dwa samochody. Nigdy tego nie robiła. Zawsze, jak tylko ktoś ją chciał wyprzedzić, to przyduszała gaz. Tym razem jednak starała się być ostrożna.

Obawiała się, że Naderowa może rozpoznać jej auto. W końcu też nie było byle jakie!

Małuch Anny kierował się prosto pod piwiarnię "Szwejk". Zatrzymał się na wprost wejścia. Wanda zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

Przed wejściem stała spora gromadka obszcymurów. Obojętnie spojrzeli na zatrzymujące się autko, nie przejawiając żadnego zainteresowania.

- A to cwaniara - pomyślała Wanda z zazdrością. - Wiedziała, że bezpieczniej będzie przyjechać maluchem.

Anna wysiadała powoli. Najpierw wystawiła nogi, następnie wężowym ruchem wysunęła się z samochodu. Rozległy się gwizdy. - Wanda aż zacisnęła palce na kierownicy i pomyślała: - Ale sobie dziwka wymyśliła sposób! - Wanda dokładnie widziała Annę. Przed piwiarnią paliła się jedyna na ulicy latarnia. - Chm! Trudno się dziwić, że gwizdzą - pomyślała ze złością. - W takim miejscu, w takim futrze, o tej porze! Wanda już nie miała wątpliwości co do tego, że podsłuchana rozmowa przyniesie jej sukces towarzyski. Mimo że zgasła światła samochodu, to wyraźnie widziała jak Naderowa powolnym krokiem wchodzi do speluny.

Powoli ruszyła. Tak wolno jak to było możliwe, żeby nie wzbudzić podejrzeń, przejechała obok knajpy. Usiłowała zajrzeć do środka, ale nie było to możliwe. Szyby były tak brudne i zaparowane, że nie było nic widać. W tej sytuacji wjechała w pierwszą ulicę w lewo.

Zawróciła. Stała przodem do ulicy, którą musiała przejechać Naderowa. - Nie ma innej możliwości. Musi tędy przejechać. A wtedy pojedę za nią - pomyślała i zgasła silnik. Włączyła kasetę "Mydełko FA" i czekała.

- Czekaj, jedź - myślała - ja ci pokażę! Zawsze uważałaś mnie za bamberę. - Wanda bardzo dobrze pamiętała tą obelgę sprzed kilku lat, kiedy to Naderowa przy wszystkich uczestnikach wycieczki z Dubaju wtrąciła się do kłótni pomiędzy Wandą i Kryską Zawilską. Wanda była wściekła, bo Kryska podstępnie weszła w jej układy na najtańsze w całym Dubaju bluzki z haftem. Zorientowała się dopiero w Polsce w czasie odprawy celnej na lotnisku. Tak się wściekła, że o mało co nie wydrapała oczu Krysce.

Wtedy właśnie Naderowa przy wszystkich podeszła do Kryski i na cały głos powiedziała - Kryska! Co ty się tłumaczysz! Zostaw tę bamberę! Przecież tu nie ma z kim rozmawiać. - No

teraz to ja ci pokażę, czy nie ma z kim rozmawiać! - Wanda aż westchnęła myśląc o triumfie jaki ją czeka.

Rozmyślając o marzeniach o mały włos a by przegapiła przejeżdżającego przed jej maską malucha. Aż jej się zrobiło słabo. Natychmiast ruszyła. Wyraźnie widziała, że w maluchu siedzą dwie osoby. Wanda jechała za nimi, cały czas utrzymując bezpieczną odległość. W chwili, w której auto Naderowej wjechało na ślimak wyprowadzający trasę poza miasto, wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

Parka jechała na "Wawel". Takim określeniem nazywano w środowisku posiadłość Anny i Jerzego Naderów.

Po prawie półgodzinnej jeździe, zjechali w boczną leśną drogę, przejechali te mylące trzysta metrów i wjechali na właściwą drogę. Szeroką jak pas startowy dla samolotów i równą jak stół. W oddali na wzgórzu widać było oświetloną posiadłość.

Wandę aż zżerała ciekawość, żeby zobaczyć chłopaka, którego Naderowa znalazła u "Szwejka". Zdawała sobie jednak sprawę, że ryzyko jest za duże. Musiała zrezygnować nawet z jazdy za nimi. Zatrzymała się na samym początku drogi i zgasiła światła. Ale ponieważ wjazd do posiadłości był położony wyżej od miejsca, w którym się zatrzymała, wyraźnie widziała, jak maluch zwolnił i ogromna brama rozsunęła się. Maluch wraz z zawartością wjechał do środka. Brama powoli zamknęła się za nimi.

I tyle ich widziała.

Przez chwilę zastanawiała się, co ma zrobić i gdzie pojechać, żeby od razu zacząć działać. Pomyślała o tym, żeby zadzwonić do aktualnego kochanka Anny. Ale nie. On się tym za bardzo nie przejmie. Dla niego to normalka. Może poszukać męża Naderowej i jego podpuścić. Też nie, w najgorszym razie skończyłoby się podbitym okiem Naderowej. A to przecież nic takiego-

Snując te rozważania Wanda dojechała do autostrady prowadzącej w kierunku centrum Warszawy. Ani trochę nie zwalniając włączyła się w sznur samochodów, wjechała na lewy pas i zwolniła. Zastanowiła się, i doszła do wniosku, że pojedzie do Marriotta. Tam na pewno napotka kogoś, kto chętnie wysłucha takiej rewelacji. A co ważniejsze, poczuła że musi się szybko napić.

Wyprostowała się w fotelu Mercedesa. Z przyjemnością zacisnęła upierścienione palce na kierownicy. Znowu wróciło rozkoszne poczucie siły i władzy.

Nadal powoli jechała lewym pasem. Z miną pełną pogardy odwracała głowę w prawo i spoglądała na mijające ją z prawej strony samochody.

- Będzie jak ja chcę! - pomyślała.

Była w swoim żywiole! Uwielbiała intrygi. Wręcz kochała napuszczać ludzi na siebie. Chciała, żeby wszyscy się nienawidzili. Miała typowo chłopską naturę w najbardziej niebezpiecznym wydaniu, bo poruszając się najnowszym modelem Mercedesa.

Rozdział 9

Tadziu Kaczmarczyk czasami lubił wpaść wieczorem na piwo do "Szwejka". Nie za często, bo od dawna nie był to już jego świat. Teraz jego światem były kobiety. Pod warunkiem, że były bogate. Mogły być nawet podstarzałe i głupie.

Zdecydowanie najlepsze były takie po drugiej przecenie.

Tadziu był wysokim, bardzo dobrze zbudowanym czyściutkim blondynem. Ślicznym blondynkiem, z loczkami i obłędnie niebieskimi oczami. Ale tylko oczka miał niewinne i dziecięce.

Reszta była dokładnie taka, o jakiej te kobiety śniły w najśmielszych snach. Małyjędry tyłeczek i jędry, wyjątkowo duży przód.

Już jak miał dwanaście, trzynaście lat to uwielbiał podglądać swoją matkę. I właśnie ona mu się najbardziej podobała. W następnej kolejności podglądał matkę dziewczyny, z którą żył i mieszkał.

Mieszkali razem w jednym pokoju w barakach przy fabryce papieru. Wtedy bardzo to podglądanie lubił. Może właśnie dlatego, że tak dokładnie przerobił ten temat, teraz bez specjalnego trudu potrafił ukryć wstręt do tych miękkich, pełnych dziur i rozstępów ciał kobiet po czterdziestce, które z zawrotną częstotliwością lądowały w jego łóżku.

Już od dawna wiedział, gdzie należy chodzić, żeby taki towar spotkać.

Na początku chodził na premiery durnych nawiedzonych filmów. Z teatrów zrezygnował już po pierwszym razie. Tam chodziło pełno nawiedzonej biedy. To nie było to czego szukał.

Po pewnym czasie przekonał się, że najlepsze były wernisaże. Jakie tam podjeżdżały gabloty ! Taki ktoś jak on nigdy nie miał problemów z dostaniem się do środka. Wystarczyło, że się dobrze ubrał i nie odzywał się. Bardzo szybko przekonał się, w których galeriach bywa najlepsze towarzystwo. W ostatnim czasie modna była galeria położona na jednym z dużych osiedli mieszkaniowych. Pośród bloków z płyty, ukryte wśród małego miejskiego parku mieściły się może z pięć uliczek naprawdę ekstra domów, a właściwie willi.

Domy były położone od siebie w sporej odległości. Duże, solidne, mocno i gęsto ogrodzone.

W jednej z tych willi dwóch starych pedałów urządziło galerię. To taki sprawdzony sposób na bogate życie towarzysko-ero-tyczne.

Tadeusz nie miał problemów ze wstępem do tego miejsca. Lubił tam chodzić. Bardzo mu się podobało towarzystwo. Bywał tam cały high life biznesu, ludzie z dużą forszą. No i za tą forszą zawsze ciągnęły się winogrona.

Ludzie z telewizji.

To miejsce stało się ostatnio ulubionym miejscem polowań Tadeusza. Zawsze roiło się tam od siankowskich, potrzebujących mocnych, łózkowych wrażeń mężatek. Te pragnienia Tadeusza wyłapywał natychmiast. Miały to w oczach. Takie oczy były rozbiegane, niespokojne, łapczywie taksujące młodych mężczyzn od góry do dołu.

Właśnie dzisiaj się tam wybierał. Na tę okazję ubrał się w ciemnogranatowy garnitur od Boosa, białą jedwabną koszulę bez krawata i narzucił nowy piękny szary płaszcz firmy Gianni Versace. Na ten płaszcz, w przypływie rozpaczy szarpnęła się jego ostatnia kochanka, kiedy powiedział, że się od niej wyprowadza. Od dawna miał ochotę na ten płaszcz. Poczekał aż odebrała

honorarium za swój ostatni film. Tadek nie wiedział dobrze co tam robiła. Była jakąś reżyserką, czy scenografką albo czymś takim. Kilka dni przed tym jak miała odebrać forszę, pokazał jej w mieście ten płaszcz. Dzień po odebraniu forsy powiedział, że mu się znudziła i pojutrze odchodzi od niej. Nawet się spakował. Na drugi dzień miał płaszcz. Wyprowadził się po dwóch tygodniach. Jakaś taka nawiedzona była ta baba.

Siedząc w małym barku na Marszałkowskiej spojrzął na zegarek i stwierdził, że jeszcze za wcześnie, żeby jechać do Galerii. Lepiej się trochę spóźnić - pomyślał. - Efekt będzie jeszcze większy. - Zapłacił za kawę. Wyszedł i skinął ręką na taksówkę. Wsiadł i rzucił krótko - na Pragę, do "Szwejka". Sam się sobie trochę zdziwił, że akurat dzisiaj naszła go ochota tam pojechać. - Przynajmniej się pokażę - pomyślał. Miał na sobie ciuchy warte więcej niż roczne wynagrodzenie połowy ze swoich starych kumpli. Tych bogatszych. Już w chwili pokazania się w wejściu wzbudził ogólny aplauz.

Wiadomo, taki gość jak on to postawi kilka kolejek.

Kazał barmance podać swoim kumplom najdroższe piwo.

Puszkowego Heinekena. Dla siebie zamówił takie jak pił kiedyś - z beczki. Przez chwilę przyglądał się jak barmanka starannie myje kufel dla niego. Rozmawiając z dwoma kolegami rozglądał się. Stwierdził, że niepotrzebnie tu przyjechał. Mimo podziwu jaki wzbudzał pomyślał, że długo tu nie wytrzyma.

- Choiera, jak ja tu mogłem wytrzymać! - Zdziwił się. - W tym smrodzie skiśniętego piwka, pomieszanego z odorem potu. Upił łyk piwa i skrzywił się. Postanowił, że zaraz wyjdzie.

W tej samej sekundzie zobaczył ją w drzwiach. Aż go zatkało.

Prawie się zakrztusił.

Pewnym krokiem i mocno rozbawiona weszła do środka. Tadek błyskawicznie otaksował ją wzrokiem. Natychmiast spostrzegł czerwone szpilki na bosych nogach. - O kurwa! a ta skąd się tutaj wzięła! - Pomyślał bacznie obserwując jak podchodzi

do baru. Nie tylko jego zatkało. W knajpie rozległy się gwizdy i niewybredne docinki. - O wy durnie - pomyślał. - Pewnie wam się wydaje, że ona tak dla żartu wpadła tu sobie na piwo. - Oparł się plecami o bar. Jemu wystarczyło jedno spojrzenie w jej oczy, żeby wiedzieć po co ona tak naprawdę tu przyszła. Obserwował ją przez chwilę. - Nawet seksowna jak na lalkę po pierwszej przecenie. - Myślał taksując ją wzrokiem. - AJe cztery dychy to już ma. Jak na mój gust, to jest po zupełnie niezłej operacji plastycznej. Gdyby nie to futro, to może by od biedy postawić ją po lepszej stronie czterdziestki. No ale dupy przed czterdziestką nie noszą w paździeniku futer za sto milionów. - Myślał, popijając ciepłe piwo i nie odrywając od niej wzroku.

Pomimo kokieteryjnego uśmiechu na ładnych pełnych ustach, jej oczy były lodowate, taksujące, przenikliwe pewne siebie.

Powoli przeszła przez środek knajpy i podeszła do szerokiej aluminiowej lady, która w porywach służyła jako bar.

Spocona barmanka niechętnym ruchem, brudną, śmierdzącą ścierą przetarła przed nią kawałek lady. W sumie to tylko dodała do rozlanego piwa sporo błota. Przyglądała się futrzastej wzrokiem bazyliuszka.

- Co ma być! - fuknęła.

- Piwo - odpowiedziała futrzasta nawet nie spojrzawszy na barmankę.

- Tu nic innego nie ma! Pytam jakie! - Tadek pomyślał z rozbawieniem, że śmieszne by było, gdyby rzuciła w nią tą ścierą.

Futrzasta powoli ostentacyjnie odwróciła się tyłem do lady rzucając od niechcienia przez ramię - Heinekena.

- Ile? - w głosie barmanki słychać było niebezpieczną nutę.

- Na razie jedno - powiedziała rozbawionym głosem. Odwróciła się za siebie, spojrzała na barmankę i dodała ostro - Tylko żeby mi było zimne!

Tadeusz stwierdził, że czas wkroczyć do akcji. Wiedział, że już przy wejściu go zauważyła. Ale dopiero teraz powoli obracając głowę w jego stronę i zadzierając ją lekko w górę spojrzała na niego. Ich oczy spotkały się. Przettrzymała wzrok. O sekundę za długo. Dokładnie tyle, ile potrzebował, żeby wiedzieć o co chodzi.

Dobrze znał taki wzrok a jeszcze lepiej, tą jedną sekundę za długo. Wszystkie tak robiły. Wszystkie robiły to tak samo.

- Pewnie pani gorąco w tym pięknym futrze - powiedział patrząc w jej oczy. - Może pomogę pani je zdjąć? - dodał i przysunął się do niej. Oboje stali oparci o brudną ladę. Roześmiała się głośno odrzucając głowę do tyłu. - Niezła szyja - pomyślał. Z podziwem spostrzegł jak jednym ruchem ramion podrzuciła futro do tyłu. Futro spłynęło na plecy odsłaniając gołe ramiona.

W spelunie zainteresowanie jej osobą wyraźnie rosło.

- Nie! - znowu się zaśmiała. - Nie, nie, zdecydowanie lepiej będzie jeżeli nie zdejmę. - Cały czas śmiejąc się, przyglądała się jego twarzy. Widocznie efekt był zadawalający, bo w końcu głęboko spojrzała mu w oczy - zresztą zaraz wychodzę - dodała.

Tadeusz kątem oka widział, że już od chwili jej lewa dłoń bawi się puszką piwa. Obracała puszką po blacie tam i z powrotem głaszcząc ją dwoma palcami. Oderwał wzrok od jej twarzy i przez chwilę przyglądał się dłoni, której ruchy były wyraźną propozycją. - Wie pani chyba, że to niezbyt bezpieczna dzielnica. Może odwiozę panią do domu.

- No właśnie, bardzo niebezpieczna - lekko przechyliła głowę. Tadek pomyślał, że ma trochę za drobną twarz, ale jest bardzo ładna.

- A w takim razie co pan tu robi?! - Lekko zmrużyła zielone kocie oczy.

- To samo co pani - odpowiedział natychmiast.

- Oj myślę, że nie... szczerze się roześmiała.
- Oj myślę, że tak - też się roześmiał. Położył rękę na jej dłoni i stanowczo zatrzymał posuwiste ruchy. Jeszcze raz spojrzął głęboko w zielone oczy i prawie szeptem dodał. - Wyjdźmy stąd. - Położył na ladzie pieniądze za wszystkie wypite w ciągu pół godziny w tym barze Heinekeny i lekko chwycił ją pod łokieć. Poddała się jego woli i wyszli odprowadzani zazdrosnymi spojrzeniami tych, którzy resztę wieczoru mieli spędzić w tej norze.

Tadek starał się ukryć swoje rozczarowanie tym, że miała tylko malucha. Przyzwyczyił się do kobiet z innymi samochodami. Jechali długo. Tadek z natury był podejrzliwy i w pewnej chwili pomyślał, że to może jest żart, że futrzasta go kołuje i odwiezie go z powrotem do piwiarni. Ale nie! Przekonał się o tym gdy położył rękę na jej kolanie. Futro zsunęło się z uda. Aż gwizdnął z uznaniem. Była bez majtek! Już miał zamiar zacząć się do niej dobierać, gdy jeszcze większy podziw wzbudziło w nim co innego.

Akurat wjechali na szeroką jak autostrada drogę w środku lasu i podjeżdżali pod bramę ogromnej otoczonej murem posiadłości. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Znowu gwizdnął. Nawet nie słyszał, żeby ktoś miał coś takiego. - Cholera, może jakiś zakon? A ona zakonnica! O rany co mi przychodzi do głowy. Chyba mi odbiło! - pomyślał. Poczuł, że trafiła mu się żyła złota. Przeniknęło go miłe uczucie na myśl o prezentach, jakie będzie dostawał. O wyjściach do najdroższych restauracji i o samej możliwości przebywania w takim pałacu. Co do tego, że sprosta wymaganiom futrzastej nie miał żadnych wątpliwości. Tym bardziej, że naprawdę mu się podobała. Do wewnątrz posiadłości wjechali przez bramę, która się sama otworzyła. Tadek pomyślał nawet, że ciekawe jak to jest możliwe. Ale zaraz o tym zapomniał. Po prawej stronie spostrzegł basen wielkości hotelowego parkingu. Ale zaraz o nim zapomniał. Z garażu wjechali

windą na górę. Anna musiała spostrzec jego minę, bo kątem oka dostrzegł, że uśmiecha się kącikiem ust.

Tadeusz nigdy nie był w żadnym pałacu. To co oglądał na filmach video to było małe piwo w porównaniu z tym, co teraz roztaczało się przed nim.

Szedł za futrzastą i rozglądał się. Akurat wchodzili na schody, odwrócił się za siebie i popatrzył na ogromne salony, żyrandole, dywany, marmury i pomyślał: - Jak jej za chwilę nie zerznę to będę myślał, że mi się śniło.

Przeszli długim korytarzem i weszli do pokoju. Zamknęła drzwi na klucz. Bez słowa wskazała mu ręką okrągłe łóżko na środku. Jak już siedział powiedziała - usiądź proszę. - Poszła w drugi koniec pokoju i do dwóch szklanek nałożyła lodu. Tadek obserwował każdy jej ruch. Jednocześnie rozglądał się dyskretnie, zastanawiając się, jaki tu jest system alarmowy. Jak wchodzili, nie spostrzegł niczego co by wskazywało na to, że go wyłączyła. - Musi coś być, do cholery.

Takiego bogactwa, jak żyję 22 lata jeszcze nie widziałem. - Zamyślił się na chwilę. Nagle usłyszał, że futrzastą coś do niego mówi.

Uśmiechnął się promiennie i spytał. - Co?

- Pytam czego się napijesz?

- Białą wódkę z lodem - odpowiedział, bo pamiętał, że takie drinki były ostatnio modne w galeriach.

- Ile lodu? - usłyszał rozbawienie w jej głosie. Wkurzyło go to.

- No co?! Już ci się nie podobam! - Nie miał ochoty na drinka. Nie lubił alkoholu. No i nie po to tu przyjechał. Oparł się o stos kolorowych poduszek. Odwróciła się w jego stronę i trzymając w obu dłoniach szklanki z alkoholem spytała nie ruszając się z miejsca.

- A tak w ogóle to kim ty jesteś?

Roześmiał się i odpowiedział: - No mała przecież chodzi ci o to jaki jestem, a nie kim jestem. - chodź tu to się przekonasz.

- Jednym ruchem ramion zrzuciła na podłogę wszystkie poduszki. Bez podnoszenia się z łóżka zsunął z nóg włoskie mokasyny. Właśnie dlatego nosił tylko wzuwane mokasyny. Położył się płasko na łóżku podkładając ręce pod głowę.

Widocznie to jej się spodobało, bo podeszła do łóżka. Nadal trzymając kryształowe szklanki usiadła na nim okrakiem. Wychyliła się mocno do przodu i postawiła szklanki na półce za głową Tadeusza. Futro rozchyliło się mocno. - Nie myliłem się jest goła - pomyślał. Wcale nie był zdziwiony. Ale żeby jej zrobić przyjemność, że jest taka oryginalna spytał - w futrze?

- W futrze i w butach - odpowiedziała prężąc się do tyłu i z wyraźną rozkoszą przeglądając się w oświetlonym lustrze u wezgowia łóżka. Nachyliła się i przesunęła troszeczkę za mocno, długim paznokciem po policzku Tadeusza. Włożył ręce pod futro i mocno ścisnął ją w pasie. Aż zmrużyła oczy. Zacisnął dłonie jeszcze mocniej. W jej oczach wyraźnie dostrzegł znajomy błysk. Już wiedział co ona lubi. Gwałtownie ją szarpnął i położył na sobie. I wtedy usłyszał jak mu szepnęła w ucho - futro jest nowe i postaraj się je naznaczyć sobą tak, żeby żaden samiec się do niego nie odważył zbliżyć. Suczka chce być tylko twoja!

Anna obudziła się o trzeciej nad ranem. Przez chwilę patrzyła na swojego ostatniego kochanka. Aż nie mogła uwierzyć w to, co się przez ostatnich kilka godzin działo w jej łóżku. Kochał się z nią wspaniale. Nie przypominała sobie, żeby jakiś inny mężczyzna tak jej ostatnio pasował. Pomyślała, że jej poprzednie doświadczenia były przedszkolne. - To nawet jest śmieszne

- pomyślała. Tyłu miałam kochanków i dopiero teraz trafiłam.

Jednak co talent, to talent.

Przyglądała mu się przez chwilę bardzo dokładnie. Chciała nasycić oczy zanim go wygoni.

Był taki młody, taki śliczny. Nie miała wątpliwości co do tego, że zbyt śliczny. Ale za to nogi miał takie jakie lubiła. Trochę krzywe, silne i umięśnione. Zupełnie jak Sylvester Stallone.

Bardzo, bardzo silne! Miała okazję się o tym przekonać dzisiejszej nocy. Uwielbiała się kochać na stojąco, przyduszona do ściany.

- Taak - pomyślała - najważniejszą rzeczą, jakiej potrzebowałam jest właśnie taki ogierowany, prymitywny kochanek.

Wstała i cicho weszła do garderoby ubrać się. Wróciła, jeszcze przez chwilę patrzyła jak śpi i gwałtownie szarpnęła go za ramię.

Tadek miał ochotę spać dalej, ale ktoś go mocno szarpnął.

- Co za cholera - pomyślał w półśnie. Nie miał ochoty otwierać oczu. Już nie spał. Poczł ciężki zapach seksu. Cały czas nie otwierając oczu uśmiechnął się na wspomnienie dzisiejszej nocy. - Było całkiem nieźle - pomyślał i otworzył oczy.

- Noc się skończyła - powiedziała Anna siedząc na brzegu łóżka i paląc długiego papierosa. Przyglądała się mu obojętnie. Tadek pomyślał, że jak na taką noc, to przebudzenie trochę dziwne, ale nie odezwał się.

Ponieważ przez chwilę nie zareagował na jej ostry ton, dodała ostrzej - słyszysz co mówię. Masz się stąd zmywać. - Chciała wstać, ale nie zdążyła. Tadek mocno chwycił jej rękę. Był wściekły: - Chyba żartujesz!

- Wcale nie! - Oswobodziła rękę, - wyrywając ją i wstała. Tadek spojrzł na jej nogi. Miała te same czerwone szpilki ale na sobie już nie miała futra. Była ubrana w skórzaną, obcisłą czerwoną sukienkę.

- Ciekawe czy ma gacie - pomyślał i powiedział do stojącej obok łóżka Anny - No to co? Ochrzczimy sukienkę? Coś mi się wydaje, że też jest nowa.

- Już ci powiedziałam, że masz sobie iść! - Anna odwróciła się do niego plecami. Nie chciała, żeby po wyrazie jej twarzy zorientował się jak bardzo ma na to ochotę. Postanowiła nie

łamać zasad. Nigdy. Jeden kochanek, jeden upojny seks, krótki sen i won! Żadnych powtórek, żadnych przyzwyczajzeń, żadnych rozmów. Podeszła do stolika przy oknie. Nalała sobie whisky... i dołała wody z kryształowej karafki.

Tadeusz nie był durniem w tych sprawach. Od razu wyczuł co się święci. - Ona mnie najnormalniej robi w wała. - Wstał i szybkim ruchem wciągnął spodnie. Równie szybko założył koszulę - co za cipa. To ja zawsze mówię, że wychodzę - pomyślał ze złością. Zakładając buty. spostrzegł, że jest obserwowany w lustrze w tym drugim okrągłym pokoju. Ich oczy spotkały się. Anna gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Zmierzyła go od góry do dołu i kpiąco uśmiechnęła się. Nic nie powiedziała, podeszła do drzwi i otworzyła na oścież.

Tego było już za wiele. Dwoma susami znalazł się przy niej. Złapał drzwi i z całej siły zatrzaskał je z powrotem. Chwycił ją mocno za ramiona i przydusił do ściany. Wiedział, że musiało to zboleć: - Co ty sobie myślisz, że ja się dam tak wyprowadzić! Co!? Ja!? Ty chyba ocipiałaś! - Miał wściekłość w oczach.

Anna była zaskoczona. Mile zaskoczona. Teraz już wiedziała na pewno, że najlepiej będzie jak on stąd natychmiast zniknie i nigdy nie wróci. Nie bała się agresji.

Tadeusz szarpnął ją gwałtownie w stronę łóżka. Ale zaparła się nogami.

- Aaa! Wolisz tak - przydusił ją do ściany i siłą wgniół kolano między uda. Odepchnęła go gwałtownie. Nie spodziewał się ataku. Był przekonany, że tego właśnie chciała. Widział to w jej oczach. A w tych sprawach się nie mylił. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Zaczęło mu się to podobać. Nadal stała oparta o ścianę. Klamkę od drzwi miała w zasięgu ręki. Ale nie otworzyła drzwi. Wróciło do niej to uczucie, które tak dobrze знаła, a przed którym uciekała. Uwielbiała przemoc. Podniecało ją to. Tylko to. Miękkła pod wpływem agresji.

Dla niej najbardziej niebezpieczne było niebezpieczeństwo. Starła się opanować, ale już było za późno. On już to wiedział. Zmierzył ją kpiącym wzrokiem i wycedził: - Aaa, to lubisz kotku, tak myślałem. Czego się wstydzisz? Trzeba było mówić od początku. Przez chwilę przyglądał się jej i dodał - ale to już nie dzisiaj. Teraz to ja wychodzę. Pójdę sobie do innej dziwki! Będziesz musiała mnie znowu poszukać. Może wtedy zrobimy to tak jak lubisz.

Anna była wściekła na siebie. Zacisnęła zęby i powiedziała: - Z takim szuszfolem z Pragi sypiam tylko raz!

Tadek z politowaniem pokiwał głową - dobra, dobra, taki kit to ty możesz wciskać innym, ale nie mnie. Takie dziwki jak ty, to ja dobrze znam, możesz popytać swoje koleżanki. Może ci opowiedzą. Tylko pamiętaj opowiedzieć im szczegóły, bo większość z nich nawet nie pyta o imię. Zresztą tak samo jak ty!!

- No pewnie! Po co takiego kutasa jak ty pytać o imię. Nie jesteś niczym innym jak tylko kutasem na jeden raz!! - Jeszcze próbowała się bronić. Nie mogła dopuścić do tego, żeby poznał jej największą słabość. Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi.

Tadeusz zakładał płaszcz i przeglądał się w lustrze. Udawał, że nie widzi tego co robiła. Poprawił włosy przeczesując je rozczapierzonymi palcami do tyłu. Poprawił kołnierzyk od koszuli. Nagle szybko się odwrócił i podszedł bardzo blisko. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Trwało to mniej niż sekundę. Ale Annie zdążyło zakręcić się w głowie. Jego spojrzenie było pewne siebie i pogardliwe. Włożył ręce do kieszeni spodni. Odsunął się o krok.

O Boże, jak mnie teraz uderzy to koniec - pomyślała. Ale nie. Za to usłyszała. - A czego taka dziwka jak ty szukała w spelunie na Pradze, jeżeli nie takiego kutasa jak ja!! Co?!

- No już! Wynoś się! - Wrzasnęła.

- Dziwki są fatalne. Ale śmieszne dziwki to tragedia - powiedział i powoli wyszedł z sypialni. Drzwi za nim zatrzasnęły się z hukiem. Idąc szerokim korytarzem uśmiechnął się. Dobrze wiedział, że to dopiero początek.

Schodząc powoli po pałacowych schodach jeszcze raz popatrzył na cały ten przepych: - Jeszcze tu wrócę. To jest to.

- Powiedział na głos. Wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się po parku.

- Cholera jak to jest chronione - pomyślał. Do głowy mu nie przyszło, że w podziemiach, 24 godziny na dobę siedzi obstawa. I że na monitorach widzi nawet zapalkę w jego zębach.

Brama do tego raju otworzyła się bezszelestnie jak tylko się do niej zbliżył. W ostatniej chwili odwrócił się w stronę domu. Anna stała na dole przy ogromnym oknie tarasowym. Wyraźnie widział jej postać w czerwonej sukni. Uśmiechnął się promiennie i pomachał ręką.

W odpowiedzi zamknęły się żaluzje. Wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz.

Prawdziwa odpowiedź stała pod bramą. Taksówka! - Noo!

-pomyślał. - Jest lepiej niż myślałem. Spodobało się dupencji, że nie jestem frajerem. Gdybym nie pokazał, że nie dam sobą pomiatać to bym pewnie wracał do Warszawy z buta - pomyślał. Wsiadając do taksówki postanowił, że ten romans musi podtrzymać. Uznał tę noc za wyjątkowo udaną.

Rozdział 10

Agata wróciła z miasta i weszła do pustego mieszkania. Za każdym razem, wchodząc do dużego pokoju, myślała to samo. - Ale okropne, obrzydliwe mieszkanie.

Dziesięć lat temu, takie mieszkanie było szczytem marzeń. Jak wyjeżdżała na Zachód, to myślała, że wróci do niego z przyjemnością. Teraz, po tylu latach spędzonych na Zachodzie patrzyła na nie z obrzydzeniem. Ale było jeszcze coś co pogłębiało w Agacie złość.

To, że nawet na Zachodzie nie widziała takich domów jakie jej dawni znajomi teraz mieli w Polsce. Dotarło do niej, że straciła parę lat. Mogła tutaj załapać się na bogatego męża. Tam było to niemożliwe. No, ale nie mogła wtedy przewidzieć, który będzie bogaty. Teraz po powrocie ze zdumieniem zauważyła, że najbardziej wzbogacili się ci, których by w życiu o to nie posądziła.

W Holandii, do której wyjechała, od razu wiadomo było w jakie środowisko nigdy się nie dostanie taka dziewczyna jak ona. Tam podział był jasny. Tym bardziej, że pracowała jako pomoc w sklepie z butami. Bardzo luksusowym sklepie. Ale co z tego.

W końcu w Holandii dla bezpieczeństwa wyszła za męża. Mąż Agaty - Eryk, długo nie mógł zrozumieć, dlaczego jego żona robi interesy z Polakami.

Prawdziwe awantury zaczęły się po dwóch latach. Eryk zaczął się mocno stawiać. Poszło o jedzenie. Co wrócił ze zmiany, to nigdy nie było w lodówce. Za to pełno było w pokojach

obcych ludzi śpiących często na jego ulubionej kanapie, a czasami na podłodze.

Interes za to rozwijał się świetnie.

W końcu Agata rozwiodła się z nim i wygoniła z domu. Nie miała zamiaru rezygnować z takich pieniędzy.

Dla tych, którzy pozałatwiali sobie paszporty w stanie wojennym, handel z Holandią, to była żyła złota. Pewnie, że nie aż taka szeroka jak teraz wódka, czy benzyna, ale czasy też były inne.

Agata załatwiła kontakty z hurtownikami w Holandii. Oczywiście wszyscy mieli obstawione granice. Trzeba było tylko w określonym dniu o ustalonej godzinie i ustalonym samochodem zjawić się na granicy. Przez inną osobę umówiony celnik podchodził do samochodu. Jeszcze inna osoba jeździła rozliczać się z celnikiem. Zasadą była stara jak świat podstawowa zasada konspiracji. Jedna osoba ma kontakt tylko z jedną osobą. Wszystko koordynował fachowiec. Najbezpieczniejszy jaki mógł być.

Oficer SB-cji.

Agata o to też była wściekła. Nawet jemu powodziło się lepiej niż jej. Miał piękny dom nad samym jeziorem pod Warszawą i gdzieś wszystkie zmiany. I to właśnie dzięki niej.

Agata rozejrzała się po obskórnym mieszkaniu. - Koniecznie muszę coś zrobić, żeby stąd wiać jak najprędzej - pomyślała -inaczej zwiariuję. Odwróciła się tyłem do okna. - Już są tak brudne, że lepiej na nie nie patrzeć - pomyślała.

Największy wstręt wzbudzała w niej łazienka. Mała klitka z łuszczącą się ze ścian niebieską farbą. Nawet drogie kosmetyki, które ustawiała na półce, wyglądały fatalnie.

Agata patrząc na tę farbę nad wanną, przypomniała sobie łazienkę, którą ostatnio widziała. - Wanda! Taak, ona ma łazienkę o jakiej marzę: wanna w podłodze, piękne krany, okno na całą ścianę. Ale co tam łazienka! Cały dom był jak reklamy najdroższego francuskiego wina.

Agata chcąc nie chcąc przypomniawszy sobie ostatnią wizytę u swojej dawnej koleżanki. - A przecież do cholery zaczynałyśmy razem! I jeszcze do tego jest ode mnie o dziesięć lat starsza! - Rozmyślała. - Razem prawie przez rok stałyśmy w Rembertowie. No tak, ale ja byłam sama a ona miała tego swojego Wacka, który miał ruchome ręce. Nie można było koło niego bezpiecznie przejść. Wanda nawet się śmiała, że mu to zostało z młodości. Opowiadała, że Wacek zaczynał od wyrywania torebek babciom na ulicy. Bogate musiały być te babcie, bo jak ich poznałam, to już mieli najlepszy towar, dom, syna. Akurat jak się mieli pobrać, to coś mnie podkusiło i wyjechałam. Idiotka! Miałam zostać i poznać jakiegoś amanta na ich weselu. Może bym nawet skończyła studia na AWFie - Agata rozmyślała patrząc bezmyślnie w telewizor.

Bardzo dobrze utkwiała jej w pamięci wizyta u Wandy. Liczyła na to, że Wanda jej pomoże. I owszem - zaproponowała pracę.

Wypiły kawę i Wanda oprowadzała Agatę po swoim domu. Agata już po pół godzinie miała dosyć. Nagle Wanda zatrzymała się przy dużym bukietcie anturium i powiedziała. - Wiesz co, jak nie masz roboty, to może się znajdzie coś u mnie. - O na przykład - wskazała ręką bukiet - co tydzień zamawiam w Vic-torii kwiaty. Ale znudziły mi się ich bukiety. Ty tak ładnie zawsze układałaś kwiaty. Jeżeli chcesz, to możesz układać bukiety w moim domu. Zawsze to jakiś zarobek, nie?

Agata myślała, że ją szlag trafi na miejscu. Pomyślała wtedy:

- No kurwa mać! Półtorej pani!

Jednak jakąś satysfakcję Agata miała z tej wizyty. Spostrzegła, że Wanda pije. I to sporo. Dowiedziała się, że jej kochany Wacuś ją zostawił i znalazł sobie inną babę. I to wcale nie taką młodą. Miał najnormalniej w świecie dosyć Wandy. Z tego wszystkiego Wanda się strasznie postarzała. Jej szanse na znalezienie sobie męża malały w postępie geometrycznym. Przez większość wizyty Wanda cały czas opowiadała o Jacku. Agata

na początku myślała, że chodzi o jakiegoś kochanka. Była bardzo zaskoczona, gdy się zorientowała, że Wanda opowiada o swoim synu. - No tak - pomyślała wtedy - jedyny facet, który jej słucha. Bo musi.

Agata dużo myślała o swoich szansach ustawienia się w życiu. Ten poznany w Stodole w zeszły piątek mężczyzna był bardzo interesujący. Wyszli razem i pojechali do jego domu nad jeziorem. Nawet nie było daleko. Budynek był jednym z kilkunastu na tym terenie. Nie były to takie brzydkie domki nad jeziorem jakie pamiętała sprzed wyjazdu z Polski.

Te były piękne, ze wspaniałymi ogrodami i podjazdami. Niektóre miały nawet własne pomosty na wodzie. Wyglądały zupełnie jak dzielnica w Holandii. I to bogata!

Prawie przed każdym domem, na furtce lub na parkanie - spostrzegła eleganckie tablice z nazwami firm. Głównie były to spółki z o.o. Mimo późnej pory, a właściwie nocy, w większości domów paliły się światła. Prawie nigdzie nie było zasłoniętych zasłon. - Też jak na zachodzie - pomyślała Agata. - O rany. Jak to się tutaj wszystko zmieniło. Ameryka na miejscu. Tylko sięgnąć ręką.

Dom, pod który podjechali, był położony bardziej w głębi ogrodu i przez to prezentował się bardziej okazale.

Wchodząc do środka Agata błyskawicznie oceniła bogactwo.

Wszystko było ekstra. Duży salon. Dwa razy taki jak jej całe mieszkanie. Kamienna posadzka. Na całej powierzchni rozrzucone skóry dzików i jeszcze jakichś plamiatych zwierzaków. Wielki kominek na środku pokoju. Taki kominek Agata widziała kiedyś w telewizji, gdy pokazywali wiejską posiadłość Dolly Parton. Duże palenisko w podłodze, osłonięte z czterech stron grubymi kryształowymi szybami.

Ale największą ozdobą były świetne, wiszące z sufitu na grubych linach wiklinowe fotele. Takie wielkie jaja przecięte na pół. Było ich chyba z pięć lub sześć.

Agata obawiała się, że Marian od razu będzie ją ciągnął do łóżka. Przez całą drogę jednak był spokojny. Już na miejscu, najpierw wypili po sporym i mocnym drinku, potem przez pół godziny rozmawiali prawie o niczym, a następnie razem przygotowali super kolację. Lodówka była zaopatrzona tak, że Agatę zatkało. Na półkach leżało pół luksusowego sklepu w Holandii. Bardzo luksusowego. Usmażyli różową polędwicę na grillu i świeże, duże jak pół dłoni krewetki. Nawet nie były mrożone, tylko takie, które sprzedaje się w jednorazowych małych lodówkach. Takich błękitno-białych kubekach, nie większych niż damska torebka. Agata podejrzewała, że droższy jest ten jednorazowy kubek niż same krewetki. Przygotowali sałatę po amerykańsku. Marian otworzył puszkę pasztetu z gęsich wątróbek z truflami. Agata pamiętała, że to kosztuje 50 dolarów.

Nawet długa, cienka, chrupiąca bagietka zapakowana była w oryginalną francuską biało-czerwono-granatową folię. Tylko drinki były typowo polskie, mocne - wódka z sokiem pomarańczowym. Po kolacji Marian rozpałił ogień na kominku. Siedzieli na skórach na podłodze i rozmawiali. Agata czuła, że jest mocno wstawiona. Towarzyszyło temu jeszcze coś, czego nie знаła. Była lekka i jakaś taka dziwnie rozbawiona. Rozmowa nie była już taka niewinna jak na początku. Marian zadawał jej całą masę pytań. Nawet bardzo intymnych. Tak ją to śmieszyło, że bez skrepowania opowiadała mu wszystko o czym chciał wiedzieć. Nigdy nikomu tyle o sobie nie opowiedziała, przyznała się do takich rzeczy, że gdyby był z policji, to szkoda nawet pomyśleć. Ale jak mu to wszystko opowiadała, to chichotała i wydawało jej się to wszystko strasznie śmieszne. Marian był świetnym słuchaczem.

Agata jeszcze takiego mężczyzny nie spotkała.

Później zasnęła. Dokładnie nie mogła sobie przypomnieć, ale chyba nie przespała się z nim. Rano czuła się jakoś dziwnie.

Inaczej niż na normalnym kacu. Ale nie miała czasu zastanawiać się nad tym.

Marian wcześniej rano, prawie o świcie odwiózł ją do domu. Ledwo zdążyła wziąć prysznic. Po drodze prawie się nie odzywał. Agacie to pasowało. Miała głowę jak z ołowiu. Wypełnioną watą. Chciała się położyć i spać. Spać przez tydzień.

Pod domem wysiadła. Już jak zamykała drzwi od jego peugeota nachylił się i powiedział - Zadzwoń do ciebie w tygodniu.

Agata już w windzie pomyślała, że przecież nie zapytał jej o numer telefonu.

Zadzwoił wczoraj późnym wieczorem. Umówił się z nią w swoim biurze na dzisiaj.

Teraz stała przed lustrem i ubierała się.

Założyła białą przezroczystą bluzkę koszulową. Pod spodem miała jedwabny kremowy też lekko przezroczysty topik. Na wąskie biodra wciągnęła szalenie krótką spódniczkę z czarnego jeansu. Delikatnie, żeby nie zahaczyć, włożyła cienkie jak mgiełka czarne rajstopy. -

Kiedy ja się w końcu nauczę ubierać w normalnej kolejności. -

Pomyślała męcząc się z podciągnięciem spódnicy. Pod rajstopami miała seksowne maleńkie jak pudełko zapalek majteczki.

Wypielęgnowane stopy wsunęła w czarne zamszowe, mocno wycięte z przodu pantofle. Bardzo wydłużały nogi. Pędzelkiem delikatnie nałożyła na usta trochę lśniącej pomadki Lancoma w kolorze jasnej czerwieni. Na koniec kryształowym korkiem perfum Samsara kilka razy dotknęła skóry za uszami, na dekolcie przy kostkach nóg i na przegubach rąk. Nigdy nie używała perfum w spreju. Uważała, że to im odbiera sporo magicznej siły. Twierdziła nawet, że jej perfumy tego nie lubią.

Ostatnie spojrzenie w lustro.

Potrząsnęła długimi pięknymi włosami i stwierdziła z satysfakcją, że wygląda doskonale. - Chemia czyni cuda - pomyślała.

Wyglądała na co najmniej pięć lat mniej niż miała. Założyła kremowy długi frencz. Był bajecznie drogi, ale to było widać. Tak młodo wyglądała nie tylko na twarzy. Miała świetną figurę. No może jedynym mankamentem były spadziste ramiona. Ale to umiejętnie tuszowała poduszkami w bluzkach i żakietach. Zresztą na to nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na świetny biust i obłędnie długie nogi.

Pod podany przez Mariana adres przyjechała z dwudziestominutowym spóźnieniem. Nie mogła tam trafić. Firma mieściła się w niepozornym, ale nowym parterowym budynku obok dużego, zniszczonego pawilonu magazynowego jakiejś fabryki. Na pierwszy rzut oka to wyglądało jak magazyny POM-u czy GS-u. Na rozległym placu, jak okiem sięgnąć stały nowiusieńkie traktory i inne maszyny. Agata nie znała się na tym zupełnie, ale chyba rolnicze. Chcąc zaparkować wjechała za niski budynek i aż zamrugła oczami. Przed nią stało chyba dwadzieścia, wielkich jak stado słońi, wozów strażackich. - Co do cholery straż pożarna czy co? - Wysiadła i podeszła bliżej. Gdyby nie to, że były bardzo duże to by wyglądały jak dziecięce zabawki. Były piękne, nowe, czerwone i lśniące. - A jak w tym roku nie będzie tyle pożarów? - pomyślała. Przeszła przez plac i weszła do budynku. Skierowała się do drzwi z napisem sekretariat. Pewnym krokiem weszła do środka. Za biurkiem siedziała sekretarka: duża, brzydka, cycata i ruda. Akurat piła kawę ze szklanki. Brzegi szklanki od wewnątrz oblepione były wyschniętą kawą. - O cholera! Wypisz, wymaluj kadrowa z milicji - pomyślała Agata. Zanim się odezwała szybko otaksowała sekretariat. Sprzęt, który tu stał robił zupełnie inne wrażenie niż cycata. Obok biurka na osobnym stoliku stał duży, ciemnoszary komputer IBM z drukarką, a za nimi dwa faxy i jeden telex. I jeszcze kilka takich kosmicznych sprzętów. - Ciekawe, czy ona potrafi obsługiwać tą podręczną elektrownię - pomyślała Agata i uśmiechnęła się promiennie,

bo "milicjantka" niechętnie zauważyła obecność intruza w sekretariacie. - No tak, pod tym względem to się w tym kraju nic nie zmieniło.

- Pani do kogo? - usłyszała Agata. Pomyślała. - O nie! Ona nie była kadrową w milicji. Ona była tam portierką. Dobrze, że nie spytała "czego!" Agata ponownie promiennie się uśmiechnęła i odpowiedziała głosem słodkiej idiotki: - Jestem umówiona z Marianem Blumszteinem. Celowo nie powiedziała "panem prezesem" "milicjantka" zmierzyła Agatę z góry do dołu i fuknęła: - Prezes zajęty, pani zaczeka. - Nie patrząc na Agatę wzięła do ręki szklanę z wczorajszą kawą i udawała, że nikogo nie ma. Agata tylko przez ułamek sekundy się zawahała. Pomyślała, żeby sobie dodać odwagi - ty głupia, stara jędzo - i oparła się swoimi pięknymi wypielęgnowanymi dłońmi o biurko. Nachyliła się tak mocno, żeby ta glista poczuła jej perfumy i wyraźnie, cedząc każde słowo powiedziała: - pani nie poczeka! - poczym pewnym krokiem przeszła obok bazy kosmicznej i jednym ruchem otworzyła drzwi z napisem "Prezes". Do środka weszła jednak z najpiękniejszym uśmiechem na ustach.

Marian siedział na brzegu dużego czarnego biurka i rozmawiał przez telefon. Na widok wchodzącej dziewczyny wykonał zapraszający ruch ręką. Nie przerwał rozmowy, tylko zakrył słuchawkę dłonią i powiedział - wejdz, wejdz proszę. Czekałem na ciebie. - Ruchem dłoni wskazał duży niski skórzany fotel naprzeciwko biurka.

Agata usiadła i założyła nogę na nogę. Spódnica podciągnęła się wysoko na uda. Marian przyglądał się jej z wyraźnym zadowoleniem, ale rozmowy nie przerwał. Bardzo władczym tonem opieprzał kogoś po drugiej stronie słuchawki i to zdrowo. - Już ci mówiłem w zeszłym tygodniu, że tego Mercedesa masz kupić w fabryce i nie na firmę, tylko na fundację! Za co ja ci do cholery płacę!! - Darł się w słuchawkę, ale od Agaty nie odrywał wzroku

- tydzień siedzisz w Monachium na mój koszt i nawet tego nie potrafisz załatwić. Jeżeli tego nie odkręcisz, to sam zapłacisz cło i podatek! I radzę ci się pospieszyć, bo przepisy celne zmieniają się w czwartek. Masz trzy dni na przekroczenie granicy!

Agata zwróciła uwagę na to, że to był raczej monolog. Po ostatnich słowach Marian nie czekając na odpowiedź wyłączył się. Nadusił przycisk interkomu - pani Basiu, jutro punktualnie o dziewiątej niech mnie pani połączy z Monachium, tylko nie z tym durniem, a z attache handlowym naszego konsulatu. A teraz proszę mnie z nikim nie łączyć. Z nikim! - Po czym uśmiechnął się do Agaty i zmieniając zupełnie ton powiedział.

- No nareszcie. Teraz mogę się zająć tylko tobą. - Wstał z biurka i nachylając się nad nią położył rękę na jej odsłoniętym udzie spojrzał głęboko w oczy i spytał. - Myślę że wypijesz drinka - nie czekając na odpowiedź podszedł do małej lodówki i wyjął oszronioną butelkę Smirnoffa.

- Nie dziękuję, jestem samochodem. - Wykorzystując moment, że Marian stał tyłem jednym wyćwiczonym ruchem ciała podsunęła spódnicę jeszcze wyżej. Zestawiła nogi razem i przysunęła do brzegu fotela. Wiedziała, że jak Marian się odwróci, to na wprost oczu będzie miał jej smukłe, piękne nogi.

Marian odwrócił się. W rękach trzymał dwie wysokie szklanki z drinkami.

Uśmiechnął się, uniósł brwi do góry i podchodząc do niej powiedział

- dobra jesteś, nie ma co, bardzo dobra! - Podał Agacie szklanę.

Widząc jej wahanie dodał - kierowca cię odwiezie.

Agata nie miała ochoty na te jego piorunujące drinki. Bardzo dobrze pamiętała poprzednie skutki picia tej jego mikstury. - A będzie mnie woził cały dzień? - Spytała żartobliwym tonem.

- Oczywiście. Jak sobie życzysz - nachylił się do interkomu i wydał krótkie polecenie - pani Basiu, proszę przywołać pana

Zenka. Niech czeka w sekretariacie, proszę mu dać dokumenty białego Poloneza.

- Ale ja żartowałam! ~- Agata prawie krzyknęła - była tak zaskoczona, że miała ochotę się natychmiast wycofać.

- A ja nie - podniósł w górę szklankę i dodał - no teraz możemy się napić po maluchu.

Agatę zawsze cechowała pewność siebie, jednak w jego obecności doznawała dziwnego uczucia niepokoju. Nie bardzo wiedziała, czego ten facet tak naprawdę od niej chce. To, że nie przespał się z nią tamtej nocy nad jeziorem, jeszcze pogłębiało ten niepokój.

- Nawet jeżeli jest impotentem to czegoś ode mnie chce! - myślała. - Przecież mu się podobam. No to co jest do cholery? I na co mnie szykuje? - rozmyślała wypijając ostrożnie mały łyk ze szklanki.

Marian ponownie przysiadł na rogu biurka i powiedział - Czy możesz tak jak siedzisz odwrócić się w moją stronę? - Agata pomyślała szybko - jaką ten facet prowadzi grę do cholery? - Ale tylko się uśmiechnęła i bez słowa zrobiła o co prosił.

- Mówiłaś mi ostatnio, że jesteś bez pracy - patrzył na nią tym swoim bazyliżkowym wzrokiem i uśmiechał się.

- Niestety nadal tak jest. - Upiła spory łyk ze szklanki i dodała szybko:

- Byle co mnie nie interesuje.

- Myślę, że to co ja mam ci do zaproponowania, będzie interesujące.

- Zamieszał długopisem lód w szklance i dodał:

- Będziesz pracować dla mnie.

Agata zwróciła uwagę, że powiedział "dla mnie", a nie "u mnie".

Uśmiechnęła się i spytała - czyżbyś miał zamiar wyrzucić tą okropną babę z sekretariatu?

- Ooo nie! - roześmiał się - ona posiada dwie zalety, których nie ma nawet taka wspaniała dziewczyna jak ty.

- Tak?! Ciekawe jakie? - Agata ponownie upiła trochę drinka i stwierdziła, że musi zastopować. Czowała, że już jest lekko wstawiona.

- Po pierwsze, jest tak brzydka, że nikt nie posądzi mnie o to, że z nią sypiam, a po drugie... Czemu nie pijesz, nie smakuje ci?!

- Ależ smakuje - wypła łyk i pomyślała, no trudno, znowu się upiję.

- A po drugie? - spytała.

- A po drugie konsekwentnie nikogo do mnie nie wpuszcza.

- O tak! O tym to miałam okazję sama się przekonać. Zresztą, nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałeś jej, że przyjdę. Zachowywała się w stosunku do mnie co najmniej bezczelnie! - Agata miała ochotę dopiec babie i dlatego to powiedziała.

- Wiem - na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek - to był dla ciebie test.

- Test?! Na co? - jej zdziwienie było szczere.

- Na inteligencję.

- Agata zatrzymała szklanekę w połowie drogi i szerzej otworzyła oczy, ale Marian nie odezwał się. Nadal uśmiechał się zagadkowo. Wyraźnie oczekiwał na to, co powie Agata.

- Acha! Czy mam rozumieć, że chciałeś sprawdzić, czy mi się uda obezwładnić tego szympansa w sekretariacie? Sporo ryzykowałeś. Mogłam ją zabić. - Marian roześmiał się. I powiedział - dobrze myślisz. A za to, że udało ci się tu wejść bez rozlewu krwi, to w nagrodę pijesz ze mną drinka. - Nachylił się mocno do przodu, położył dłoń na kolanie Agaty i dodał już bez uśmiechu - pamiętaj kotku, że wszystko w życiu możesz otworzyć: wszystkie drzwi, wszystkie serca, wszystkie samochody. Każdemu można otworzyć usta. Jednego tylko się nie da... Tylko parasola w dupie nie otworzysz.

Agata patrzyła na Mariana i starała się, żeby w jej oczach pojawił się podziw. Nie było to wcale proste, bo pomyślała: - On jest chyba ździebko świrnięty. - Odpowiedziała jednak - no to jakie drzwi mam teraz dla ciebie otworzyć?

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Przyglądał się jej tym swoim lodowatym wzrokiem zza okularów. W końcu powiedział

- widzę, że nie pomyliłem się co do ciebie. Jesteś i inteligentna i cwana. - Zawiesił na chwilę głos i dodał - będziesz pracować w telewizji.

Agacie poprzedniej nocy śniło się gówno. Przeczytała kiedyś w starym senniku, że to wróży powodzenie. Sen może niezbyt przyjemny, ale co tam!!

- Żartujesz sobie ze mnie? - pociągnęła spory łyk ze szklanki.

- Wcale nie. Posiadasz kilka zalet, których nawet moja sekretarka nie posiada - ponownie wpadł w żartobliwy ton.

- Ciekawe jakie? - Agata też przyjęła ten ton. Pomyślała, że już wie co ją w tym facecie tak rozdrażnia. Właśnie sposób odpowiadania na pytania. I nie znoszący sprzeciwu ton głosu. Nawet gdy się uśmiechał, czy wprowadzał ten żartobliwy ale protekcyjny ton.

- Jakie? - powtórzył jej pytanie. - Ty dobrze wiesz jakie. Ale skoro chcesz usłyszeć komplementy, to powiem ci na razie trzy. Po pierwsze - jesteś cholernie atrakcyjna i jeżeli nadal tak umiejętnie będziesz unikać sekretarek to żaden prezes, czy dyrektor ci się nie oprze. Po drugie - nikt ciebie w Warszawie nie zna. Z tego co mi opowiadałaś to przez parę lat byłaś w Holandii. Zresztą musisz wiedzieć, że sprawdziłem to. Okazało się prawdą. - Agacie dreszcz przeleciał po plecach na myśl o tym co mu jeszcze naopowiadała tamtej nocy. A po trzecie i najważniejsze jesteś przebojowa. O czym zdążyliśmy się parę razy oboje przekonać.

- Jeszcze przed chwilą nazywałaś to inteligencją.

- Właśnie o tym mówię. Ja właśnie to nazywam inteligencją.

- Ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem. - Pierwszy raz przekonałem się o twojej przebojowości w Stodole. Przypomnij sobie, że to ty mnie zaczepiłaś. Gdybyś była kurwą, to rozumiem, ale nią nie jesteś. Już to wymagało sporej przebojowości. A kiedy już poczułaś się pewnie przy barze, to spodobał ci się taki młody byczek. Miałaś ochotę poderwać i mnie i jego. Mnie

dla forsy jego do łóżka. Nie przejmuj się, nie ty jedna tak robisz. Tylko większość kobiet dla zdobycia jednego i drugiego traci więcej czasu. Ty nie. I uwierz mi, to mi się w tobie wtedy spodobało. - Marian mówiąc ten monolog, cały czas uśmiechał się do Agaty, ale oczy miał lodowate.

W momencie, w którym wspomniał o byczku Agata przypomniała sobie to wzrokowe porozumienie w lustrze. - Cholera, jak mogłam o tym zapomnieć. Będę musiała pojechać do Stodoły i popytać barmanów może ktoś go zna. - Spojrzała na Mariana i pomyślała. Jak to dobrze, że mi przypomniałeś! Nie będziesz mi pająku mówił z kim mam sypiać. - I nagle olśnienie! Agata już wiedziała co ją tak mroziło w tym facecie. Nie seks. O nie!! Marian był podobny do pająka! Nawet z wyglądu. Ale to był drobiazg. On tego pająka miał w sobie! - Jak by się za chwilę okazało, że ma osiem rąk, to bym się wcale nie zdziwiła! A z tych ośmiu właśnie czterema gmera mi w mózgu! - Trochę się wystraszyła, ale z drugiej strony pokusa była tak wielka! Pracować w telewizji!

- A niech sobie będzie pająkiem - pomyślała. - Jak tak bardzo mu zależy to się podporządkuję. To jest jasne, że coś za coś. Teraz takie czasy. Każdy biedny musi mieć swojego sponsora. To jest oczywiste, że jak się chce do czegoś dojść, to trzeba czasami dać się sprzedać. Czasami donosić, a innym razem zrobić mądrzejsze świństwo.

Wszystko zależy za ile ...

- Co mówiłeś? - spytała, była tak zajęta swoimi myślami, że nawet nie zauważyła kiedy zrobił następnego drinka. I chyba coś do niej mówił.

- Pytałem o czym myślisz.

- Jak to o czym? O twojej rewelacyjnej propozycji.

- Acha! To dobrze. Odniosłem wrażenie, że jesteś bardzo daleko.

- Nie, nie. Po prostu jestem bardzo zaskoczona - powiedziała, ale pomyślała - w dupie mam twoje wrażenie i tak nigdy się nie dowiesz co naprawdę myślę.

- To dobrze. Pensja w telewizji oficjalnie nie będzie wysoka. Ale postanowiłem, że tak będzie bezpieczniej. Prawdziwe pieniądze będziesz dostawać ode mnie.

- A czy mogę się już teraz dowiedzieć co tam będę robiła?

- Pytasz o stanowisko, czy o to co będziesz robiła dla mnie?

- Oczywiście, że o stanowisko. To co będę robiła dla ciebie jest dla mnie jasne - odpowiedziała zdecydowanie.

Marian przez chwilę zastanowił się - będziesz głównym konsultantem do spraw związanych z nawiązywaniem kontaktów z zagranicą. W nowym dopiero co powstającym dziale telewizji.

- W jakim dziale? - Postanowiła skonkretyzować swoją radość.

- W dziale reklamy - odpowiedział krótko. Agacie o mało szklanka nie wypadła z ręki. Teraz to ona

miała ochotę się napić. W odpowiedzi podała Marianowi szklanekę.

Powiedziała - nalej mi jeszcze jednego fikołka. - Oparła się

wygodnie o oparcie fotela i pomyślała - Wiedziałam, że chcesz moją skórę, ale nie pomyślałam o tym, że wolisz ją odstąpić komu innemu.

Pajączku!

Patrzyła jak szykuje drinki. Marian nie odwracając się w jej stronę rzucił przez ramię:

-1 jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze już niedługo pojedziesz za granicę w pewne miejsce. I to cię bardzo ucieszy. A to drugie ucieszy mnie. Pamiętaj, żebyś nigdy nikomu nie mówiła, że mnie znasz. -

Odwrócił się i powtórzył.

- Pamiętaj! Nigdy nikomu!

Rozdział 11

Agata wprawdzie ani razu nie przespała się z Marianem Blumszteinem, ale to co się wokół niej działo od momentu poznania go przechodziło nawet jej najśmielsze oczekiwania.

Jeszcze zanim podjęła pracę w telewizji spotkały ją dwie fantastyczne niespodzianki. Pierwszą było śliczne nowe autko. Biały Peugeot 405 na jej nazwisko. Musiała tylko podpisać jedną kartkę papieru. Prawie pustą. Na wstępie miała tylko napisać "Umowa kupna - sprzedaży" i podpisać na dole.

Poza tym cała kartka była pusta.

Drugi prezent też był jak z bajki. Dwutygodniowy wyjazd do Szwajcarii. Celem tego pobytu była bardzo luksusowa klinika.

Jeszcze niedawno nie odważyłaby się starać nawet o pracę sprzątaczką w takim miejscu.

Kiedy tam przyjechała, lekarz, który na nią czekał wiedział dobrze co ma zrobić.

Agata w żaden sposób nie mogła się dowiedzieć ile kosztowała operacja plastyczna, którą jej Marian zafundował. Ponieważ fakt ten był owiany taką tajemnicą, podejrzewała, że jednak sporo.

Drugim powodem tego, że tak myślała były efekty tego zabiegu.

Delikatnie mówiąc piorunujące. Wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

W ostatni dzień pobytu w klinice lekarz, który ją przyjmował i wykonywał zabieg, zaprosił ją do siebie do prywatnego gabinetu.

Jej niemiecki był bardzo słaby, ale polski lekarza jeszcze gorszy. Mimo to, to co było najważniejsze zrozumiała. A najważniejsze dla doktora było to, żeby Herr Blumsztein był zadowolony z wykonania zlecenia.

- Cholera, on o mojej twarzy mówi jak o butach u szewca -pomyślała, rozglądając się po sterylnym jak sala operacyjna gabinecie.

Utrzymanym w szaro-błękitnej tonacji epoki lodowcowej. Jednym uchem wpuszczała, a drugim wypuszczała to co do niej mówił.

Ożywiła się bardzo w momencie, w którym wyjął plik dolarów.

Spojrzała zdziwiona.

Udał, że nie dostrzega zdziwienia na jej nowej twarzy. Przed nią, na brzegu biurka pięć sztapelków pieniędzy. Na wierzchu każdego była setka. Na banderolach, którymi były owinięte Agata wyraźnie widziała trzy zera. Nadal nie ukrywała zdziwienia, a ten zimnokrwisty jak jaskiniowa ryba facet nadal udawał, że tego nie widzi. Dopiero jak położył ostatni tysiąc wyjaśnił, że to są pieniądze od Herr Blumszteina. Herr Blumsztein kazał, żeby mademoiselle Agata jutro pojechała do najlepszych butików i się ubrała. Kazał, żeby kupiła suknie, buty, torebkę. Wszystko pod kolor. - Wyjaśniał skrupulatnie. - Ach! Herr Blumsztein, nie kazał żeby mademoiselle kupowała brązowy kolor.

- Gdyby nie ta forsa przede mną na biurku to bym pomyślała, że robi sobie ze mnie jaja - pomyślała.

Mówił coś jeszcze, ale Agata schowała pieniądze do kieszeni szpitalnego błękitnego szlafroka i myślała już o tym co sobie jutro kupi. "Ryba" zorientował się, że nie jest słuchany, lekko podniesionym tonem przywołał ją do porządku. Agata uśmiechnęła się przepraszająco, ale niestety trochę za mocno. Aż się skrzywiła z bólu. Poczowała bowiem gwałtownie przeszywający ból za uszami i na karku.

Teraz dopiero "ryba" się ożywił. Wyraźnie dając jej do odczucia swoje niezadowolenie, wyjaśnił mentorskim tonem zasady

działania mięśni twarzy i szyi. Słyszała to od niego już ze sto razy. Tym samym tonem dodał, że jutro do miasta zawiezie ją limuzyną z kliniki. Będzie woził ich kierowca. Zawiezie ją do wybranych sklepów: - Cholera, dla niego limuzyny to pewnie karetka, tyle, że bez wariata na dachu - myślała kiwając głową na znak, że wszystko jest jasne.

- Herr Blumsztein kazał, żeby nie przejść tej kwoty pięciu tysięcy. To wszystko. Przyjemnej nocy. - Pochylił się nad papierami. Nawet nie wstał, żeby się z nią pożegnać. Ale Agata miała go gdzieś. Wyszła w świetnym nastroju.

Pod drzwiami gabinetu czekała na nią pielęgniarka. Ta sama, która opiekowała się nią od pierwszego dnia pobytu w klinice. Poza słowami "proszę zrobić w toalecie", "proszę zjeść", "proszę spać" mówionymi po niemiecku nie odzywała się do Agaty. Ale za to nie odstępowała jej na krok. Agata nie cierpiała tej baby od samego początku.

Nie przejmowała się tym jednak. W końcu nie po to przyjechała do tej kliniki w Szwajcarii, żeby lubić czy nie lubić jakąś pigułkę. Poszły do pokoju. Agata szła z rękoma w kieszeniach szlafroka za nią podążał nieodłączny cerber.

Już w pokoju Agata wygodnie rozparła się w dużym fotelu. Obserwowała jak pielęgniarka perfekcyjnie przygotowuje jej łóżko. Była w świetnym humorze. I coś ją napadło. Powiedziała po polsku na cały głos: - A widzisz stara zgrebo. Ja jutro wyjadę, młoda i piękna, a ty tu zostaniesz i do końca życia będziesz poprawiać wyra i wynosić nocniki. O! - tak sobie powiedziała i włączyła pilotem telewizor. Pielęgniarka nawet się nie odwróciła. Spokojnie skończyła przygotowywać łóżko i poszła do łazienki. Agata słyszała, jak leci woda do warmy, ale nie zwracała na to uwagi. Wiedziała, że temperatura kąpieli będzie dokładnie taka jak co dzień przez cały tydzień. Mieszanka

płynów do kąpieli też. Spokojnie oglądała telewizję. Usłyszała tylko jak tamta stanęła obok i tym swoim twardym niemieckim powiedziała: - Kąpiel osiem minut - i wyszła, bezszelestnie zamykając drzwi.

Agata wykąpała się zgodnie z instrukcją. Niezgodnie z instrukcją długo nie mogła zasnąć. Była strasznie podniecona jutrzejszą wyprawą po ciuchy. W końcu mieszanka kąpielowa zadziałała. Zasypiała z przecudownym uczuciem zapadania się. Zasypiała, zasypiała i zasnęła.

Coś jej się musiało jednak złego śnić, bo przebudziła się gwałtownie. Szeroko otworzyła oczy. Bardziej ze zdziwieniem, ale trochę i z przerażeniem ujrzała siedzącą naprzeciwko przy łóżku dużą postać. Jeszcze bardziej zdziwiona stwierdziła, że to nikt inny, tylko jej pielęgniarzki cerber. Agata trochę uspokojona pomyślała, że jednak nadal śni. W jasnym, błękitnym świetle księżycy pielęgniarzka wyglądała niesamowicie. To była wprawdzie ona, ale jakaś inna. Była umalowana! Miała długie do ramion, starannie uczesane w elegancką fryzurę włosy. A przez dwa tygodnie nosiła kitkę. Wszystkie włosy zawsze były gładko zaczesane pod czepek. Teraz nie ma ani śladu czepka. I miała na sobie czarne futro z norek! Agata patrzyła na to futro i była zaskoczona nim bardziej, niż gdyby pigułka siedziała goła i miała nawet trzy piersi z przodu. Agata patrzyła na to futro i pomyślała, że nie na darmo nazywają te norki diamentowymi. We wpadającej przez okno srebrzystej poświacie księżycy iskrzyły się jak brylanty. Oderwała oczy od futra i nieśmiało spojrzała na twarz pielęgniarzki.

Już wiedziała, że to jest jawa, że nie śpi, bo poczuła zapach perfum. Pielęgniarzka lekko przechyliła głowę w bok i przyglądała się Agacie. Uśmiechała się przy tym jadownicie.

Agata uniosła się szybko na łokciach i już chciała wrzasnąć na nią, ale nie zdążyła. Usłyszała wyraźnie po polsku wypowia-

dane słowa - Posłuchaj wszawa kurewko! Ja tu, owszem, zostanę, ale ty tu już nie wrócisz. A za dwa lata będziesz wyglądała jak pięćdziesięcioletnia baba. Puszczą ci szwy! Będziesz stara! - Agacie oczy zrobiły się jeszcze większe. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. - Co tak rozszerzasz te gały! - pielęgniarka roześmiała się głucho i wysyczała - to ja się o to postarałam, żebyś ty za dwa lata wyglądała jak stara zgreda. - Na chwilę zawiesiła głos. Wodziła wzrokiem po twarzy Agaty. Agata poczuła się zupełnie tak jakby ją żmija lizła rozwidlonym językiem. Gwałtownie potrząsnęła głową jakby chciała ją strącić. - Uspokój się głupia dziwko - wysyczała pielęgniarka. - Jak będziesz się już teraz rzucać to zaraz ci puszczą i tak cię jutro wypuścimy. -Bardzo zaakcentowała słowo "wypuścimy".

Nagle z korytarza doszły odgłosy cichej rozmowy.

Agata z widoczną nadzieją w oczach spojrzała na drzwi.

Pielęgniarka popatrzyła na nią z politowaniem - ależ ty jesteś głupia.

- W jej głosie oprócz politowania była wyrażona pogarda. Powoli wstała. W jej zachowaniu było coś takiego, że musiał nastąpić jeszcze jeden atak.

Nachyliła się nad Agatą i wypielegnowaną dłonią chwyciła Agatę pod brodę. Chwył był kleszczowy. Odwróciła twarz Agaty najpierw w lewo później w prawo, dokładnie ją przy tym oglądając.

Przybliżyła swoją twarz. Agata aż wcisnęła się z całej siły w poduszkę. Wstrzymała oddech.

- Co się tak boisz? Nic ci nie zrobię. Ale to co ci powiem, będzie dla ciebie gorsze niż gdybym ci podcięła wszystkie szwy.

Należysz do tej kategorii głupich kobiet na świecie, które już do końca życia nie zaznają spokoju. Nigdy już nie pogodzisz się z myślą o starości!

Zawiesiła na chwilę głos i dodała - szatan w końcu znalazł sposób na ludzi. Tyle, że był durniem, od początku zamiast tego starucha Fausta powinen był wybrać kobietę, poszłoby mu to wszystko dużo szybciej. Ale i tak nic straconego. - Zawiesiła na

chwilę głos i przybierając teatralną pozę powiedziała po niemiecku -
Verweile doch! du bist so schön!*

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi. Futro, które miała na sobie było prawie do ziemi. Agata spostrzegła na jej nogach fioletowe szpilki na srebrnych obcasach. Pomyślała, że jednak jej się to wszystko śni - Jaki Faust do cholery! O co chodzi? - nic z tego nie rozumiała.

Pielęgniarka z ręką na klamce otwartych już drzwi odwróciła się jeszcze i spokojnym, bardzo pewnym siebie głosem dodała, odwracając tylko głowę w stronę łóżka - Nazywam się Maria Bluma. Mówię ci to, bo jesteś za głupia, żeby pewne fakty skojarzyć. - i wyszła bezszelestnie zamykając drzwi.

Agata wpatrywała się w te drzwi jeszcze przez chwilę. Nadal leżała jak sparaliżowana. Po kilku sekundach w kompletnej ciszy nocy usłyszała gardłowy śmiech dyrektora kliniki i Marii Bluma. Głosy oddalały się od jej pokoju. W głąb korytarza.

Już się nie zastanawiała czy to sen czy jawa. Wyskoczyła z łóżka. Boso, na palcach podeszła do drzwi i powolutku uchyliła je.

Korytarz był pusty. Na końcu korytarza w ostatniej chwili spostrzegła zamykane drzwi. To były drzwi prywatnego gabinetu dyrektora szpitala. Agata długo się nie zastanawiała. Na palcach przebiegła korytarz. Rozejrzała się. Cisza jak makiem zasiał.

Przytuliła ucho do drzwi. Ale niestety nic, kompletnie nic nie było słychać. Rozejrzała się. Obok była łazienka do specjalnych kąpieli. - O Boże, żeby było otwarte! - pomyślała i pchnęła wahadłowe drzwi - ale jestem kretynka, - pomyślała rozglądając się po wykafelkowanej po sufit łaźni - przecież w Szwajcarii nic się nie zamyka.

Duże na całą ścianę okno, było tak zamknięte, że nawet nie miała co próbować. Jedyne otworem, był przewód wentylacyjny osłonięty aluminiową siatką. Stała na brzegu wanny i zaczęła nasłuchiwać. Miała rację. Jak przez watę usłyszała roz-

"Chwilo, trwaj! jesteś tak piękna" - słowa wypowiedziane przez Fausta.

"Faust" Goethego

mowę. Niestety nie na tyle wyraźnie, żeby rozróżnić słowa. Ale rozróżniła głos Marii Bluma i dyrektora szpitala. Rozmawiali z ożywieniem.

Rozejrzała się z nadzieją, że coś znajdzie do podsłuchania. Ale nic takiego nie było. Nagle jej wzrok padł na rurę do robienia podwodnego ciśnieniowego masażu. Bez trudu ją odkręciła. - Jak to dobrze, że są kopnięci na punkcie jednorazówek - pomyślała. Weszła ponownie na brzeg wanny. Siatka też dała się otworzyć od razu.

Powoli, delikatnie wsunęła rurę w przewód wentylacyjny.

Przyłożyła drugi koniec do ucha i aż podskoczyła. O mało co nie spadła z wanny. Usłyszała głosy tak wyraźnie jakby siedziała z nimi w pokoju. Rozmawiali po polsku! i "ryba głębinowa" wcale nie łamał języka. Mówił zupełnie normalnie!

- Myślisz, że dobrze zrobiłaś? - usłyszała.

- Och! Jest mi to obojętne! Zresztą nigdy bym nie naraziła Mariana. Ona jest tak głupia, że nie jest w stanie wszystkiego skojarzyć.

- A jak się dowie więcej? - w głosie "ryby" była wyraźna obawa.

- Co się dowie? Gdzie? - głos futrzastej piguły był pewien siebie - nie martw się. Marian dobrze wie kogo nam przysyła. Jeszcze się nigdy nie pomylił. - Agata poczuła zapach papierosów. - A poza tym jak dostała tą forszę na ciuchy, to jutro zwariuje. I tak jak zawsze ... nawet nie zwróci uwagi na ... Ojej, uważaj. Nie tutaj! - Agata usłyszała jak piguła roześmiała się. Dobrze wiedziała co teraz robią. - Cholera! Że też akurat w tym momencie musiał jej włożyć łapę pod spódnicę. - O co chodzi! Na co nie zwrócę uwagi! Czekać, już ja jutro na wszystko zwrócę uwagę. Przez chwilę jeszcze posłuchała mając nadzieję, że może piguła nie będzie miała ochoty na figle i odgoni "rybę". Ale nie. Po odgłosach stwierdziła, że miała ochotę i to sporą. Po cichu wyjęła rurę z otworu wentylacyjnego, zeszła z wanny i założyła

rurę przy ciśnieniomierzu. Błyskawicznie się rozejrzała czy wszystko w porządku. W ostatniej chwili spostrzegła otwartą kratkę przewodu wentylacyjnego - o rany, ale bym narobiła! -weszła na wannę i zamknęła osłaniającą kratkę. Przez chwilę nasłuchiwała pod drzwiami. Ale nie usłyszała niczego niepokojącego. Uchyliła drzwi i nawet nie oglądając się za siebie jak strzała przebiegła korytarz. Wpadła do swojego pokoju i wskoczyła do łóżka. Przykryła się po samą szyję. Sprawdziła wzrokiem wszystkie kąty. Bała się, że z któregoś wynurzy się duża postać w drogim futrze. Ale nie. Nic takiego się nie stało.

Już świtało gdy zasnęła.

Ostatnią myślą przed zaśnięciem była niezbyt przyjemna refleksja, że sama jest sobie winna.

Przez to, że stała się w ciągu kilku godzin o ładnych parę lat młodsza zapomniała o swojej podstawowej zasadzie. Regule, dzięki której parę razy w życiu udało jej się uniknąć mniejszych lub większych kłopotów.

Zawsze, ale to zawsze o niej pamiętała! W nowych okolicznościach należy najpierw sprawdzić kto z kim sypia. I tym razem też się sprawdziło: - Gdybym to wiedziała, to pewnie bym nie dała się tak wyprowadzić na lewe sanki. No, ale już wiem ... -pomyślała i zasnęła.

Obudziła się rano już lekko podenerwowana. Czujnie rozglądnęła się po pokoju. Nic nie wskazywało na to, że coś się tej nocy tu działo. Wstała i spojrzała w lustro. Nic się nie zmieniło. Przez chwilę z uwielbieniem wpatrywała się w swoje odbicie. Spostrzegła w lustrze, że otwierają się drzwi. Zamarła na chwilę, ale z tacą ze śniadaniem weszła do pokoju inna pielęgniarzka. Była trochę podobna do Marii Bluma. Agata przezornie nie odezwała się ani słowem. Szybko zjadła śniadanie. Takie samo jak co dzień. Dwie filiżanki kawy z mlekiem i dwie grzanki z dżemem cytry-

nowym. Wskoczyła w jeansy, przeczesła szczotką włosy. Zapinając przed lustrem błękitną męską koszulę przez chwilę przyglądała się swoim piersiom. Pomyślała, że można by było tak je powiększyć do dużej trójki.

Ponownie weszła pielęgniarka. Powoli po niemiecku powiedziała, że samochód czeka. Wzięła torbę Agaty i razem wyszły z pokoju.

Na podjeździe przed kliniką stał biały Rols-Roys. Przy drzwiach czekał kierowca. Gdy tylko Agata pojawiła się na progu szklanych drzwi, otworzył drzwiczki od strony pasażera. Zatrzymała się na chwilę z powątpiewaniem, ale wyraźnie patrzył na nią. Aby jednak uniknąć rozczarowania, odwróciła się za siebie, czy ktoś za nią nie stoi. Nikogo nie było. Krokiem pełnym energii i zadowolenia podeszła do otwartych drzwi i wsiadła. Kierowca zamknął drzwi.

Poczuła jak biała skóra obicia siedzenia łagodnie dostosowuje się do jej ciała. - O rany! Boże spraw, żeby to nie był sen - pomyślała.

Nawet nie spostrzegła jak przejechali przez ulice miasta. Nie interesowało jej to. Zajęta była swoimi myślami. Myślami o sobie. Samochód zatrzymał się. Spojrzała przez szybę. Stali przed butikiem Yves Saint Laurent. Widząc, że kierowca wysiada, poczekała, aż otworzy przed nią drzwi. Nie omyliła się. Trochę była jednak zaskoczona gdy wszedł za nią do sklepu. Zatrzymał się jednak po prawej stronie wejścia, przy ogromnej palmie i stanął na baczność. Zaraz o nim zapomniała. Samym sklepem była oszołomiona. Nie mogła wręcz oderwać oczu od niebieskiej sukni fantazyjnie wiszącej na samym środku sklepu.

Suknia poruszyła się pod wpływem wiatru. Nie było ani stojaka, ani manekina, ani niczego na czym mogła by się trzymać, a jednak unosiła się metr nad ziemią. Nieodparcie koja-

rzyła się ze złotą rybką welonem w akwarium. Kreacja miała nieziemski niebiesko-złoty kolor.

Zupełnie tak jakby w disnejowskim filmie dobra wróżka szczęśliwym gestem rozsypała po niebie okruchy złota.

Zachwyt Agaty został przerwany pytaniem. Spojrzała w bok. Obok niej stała elegancka kobieta koło czterdziestki. Spytała po niemiecku czy może w czymś pomóc. Jej wzrok bardzo wnikliwie błędził po twarzy Agaty. Agata zanim odpowiedziała pomyślała, że tamta dobrze wie ile kosztowała jej operacja. Widocznie stwierdziła, że drogo, bo uśmiechnęła się przymilnie i wyczekująco. Agata w odpowiedzi też się uśmiechnęła. Ponieważ jednak zastosowała się do instrukcji, na jej twarzy wypadło to bardziej jak grymas. Swoją łamaną niemczyzną wydukała, że chce kupić buty, torebkę, suknie. Koniecznie chciała powiedzieć, że także kostium, ale nie mogła sobie przypomnieć jak to jest po niemiecku. Rozejrzała się po sklepie. Wszystkie ciuchy wisiały za wielkimi szybami. Nie dostrzegła, gdzie wiszą kostiumy. Ekspedientka nadal stała i wyczekująco uśmiechała się.

Wzrok Agaty zatrzymał się na niej i w tym samym momencie spostrzegła, że właśnie ona ubrana jest w czerwony kostium, dokładnie taki o jaki jej chodziło. Zadowolona z tego odkrycia prawie krzyknęła po niemiecku wskazując palcem na żakiet.

- O taki, nie suknia, tylko góra i spódnica! - Jednak widocznie w prawdziwym niemieckim góra i spódnica znaczyło zupełnie coś innego, bo eleganckie i dokładne jak zakręt na autostradzie brwi uniosły się lekko i wygięły w zakręt na skrzyżowaniu.

Widząc taką reakcję, Agata trochę się zdenerwowała i chwyciła palcami połą żakietu lekko nią przy tym szarpiąc.

Ekspedientka natychmiast zrobiła krok do tyłu. Uśmiech zniknął z jej perfekcyjnej twarzy.

Na to jak spod ziemi wyrósł kierowca, który cały czas nie spuszczał wzroku z rozgrywającej się sceny. Zwrócił się do ekspedientki i wytłumaczył coś łagodnie. Agata nie zrozumiała co.

Szykowna blondynka ze zrozumieniem kiwnęła głową. Służbowy uśmiech wrócił na jej twarz.

Agata wybierała ciuchy przeszło dwie godziny. Trzy, podobne do siebie i ubrane w takie same czerwone kostiumy, ekspedientki, nie odstępowały jej ani na krok. Były perfekcyjne. Dokładnie wiedziały o co Agacie chodzi.

Wszystko, na czym choć na chwilę zatrzymała wzrok, natychmiast zostawało przynoszone do klimatyzowanej przymierzalni.

Przechadzając się drugi czy trzeci raz po sklepie dostrzegła pilnie śledzący ją wzrok stojącego na baczność przy drzwiach kierowcy Rols-Roysa. - Pewnie patrzy czy czegoś znowu nie wywinę - pomyślała. Ale nie zmartwiło jej to wcale. Była tak szczęśliwa, że miała ochotę skakać, ale nie wypadało.

Już miała wejść ponownie do garderoby, gdy wzrok jej padł na futro z gronostajów. Młoda ładna dziewczyna bez wahania podała jej futro. Nie weszła do pomieszczenia. Przymierzyła je w sklepie. Skorzystała z ogromnego lustra na środku sklepu. Głaszcząc pieszczotliwie kołnierz i przyglądając się swojemu dwudziestopięcioletniemu odbiciu w lustrze przypomniawszy sobie nocny incydent. Zastanowiła się przez chwilę i podjęła decyzję! Postanowiła, że to był sen! No skąd niby zwykła pigułka wzięta w Szwajcarii dwadzieścia tysięcy dolarów na futro? No tak, ale zapach perfum! - zastanowiła się. - Eee tam. W jednym egipskim senniku wyczytała, że zapach może się przyśnić. Nawet zapamiętała to hasło, bo oznaczało namiętność, miłość. Tej samej młodej ekspedientce oddała futro.

Przymierzała sukienki, buty, kostiumy z lekkim niepokojem, że nigdzie nie ma ceny. Postanowiła się tym zupełnie nie przejmować. W razie czego, będzie się martwić przy płaceniu rachunku.

Wiedziała, że kostium w takim sklepie nie będzie kosztował mniej niż 1000 dolarów, buty około 400, suknie też około 1000. - Jakoś to będzie - pomyślała. W końcu wybrała piękny kostium w błękitnym kolorze. Mocno wcięty w pasie z

obłądnie krótką spódniczką. Do tego po półgodzinnym przymierzaniu wybrała w końcu granatową bluzkę. Z cienkiego jak mgła batystu, z żabotem lamowanym wrzosowym jedwabiem. Do kompletu przyniesiono sześć par szpilek w dokładnie takim kolorze jak kostium. Bez wahania zdecydowała się na błękitne szpilki z licowej, matowej skórki. Najpiękniejszy w tych butach był obcas. Cały z drobnych trójkątnych lustreczek.

- Nie będzie faceta, który nie spojrzy na moje nogi - myślała oglądając pantofle. - Że też ktoś na świecie wymyśla takie cuda - zdziwiła się. Oczywiście do kompletu zdecydowała się na śliczną, małą, błękitną torebkę. Pasek torebki składał się z takich samych misternie ułożonych lustreczek jak obcasy butów tyle, że trochę mniejszych.

Wybrała też suknię z surowego jedwabiu w kolorze ecru. Suknia leżała jak marzenie, a co ważne miała głęboki dekolt. Trzymała się na cieniutkich jak niteczka naramkach z perełek. Była tak piękna, że gdyby Marilyn Monroe żyła, to z pewnością poszłaby w niej na przyjęcie do Białego Domu. Do tego cudeńka Agata wybrała czerwone pantofle bez pięty też z surowego jedwabiu. Na nogach wyglądały jak sam obcas i nic więcej. Dwa paski z przodu z przezroczystej masy perłowej sprawiały wrażenie łusek. Agata nawet się przez chwilę zastanawiała nad ich kupnem. Te buty to było dzieło sztuki. A dzieła sztuki nie kosztują 100 czy 200 dolarów. Ale nie mogła się im oprzeć. I nie chciała. Do tego wybrała skromną, czerwoną, małą torebkę również z surowego jedwabiu.

Na koniec musiała wybrać coś na co dzień. Była to biała bluzka. Zwykła ponadczasowa jedwabna o fasonie koszuli męskiej. Na plecach miała jednak haftowany matowymi nićmi duży napis YSL. Myślała o dzinsach do tego, ale nie miała odwagi zapytać. Obawiała się ośmieszyć, tak jak z tym czerwonym kostiumem, który okazał się służbowym uniformem ekspedientek w butik.

Wybrała więc szerokie czarne spodnie z chińskiego jedwabiu. Na wysokim pasie, bardzo podkreślającym wcięcie i wydłużającym nogi.

Młoda ekspedientka przyniosła jej zamszowe czółenka na płaskim obcasie. Agata tylko zmarszczyła nos i już ani butów, ani ekspedientki nie było.

Inna ekspedientka, pilnie obserwująca zachowanie klientki, natychmiast wyjęła ze sterty pudełek czarne zamszowe szpilki z symilkowym napisem YSL na pięcie. Agata zadowolona, siedząc na fotelu, podniosła nogę do góry i oglądając but w lustrze kiwnęła z aprobatą głową.

Po dwóch godzinach poczuła się piekielnie zmęczona. Wyszła z przymierzami i rozejrzała się. Zdecydowała się usiąść i odpocząć. Jej wzrok padł na barokową kanapę, która wraz z resztą mebli: stolikiem i fotelami tworzyła mały salonik w rogu sklepu. Usiadła na złoconej kanapie i z przyjemnością zapadła się w nią. Napięcie i niekłamane podniecenie związane z wybieraniem ciuchów opadło. Nagle poczuła się śpiąca. Na zaproponowaną jej kolejną kawę pokiwała przecząco głową.

W garderobie, przymierzając kolejne ciuchy wypięła już trzy i teraz musiała iść do toalety. Odwróciła się, szukając ubikacji i spostrzegła dwie ekspedientki ustawiające piramidę pudeł przed kierownicą. Zrozumiała, że czas płacić, a toalety nigdzie nie było. - No trudno - pomyślała, odwracając się z powrotem. Trochę zdziwiona, spojrzała na stojącą przed nią tą samą szykowną blondynkę, która ją tak niefortunnie przywitała. Zaskoczenie Agaty wynikało z tego, że nie usłyszała kiedy tamta zdążyła podejść. Blondynka trzymała w ręku małą okrągłą tacę z czarnej laki. Na tacy stał smukły kieliszek z pieniającym się szampanem.

Agata spojrzała wyczekująco. Blondynka nachyliła się, żeby podać jej kieliszek. Dostrzegła na tacy obok kieliszka finezyjnie złożoną bibułkę w kolorze szampana - rachuneczek - pomyślała

sięgając po kieliszek. Rachunku nie wzięła. W ten sposób zmusiła tamtą do pozostania w wymuszonym ukłonie. Pijąc małymi łykami szampana obserwowała ją spode łba, uśmiechając się niewinnie. Z satysfakcją dostrzegła, że inni w sklepie też to zauważyli. To Agacie wystarczyło - masz zgredo - pomyślała - już nie będziesz mi na drugi raz wyginała brwi.

Jak czujny krokodyl obserwowała jeszcze przez chwilę każde drgnienie schylonej przed sobą postaci. W tej samej chwili, w której elegancka ekspedientka zdecydowała się jednak dłużej nie ośmieszać, odstawiła niedopity kieliszek i w dwa palce wzięła bibułę. Spojrzała na cyfry na samym dole i ...odetchnęła z ulgą. 4200 dolarów. Przed tą sumą była suma we frankach szwajcarskich. - Kierowca musiał jej powiedzieć, że płacę w dolarach - pomyślała. Spojrzała z uśmiechem na bacznie ją obserwującą szefową salonu i wskazała na kieliszek stojący na tacy. Wprawdzie coraz bardziej chciało jej się siusiu, ale nic innego nie wymyśliła, żeby tamta sobie poszła chociaż na chwilę. Zastanawiała się jak to zrobić, żeby jeszcze jakoś jej dopiec przy płaceniu. Rozejrzała się jeszcze raz po salonie i spostrzegła idącą w kierunku drzwi na zaplecze dziewczynę, która podała jej buty na płaskim obcasie. Dziewczyna przechodząc spojrzała przez ułamek sekundy na siedzącą Agatę. Starła się zmusić swoją twarz do zawodowego uśmiechu, ale w jej oczach był trudny do ukrycia smutek.

Agacie przyszedł natychmiast do głowy typowo słowiański pomysł. Nie odwracając się do tyłu, gdzie, jak była pewna nadal stoi kierowca Rols-Roysa, podniosła rękę i skinęła palcem. Kierowca natychmiast znalazł się obok niej. Schylił się wy-czekująco, Agata po cichu tym swoim tragicznym niemieckim wytłumaczyła mu o co jej chodzi. W odpowiedzi usłyszała służbowe "ja wohl". Patrzyła na niego, gdy wyprostowany jak struna

z czapką pod pachą znika za tymi samymi drzwiami skąd wychodził i wchodził personel sklepu.

Już po chwili wróciła do niej ta sama szykowna blondynka z ruchomymi brwiami, a za nią kierowca. Na tacy pani "ruchome brwi" miała oprócz kieliszka z szampanem pięknie zapakowany w żółto-czarną wstążkę z kokardą spoiy pakunek.

- Cholera jasna, muszę się jednak nauczyć porządnie niemieckiego. Ten dureń powiedział, że chcę wiadro perfum -pomyślała. Sytuacja powtórzyła się, ale tym razem Agata wzięła i kieliszek i rachunek, jednocześnie dłonią wskazała na pakunek z perfumami. Gest miał oznaczać, żeby go postawiono obok niej na kanapie. Kierowca stał obok. Zwróciła się do niego i bardzo starannie dobierając słowa powiedziała, - te perfumy to jest prezent dla tej młodej pani, co mi przyniosła buty... - zabrakło jej słowa na płaskim obcasie, więc dodała swobodnie - nie sexy.

Ponieważ, to co zrobiła bardzo poprawiło jej pewność siebie, postanowiła brnąć dalej w szokującym zachowaniu.

Odstawiła kieliszek, otworzyła torebkę i wyjęła z niej pierwszy tysiąc dolarów. Zerwała banderolę. Jednym ruchem ją zgmiotła i rzuciła na barowy stolik. Przechyliła się trochę na bok i odliczyła dziesięć setek kładąc studolarowe banknoty na kanapie obok paczki z perfumami. To samo zrobiła z drugim, z trzecim i z czwartym tysiącem. Z tym, że przed ostatnią setką czwartego tysiąca nagle podniosła głowę i spojrzała na stojącą w miejscu panią "ruchome brwi". Oczy tamtej były jak szparki, ale poza tym nic więcej nie wskazywało na to, że kipi wściekłością.

Agata spokojnie odliczyła pięć setek z ostatniego tysiąca. Spojrzała na barokowy stolik i pogniecione banderole. - Ostatni taki bałagan na tym stole był pewnie jak ktoś odważny postawił na nim kieliszek z szampanem - pomyślała i wstała z kanapy, zostawiając na niej duże opakowanie perfum "Paris" za dwieście dolarów - prezent dla ekspedientki, który jednocześnie spełnił rolę kary.

Ale tak to już bywa z prezentami. Obok pięknego pudełka ze złotą kokardką leżało niedbale porzucone 4.500 dolarów. Była to suma na którą jeszcze nie tak dawno żeby zapomnieć, pracowała w Holandii przez rok, wnosząc i wynosząc kartony w sklepie z butami.

Wychodząc przez otwarte przed nią przez kierowcę drzwi pomyślała, że już teraz wie, co jest, a co nie jest tandetne. Tandeta jest wtedy gdy noszą, albo mają to wszyscy.

Już w drzwiach pozwoliła sobie na najbardziej szczeniackie zachowanie jakie na prędcie przyszło jej do głowy. Odwróciła się i powiedziała głośno po polsku: - Do widzenia.

Zadowolona z siebie, kazała się zawieźć do Mac Donalda. Dobrze, że przez oszronioną szybę dzielącą ją od kabiny kierowcy nie zobaczyła jego miny. Było to coś pomiędzy rozbawieniem a pogardą.

Pierwsze kroki w swojej ulubionej knajpie skierowała do toalety.

Następnie z uczuciem ogromnej ulgi usiadła przy mikroskopijnym stoliku przy oknie. Jadła trzeciego hamburgera popijając coca-colą z puszki i przyglądała się ludziom na ulicy. Większość z przechodniów z lekkim zdziwieniem spoglądało na białego Rols-Roysa z kierowcą, stojącego na wprost wejścia do Mac Donalda. W Szwajcarii Rols-Roysów jeździło sporo. Agata z rozbawieniem pomyślała: - No, ale mi się udało, pewnie nigdy jeszcze nie widzieliście takiego wozu czekającego na kogoś przed taką knajpą? - Przez następne pół godziny myślała o wszystkim i o niczym siedząc sobie przy oknie. W końcu doszła do wniosku, że ma bardzo dużo szczęścia w życiu i że trzeba wierzyć w to, że los się kiedyś uśmiechnie.

Pomyślała też o tym, że gdyby ją ktoś spytał co jej się w Szwajcarii najbardziej podobało, odpowiedziałyby że brak much. Nie widziała ani jednej.

Na lotnisko przyjechali punktualnie o 16. Poszła spokojnie do poczekalni. Wiedziała, że jej anioł stróż załatwi wszystkie

formalności związane z bagażem. Po pięciu minutach zjawił się w kawiarence, w której akurat popijała dry martini. Podeszedł do niej i podając jej długą charakterystyczną białą-niebieską kopertę linii lotniczych SAS wyjaśnił po niemiecku: - To jest bilet business class i kwit na bagaż. Też business class - przy tych słowach po raz pierwszy się uśmiechnął. - A to jest bagaż podręczny, który mademoiselle ma wziąć ze sobą do samolotu. W tym momencie postawił obok wysokiego stołka, na którym Agata siedziała zwykłą podróżną torbę z szarego brezentu. - Co to jest - spytała zdziwiona. Zamiast konkretnej odpowiedzi usłyszała - proszę iść do samolotu. Już drugi raz wywołują lot do Warszawy. Skłonił się lekko i prosto do ucha powiedział stanowczo - proszę w Warszawie oddać torbę komuś od Herr Marian Blumsztein - powtórzył - tylko od Herr Blumsztein. - Słowo "tylko" podkreślił bardzo wyraźnie.

W pierwszej chwili Agata chciała zapytać dlaczego nie oddał torby na bagaż, ale w porę zrezygnowała. Dotarło do niej bowiem, że to jest to o czym słuchała wtedy w nocy przez rurę do rozbijania sadła: - A więc to jest rachunek za pobyt! - pomyślała błyskawicznie. Dopijała Martini. Chwyciła torbę i torebkę. Spojrzała wyczekująco na nadal stojącego obok niej kierowcę. Odniosła dziwne wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć. Pomyślała, że jest bardzo przystojny. Kierowca wyraźnie ośmielony jej zachowaniem powiedział z pewnym wahaniem w głosie - ładnie mademoiselle zrobiła dla dziewczyny w salonie. - Zawahał się przez chwilę pilnie obserwując reakcję Agaty i ośmielony jej uśmiechem dodał - ona by za te buty straciła pracę.

Agata uśmiechnęła się zadowolona. Odebrała to jako komplement i odpowiedziała: - Wiem o tym.

Uklonił się elegancko. Założył czapkę i odszedł.

Agata szybkim, stanowczym krokiem skierowała się do wyjścia "B". Już nie myślała o torbie. Szampan, zmęczenie, emocje, Martini, zrobiło swoje.

W samolocie od razu zasnęła.

Obudziła się, gdy ustawał łagodny szum silników. Prawie by zapomniała zabrać torbę. Dopiero gdy drugi raz stewardesa przez głośniki przypomniła o sprawdzeniu czy pasażerowie czegoś nie zostawili, przypomniła sobie o niej. Z przepraszającym uśmiechem przepychała się zatłoczonym przejściem n., tył samolotu do miejsca, gdzie w schowku nad głową leżała brezentowa torba.

Wyjęła torbę i korzystając z tego, że nikogo obok już nie ma zajrzała do środka. Trochę się zdziwiła. W środku było chyba ze trzydzieści sztuk Marlboro. Zamykając zamek błyskawiczny pomyślała tylko, że to śmieszne żeby teraz szmuglować przez granicę papierosy. I to w takiej ilości! Wzruszyła ramionami i ustawiła się razem ze wszystkimi do odprawy celnej. Stojąc w kolejce z przyjemnością łapała spojrzenia mężczyzn. - Cholera, że też musiałam zasnąć w samolocie - pomyślała podając WOPiście paszport. Młody, przystojny, jak malowany WOP-ista ze ślicznymi zielonymi oczami trochę za długo oglądał jej paszport. Agata kokieteryjnym gestem, palcami przeczesła długie włosy do tyłu - pomyślała rozbawiona - pewnie nie może uwierzyć w moją datę urodzenia. - Zaczęła się rozglądać, czy nie ma gdzieś Mariana. Jak spojrzelaż powrotem przed siebie, wopistów było już dwóch. Dostrzegła, krótkie skinienie głową i swój paszport w dłoni tego drugiego. Ten pierwszy służbowo zasalutował a ten drugi wypowiedział shjwa jak z filmu - pani pójdzie ze mną. -

Wszyscy pasażerowie odwrócili się w jej stronę. Agatę zamurowało. - Ja?! Dlaczego? - spytała - jej szczere zdziwienie nie miało granic. Wpatrywała się w uwięziony w dłoni wopisty swój paszport i bilet lotniczy, w którym był kwit na bagaże - o rany moje piękne ciuchy!! - westchnęła w duchu. Ruszyła za WOP-

istą. Zdażyła ująć trzy kroki, gdy usłyszała za sobą - proszę pani!
- i odwróciła się gwałtownie. Przystojny WOP-ista uśmiechał się do niej. W wyciągniętej ręce trzymał brezentową torbę - pani bagaż podręczny - powiedział spokojnie. Cofnęła się i wzięła torbę. - O co do cholery im chodzi. Przecież nie o tę torbę! Nawet nie zajrzał do niej?! - myśli kłębiły jej się w głowie. W jednej chwili dopadł ją strach, który tak dobrze znała. Ten sam, który kiedyś odczuwała gdy przekraczała granicę szmuglując towary z Holandii. Ale doświadczenie nabyte w tamtych latach przydało się. Opanowała się. Postanowiła nie robić niczego. -Najlepiej poczekać co się będzie działo dalej - pomyślała. Jej śliczna twarz zrobiła się spokojna i pewna siebie. Szła za wopistą takim krokiem, jakby szii na kawę do pobliskiego barku.

I w ten sposób pewna siebie, piękna, uśmiechnięta i na luzie przeszła obok wszystkich celników. Kilku z nich spojrzało na nią podejrzliwym profesjonalnym wzrokiem, ale wszyscy spostrzegli tylko ładną, młodą dziewczynę wracającą z randki ze Szwajcarii z przewieszoną swobodnie przez ramię turystyczną brezentową torbą, w której zapewne ma na zmianę kusą sukienkę, majtki i buty.
- Widocznie randka się udała i myślami jest jeszcze w łóżku, bo nawet o mały włos a zapomniałaby zabrać torby - myśleli.
WOP-ista nie odwrócił się ani razu, sprawdzić czy Agata za nim idzie. Zwolnił krok dopiero jak przeszli przez salę odpraw. Stał przy pustym przejściu dla dyplomatów. Uśmiechnął się do niej podając paszport i bilet. Zatrzymał kwit bagażowy. - A to znowu co za podchody - pomyślała Agata też nie przestając się uśmiechać. Cały czas pogodna i na luzie, ale nie odezwała się. Odebrała to co jej podał. Usłyszała już zupełnie nie służbowe - pani samochód jest zaparkowany tam gdzie go pani zostawiła. Proszę wsiąść i poczekać dziesięć minut. Bagażowy przyniesie pani bagaż. Proszę mu dać normalny napiwek. Tej torby proszę nie wkładać do bagażnika. Tylko obok siebie na siedzenie. - Słuchała go zdumiona i mimo woli w jej oczach pojawiło

się lekkie zdziwienie. WOP-ista nie zwracając na to uwagi instruuował ją dalej. Spojrzał na zegarek i powiedział: - Za cztery godziny ma pani być w Sopocie na ulicy Wiosennej 45 i tam zostawić torbę. Proszę jechać ostrożnie i nigdzie się nie zatrzymywać - powiedział jeszcze: - do widzenia. - Odwracał się żeby odejść, gdy spostrzegł, że Agata wyjmuje z torebki kartkę i szuka długopisu - dodał szybko - nie! nie! Proszę niczego nie zapisywać! Wiosenna 45 w Sopocie. Tyle pani zapamięta.

- Odwrócił się ponownie i pospiesznie odszedł.

Wsiadła do samochodu. - Dobrze, że mam chociaż te dziesięć minut - pomyślała. Już dobrze wiedziała o co w tym wszystkim chodzi. Spojrzała na torbę leżącą na siedzeniu. - To po to pojechałam do Szwajcarii. Ciekawe co to może być? - Zastanawiała się. Miała pełną świadomość tego, że co by to nie było, to zapłatę za przywiezienie tego otrzymała hojną, że w honorarium wliczone jest to, żeby wykonała polecenie i w żadnym wypadku nie interesowała się co to jest.

- Za taką urodę każda kobieta zrobiłaby wszystko - pomyślała poprawiając pomadką swoje piękne, zmysłowe usta. Bagaże już zostały przyniesione, napiwek zapłacony. Zapięła pasy i skierowała się na trasę Gdańsk, Gdynia, Sopot.

Marian Blumsztein obserwował całą scenę z górnego tarasu na lotnisku. Nie robił tego często, ale tym razem pofatygował się osobiście. Powodem takiego zachowania był telefon z kliniki ze Szwajcarii. Zadzwoiła jego siostra Maria. Po raz pierwszy miała zastrzeżenia co do osoby, którą Marian do nich przysłał. Twierdziła, że dziewczyna jest zbyt awangardowa jak na takie zadanie.

Marian obserwując zachowanie się Agaty na lotnisku doszedł do zupełnie innego wniosku. W klinice pewnie zdarzyło się coś, co rozzłościło pewną siebie Marię.

Agata na lotnisku zachowała się dokładnie tak jak powinna. Tak jak się po niej tego spodziewał. Obserwując jak pewna

siebie przechodzi obok celników stwierdził, że ten nabytek to jest strzał w dziesiątkę. Pomyślał z cyniczną satysfakcją, że nie ma to jak dwudziestopięciolatka ze sprytem i doświadczeniem trzydziestopięciolatki. Taka przejdzie jednego wieczora pięć łóżek, dowie się co trzeba, zakręci tyłkiem przed celnikami i nawet nie mrugnie.

Spoglądając na nią jak wychodzi z lotniska nareszcie doszedł do tego dlaczego ją wybrał wtedy w dyskotece, mimo, że wiedział z kim ma do czynienia. To prawda, że miał nosa i o takiego kogoś mu chodziło. W tej dziewczynie było coś, co dawało 100% sukcesu - gwarancję tego, że naprawdę będzie miała po operacji 25 lat, a nie tak jak w większości przypadków, że wygląda na 25 lat, a każdy facet od razu czuje, że coś tu nie tak.

Agata miała pewność siebie i młodość w sposobie poruszania się. Nie tylko chodzenia, ale wszystkich gestów, a nawet ruchów głową kiedy naturalnym gestem poprawiała włosy, czy odwracała się za siebie. I to jej dawało pewność siebie jaką mają tylko kobiety do trzydziestki. A takich na świecie mniej więcej tyle ile prawdziwych miłości czyli prawie wcale. Ale jemu, Marianowi, udało się taką właśnie koDietę odkryć. - Znowu miałem szczęście - pomyślał wsiadając na lotnisku do swojego Mercedesa i kierując się do śródmieścia.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem, więc zgodnie z planem pojechał do biura ogłoszeń. Zaparkował Mercedesa o kilka ulic dalej. Sprawdził czy ma w wewnętrznej kieszeni właściwy dowód osobisty, ten którym się posługiwał tylko w takich przypadkach. Dając ogłoszenie na przyszły tydzień na czwartek o sprzedaży lub zamianie mieszkania z Krakowa na Łódź.

Gazeta była ogólnopolska i ci, którzy mieli wiedzieć będą wiedzieli, że wszystko poszło jak zawsze dobrze.

Rozdział 12

Telefon dzwonił i dzwonił.

Jacek myślał, że to dzwonek z jego snu. Ostatnio coraz częściej nawiedzały go koszmarne sny. Nie mógł zrozumieć dlaczego.

Przecież nie było powodu. A jednak kiedy zasypiał miał serce w gardle. Już kiedyś miał złe sny, ale to było tak dawno. Wtedy, kiedy wyjechała Monika.

Teraz znowu śnił mu się ten sam sen, że jest małym chłopcem. W tym śnie dom, w którym mieszkała Monika był zupełnie taki sam jakie się ogląda w amerykańskich filmach o nędzy, klochar-dach i slumsach. Budynek był brudny, mroczny, z opadającym tynkiem i bez okien, ale za to z niesamowitą ilością krętych, przeciwpożarowych, metalowych schodów. Stare, milczące, wielkie wraki rozbitych samochodów wypełniały ciemną ulicę po obydwu stronach. Między wrakami w kartonach spali poowijani w brudne szmaty klochardzi. Pomiedzy nimi biegały szczury. Na środku budynku Jacek widzi jedno okno, a raczej dziurę z przybitą jednym gwoździem fruującą na wietrze tekturą. Jacek jest małym dzieckiem. Siedzi skulony zziębnięty, wystraszony na szczycie przeciwpożarowych schodów, które się chwieją.

Nagle w oknie z tekturą widzi Monikę. Patrzy na nią. Chce jej powiedzieć, że jest mu zimno, że się boi, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Monika stoi w oknie. Ma na sobie podartą ślubną suknię! Śmieje się. Bardzo głośno się śmieje! Nagle Jacek widzi, że po schodach do okna Moniki skrada się do góry kilku brudnych, starych, wstrętnych mężczyzn. Jacek z

przerażeniem spostrzega, że Monika ich nie widzi! Nadal się śmieje! A oni są tuż, tuż! Jacek krzyczy! Płacze. Chce wstać, podbiec do siostry! Ochronić ją. Ale nie może się ruszyć. O Boże, przecież Monika go kocha. A jak ją uratuje to go jeszcze bardziej pokocha!! Nagle słyszy syreny wozów policyjnych -jeszcze są daleko. Ale zbliżają się...

Obudził się. Był mokry. - O Boże, żeby ktoś wymyślił tabletki na przyjemne sny. - Dotarło do niego, że dzwoni telefon. Jeszcze zaspany sięgnął ręką słuchawkę.

- Halo - odezwał się zaspanym głosem.

- O kurwa! Jak ciężko cię obudzić!! - głos Łukasza był bardzo zdenerwowany.

- Noo - Jacek jeszcze się dobrze nie obudził. Przeciągnął się.

- Obudź się do cholery! Jesteś mi natychmiast potrzebny.

- Łukasz tak krzyczał w słuchawkę, że Jacek się naprawdę obudził.

- O rany! Czego tak krzyczysz - od ostatniego spotkania w "Stodole" Łukasz nie dawał znaku życia przez dwa tygodnie.

I nagle ten telefon...

- Jacek posłuchaj uważnie! Musisz mi pomóc! Mam kłopoty. Duże kłopoty - w słuchawce słychać było trzask, ale mimo to Jacek wyraźnie słyszał zdenerwowanie w głosie przyjaciela.

- O rany, co się stało? - powiedział niechętnie. Wcale nie miał ochoty na kłopoty, zwłaszcza cudze i zwłaszcza duże. Wystarczyły mu jego własne. Znowu miał kłopoty z jedną taką która twierdziła, że jest z nim w ciąży. Na domiar złego chodziła do tej samej szkoły co on.

Jacek był pewien, że ona chce forsy.

- Łukasz udał, że nie słyszy niechęci w głosie Jacka. Musiał mu powiedzieć coś bardzo ważnego. Tylko Jacek mógł wyratować go z sytuacji, w której się znalazł. - Słuchaj teraz uważnie! U siebie w pokoju masz coś co jest mi bardzo potrzebne!

- O rany! Prezerwatywę kupisz na każdej stacji benzynowej. - Jacek ponownie się przeciągnął i ziewnął.

- Zaniknij się! To jest poważna sprawa. U siebie w pokoju masz moje lewe dokumenty.

- Ja?! Co ty pieprzysz! Jakie dokumenty! Gdzie? - był tak zdziwiony, że aż usiadł na łóżku. Obudził się na dobre.

- Nie przerywaj mi, to ci wszystko powiem. Nie dzwonię z Warszawy i mam tylko kilka żetonów. Dokumenty są wsunięte za tą dużą komodę przy oknie zapakowane w szarą folię -Łukasz mówił szybko.

- Teraz podejdź tam, odsuń komodę, i powiedz mi czy znalazłeś. Tylko szybko, bo mi się żetony kończą.

Jacek jak z procy wyskoczył z łóżka i jednym susem znalazł! się przy oknie. Przytrzymując ramieniem słuchawkę przy uchu, szarpnął ciężką komodę. Jacek przez chwilę stał jak skamieniały. Narastała w nim wściekłość. Na dywan wypadło płaskie szare zawiniątko.

Ponownie wziął do ręki słuchawkę i w tej samej sekundzie miał zamiar cisnąć nią o ścianę, ale usłyszał podniesiony głos Łukasza: - Jacek! Do cholery odezwij się! Znalazłeś?

- Ty skurwielu! W co ty mnie ładujesz?!

- Zamknij się, w nic cię nie ładuję! Tobie nic nie grozi! Wszystko ci wyjaśnię za dwie godziny. A teraz posłuchaj!! Weź kopertę z numerem jeden. Tę drugą, z numerem dwa, zostaw w domu. Najlepiej wskakuj do swojego Jeepa i przyjedź jak najszybciej do Konina. To jest jakieś sto osiemdziesiąt kilometrów. Będę na ciebie czekał na rynku przy lodziarni - Jacek ponownie usłyszał trzaski w słuchawce i zdenerwowany głos Łukasza - Jacek słyszysz mnie?! Koniecznie zatankuj w Warszawie. Nie zatrzymuj się nigdzie po drodze, Parnie... - ale połączenie zostało przerwane, zostawiając oszołomionego Jacka jego własnym decyzjom.

W miarę jak słuchał poleceń zdenerwowanego przyjaciela, złość, która na początku nim zawładnęła, ustępowała szybko miejsca ciekawości.

Ogarnęła go przemożna chęć przeżycia przygody. Dużej przygody. W głębi ducha musiał przyznać, że Łukasz mu zaim-

ponował. Odłożył słuchawkę na komodę, schylił się po zawiniątko. - No zobaczymy, co to takiego ważnego jest - pomyślał. Rozwinął zawiniątko i rzucił dużą szarą kopertę na łóżko. Nie spostrzegł, że druga koperta spadła na podłogę. - Zaraz zobaczę co to jest, ale najpierw wezmę prysznic. - Skierował się w stronę łazienki. Rzucił okiem w stronę łóżka. To co leżało na rozrzuconej pościeli zaskoczyło go tak bardzo, że zrezygnował na chwilę z prysznica. Pomyślał: A co za cholera! - biorąc do ręki paszport. Na łóżku leżał jeszcze inny podstawowy dokument - prawo jazdy. Otworzył paszport na pierwszej stronie i aż usiadł. Na zdjęciu był Łukasz, ale miał inne nazwisko - Zieliński. Imię to samo, prawdziwa też była data urodzenia 7.02.1970. Ale miejsce urodzenia się nie zgadzało, bo według tego paszportu Łukasz urodził się w Łodzi. Paszport był trochę podniszczony. Jacek przerzucił ostatnie strony. Dokument posiadał kilka stempli przekroczenia granicy. - O kurwa! - powiedział na głos.

Wszystko było na nazwisko Zieliński, zamieszkały w Łodzi ulica Małe Wzgórze 37 m 124.

Jacek błyskawicznie wciągnął jeansy, a jednocześnie rozglądał się po pokoju za tą drugą kopertą. Wciągając sweter przez głowę schylił się po nią. Przez chwilę szarpał się z przewiniętym na lewą stronę rękawem.

Koperta spadła na podłogę i taki sam zestaw dokumentów leżał na dywanie. Schylając się po paszport pomyślał, że jak w tym będzie napisane, że Łukasz nazywa się James Bond, to już się nie zdziwi. Jednym ruchem dłoni otworzył paszport.

Aż usiadł na podłodze. Z paszportowej fotografii patrzyła na niego jego własna twarz. Powoli, z niedowierzaniem przeczytał nazwisko: Jacek Szczepański. Tak jak poprzednio u Łukasza, prawdziwa była data urodzenia, ale urodził się też w Łodzi. Z prawa jazdy wynikało, że mieszka w Łodzi przy ulicy Przemysłowej 65 m 34. Przez chwilę porównywał paszporty i resztę

dokumentów. Sitopień zniszczenia był taki sam. Różniły się natomiast miejscem i datą wystawienia oraz numerami serii. Jacek jeszcze przez chwilę siedział na podłodze. W końcu ochłonął, gwizdnął z podziwu i pomyślał, że teraz myknąć z amfetaminą do Wiednia - to pestka. - Mogliby mnie szukać w Łodzi do usranej śmierci, w razie gdyby ktoś mnie zakablował.

Szybko wstał, bo zdał sobie sprawę, że nie rna czasu na rozmyślania. Zebrał swoje dokumenty. Przysunął komodę do ściany. Wciskając swoje dokumenty w szparę zawahał się przez chwilę. - Cholera! Może jednak zabiorę je ze sobą? Nie, lepiej nie - postanowił i przysunął mocno komodę. Jeszcze sprawdził czy z boku nic nie widać, ale wszystko było w porządku.

Wyjął swoje pieniądze z szuflady. Postanowił, że zabierze wszystko co ma. Wprawdzie Łukasz nic o forsie nie mówił, ale co to jest piętnaście baniek? - Wkładając kurtkę sprawdził, czy w wewnętrznej kieszeni ma dokumenty Jeepa. Znalazł jeszcze dwa miliony. - Zupełnie o nich zapomniałem - wzruszył ramionami - to i tak za mało - pomyślał. Chwycił torbę treningową i poszedł do sypialni matki. - Dobrze, że ją dzisiaj gdzieś poniosło od rana - pomyślał, rozglądając się po pokoju i zastanawiając się, gdzie tym razem Wanda mogła schować pieniądze przed złodziejami.

Najpierw sprawdził w tych miejscach, które matka uważała, za najpewniejsze, a od których zaczynałby każdy złodziejasek.

Zawiniątko z forszą znalazł prawie od razu. Były pod nogą dużego, dębowego łoża, tyle, że nie pod tą co tydzień temu. - Że też jej się chce ciągle podnosić to wyro, zamiast założyć sejf w ścianie - pomyślał przeliczając banknoty. Postanowił, że weźmie tylko dwadzieścia milionów. Akurat tyle, żeby Wanda nie zorientowała się, że coś jej brakuje. - Nawet jeżeli trzeba będzie opłacić pół prokuratury w Koninie to wystarczy - pomyślał przeliczając banknoty i puszczając trochę wodze fantazji. Re-

szte pieniędzy schował pod ciężką nogę arcydzieła stolarskiego kiczu i biegiem opuścił dom.

Do Konina dojechał w godzinę i dwadzieścia minut, dojechałby dużo szybciej, gdyby nie ten cholerny radar. Dobrze, że jeden Mercedes błysnął mu dwa razy światłami i w ten sposób go ostrzegł. Nikt inny tego nie zrobił. Gwałtownie wyhamowując do czterdziestki przed zakrętem, pomyślał, że tak to jest. Nawet na szosie szaraczki mu zazdroszczą wozu,.

Sam musiał przyznać, że matka się tym wozem popisała. Jacek dostał go za świadectwo do ostatniej klasy liceum. Jeep był piękny.

Najbardziej szpanerski wóz w całej szkole: wielki, czarny, na bokach zbrojony grubymi chromowanymi rurami. Osiem przednich reflektorów osłaniała też chromowana siatka. Wóz miał jeszcze cztery reflektory na dachu.

Właśnie dzięki tym reflektorom na każdym polowaniu czuł się zupełnie jakby był na safari. Ostatnio ojciec często zabierał Jacka na świetne polowania, na tereny Parku Narodowego. Jeździli sobie spokojnie w nocy przecinkami leśnymi na zgaszonych światłach.

Ojciec w najnowszej lunecie na podczerwień swojego sztuce-ra obserwował czy coś nie wychodzi z lasu. Jak tylko mówił -jest!? - Jacek zatrzymywał się i zapalał reflektory na dachu Jeepa.

Zwierzyna stała ogłupiona, w pełnych światłach i nie ruszała się z miejsca. Wtedy tylko puk, puk i padała jak muchy.

Jacek minął zakręt z radarem i przydusił gaz prawie do dechy. - No, na takim wózku jak mój to mogliście trafić na pół litra - pomyślał - ale się wam nie udało.

Rozglądając się, powoli wjechał na rynek w Koninie. Zaparkował między pocztą a pustą o tej porze roku lodziarnią. Postanowił nie wysiadać. Zapalił Marlboro. Rzadko palił. Musiała być ku temu szczególna okazja. Uznał, że teraz taka jest. Czuł przyjemne podniecenie. Lewe dokumenty w kieszeni, wóz, którym w razie pościgu można wiać nawet przez pola, trzydzieści

baniek w kieszeni, no i najważniejsze! - nie poszedł dzisiaj do tej choleralnej budy. Przeciągnął się na siedzeniu. Nie odwracając się, sięgnął ręką na tylne siedzenie i wyjął ze swojej torby treningowej puszkę coca-coli. Popijając słodki płyn przyciskiem na tablicy rozdzielczej ustawił sobie siedzenie do pozycji półleżącej. Zadowolony położył nogi wysoko na półce nad kierownicą. Wyciągnął się na całą długość. Rozejrzał się wokoło i pomyślał - jak można żyć w takiej dziurze? - jeszcze raz spojrzął w lewo. Na szarym placu, w odległości kilku metrów od Jeeпа stała grupka dzieciaków. Za nimi z bocznej ulicy wyjechał policyjny radiowóz. - Kurwa, gdzie ten Łukasz - pomyślał, zerkając na zegarek. Wprawdzie od przyjazdu minęło dopiero niecałe pięć minut, ale jak na taki alarm, to było dużo. Radiowóz przejechał. Jacek bezmyślnie patrzył jak na przystanek autobusowy podjechał brudny rozklekotany podmiejski autobus. Dzieciaki nadal stały w bezpiecznej odległości i przyglądały się z wyraźnym zainteresowaniem. Na chwilę zatrzymał na nich wzrok. - No to właśnie tacy jak wy za parę lat napędzać będą kasy w tanich barach i dyskotekach - pomyślał, i nagle sam zaskoczony tym odczuciem, poczuł, że zrobiło mu się głupio. Nie przykro, tylko właśnie głupio. Nie znał tego uczucia od czasu jak bardzo dawno temu Monika przyłapała go na podglądaniu jej w łazience. Nie wyśmiała go. Wpuściła go do łazienki i pozwoliła patrzeć na siebie. Właśnie dlatego, że w takich okolicznościach było mu głupio, tak dobrze pamiętał to uczucie. - Może to ona właśnie rozumiała mnie lepiej niż ktokolwiek inny - pomyślał. - Cholera, czemu ona mi się tak ciągle przypomina?! Gwałtownie wyprostował oparcie fotela. Wyskoczył z Jeeпа. Dzieciaki spłoszone takim zachowaniem cofnęły się o krok. Jacek uśmiechnął się do nich i powiedział: - chodźcie no tu. - Po co? - zdziwionym głosem odezwał się ten najmniejszy, stojący z boku dzieciak. Mógł mieć najwyżej pięć lat. Jacek

spojrzał na chłopca. Natychmiast zasłoniła go sobą najwyżej dziesięcioletnia chuda dziewczynka.

- To twój brat? - Jacek nadal się uśmiechał, zwrócił się do dziewczynki

- A bo co?! - była zadziorna i patrzyła spode łba, ale trochę speszyła się i dodała łagodniej - tak. - Nadal zasłaniała brata sobą. Mały wykukiwał zza jej pleców i zerkał na Jacka wesoło.

- A bo nic. Chcecie trochę coca-coli? - spytał.

- Z puski? - znowu mały. Reszta się nie odzywała. Dziewczynka ze zniecierpliwieniem machnęła ręką do tyłu, ale mały był szybszy uchylił się przed ciosem.

- Pewnie, że z puski - Jacek celowo powiedział "z puski", żeby trochę ośmielić dzieciaki. Ale okazało się, że to nie było konieczne.

Bowiem z prędkością światła podbiegły do samochodu. Okazało się również że w cudowny sposób, przez tę chwilę rozmnożyły się.

Teraz było ich co najmniej dziesięcioro. Żeby dać wszystkim, Jacek musiał wejść na tylną platformę samochodu i otworzyć nowy karton. Zaskoczony do granic możliwości ujrzał siedzącego na podłodze obok kartonu coca-coli skulonego Łukasza.

- O rany, wyglądasz jakby cię mafia goniła! - zażartował, ale Łukasz naprawdę wyglądał koszmarnie.

- Dalej, daj im szybko tą cole i spadamy stąd! - odpowiedział ostro.

- Dobra, już się robi. - Jacek przeciągnął po podłodze cały karton z colą i rozdał dzieciakom. Znowu było ich więcej. Małemu i chudej dziewczynce dał po dwie puszki. Jakoś tak wyszło. Nawet chciał ją spytać jak ma na unie, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu.

Jeszcze by się okazało, że Monika...

Szybko wskoczył do samochodu. Zamykając drzwi rzucił jeszcze -
Cześć!

- Ceść - odpowiedział mu tylko ten mały. Reszta obojętnym wzrokiem patrzyła jak wielki czarny samochód rusza z ich rynku z piskiem ogromnych opon.

- Kiedy wsiadłeś?! - zapytał Jacek sadowiącego się akurat koło niego Łukasza. Kątem oka spostrzegł, że Łukasz reguluje swoje siedzenie, na jak najniższe. - Wyjedź trasą na Poznań -Odpowiedział Łukasz otwierając puszkę piwa. Po chwili dodał:

- Jak wysiadłeś. żeby rozdać dzieciakom colę.

- Ale klapa z tyłu była zamknięta! - Odpowiedział zdziwiony Jacek. Zaraz się dowiem, że należysz do tych fachowców co potrafią otworzyć każdy samochód w trzydzieści sekund. - Jacka nie opuszczał żartobliwy nastrój. Zaśmiał się i spojrzał na przyjaciela. W wyrazie twarzy Łukasza było coś takiego, że Jacek pomyślał - Cholera jasna, czyżbym powiedział prawdę?

- Właśnie o tym musimy pogadać. Ale najpierw daj mi te dokumenty. Jacek sięgnął do kieszeni kurtki. Przytrzymał kolanami kierownicę. Akurat brał ostry zakręt i nie miał zamiaru zwolnić. Podał dokumenty Łukaszowi, który je dokładnie przejrzał i spytał - Mam nadzieję, że swoje zostawiłeś w domu?

- Zgodnie z rozkazem - Jacek nadal był rozbawiony. On to wszystko traktował jak świetną zabawę. - A skąd wiesz, że zajrzałem do środka - spytał po chwili.

- Nie jedź tak szybko. Tu może być radar - Łukasz dokładnie oglądał swój paszport. - O co pytałeś? - spojrzał w stronę Jacka.

- Pytałem, skąd wiesz, że zajrzałem do tej drugiej koperty...

- Jacek z całej siły nadusił na hamulec. Zajęty oglądaniem paszportu Łukasz poleciał głową na przednią szybę.

W ostatniej chwili Jacek spostrzegł białą czapkę policjanta. Radiowóz stał schowany w krzakach. - A widzisz cycku - powiedział na głos powoli przejeżdżając przed nosem policjanta -gdybym miał normalny wóz tobyś mnie złapał. A że siedzę wyżej od ciebie to możesz mi podskoczyć.

Łukasz trzymał się za czoło, już chciał ryknąć na Jacka, ale też spostrzegł policję. Błyskawicznym ruchem schował dokumenty, wkładając je przy szyi pod sweter. Jacek to zauważył i roześmiał się. Trochę mu się udzielał strach przyjaciela, ale tylko na tyle, żeby odczuwać przyjemne podniecenie.

- Gdyby nie prawdziwy strach Łukasza toby można pomyśleć, że bierzemy udział w filmie z nami w roli głównej - pomyślał. Łukasz spytał ponownie - zostawiłeś swoje dokumenty, tak jak ci kazałem?
- Zostawiłem, zostawiłem. Nie denerwuj się tak. - Jacek starał się nie okazywać już rozbawienia. - Przecież wyglądają tak samo jak twoje, więc czemu się tak boisz. Mogę mieć chyba przy sobie swoje dokumenty?

Łukasz wiedział, że na niektóre pytania musi odpowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że powinien przedstawić pewne fakty w taki sposób, żeby Jacek za bardzo nie zaczął się interesować nimi, bo nie był to bezpieczny temat zwłaszcza dla kogoś o tak infantylnym podejściu do życia, jakie miał Jacek. Odpowiedział więc spokojnie - Zastanów się. A gdybyś się po drodze rozbił. Zaczęliby szukać twojej rodziny w Łodzi, gdzie nigdy nikt o tobie nie słyszał. Rozumiesz? Dopiero by się zaczęły kłopoty. Musiałbym wszystko odkręcać...

- No chyba nie tylko ty. Ktoś inny też by miał kłopoty.

- Co masz na myśli? - Łukasz wiedział o co chodzi, ale wolał się z tym nie zdradzać.

- Jak to co! Papiery są prawdziwe. No to przecież jest jasne, że jeszcze większe kłopoty miałby ten frajer, który ci je sprzedał. Łukasz przez chwilę zastanawiał się co odpowiedzieć, żeby uciąć dociekliwość Jacka, tym bardziej, że nie to było najważniejsze. Powiedział więc - Posłuchaj. Dokumenty są prawdziwe. I tu masz rację, bo są wypisane na oryginalnych drukach i mają prawdziwe pieczętki. Ale nigdzie nie ma śladu, że w ogóle istnieją. I dlatego, mogą być użyte tylko w ostateczności. Rozu-

miesz?! W ostateczności! - Jacek aż gwizdnął. - No to musiałeś zdrowo za nie zabulić. Tylko czerń u zafundowałeś mi ten kawior z szampanem?

Łukasz przez chwilę znowu się zamyślił, i dodał po chwili - miałem możliwość załatwienia tego... no powiedzmy za darmo.

- I tak ci nie wierzę. - Jacek koniecznie chciał się dowiedzieć jak Łukasz załatwił¹ te dokumenty.

- Dobra. Powiedzmy, że nie za dar/no, tylko za pewną informację.

Jasne! - Łukasz koniecznie chciał przerwać tą dyskusję więc dodał jeszcze - wiesz co, kiedyś ci opowiem jak to załatwiłem. -

Zastanowił się ponownie i dodał bardzo poważnym głosem - ale nie to jest najważniejsze...

- O rany! to jest coś jeszcze? - Jacek aż podskoczył.

- A jak myślisz dc cholery, po co bym cię ciągnął z Warszawy z lewymi dokumentami' Co?! Żeby sobie na nie popatrzeć! - Łukasz znowu się zdenerwował, ale szybko się opanował i dodał - Mam spory i trochę kłopotliwy towar do opchnięcia.

-Co?

- BMW.

- O rany! - Jacek przeciągle gwizdnął i spytał - ciepłe?!

- No a jakie?!

- O rany! Skąd je masz?!

- Jacek, nie wkurwiał mnie! Skąd można mieć kradzione BMW? -

Łukasz nie potrafił się opanować. Bardzo denerwowały go te naiwne pytania.

- No dobra - Jacek spostrzegł rozdrażnienie przyjaciela i starał się jakoś załagodzić jego stan. Już poważnym tonem dodał - Gdzie je masz?

- Właśnie po nie jedziemy. Na trzydziestym kilometrze skręcisz w lewo. Zamelinowałem je na noc w stodole u chłopa.

- Noo! - powiedział jakby go olśniło - to już teraz wiem jakie interesy robisz z "Pingwinem"! - Jacek kiedyś słyszał, że "Pingwin" zajmuje się przerzutem samochodów do ruskich, ale nie

przypuszczał, żeby Łukasz...?! - powiedział bardziej do siebie niż do Łukasza: - Nie przypuszczałem, że jesteś u niego za Murzyna. Chm! Musi ci nieźle bulić.

- Nazywaj to sobie jak chcesz. - Łukaszowi było obojętne co sobie myśli Jacek. I tak się nigdy nie dowie, jaka jest prawda. W tej chwili musiał zrobić jedno. Doprowadzić swój awaryjny plan do końca. A do tego niezbędna była pomoc Jacka. - Słuchaj stary trzeba się tego pozbyć.

- Coś ty! Chyba nie masz zamiaru puścić tego na własną rękę? - Jacek był nie na żarty przestraszony. - Co nieco słyszał o metodach załatwiania porachunków przez "Pingwina" i jego ludzi. - Przecież on ci jaja obetnie! - prawie krzyknął.

- Przestań panikować! Nie mam zamiaru tego zrobić! Chodzi o coś zupełnie innego.

- No to o co chodzi! Powiesz w końcu czy nie! - Jacek się już denerwował. Uważał, że powinien wiedzieć wszystko. Wyraźnie czuł, że Łukasz nie chce mu czegoś powiedzieć. Uważał, że sobie z nim pogrywa jak z gówniarzem.

- Chodzi o to... - Łukasz zawiesił głos, tak jak by się jeszcze zastanawiał, czy powiedzieć - chodzi o to - powtórzył zdecydowanie - że w bagażniku jest coś, czego muszę się natychmiast pozbyć.

- Ksiądz? - spontanicznie, bez zastanowienia się parsknął Jacek. Łukasz wkurzył się nie na żarty - Czy ty do kurwy nędzy raz nie możesz być poważny?! - krzyknął.

- Nie krzycz na mnie! - Jacek wcale nie miał zamiaru psuć sobie zabawy. Dlatego dodał zaczepnie - jak nie ksiądz, to co się martwisz? Wszystko inne da się sprzedać. No nie?

- Dobra, widzę, że nie możemy się dogadać, najlepiej będzie jak ci wszystko wyjaśnię od początku. Najlepiej skręć w tę polną drogę - Łukasz wskazał ręką polną drogę trochę za późno. Jacek nie hamując wziął zakręt tak, że samochód rzuciło - a widzisz!

- powiedział zadowolony. - Ale mam super ABS-y! - Dobra -Łukasz był zrezygnowany. Potrzebował chwili spokoju. Dodał -dobra, już dobra. - zatrzymaj się tu. Pokiwał z rezygnacją głową i dodał - ABS-y masz rzeczywiście świetne, żebyś takie miał na przykład w głowie...

- Co mówiłeś? - spytał Jacek, zatrzymując samochód w wysokich krzakach - nie słyszałem.

- Nic nie mówiłem. Ale teraz powiem. I bardzo proszę postaraj się mi nie przerywać - ostatnie zdanie wypowiedział z sarkazmem i stanowczo.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że wyjeżdżam na parę dni. - Jacek nie pamiętał, ale skinął głową. - Pojechałem z "Pingwinem" i jego ludźmi na wybrzeże. Przez trzy dni mieszkaliśmy w "Marinie" w Gdyni. Czekaliśmy na wóz. To znaczy na to, żeby "Pingwin" go w końcu doprowadził. Nie udało się, ale o tym nie będę ci opowiadał, bo to nie jest ważne. W końcu "Pingwin" dogadał się z jednym Cyganem. Czasami, rzadko współpracują. Zresztą to też nie jest ważne. W końcu się dogadali. Wóz był jednej dziwki z Sopotu. W nocy Cygan go doprowadził od tamtego bosa i...

- Jak?! - Jacek wpadł w słowo Łukaszowi. Nie chciał usłyszeć kolejnego "ale to nie jest ważne".

- Co jak?! - Łukasz spojrzał na niego marszcząc brwi.

- Jak doprowadzili tę furę?!

- O rany! Normalnie - Łukasz postanowił odpowiedzieć na to pytanie. Wyczuł bowiem, że Jacek zaczyna wpadać w ten swój charakterystyczny ton zabawy. A to akurat mogło się tym razem przydać. Gdyby zaczął traktować sprawę tak poważnie jak powinien, mógłby się wystraszyć i mu nie pomóc.

- Alfons tej dziwki dorobił sobie kluczyk. Tej nocy kiedy umówił się z Cyganem nie posłał jej na bar. Zerznął ją kilka razy tak, że zapomniała o bożym świecie. Między trzecim a czwartym rżnięciem wyjął z torebki alarm i wyłączył go. Wtedy wystarczy-

ło wsiąść do BM-ki i spokojnie odjechać. Nawet nie trzeba było płacić drogówce. Alfons obiecał, że ona nie wyjdzie z łóżka do dziesiątej rano. Oprócz działki za BM-kę miał obiecaną premię za każdą godzinę przetrzymania jej z daleka od okna. To wszystko - podsumował Łukasz.

- O rany! - Jacek się roześmiał - jakie dupy są głupie! - spostrzegł, że Łukasz zacisnął zęby. Powiedział szybko - no dobra, już się nie odezwę.

- Wszystko odbywało się zgodnie z planem - Łukasz mocno zaciągnął się papierosem - papiery BM-ki przygotowane były w odpowiednim terminie. Wsiedliśmy z Piotrem, czyli z tym gówniarzem od Cygana w furę i trasa na Białystok. Mieliśmy tam być o świcie.

- A ty po co? - nie wytrzymał Jacek.

- Jak mi jeszcze raz przerwiesz, to się nie dowiesz! - fuknął Łukasz.

- Pingwin przypilnował, żeby było paliwa tyle ile według planu powinno być. A było tyle, że po trzystu kilometrach musieliśmy zatankować na małej stacji na peryferiach jakiegoś miasteczka. Gdy tylko stanęliśmy przy pompie, obok nas zatrzymała się córka "Pingwina". Maluchem. Oczywiście Piotrek nie miał pojęcia, że to córka Pingwina. Wysiadła z samochodu, zakręciła dupą przed nosem tego głupka i słodkim głósikiem poprosiła, żeby pomógł jej odkręcić wlew od paliwa.

- Łukasz przyglądał się przez chwilę Jackowi i spytał - teraz już wiesz po co ja tam pojechałem? - Jacek przecząco pokręcił głową. Ale nie odezwał się. - A widzisz! "Pingwin" dobrze wiedział o tym, że jak ten smarkacz zobaczy dupę to mu sperma zacznie krążyć w mózgu i zapomni o bożym świecie. Nie mówiąc już o BM-ce. I tu zaczynała się moja praca. Piotrek wysiadł, nachylił się nad wlewem do paliwa malucha. Ona zasłoniła mnie na chwilę. I wtedy ja, zgodnie z planem przeskoczyłem na siedzenie obok. Kita i tyle mnie widzieli.

- O rany! Nie mogę! Zostawiłeś frajera w lesie pod Białym-stokiem? Zaraz, zaraz! A skąd miałeś kluczyki od BM-ki.

- O Jezu, człowieku, jeszcze mało wiesz. Kluczyki to najmniejszy problem. - Łukasz był już trochę zmęczony. Opowiadanie o tym wszystkim wcale go nie uspokoiło. Tym bardziej, że to najważniejsze dopiero miał opowiedzieć. Rozmyślania Łukasza przerwał Jacek, który całą sprawę traktował jak świetną przygodę. - Jeżeli on tak będzie myślał dalej to doskonale -pomyślał i spytał - co mówiłeś?

- Pytałem, co miałeś zrobić z wozem.

- Aaa. Z wozem. Kita i na giełdę do Wrocławia. Tam go miałem pchnąć tego samego dnia. Jak najszybciej. Zanim się Cyganie zdążą połapać. A forszę miałem Pingwinowi przywieźć do Warszawy pociągiem.

- I po to ci były te lewe dokumenty? Nadal nic z tego nie rozumiem.

- Nie. Nie po to. - Łukasz zrobił się bardzo tajemniczy.

- No to ja już nic nie rozumiem. Ja tu nie widzę żadnego problemu.

- Nawet nie wiesz jak ci się udało to "nie widzę". Pewnie, że nie widzisz. - Łukasz wygiął siedzenie samochodu do tyłu i położył się. Dodał - ale jak zobaczysz to ci gały wyjdą na wierzch. - Oparł nogi na przedniej szybie i prawie rozluźniony spytał - na czym skończyłem? Nie czekając na odpowiedź kontynuował swoje opowiadanie - aha! Jak odjechałem z tego zadupia, to kita i na Wrocław. Nawet nie spojrzałem w lusterko. Chciałem jak najszybciej pozbyć się BM-ki i skasować swoją działkę. Po drodze zatrzymałem się tylko raz. Przy lesie. Musiałem się odlać. No i skończyły mi się ćmiki. W skrytce na miejscu pasażera nie było. Więc zajrzałem do bagażnika. Na samym wierzchu w otwartej torbie, takiej zwykłej podróźnej leżały bloki Marlboro. Nie chciałem się nigdzie zatrzymywać... Kurwa, co mnie podkusiło, żeby kraść ćmiki z bagażnika!

Łukasz gwałtownie wyprostował się i usiadł. Jacek patrzył na niego zdziwiony, ale nie odezwał się. Przez moment była cisza. Po dłuższej chwili Łukasz oparł się na siedzenie i powiedział -Wziąłem sobie jedną paczkę. Wsiadłem i ruszyłem. Jedną ręką trzymałem kierownicę, drugą rozpakowywałem ćmiki. Całe szczęście, że na liczniku miałem tylko 120. Inaczej pewnie bym się rozbił na pierwszym drzewie. - Łukasz przerwał na chwilę. Powoli zapalał papierosa. Jacek wyraźnie widział strach na jego twarzy. Pomyślał - co w tych ćmikach było do cholery, że on się tak boi?! - Pewnie się zastanawiasz, czemu się tak boję. - Łukasz przyglądał się przez chwilę Jackowi i powiedział - w oryginalnie zapakowanych paczkach Marlboro była forsa. Dolary. Żebyś miał jasność to ci jeszcze powiem, że sprawdziłem - zaciągnął się mocno i dodał po chwili - we wszystkich paczkach była forsa, a wóz miał być wczoraj o świcie u ruskich. Rozumiesz już teraz?!

Tak. Teraz Jacek rozumiał. Nie tylko Łukasza. Sam się zaczynał bać. Serce zaczęło mu szybciej bić gdy wydusił z siebie najważniejsze pytanie - ile?!

- Milion. - Łukasz wypowiedział zakłęcie. Jacek pomyślał, że spadnie z fotela. Milion dolarów! Magiczne hasło, które jest symbolem wszystkiego co najlepsze na świecie.

Jacek wyprostował siedzenie fotela i usiadł normalnie. Wpatrywał się w Łukasza, oczekując jeszcze jakichś wyjaśnień. Nie mógł wręcz uwierzyć w to co usłyszał. Nie potrafił ukryć radosnego zaskoczenia. Wydusił z siebie - alle forsa!! - i zadał pytanie, które samo cisnęło się na usta. - Prawdziwa?

Łukasz nie odpowiedział. Jackowi zrobiło się słabo. Jego marzenia odpływały. Przez chwilę czuł się jak właściciel tej forsy. W końcu Łukasz to jego najlepszy przyjaciel! Powtórzył pytanie. - Prawdziwa?!

- Tak - padła odpowiedź. Jacek odetchnął. - Dzięki ci Boże -pomyślał. Rozradowany spojrzął na zamyślonego Łukasza. Ten wyraźnie nie podzielał jego entuzjazmu.

- O kurde mole! - Jacek aż podskakiwał na siedzeniu. - Gdzie to jest? No dalej jedziemy po to! - już przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zaczął wyc. Wóz za mocno się zaplątał w krzaki. - Kurwa, co jest! Jacek włączył siódmy bieg i przez chwilę maltretował samochód. Łukasz przez moment obserwował podniecenie przyjaciela i pomyślał. - O rany, czemu akurat on musi mi pomagać. - Wyciągnął rękę i przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając w ten sposób. Jacek zaskoczony do granic możliwości spojrzął na Łukasza. Źle zrozumiał ten gest, bo spytał - no chyba nie chcesz go pchać? Przecież to jest taka silna maszyna, że wyjedzie nawet przez zamkniętą bramę.

Łukasz spojrzął z politowaniem na Jacka i powiedział uspokajająco. - Stary, weź się wyluzuj w końcu. Dobra?! Bo jak tak dalej będziesz się zachowywał, to wszystko zawalisz.

- No dobra - Jacek strącił się opanować, więc bardzo konkretnie zadał pytanie. - Używane czy nowe?

- Sam zobacz. - Łukasz zapalał kolejnego papierosa i otwierał następne piwo. Był bardzo spokojny.

- Co?! - wykrztusił z siebie Jacek.

- To co słyszałeś. - Łukasz popijając piwo wykonał do tyłu ruch głową mówiąc - są za tobą. Leżą w torbie na podłodze z tyłu.

Jacek wyskoczył z fotela jak z katapulty, jednym susem znalazł się z tyłu. W takim samym tempie wrócił do przodu. Opadł na fotel i trzymaną oburącz torbę położył sobie na kolanach. Spojrzął wyczekująco na Łukasza. Ten tylko wzruszył ramionami i obojętnie skinął głową.

Jacek jednym szarpnięciem otworzył zamek błyskawiczny. W torbie leżały jeden na drugim kartony Marlboro. Chyba ze trzydzieści.

Łukasz szturchnął Jacka łokciem. Ten aż podsko-

czył. Spojrzał zdziwiony na rękawiczki które Łukasz mu podał. Chcesz oglądać forszę to zakładaj rękawiczki.

- No coś ty! Odciski palców na forsie?! Kto to będzie sprawdzał!

- Jak się nie znasz, frajerze, to słuchaj mądrzejszych od siebie! -

Łukasz powiedział ostro i dodał - jeżeli są posypane proszkiem, to cię znajdą na końcu świata i nawet nie będziesz wiedział za co dostaniesz nożem pod żebro.

- Skąd wiesz?

- Nie bądź śmieszny. Naprawdę chcesz wiedzieć skąd wiem?! - W jego głosie był agresywny sarkazm.

- No dobra! - Jacek wziął rękawiczki i założył. Pomyślał - cholera chyba jednak go nie doceniałem.

Jacek otworzył pierwszą paczkę. Pudełko szczelnie wypełnione było zwitkami pieniędzy. Jacek wyjął zawartość pudełka. Przeliczył. Było 4200 dolarów w używanych banknotach, o różnych nominałach.

Włożył je z powrotem do pudełka. Sprawdził tak kilka razy, za każdym razem biorąc pudełko z różnych kartonów. Zawsze kwota oscylowała około czterech tysięcy. Jacek wpatrywał się w forszę.

Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy. A teraz leżały na jego kolanach.

Wprost nie mógł uwierzyć, że to prawda. Przerwał na chwilę zagłębienie do pudełek po papierosach.

Dotarło do niego, że Łukasz coś mówi. Usłyszał. - Rozumiesz teraz. Pomyślał - co tu jest

do cholery do rozumienia. - Wcale nie miał ochoty za dużo rozumieć

- tyle forsy?! Czego on do cholery chce! Co tu jest do rozumienia?!

Ale odpowiedział - no dobra rozumiem. Tylko nie wiem co. Za taką forszę można nic nie robić do końca życia.

Łukasz tylko spojrzał na niego z politowaniem, i po chwili

powiedział spokojnie - odłóż to. - Widząc, że Jacek nie reaguje dodał

- liczyłem dwa razy. Jest równy milion. - Ale Jacek zabierał się do

otwierania kolejnego pudełka. Łukasz stanowczym głosem

powiedział - mówię ci już trzeci raz. Odłóż to!

- Nie drzyj się! - Jacek niechętnie odłożył torbę na bok. - I nie mów mi co mam robić - fuknął niezadowolony w stronę Łukasza. Łukasz nie zwracając uwagi na niezadowolenie Jacka odezwał się spokojnym głosem. - Posłuchaj - powiedział to tak opanowanym i stanowczym tonem, że Jacek rzeczywiście skupił na nim uwagę. - Co najmniej od wczoraj idzie na mnie polowanie z nagonką. Akurat ty dobrze wiesz co to znaczy. Nie mam zamiaru cię w to wciągać. Już teraz wszystko wiesz więc rozumiesz dlaczego potrzebowałem natychmiast dokumenty. - Jacek spostrzegł, że Łukasz ponownie jest bardzo zdenerwowany.

- Odwieszysz mnie tylko do wsi. Wsiądę przy lesie, tak, żeby cię we wsi nie widzieli. Taki wóz jak twój zapamiętają do końca życia. Widząc, że Jacek chce coś powiedzieć dodał szybko - taki jest mój plan i nie zmienię go! Muszę się tego gówna jak najszybciej pozbyć! Do Jacka natychmiast dotarło do czego Łukasz zmierza. I wcale nie miał zamiaru rezygnować z tak bajecznej forsy. Była to największa przygoda, jaka mu się w życiu zdarzyła. Powiedział szybko - chyba nie masz zamiaru rezygnować z tak bajecznej forsy! Łukasz pomyśl, za taką forszę można przez parę lat żyć jak król Manhattanie! Łukasz nawet się nie obrócił, żeby spojrzeć na podnieconego Jacka. Powiedział patrząc przed siebie - Kurwa, czy ta forsa ci kompletnie rozum odebrała?!

- Mi rozum odebrała?! - Jacek był wściekły i wcale nie starał się tego ukryć - tobie odebrała rozum! A nie mnie! - był tak przejęty, że aż krzyczał. - Łukasz pomyśl! Niczyja forsa w cudzym bagażniku! Łukasz przez chwilę obserwował zachowanie przyjaciela i w końcu naprawdę się zdenerwował. - Zamknij się głupku jeden!

- aż kipiał złością - jaka niczyja! Jaka niczyja! Połowa bandziorów w całej Polsce od wczoraj szuka tej forsy! A teraz jeszcze ci

coś powiem głupi cycku! Nie pomyślałeś o tym, że to może być forsa ruskich?! COO!! - wrzasnął. - No co! Jeszcze się nie zesrałeś ze strachu!! Boja na samą myśl o tym mam pełne gacie. Gdyjeszcze raz będziesz pierdolił coś o Manhattanie, to pomyśl sobie o tym! Oni ci taki Manhattan urządzają, że na żadnym filmie tego nie zobaczysz! Łukasz opadł na siedzenie. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Zmęczony swoim strachem, głupotą Jacka, ale głównie swoją bezsilnością. I z tego niestety bardzo dobrze zdawał sobie sprawę. - Cholera! Jak to się mogło stać? - pomyślał. Nie mógł pojąć jak doszło do tego, że stracił przewagę nad tymi, którymi tak doskonale udawało mu się od pewnego czasu sterować. - Przecież to debile - myślał, ale w tej chwili nie potrafił myśleć logicznie. Wiedział o tym. A tylko logika dawała mu przewagę nad nimi. Nad "Pingwinem", nad tym niepiśmiennym Cyganem w elastycznym dresie, lakierkach i ze złotym sygnetem rozmiarów koła zamachowego od karuzeli.

Łukasz sam wymyślił niedawno definicję inteligencji. Uważał, że inteligencja to jest umiejętność przewidywania niekorzystnych sytuacji i wykorzystywania ich dla siebie. Ale jak zawsze praktyka przerosła i tym razem definicję. Okazało się bowiem, że inteligencja przeszkadza zamiast pomagać. Pobudza wyobraźnię, steruje nią. Ludziom dla których pracował nie przeszkadza. No bo jak mogą łysemu przeszkadzać włosy?

Łukasz dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mimo wysiłków nie potrafił im dorównać. Nigdy tak naprawdę nie zniżył się do ich poziomu. Do funkcjonowania na poziomie sterowanym tylko przez instynkt samozachowawczy, bez żadnych innych skażeń mózgu. Takich jak na przykład właśnie ta nieszczęśliwa inteligencja, która w sposób skuteczny zakłóca u większości ludzi zwierzęcy wymiar stałej czujności. Funkcjonowanie w granicach określonych tylko i wyłącznie przez instynkt samozacho-

wawczy. Permanentnego szukania wroga w każdym. Kierowania się biologicznie uzasadnioną agresją, która wyraźnie przez lata ewolucji ukazała jedno. Jak sam nie pórzysz, to pamiętaj, że będziesz pożarty!

- Kurwa że też uwierzyłem w to, że jestem stworzony do Mercedesa. Tak jak oni. Ale cycek ze mnie. Oni owszem są, ale ja na pewno nie!

- Łukasz od miesięcy dążył do wyostrzenia w sobie "cechy gadów", jak to nazywał. Uwierzył, że jest to możliwe. Oni to mieli, więc i on postanowił siłą woli wydobyć to z siebie. Jednak się okazało, że oszukanie natury nie jest możliwe. Zawsze intrygowała go pewna cecha żmii. Polegała ona na tym, że żmija atakując zdobycz dokładnie wie ile jadu ma wpuścić, niezależnie od tego, czy jest to mysz, czy słoń. Nigdy nie zmarnuje ani grama. A druga cecha polega na tym, że zawsze znajdzie swoją zdobycz, nawet poruszając się z lekkością podmuchu powietrza, mimo, że żmije są kompletnie głuche.

Czym więcej Łukasz rozmyślał o sytuacji, w której się znalazł, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że lepiej omijać żmije, niż coś im tłumaczyć.

Tak rozmyślając, raptem doszedł do wniosku, że nie jest to jednak sytuacja bez wyjścia. Przypomniał sobie coś... powiedział na głos do siebie. Taaak, to może być rozwiązanie.

- No i co? Wymyśliłeś coś? - zapytał podekscytowanego Jacek, który przez ostatnich kilka minut nie odezwał się. Widział, że w Łukaszu się wszystko kotłuje. Patrzył na Łukasza a w oczach miał wyraźne sześć zer. Nadal pograżony w swoich myślach Łukasz odpowiedział

- taak, potrzebuję gada...

- Co?! - Jacek nie wiedział czy dobrze usłyszał.

Łukasz nadal bardzo poważny popatrzył przez chwilę na zdumionego Jacka i powiedział. - Tak, tak będzie najlepiej.

Posłuchaj, muszę dzisiaj spylic wóz i koniecznie oddać forszę "Pingwinowi". Bo jak nie dostanie forsy dzisiaj, to będzie myślał, że go przewaliłem i jego zbiry mnie na pewno znajdą. Im nie zamydłę oczu dokumentami. Znają mnie. Liczę na to, że Cyga-

nie się jeszcze nie połapali. - Zastanowił się przez chwilę i dodał -jest mała szansa zatrzymania tej forsy. Bardzo mała! Ale jest. Jacek już chciał powiedzieć, że zrobi wszystko, ale Łukasz mu nie pozwolił. Ciągnął swoją wypowiedź nie zwracając uwagi na otoczenie. -I właśnie to zależy od ciebie.

- Ode mnie?! - Zaskoczenie Jacka nie miało granic.

- W ciągu najbliższych dni trzeba by było skontaktować się z jednym człowiekiem. - Łukasz bardzo uważnie patrzył na twarz Jacka i dodał. - Właściwie nie ty tylko twoja matka.

- Wanda! - zaskoczenie nie puszczało Jacka, ale tym razem go zatkało. Wydukał po dłuższej chwili - Moja matka? Skontaktować? Z kim!?

- Pamiętasz? Kiedyś opowiadałeś mi, że twoja stara ma na pensji jakiegoś SB-ka. Nawet go kiedyś u was w domu widziałem. - Łukasz mówił powoli i spokojnie. Zupełnie jakby w trakcie mówienia jeszcze obmyślał plan.

- Taki mały chudy owsik.

- O rany, chcesz rozmawiać z Tomkiem?! Po co? Zresztą on jest byłym SB-kiern - SB-cji już zresztą nie ma!

- Po pierwsze, to wcale nie chcę z nim rozmawiać, po drugie - nikt nie jest byłym SB-kiem. Zwłaszcza teraz gdy SB-cji już nie ma. - Łukasz wpadł w swój ulubiony mentorski ton prowadzenia rozmowy. Jacka to zawsze denerwowało, ale tym razem, mając przed oczami torbę z papieroskami słuchał go pokornie. - Nie wiesz gdzie on teraz pracuje? - Spytał Łukasz.

- Tak, chyba wiem. Matka się ostatnio nawet z niego śmiała, bo przyszedł do nas i dał mi i matce wizytówkę. Na wizytówce miał napisane "prawnik". Wanda się śmiała, że z niego taki prawnik jak z niej zakonnica... - Jacek spostrzegł pełen politowania wzrok Łukasza. - Aaa, no tak, na tej wizytówce było, że pracuje w biurze obsługi prawnej i chyba jeszcze coś tam było o wycenie nieruchomości.

- A nie wiesz co on tam robi?

- Nie, ale chyba coś opowiadał, że jego kumpel z pracy założył to biuro i teraz znowu wszystko wiedzą. Nie słuchałem tyle, bo akurat robiłem sobie żarcie w kuchni.

- No tak - uśmiechnął się Łukasz - czyli hasło "rotuj się kto może" wciąż obowiązuje. Ale skoro jest nadal w branży, to może nam pomóc.

- Nie bardzo rozumiem jak?!

- Zaraz wszystko zrozumiesz. - Łukasz był już zupełnie spokojny i wyraźnie z siebie zadowolony. Na jego ustach pojawił się nawet ten charakterystyczny chytry uśmieszek. Powiedział.

- Chcę, żeby on pośredniczył.

- Pośredniczył?! W czym? Chcesz go namówić, żeby zabrał torbę i odniósł. I jeszcze sam się dowiedział komu?! Nie chyba jednak przesadziłeś!! - Jacek prawie krzyczał.

- Nie przesadziłem. Cel jest taki jak mówisz, ale działanie inne. Zmusimy go do tego, żeby dowiedział się czyj to towar i oddał go.

- No co ty! Przecież jak mu powiemy co tam jest...

- Nic mu nie powiemy - Łukasz wpadł w słowo Jackowi. W ogóle nie będziemy z nim rozmawiać.

- No to ja nic nie rozumiem - Jacek wzruszył ramionami. Po tajemniczej minie Łukasza wiedział, że się zaraz dowie. Wracał mu dobry humor. Z szelmowskiego uśmieszku przyjaciela wnioskował, że plan jest świetny.

Łukasz odpalił kolejnego papierosa od tego, którego akurat skończył palić. Niedopałek rzucił na podłogę samochodu i zgniótł butem.

Mówił już tonem zupełnie spokojnym. W miarę jak wykladał Jackowi swój plan sam dochodził do przekonania, że jest genialny.

Pomyślał w pewnej chwili - Jest jedna sytuacja w życiu, która zmusza człowieka do genialnych pomysłów. Strach.

Tak dokładnie sam tego strachu się najadł, że teraz już wiedział jak kogo innego doprowadzić do takiego stanu.

Powiedział. - Zrobimy to tak...

Rozdział 13

- Posłuchaj. Plan jest prosty jak drut.

Musisz namówić matkę, żeby najpóźniej na jutro wieczór zaprosiła tego Tomka do was do domu, na kolację. Dobrze by było gdyby przyszedł z żoną. Postaw swojego Jeepa tak, żeby nie mógł wjechać do środka. Najlepiej jeszcze zdejmij koło.

Jacek wpatrywał się w Łukasza i powoli zaczynał rozumieć jaki jest ten plan. Jeżeli się dobrze domyślał, to pomysł był rzeczywiście rewelacyjny choć ryzykowny jak cholera. Ale cały bałagan spadnie na kogo innego. Jego i Łukasza nikt nie będzie szukał. Miał tylko wątpliwości co do jednego, wtrącił więc pytanie - a nie możemy zrobić tego w mieście? Przecież on ma Poloneza. Nikt nie zwróci uwagi kiedy będziemy go otwierać.

- W żadnym razie. Właśnie zależy mi na tym, żeby skojarzył to, co się stanie, z wizytą u was w domu. W ten sposób będzie jeszcze bardziej wystraszony. Pamiętaj! Postaraj się tylko o to, żeby nie wjechał do środka! Musi zostawić Poloneza na ulicy...

- Dobra, dobra, już wiem o co ci chodzi - Jacek nie lubił gdy się go pouczało.

- Nie denerwuj się tak. Plan jest koronkowy. Nie możemy pozwolić sobie na żaden błąd.

- No i co dalej?! - Jacek był coraz bardziej podniecony. Nigdy nie lubił Tomka. Uważał go za glistę. Twierdził, że matka była naiwna i dawała się nabrać. W dodatku na nic się ostatnio nie przydawał. Nic już nie mógł załatwić. Aż tu nagle okazuje się, że nawet taka glista może być potrzebna. - Roześmiał się na głos, bo wyobraził sobie minę Tomka jak...

- Z czego tak rechoczesz? - Łukasz był nadal poważny - mówiłem ci już, że to nie jest amerykański film.

- Dobra - Jacek śmiał się nadal - dla ciebie może nie jest, a dla mnie tak. Jak chcesz, żebym ci pomógł, to mnie ciągle nie pouczaj. -

Ostatnie słowa powiedział poważnie, ale po chwili dodał wesoło - jak sobie pomyślę... On się posra w gacie jak to zobaczy. O rany!!! No to co mam robić? - spytał starając się opanować rozbawienie.

- Nic. Jak oai będą u ciebie w domu, to ja włożę torbę do bagażnika i podłożę gwóźdź pod tylną oponę. Zanim się zorientuje, że ma panę odjedzie od waszej chaty jakieś trzy kilometry. Będzie musiał zmienić koło i wtedy nadzieje się na papieroski w bagażniku.

- O kurwa! - Jacek dostał ataku szczerego śmiechu. Ponownie wyobraził sobie minę Tomka. Śmiał się naprawdę szczerze.

Opanował się jednak. Ocierając łzy wykrztusił: - On nie pali!

Ciekawe co zrobi jak to znajdzie?! - To co my planujemy. Jest jedynym fachowcem...

- Fachowcem?! Czyś ty ocipiał! On pracował w czwórce. Zaglądał księżom pod sutannę!

- No! To lepiej być nie mogło. Całe życie donosił i robił notatki służbowe w kiblu na papierze toaletowym. Dobrze wie jak można kogoś wrobić. I dokładnie tak będzie myślał, że to jego teraz ktoś wrabia. Ze strachu będzie chciał się tego pozbyć. Na pewno lepiej niż my będzie wiedział jak gadać z kapusiami i w ten sposób się dowie czyja to była akcja. Ale jest jeszcze jedna możliwość - Łukasz zaciągnął się papierosem. Opowiadając Jackowi swój plan głęboko czuł, że musi się to udać. - Jest jeszcze jedna możliwość - powtórzył. Mianowicie taka, że jeżeli jest taki głupi jak twierdzisz, to wpadnie i wtedy też mamy kłopot z głowy.

- W jaki sposób - Jackowi bardzo się podobał przedstawiony mu plan.

- Zaasekurujemy się. Ale pamiętaj, że najpierw muszę mieć wiadomość od ciebie, że się zatrzymał i zmienił koło. Ty mi to powiesz. I na tym skończy się twoja rola. Resztę załatwię sam.

- Mam za nim jechać?

- Uhm. Ale nie za nim, tylko przed nim. I nie swoim wozem tylko taryfą. Jak się zatrzyma i zjedzie na pobocze, to już będziesz wiedział. Zresztą co ja ci będę tłumaczył. Poradzisz sobie. Wrócisz do domu i poczekaś na mnie.

- A jak wpadniesz we Wrocławiu? - Jacek był szczerze zatroskany. Łukasz nie powiedział Jackowi, że wcale nie pojedzie do Wrocławia. Po co ryzykować. Gdyby wpadł, to by go całe życie podejrzewał.

- Nie wpadnę. Nie mogę wpaść. Gdyby mnie jeszcze nie było, to siedź i czekaj. Acha! Byłbym zapomniał. Jak teraz wrócisz do siebie do domu, wyjmij te dokumenty z za komody. Weź kawał mięsa, zawiń tak, żeby nie było widać i wrzuć na dno zamrażarki.

- No dobra. Wszystko wiem. Powiedz mi tylko jedno. Nadal nie rozumiem gdzie ta twoja genialna asekuracja.

- O rany. To takie proste. Kiedy mi powiesz, że on wie co ma w bagażniku, to ja po prostu zawiadomię kogo trzeba i powiem gdzie jest ten ich milion dolców.

- No dobra. A kogo masz zamiar zawiadomić. "Pingwina", Cyganów czy może tę dupę z Sopotu?!

W odpowiedzi Łukasz popatrzył przez chwilę Jackowi w oczy. Nie odezwał się jednak. Twarz miał już spokojną i pewną siebie. Jacek wytrzymał spojrzenie. Powoli zaczynał rozumieć. Wszystko! Mimo, że groza sytuacji w żadnym razie nie dotyczyła jego, poczuł jak nagle krew mu odpływa do pięt. To co Łukasz wymyślił, to już była wyższa szkoła jazdy. Zrozumiał, że cały ten plan od samego początku zmierzał do jednego. Wykrztusił:

- Nie!! Tego nie zrobisz!

Łukasz bardzo pewnym siebie tonem odpowiedział patrząc przed siebie - A dlaczego nie? Właśnie, że zrobię! Jacek zrozumiał, że Łukasz ma zamiar zawiadomić ich wszystkich o tym, że forsa jest u Tomka w bagażniku.

Rozdział 14

Anna była nawet zadowolona z tego ostatniego przechodniego kochanka. Wprawdzie miała wtedy ochotę na zwykłego młodego byczka, ale w gruncie rzeczy ten też był taki. Wiedziała to od razu, jak tylko spojrzała na niego w piwiarni. - Taki to nie wiem jakby się nie wymyśl i włożył na siebie najdroższe ciuchy, to i tak będzie widać - myślała. Zresztą jak dla niej, był stanowczo zbyt wymyty. Annę bardziej, dużo bardziej podniecał chło-pek-roztropek w przepoconej tygodniowej koszuli. - Ale nic straconego - pomyślała. - Następnym razem wyszukam sobie takiego.

Po ostatniej przygodzie zastanowiła się nawet nad tym czy tej skłonności nie zawdzięcza swoim dawnym doświadczeniom.

Tym z ZSRR. Ale chyba nie. To było przecież tak dawno temu.

Będzie już jakieś piętnaście lat. Wtedy dopiero zaczynała z Jurkiem robić interesy. To były interesy!! - rozmyślała popijając wytrawne Martini.

Jurek pracował wtedy w ZREMB-ie jako kierowca. Miał szczęście. Dyrektor ZREMB-u miał właśnie do niego największe zaufanie i na wyjazd do ZSRR wybrał jego. Jej mąż bardzo szybko zorientował się na czym naprawdę inżynierowie i dyrektorzy robią forszę. Ale nie był taki głupi, żeby wchodzić z nimi w układy.

Zaczęli z Anną handlować brylantami na własną rękę. Dyrektor do dziś pewnie nie ma pojęcia, że razem z jego brylantami kierowca przemycał także swoje. Sposób był czysty jak błękitny brylant.

Przez Polskę szły na zachód z "Sojuza" transporty wysokopięnych silników. W nasączone smarem papierki pakowane były śruby. Razem ze śrubami pakowało się brylanty.

Odbiorcy na Zachodzie podobno najwyżej cenili polskie ekipy zatrudnione przy pakowaniu silników. Kiedy pakowali Polacy, nigdy się nie zdarzyło, żeby jakiejś śruby brakowało, a kiedy kontrolę mieli Rosjanie, to zawsze coś było nie tak. Podstawą sukcesu było to, że w Niemczech kontrolę nad rozładunkiem musiała sprawować ta sama ekipa, która kontrolowała załadunek. Znajomości i kontakty, które nawiązała z Jurkiem kilkanaście lat temu do dziś się przydawały.

Anna właśnie wtedy jeździła do ZSRR. Głównie w czasie, gdy Jurek razem ze swoim dyrektorem jeździł do Niemiec. Pilnowała dostawy brylantów i realizowała specjalne zamówienia.

Miała coś więcej do zaoferowania, niż podział zysków. W dodatku bardzo się tam podobała. Dla nich, to ona była z innego świata. Ale tak jak wszędzie panowała podstawowa zasada - nic za darmo.

Właśnie wtedy, tam, miała takich kochanków, za którymi teraz tęskniła. Z przyjemnością wracała do tamtych wspomnień.

Przypomniała sobie kilka skrajnych sytuacji łóżkowych z tamtych czasów i stwierdziła, że jednak nie będzie szukała tego wymytego. Stanowczo jej to jednak nie odpowiadało. Wprawdzie kiedy chcąc go sprawdzić wygoniła go w nocy, to pokazał trochę pazurów, ale mimo to była pewna, że to jest wszystko na co go było stać. - Nie! - pomyślała - on mi nie dostarczy większych emocji, a samo rżnięcie, jakie by nie było, już mi nie wystarczy. - Pomyślała i zabrała się do szykowania następnego Martini.

Jej życie obfitowało ostatnio w emocje. Postarał się o to niespodziewanie jej własny mąż. No, może nie tak znowu niespodziewanie. Niespodzianką było to, że tak się afiszował z tą modelką.

O tym, że jej mąż nagminnie sponsorował wybory miss w całej Polsce, już dawno wiedziała. Dobrze też wiedziała po co. Zła była tylko o to, że tym razem wszyscy o tym gadali. Cała Warszawa. Kilka bardzo życzliwych koleżanek dokładnie i z ogromnym współczuciem naświetliło jej sytuację. A ona dobrze wiedziała, że nie należy się zbytnio angażować. Tym razem nie zależało jej na tym. W Warszawie się podobno mówiło o rozwodzie. Rozwód! Oni chyba zwariowali! Kto z kim? Bo ona na pewno się nie rozwiedzie i nie da rozwodu.

Rozwód był bowiem ostatnią rzeczą jakiej by sobie życzyła. To by oznaczało same problemy: utratę bogactwa, a co za tym idzie prestiżu i wszystkich przywilejów, na które tyle lat ciężko pracowała.

Teraz bowiem ona - Anna Naderowa - znajdowała się na samym szczycie elity Warszawy. Nikt inny tylko właśnie ona!

Córka szkolnej kucharki w małym miasteczku! Teraz ona była zapraszana i zapraszała do siebie, do najwspanialszej rezydencji w całej Warszawie.

U niej bywali wszyscy: najwięksi biznesmeni, i najślawniejsze osoby z całej Warszawy, ludzie z TV, lekarze, adwokaci, aktorzy - wszyscy ci, którzy się liczą. Nie elita, nie śmietanka, tylko elita śmietanki.

Miała takie znajome, że nawet na wizyty w gabinecie kosmetycznym umawiała się z Małgosią Stawską - najślawniejszą spikerką telewizyjną. To, że Małgośka stanowczo za często zapominała zapłacić za siebie nie przeszkadzało Annie. Dobrze wiedziała za co płaci. Pokazywanie się w mieście z osobą, której twarz wszyscy znali z telewizji dodawało Annie prestiżu. Nawet sama bardzo dokładnie pilnowała terminów wizyt w gabinecie. W te dni podjeżdżała po nią pod budynek TV swoim luksusowym czerwonym Jaguarem.

Tę nieszczęsną kopertę dostała w zeszłym tygodniu. Akurat siedziała w salonie na kanapie i malowała paznokcie. Ze szkoły

wróciła jej córka Angelika. Była jak zwykle naburmuszona. Niechętnym tonem odezwała się do matki - jak wychodziłam ze szkoły to jakiś taryfiarz mi to dał. Powiedział, że to dla ciebie. Angelika powoli szła w jej stronę i po drodze zabierała się do otworzenia dużej szarej koperty. Anna z daleka widziała co jest w kopercie. Krzyknęła ostro - zostaw to! To nie do ciebie! Angelika z wściekłością cisnęła na wół rozerwaną kopertę na kanapę obok Anny i prychnęła: - pewnie znowu kazałaś sobie przysłać jakieś porno. Jak wyjdiesz z chaty, to i tak obejrzę!

- Usiadła naprzeciwko Anny i na białej kanapie podwinęła pod siebie nogi w obłożonych adidasach. Patrzyła przez chwilę pogardliwym wzrokiem na matkę i powiedziała: - Mogłabyś chociaż raz przygotować mi coś do żarcia jak wracam z budy.

Anna spojrzała na córkę i pomyślała z niechęcią - gówniara ma piętnaście lat, a zachowuje się jakby wszystkie rozumy zjadła, nie mówiąc już o tym, że wymagania mająk księżniczka.

- Natychmiast zdejmij te buty z kanapy - wrzasnęła nie przerywając malowania paznokci.

Angelika niechętnie podniosła się z kanapy i poszła w kierunku schodów. Anna patrzyła na nią. Angelika musiała wiedzieć o tym, bo ostentacyjnie kręciła tyłkiem. Zatrzymała się na chwilę przy schodach i, nie odwracając się, powiedziała: - Idę do siebie, bo nie mogę na ciebie patrzeć. A swoją drogą muszę ci tym razem przyznać dobry gust. Ten nowy goryl, który przyjechał po mnie do budy jest wspaniały. Jestem pewna, że wszystko ma takie wspaniałe. - Anna patrzyła jak córka wchodzi na schody. Wszystko w niej kipiało. Najchętniej łeb bym jej ukręciła - pomyślała. Angelika tak jej ostatnio działała na nerwy, że postanowiła ponownie wysłać córkę do Urszulanek.

Poczekwała, aż usłyszy trzaśnięcie drzwiami na górze. Jej zainteresowanie skupiło się na leżącej obok szarej kopercie.

Przyglądała się jej przez chwilę, ale nie wzięła od razu do ręki.

Dostrzegła z boku dopisek "Koperta w środku" i błysk

niepokoju przebiegł po jej twarzy. - Co to jest do cholery? -Jednym ruchem rozerwała kopertę do końca i wyjęła kasetę video.

Gwałtownym ruchem rozdarła zwykłą niebieską kopertę przyklejoną do kasety taśmą.

Informacja była krótka, ale wymowna. "Jeśli myślisz, stara kurwo, że tylko ty się puszczasz, to się sama przekonaj!"

Chwyciła kasetę i pobiegła na górę do swojego pokoju. Zamknęła drzwi na klucz. Ręce tak jej się trzęsły, że z trudem włożyła kasetę do video. Usiadła na łóżku i wzięła pilota, ale szybko wstała i naląła sobie spory kieliszek wódki. Usiadła z powrotem. Poczwała narastające ciepło rozchodzącego się w środku alkoholu. Z oczami utkwionymi w ekran telewizora nadusiła przycisk "play". Patrzyła na przesuwające się obrazy i nie mogła wyjść z podziwu. Jak się komuś udało nagrać to wszystko tak, że Jurek się nie zorientował?! Był przecież taki czujny!

Bo to, że ta kurewka, która z nim była niczego nie zauważyła, to zrozumiałe - pomyślała. - Ale on! Chyba że... nie to niemożliwe! Anna odrzuciła szybko niedorzeczny pomysł, że to sam Jurek przysłał tę kasetę.

Ujęcia były różne. Film musiał być kręcony przez kogoś, kto za tą parą jeździł. Pierwsze ujęcia pokazywały jak wchodzili i wychodzili roześmiani z hotelu "Marriott", jak całowali się w Jurka Mercedesie. Następnie ona wysiadała z samochodu przed jakimś blokiem. W tym miejscu kamera przesunęła się i zatrzymała na chwilę na tabliczce z nazwą osiedla i numerem domu, i na liście lokatorów. Anna zatrzymała na chwilę film i przeczytała: Bednarek Zenon m. 145. X piętro. - Ktoś się mocno starał, żeby informacja była pełna - pomyślała. Puściła film dalej. Przebitka z wyborów Miss Polonia. Zbliżenie na twarz Jurka i wyraźnie widoczne, rozanielone spojrzenia jej i jego. W tym miejscu cofnęła. Puściła dwa razy ten kawałek. Dobrze widziała!! W lustrze mignęła jej rozmawiająca z tą

dziewczyną Małgośka Stawska. Anna jeszcze kilka razy puściła ten kawałek. Ujęcie było krótkie i przypadkowe, ale bardzo wyraźne. Dziewczyny ustawione w szereg wychodziły na scenę. Wchodząc na schody za kulisami przechodziły obok dużego lustra. Naprzeciwko tego lustra musiała stać Małgośka. Jej postać tylko mignęła między przechodzącymi dziewczynami. Anna nie miała jednak czasu na zastanawianie się co z tą informacją zrobić.

Następne ujęcia były z Gdańska, a właściwie z Gdańska i z Gdyni, głównie z hotelu "Marina". Pokazywały duże, białe leżaki na basenie. Ujęcie było z góry. - Musiał ich ktoś filmować z pokoju hotelowego - pomyślała. Pili szampana zwysokich, smukłych kieliszków. Obok stał srebrny kubełek z butelką szampana zanurzoną w lodzie. Kamera bardzo powoli przesuwała się po ciele dziewczyny. Najpierw Anna zobaczyła stopy. Małe, drobne, prawie dziewczęce, o równych gładkich wypiełgnowanych drobnych palcach. Po raz pierwszy ścisnęło ją w dołku. Wiedziała, jak bardzo Jurek lubił takie małe stopy. Ona sama miała rozmiar buta 40. Jej mąż uwielbiał dziewczyny powyżej 172 cm wzrostu, ale stopy mogły mieć najwyżej 37.

Przy jego forsie, mógł sobie wybierać w Kopciuszkach, ile chciał. Kamera powoli przesuwała się wyżej i wyżej. Dokładnie ukazując długie jędrne, opalone na brąz nogi o lśniącej napiętej skórze... Anna miała ochotę wyłączyć kasetę, ale ciekawość była silniejsza.

Patrzyła na wąskie biodra, płaski brzuch. Widać było, że jest to ciało jeszcze dziewczęce, ale już pełne kobiecego wdzięku. Na poręczy leżaka, spokojnie spoczywała dłoń dziewczyny. Naderowa nie bez złości patrzyła na jej smukłe palce i długie, wypiełgnowane, prawdziwe paznokcie. Sztuczne czy prawdziwe potrafiła rozróżnić na pierwszy rzut oka. Na tym punkcie była wyczulona. Sama bowiem miała brzydkie kościste palce (z dużymi wiązaniem stawów) jeszcze do tego paznokcie

jak łopaty. Jakby tego było jeszcze mało zawsze były obgryzione. Wydawała majątek na manicurzystkę. Aż wreszcie wymyślono coś, co ją miało uratować. Chodziła co tydzień na przyklejanie paznokci. Niestety, mimo różnych korekt kształtów niewiele to pomagało. Nadal miała ręce jak chłopka.

Kamerzysta musiał się chyba nagle wycofać, ponieważ ostatnim ujęciem była chmura miodowo-złoty, długich włosów, miękko unoszących się z leżaka.

Wyłączyła kasetę. Jak na razie miała serdecznie dosyć. Podeszła do swojego ulubionego stoliczka i naląła sobie jeszcze jedną wódkę. Poczowała, że ma zaciśnięte zęby. Spojrzała w lustro. Ze złości pojawiły się na jej twarzy głębokie pionowe bruzdy od nosa do kąćków ust. Jeszcze bardziej się rozzłościła. Zabiegi likwidujące te koszmarnie głębokie zmarszczki kosztowały ją fortunę. Nie wiedziała co powinna zrobić.

Ze swoją pozycją, której nie miała ochoty utracić mogła tylko zrobić jedno. Powiedziała na głos - muszę pozbyć się tej kurewki. i to w miarę możliwości jak najprędzej i przede wszystkim po cichu. - Wcale nie miała zamiaru wyjaśniać czegokolwiek z Jerzym. Bo i po co! Co by to dało?

Przecież nikt nie jest aż taki dumny, żeby dzielić majątek na pół. Pod wpływem tego, co przed chwilą zobaczyła na filmie, przypomniało jej się zachowanie Jurka sprzed kilku lat, kiedy to ona miała dosyć nieciekawą wpadkę.

Wybrała się wtedy pod Warszawę na dyskotekę do bardzo popularnego w tamtych latach klubu. Wiedziała, że chodzi tam Krzysztof. Krzysztof był kierowcą dużej ciężarówki u wspólnika jej męża. Już od paru miesięcy miała na niego ochotę, ale ciągle się jakoś nie składało.

Dyskoteka mieściła się w dużej willi położonej z dala od innych domów, w ogromnym ogrodzie, prawie w lesie. Oczywiście Krzysztof tam był. To był lipiec albo sierpień. Dokładnie już

nie pamiętała, ale była pewna, że latem. Około pierwszej w nocy wyszła z Krzysztofem do ogrodu. Kiedy już leżeli na trawniku przy dużym klombie usłyszała zbliżający się samochód. Dlaczego jechał tak powoli, przekonała się w bardzo nieprzyjemny sposób. Nagle znalazła się w pełnych reflektorach stojącego naprzeciwko sportowego samochodu. Miała podkasaną kieckę, z gołym tyłkiem i Krzysztofem między swoimi nogami. Za samochodem stało chyba ze dwudziestu mężczyzn. Na zdjęciach, które jej zrobił wtedy wspólnik Jerzego, właśnie ten, u którego pracował Krzysztof, wyglądała fatalnie. Najgorszy jednak był wyraz jej twarzy. Miała dokładnie taki sam grymas jak teraz. Była wtedy wściekła głównie o to, że tak dała się podejść.

Za odzyskanie filmu Jurek musiał zrezygnować ze współnic-twa w firmie, w której Krzysztof był kierowcą. Oczywiście okazało się, że to właśnie on zajął miejsce Jurka, jej męża.

Annie Jurek nic nie mógł zrobić. Dom, samochód i pozostałe trzy spółki były zapisane na nią. Musiał załatwić sprawę i już!

To jest jasne dla każdego, że nikt nie jest taki głupi, żeby rezygnować z majątku.

Wszyscy się w końcu puszczają, ale nie wszyscy na tym wpadają.

- Dobrze, że sobie o tej historii przypomniałam - pomyślała.

- Sprawajest jasna. No bo po co by mi ktoś przysłał tę kasetę? Jeżeli nie zapłacę, to zrobi ze sto kopii i puści w miasto. Muszę załatwić to szybko i sama. - Myślała, paląc papierosa i sącząc drinka. Wzięła do ręki telefon.

Ze słuchawką w jednej ręce i z drinkiem w drugiej podeszła do okna. Patrzyła przez chwilę na ogród, na piękny, łagodnie wznoszący się okrągły podjazd od bramy aż po samo wejście. Przesunęła wzrokiem po ogromnym wypielegnowanym angielskim trawniku. Jej wzrok zatrzymał się na niebieskiej jak laguna wodzie basenu, który o tej porze roku przykryty był niewidoczną siatką, żeby wody nie mąciły liście. Wodę z basenu kazała spu-

szczać dopiero gdy przychodziły mrozy. Ogromny basen napełniony wodą robił dużo większe wrażenie niż pusty. - Byłabym skończoną idiotką gdybym pozwoliła odebrać sobie choćby kawałek tego wszystkiego - pomyślała.

Zdecydowała nagle do kogo zadzwoni. Wykręciła numer telefonu i nadal patrząc na ogród czekała na połączenie. Po dłuższej chwili usłyszała - dyżurka spikerska słucham.

- Z panią Małgosią Stawską - powiedziała. Nie miała zwyczaju przez telefon ani się przedstawiać, ani mówić dzień dobry.

- Niestety pani Małgosi nie ma w pokoju - odpowiedział jej bardzo młody, prawie dziewczęcy głos.

- To mnie nie obchodzi, że pani Małgosi nie ma w pokoju! Ja się nie pytam czy jest! Tylko wyraźnie mówię, że chcę rozmawiać! - jej głos był stanowczy, wręcz apodyktyczny. - Dzwonię z Paryża, w sprawie nagrania programu i drugi raz nie zadzwonię! - uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Jak trzeba było, to dobrze wiedziała, co zrobić, żeby zmusić innych do tego co ona chce. Małgośka jak usłyszy, że telefon z Paryża, to przyleci nawet gdyby akurat w tym momencie zapowiadała program na jutro. Nie myliła się. Już po chwili usłyszała dobrze wymodulowany głos, który znała cała Polska.

- Małgorzata Stawska. Słucham?

- Dzień dobry Małgosiu. To ja. Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłam. Wprawdzie do tego nowego studia odnowy biologicznej jesteśmy umówione dopiero w czwartek - Anna mówiła głosem słodkim jak miód - ale właśnie dostałam dużą paczkę reklamowych kosmetyków firmy Dior i pomyślałam, o tobie. Może byś miała ochotę zobaczyć. Pewnie przyda ci się kilka extra kremów.

- Wypowiedziała wszystko prawie jednym tchem, żeby nie dopuścić Małgośki do głosu. Celowo powiedziała, że kosmetyki są reklamowe. W ten sposób Małgośka od razu będzie wiedziała, że to za darmo. Te golasy z telewizji, były takie łase na prezenty! Wystarczyło tylko powiedzieć, że coś jest za

darmo i już się miało ich w garści! - Cholera, muszę zaraz skoczyć do miasta i kupić cały zestaw kremów - pomyślała, zerkając na zegarek.

- Oczywiście, że mi nie przeszkadzasz - głos Małgoški zrobił się trochę bardziej twardy, ale już następne zdanie wypowiedziała sympatyczniej - bardzo chętnie zobaczę to co dostałaś. Jesteś kochana, że pomyślałaś o mnie.

- Przede wszystkim pomyślałam o tobie. Przecież szkoda tej twojej pięknej cery - szczebiotała - żeby się tak niszczyła w tych koszmarnych światłach. Na koniec dodała - może wpadniesz do mnie po południu?

- Dzisiaj nie mogę - Małgoška była wściekła, bo wszyscy w pokoju dyżurów słuchali tej rozmowy. Oczywiście udawali, że są bardzo zajęci papierkami na biurkach, ale uszy mieli jak Pinokio nos. Sekretarka planu szukając jej w bufecie i w studio, wołała na cały głos, że jest ważny telefon z Paryża w sprawie programu. Akurat teraz jest jej to potrzebne! Cała telewizja aż huczy od plot. Wszyscy zajmują się cudzymi sprawami. Niedługo będzie nowy prezes, czyli telewizja znowu w ciąży... A tu telefon z Paryża?! Za dziesięć minut w całym budynku będzie huczało, że robi bokami. - Niech tą babę jasny szlak trafi! Po co mi ta prymitywna prosta prywaciara! - myślała z wściekłością.

- Jeżeli masz ochotę, to mogę wpaść po ciebie - Naderowa nie miała zamiaru rezygnować. Udawała, że nie słyszy niechęci w głosie Małgoški - muszę u Michaela Badre zrobić jakieś małe zakupy. - Pewnie nie ma nawet na benzynę do tego swojego małego gówna - pomyślała.

- Zadzwoń do ciebie - Małgosia postanowiła przetrzymać Naderowa. W końcu to ona była Panią Małgosią z telewizji i byle prywaciara nie będzie jej mówiła co i kiedy ma robić. - Nie wiem jak mi się dzisiaj ułoży dyżur w okienku, ale - dodała słodkim głosem - wpadnę dzisiaj na pewno.

Nie miała zamiaru rezygnować z takich kosmetyków. Cena tych kremów leżała poza zasięgiem jej możliwości finansowych już od dawna.

- Dobrze, dobrze, kochanie. Ja jakieś dwie godzinki jeszcze będę w domu - powiedziała Anna i dodała - później wychodzę. Specjalnie dała jej dwie godziny. - A co ona sobie myśli do cholery! - pomyślała po odłożeniu słuchawki. - Za darmo dostaje kosmetyki, i to takie, że mogłaby tylko polizać szybę wystawową w salonie Diora, i będzie tutaj pokazywała humory! - Była pewna, że Małgosia oddzwoni najwyżej w ciągu godziny. - Atak swoją drogą, to mogłaby przynajmniej nie rznąć paniska jak jej nie stać na kremy za kilka milionów - powiedziała na głos.

Małgośka po odłożeniu słuchawki aż westchnęła, ale nie z ulgi, tylko ze złości, której nie potrafiła powstrzymać. Już chciała coś tej kretynce powiedzieć o tym Paryżu, ale całe szczęście, że się powstrzymała. Poza satysfakcją, wątpliwą zresztą, nic by to nie dało, za to poważnie mogło zaszkodzić zupełnie niezłemu układowi.

Czerpała z tej symbiozy całkiem spore korzyści, a między Bogiem a prawdą niewiele ją to kosztowało. Czasami musiała pójść na wybrane przez Annę przyjęcie. W ten sposób Naderowa mogła pokazać jak bardzo się przyjaźni z panią Małgosią z TV. Na takich przyjęciach było zawsze super jedzenie i alkohole. Były też dalsze korzyści z tej znajomości. Małgośka już od dawna nie płaciła rachunków w najlepszym gabinecie kosmetycznym w Victorii. A były to najmniej dwa miliony tygodniowo. Wiedziała, bo powtarzały jej o tym kosmetyczki, że Naderowa wchodząc do gabinetu i wiedząc, że jej jeszcze nie ma, głośno, żeby wszyscy słyszeli pyta - "Czy Małgosia Stawska już jest?!" albo: "Jak przyjdzie Małgosia Stawska to jestem w solarium".

Swoją drogą, to właśnie gabinety kosmetyczne stały się w ostatnich czasach najbardziej prestiżowymi miejscami w Warszawie. Wcale nie te knajpki gdzie można wydać polecenie

znanemu aktorowi. Małgośka już dawno doszła do tego, dlaczego właśnie gabinety. W takim gabinecie od razu się wiedziało kto jest kim. Po rachunkach. Wcale nie chodziło tu o układy damsko-męskie. Były ważniejsze - Warszawki z Warszawą. Między jedną wyglądzaną zmarszczką a drugą kłębiły się nawet najbardziej nieprawdopodobne informacje: kto jest z kim, kiedy jaki minister wyleci, dlaczego sam "dobrowolnie" złoży dymisję, kiedy zostaną zmienione cła na samochody, kiedy przyjedzie transport lewych papierosów do hurtowni Olka, z kim ten nowy minister założył spółkę, i ile na tym przez trzy miesiące zarobi, zanim wyleci, no i oczywiście kto za tym stoi. Dalej: ile dziennie przelewa się lewej ropy przez biuro charytatywnej fundacji, o zgoła innym przeznaczeniu, ile aktualnie kosztuje przemycanie na nabrzeżu w Gdyni całego statku kradzionych samochodów z USA, i cała masa takich bzdur.

Małgośka na początku nie zwracała uwagi na to durne babskie peplanie. Dopiero po pewnym czasie zaczęła się temu przysłuchiwać. Od momentu, w którym ze zgrozą stwierdziła, że to co one ot tak sobie, gadają, po pewnym czasie się sprawdza. One mówiły prawdę!!!

Ostatnio Małgośka doświadczyła jeszcze czegoś, czegoś czego powinna unikać za wszelką cenę, ale niestety stało się.

Tak się złożyło, że zasiedziała się u fryzjera. Naderowa miała jeszcze ze dwie godziny zabiegów. Na domiar złego padał deszcz. Maluch Małgośki nie zapalił. Musiała w ciągu piętnastu minut znaleźć się w telewizji. Miała dyżur i wyskoczyła na chwilę, a tego nie wolno było robić. Wróciła do gabinetu. Chciała zapytać czy któraś z kończących zabieg pań nie mogłaby jej podwieźć. W momencie, w którym o to pytała, akurat wyszła Naderowa z solarium. Jak gdyby nigdy nic wręczyła jej kluczyk od swojego samochodu ze słowami - możesz pojechać moim. Przyjedź tylko później po mnie. - Odchodząc odwróciła się

jeszcze i dodała - Ach! tylko nie grzeb kluczykiem w zamku od drzwi. Pilot jest tak zakodowany, że jak podejdziesz, to zamek sam się otworzy - powiedziała i poszła.

Małgośka wsiadła do czerwonego Jaguara XJ 220 i pojechała.

To, czego doświadczyła jadąc przez miasto nie dało się porównać z niczym innym. Auto miało takie wnętrze, że jak usiadła to w pierwszej chwili pomyślała, że jest w samolocie. W drugiej chwili, jak ruszyła, też tak pomyślała. Dopiero na ziemię sprowadzili ją ludzie i ich zachwycone spojrzenia. Stojąc na zmianie świateł wyraźnie widziała, że jest rozpoznawalna. Ludzie czekający na przystankach nie odrywali od niej wzroku tak długo, aż odjechała. W ich oczach był podziw, zazdrość. Ale nie tylko. Wyraźnie widziała aprobatę. Owszem, była przyzwyczajona do tego, że wszyscy na nią patrzą. Gdy jechała swoim maluchem też na nią patrzyli, ale teraz wyraźnie widziała w tych spojrzeniach coś jeszcze - podziw. I to było to nowe doznanie, o którym nie mogła zapomnieć. Wiedziała, że nie ma takiej rzeczy dla ludzi stojących na przystankach, która wzbudzi w nich taki podziw jak czerwony Jaguar z najpopularniejszą spikerką z telewizji za kierownicą.

Tak zapamiętała tę jazdę do gmachu telewizji, że dosłownie śniło jej się to po nocach. Sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, ale wiedziała, że zrobi wszystko, dosłownie wszystko, żeby mieć taki wóz.

Małgośka jeszcze stała zamyślona tyłem do drzwi, gdy nagle usłyszała za sobą nieprzyjemny głos swojego nowego szefa - No co pani Małgorzato, kroi się pani zupełnie niezły wyjazd za granicę. - Cedził słowa układając i wydymając usta w serduszko. - Dawno nie słyszałem, żebyś była dla kogoś taka miła przez telefon. - Maciej Zynkiewicz - nowy szefiej działu - stał oparty o biurko z filiżanką kawv w ręce i patrzył na nią tymi swoimi rybimi, świdrującymi oczkami. Małgośka odwróciła się powoli w jego stronę i jej wzrok zatrzymał się na chwilę na znanej w

całej telewizji filizance. Ze złotym wytartym herbem po środku. Pomyślała błyskawicznie - muszę uważać! Już jest po jednym głębszym. Mogę się założyć, że i tym razem ma w filizance kawę pół na pół z brandy. - Uśmiechnęła się najłagodniej jak umiała i powiedziała - nie! Skąd! To moja trochę awangardowa koleżanka dzwoniła. Ona miewa takie pomysły. Po prostu nie mogła mnie znaleźć więc powiedziała pani Ani, że dzwoni z Paryża. -Gdyby mnie nie zaskoczył - pomyślała ze złością - to bym nigdy w życiu przy tych gryzipiórkach w pokoju tego nie powiedziała. Ale w tej sytuacji, lepiej było się ośmieszyć niż ryzykować z nowym przewrażliwionym na swoim punkcie szefem. Wiedziała, że wprawdzie ma bardzo dobre nienaruszalne układy w telewizji, ale w obecnych warunkach, mimo wszystko trzeba walczyć o ich utrzymanie. Wszyscy się wzajemnie obsmarowy-wali. Wprawdzie tak było zawsze, ale w ostatnim czasie trzeba było uważać komu się na kogoś mówi. Kiedyś było jasne kogo należy napuścić na kogo, ale teraz! Koterie zmieniały się bardzo szybko. Nowy szef, który nadal wpatrywał się w nią tymi oczkami bazyliuszka, miał bardzo niebezpieczną opinię.

Był złośliwy, wyrafinowany, uparty i co najgorsze - miał podobno doskonale koneksje. Należał do potężnej koterii zajmującej się przede wszystkim ochroną siebie i swoich bajecznych interesów. Wszystkie kobiety w telewizji wiedziały też, że tym razem droga nie tędy co zawsze.

Ich nowy szef był bowiem profesjonalnym pedałem.

- Pani Małgorzato, jeżeli nie ma pani więcej międzynarodowych rozmów telefonicznych, to proszę do mnie na rozmowę -powiedział to takim tonem, że dla wszystkich w pokoju było jasne, iż nie jest durniem i nie uwierzył w tę enigmatyczną koleżankę, która wcale nie dzwoni z Paryża.

Małgośka nie potrafiła się opanować i wpadła w taki sam kąśliwy ton.

- Nie, nie mam żadnych telefonów... nie zdążyła nawet skon-
- To mnie nie interesuje - znowu wydał usta, wyraźnie egzaltując się
swoją przewagą. Odwrócił się i omiatając wzrokiem wystraszonych
ludzi za biurkami zbliżył się do wyjścia.

Otworzył drzwi i nie odwracając się powiedział - No proszę pani
Małgosiu. Idziemy!

Nawet z jego postawy widać było wyraźnie jak bardzo jest
zachwycony tym, że zdominował sytuację. Wszyscy w pokoju
dosłownie wstrzymali oddech kiedy wychodził.

Małgośka wściekła do granic możliwości chwyciła pasek torebki
przewieszony przez poręcz fotela. Szarpnęła raz i drugi. Ten drugi
raz stanowczo za mocno. Torebka uwolniła się, ale krzesło z hukiem
przewróciło się na podłogę. W pokoju wszyscy aż podskoczyli.

Maciej Zynkiewicz był z siebie bardzo zadowolony. Jak zawsze
przypadek mu sprzyjał. Po raz pierwszy od momentu objęcia funkcji
dyrektora w TV wybrał się do tego pokoju. I od razu udało mu się
wprowadzić atmosferę dokładnie taką, na jakiej mu zależało. Z
satysfakcją patrzył na rozgrywającą się scenkę. Z rozkoszą wdychał
zapach napięcia panującego w pokoju i patrzył na wściekłą do granic
możliwości, hołubioną przez wszystkich spikerkę, miotającą się z
krzesłem i torebką. Na korytarzu zatrzymał się na chwilę i
ostentacyjnie wypił tyk kawki. Aż mlasnął z zadowolenia. Była taka
jaką lubił. Z łyżeczką cacao, ze śmietanką, z kieliszkiem brandy i
słodka. Słodka jak ulepek. Usłyszał za sobą stukot obcasów i ruszył
do przodu. Małgośka szła za nim korytarzem. Nie zrównała kroku.
Nie zamykając za sobą drzwi wszedł do sekretariatu. Przechodząc
przez niego rzucił - Proszę mnie z nikim nie łączyć. Czekał w
otwartych drzwiach aż Małgorzata go wyminie i wejdzie do pokoju.
Miał ochotę sprawdzić jakich używa perfum. Był bardzo
rozczarowany. Wprawdzie jej nie lubił, ale doceniał

w niej pewną klasę, którą bezsprzecznie posiadała. Nie spodziewał się, że używała tandety za sto tysięcy. Był pewien, że jakiś tydzień temu na korytarzu poczuł od niej Palomę Picasso.

Poczekał aż usiadła i zamykając drzwi dodał jeszcze - Tak, tak, z nikim proszę mnie nie łączyć. No, chyba żeby dzwonił pan Marian Blumsztein.

Małgoškę, która akurat rozglądała się po nowym gabinecie nowego szefa aż zatkało kiedy usłyszała to nazwisko. Nikt tego człowieka nie znał, chociaż każdy chętnie przebąkiwał, że go zna.

Cała Warszawka wiedziała i bez przerwy plotkowała o jego obłądnych interesach. Wszyscy też wiedzieli, że jest mężem Magdaleny - najpiękniejszej spikerki w całej Polsce. Wszyscy byli głęboko przekonani, że może kupić i sprzedać każdego. Wykończyć też. A w ogóle to opowiadano na mieście o nim takie cuda, że nawet gdyby połowa była prawdą to... Nagle jej wzrok padł na portret. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Był to obraz namalowany olejną farbą. Nie żadna reprodukcja. Przedstawiał postać prawie gołego, bo tylko w szponkach, wspaniale zbudowanego mężczyzny. Typowy teatralny portret baletmistrza. Przegięta postać wyrażała upojne przeżycie artysty. Tyle, że szokujące było właśnie to, kto był tym baletmistrem. Wypisz wymaluj jej nowy szef, Maciej Zynkiewicz! Wcale nie jego brat czy ojciec. Tylko on! We własnej osobie! - Podoba się pani? - usłyszała za sobą dużo już łagodniejszy głos. - Tak! Bardzo. - Była tak zaskoczona, że aż nie potrafiła tego ukryć. - To jestem ja. - Wpatrywał się razem z nią w portret - Dostałem to na urodziny od przyjaciół. Wspaniały, nieprawdaż?! - Ale proszę usiąść pani Małgosiu. Myślę, że powinniśmy porozmawiać. - Jego głos był zupełnie inny niż przed chwilą w pokoju dyżurów. - Cholera no chyba nie zmienił się tak nagle tylko dlatego, że spojrzałam na obraz - pomyślała. Nadal była

na niego wściekła. Tak ją poniżyć przy wszystkich. - Niech ci dupa pęknie ty wstrętny pedale - pomyślała, ale uśmiechnęła się łagodnie, spoglądając ponownie na obraz. - No nie ma co niezły kretyn - pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Może wypije pani ze mną kawę?

- Nie dziękuję. Przed chwilą piłam.

- To może kieliszek koniaczku - nie dawał za wygraną. Znowu chciał narzucić taką atmosferę jaka mu w tej chwili odpowiadała.

- No to może rzeczywiście kieliszek koniaku mi dobrze zrobi. - cholera rozmawia ze mną jak z dzieckiem. Wszystkim wiadomo było, że jak Zynkiewicz jest taki słodki jak jego kawki to knuje coś większego.

- O czym pan chciał ze mną porozmawiać. - Czują, że uzyskuje przewagę. Domyślała się, że on czegoś bardzo od niej chce.

Uśmiechnęła się telewizyjnym uśmiechem numer trzy.

- No widzi pani. Tak jest lepiej. Nawet się pani uśmiecha - powiedział. Udawał, że nie zauważył z jakim przekąsem się uśmiechnęła. Podeszedł do biurka. Wyjął dużą piękną koniaków-kę z cieniutkiego szkła. Wyciągnął butelkę Courvoisier. Bardzo powoli, przyglądając się w skupieniu temu co robi nalał złocistego płynu do kieliszka. Małgośka przyglądała się uważnie wszystkim jego ruchom. - Cholera co za obrzydliwy facet - pomyślała - przecież robi to specjalnie. Chce mi pokazać jaki jest opanowany.

- Proszę - podał jej kieliszek jednocześnie siadając w fotelu po drugiej stronie stolika. Leżały na nim rozrzucone niedbale gazety z tego tygodnia. Wszystkie były zagraniczne. Trzymała w ręku kieliszek i nie odezwała się pierwsza. Już kiedy weszła postanowiła, że przyjmie postawę obronną.

- No! Więc przejdźmy do meritum sprawy - powoli cedził słowa. Nie odpowiedziała. Czekała na to co *usłyszy*.

- Mam dla pani interesującą propozycję. - Upił łyk kawy ze swojej obskórnej, zniszczonej, ale szlacheckiej filiżanki, nie spuszczać z niej bazylijszkowego wzroku.

- Powstaje, - ciągnął, cedząc słowa - a właściwie już powstała nowa komórka w naszej telewizji - na chwilę zawiesił głos, zmrużył oczy i powiedział powoli - redakcja do stałej współpracy z zagranicą. - Bacznie obserwował jej reakcję - musiałaś coś o tym słyszeć. - Zaskoczył ją tym ponownym przejściem na ty.

- Nie, nie słyszałam. Przez ostatni tydzień nie miałam dyżuru w okienku. Skłamała. Oczywiście, że słyszała! Cała telewizja aż się trzęsła od domysłów. Wiadomo było, że jest to żyła złota. Forsa miała płynąć szeroką rzeką. Wszyscy mieli na to ochotę. Byli tacy, którzy za dostanie się do żłobu, sprzedaliby własną duszę. Tylko, że nikt nie chciał kupować. Było jasne, że jest to ewidentny szwindel do brania ogromnej forsy do własnej kieszeni. Chodziło o puszczanie reklam w najlepszej godzinie emisyjnej. Spostrzegła, że ten cholerny modliszek przygląda się jej. Starła się za wszelką cenę nie pokazać po sobie, że kłamie.

- No, nie ważne co pani słyszała. Czemu pani nie pije? To naprawdę doskonały płyn. Jeden z najprzedniejszych na świecie - zrobił usteczka w dziób i upił łyk, z rozkoszą mrużąc oczy.

- A może lepiej będzie jak poczekam na propozycję? - posłała mu uśmiech, tym razem numer dwa. - Może wtedy będę miała za co wypić? Bo w zasadzie o tej godzinie nie piję alkoholu.

- No, przysrałam mu! - pomyślała z satysfakcją.

- Dobrze więc. Ponieważ jak pani wie, nie jestem złośliwy, dłużej nie będę trzymał pani w niepewności. - Powoli cedził słowa, rozkoszując się tym co mówił. Patrząc przed siebie powiedział - proponuję pani stanowisko szefa tego działu.

Małgośka patrzyła na niego i nie wierzyła własnym uszom. Nie dalej jak wczoraj, doszła do niej informacja, że szefostwo miał objąć ktoś z Łodzi. Nawet miał dostać super mieszkanie na Starówce.

Oczywiście wszyscy syczeli, że jest to ostatni ko-

chaś Zynkiewicza. Natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że będzie kartą przetargową jakichś rozgrywek, ale nie przejęła się tym. W tej instytucji bez przerwy toczyły się prywatne wojny. Tak naprawdę to tylko dzięki temu ludzie w ogóle przychodzili do pracy. Pracować nie było sensu, bo nie było po co. Wszystkim chodziło tylko o to, żeby broń Boże nie dać się wykopać z nowych układów, zmieniających się nawet kilka razy dziennie. Trzeba było znać miejsca, w których można było się dowiedzieć jakie są notowania na dany dzień czy godzinę. Wszystko zależało od tego, który bufet był czynny.

Małgośka od paru lat doskonale ślizgała się po tym gównie. Nikomu za bardzo nie wchodziła w drogę. Podkładała świnię tylko tam, gdzie już miała absolutną pewność, że trzeba dobić. Zawsze starała się wiedzieć kto jest najsilniejszy. Opłaciło się teraz! I to jak! To co, że będzie tylko figurantem! Bezpieczeństwo zapewni jej ten kto odkręca i zakręca kurek. Ci, którzy ją wybrali, doskonale wiedzieli co robią. - Nareszcie dopadnę forszę! - pomyślała - i to dużą!!

- Zaskoczyłem panią? - Maciej Zynkiewicz uważnie się jej przyglądał. Kochał manipulowanie ludzkimi emocjami. Z rozkoszą obserwował jak twarz profesjonalnej spikerki się zmienia.

- Tak, tak - odpowiedziała - bardzo. Nie potrafię tak nagle ochłonać.

- Dojrzała zadowolenie w tych karpich ślepkach i posłała mu zupełnie inny uśmiech. Numer jeden. Była autentycznie szczęśliwa. Mignął jej przed oczami czerwony Jaguar. Tyle, że własny.

- Och! Cieszę się, że nie jest już pani taka naburmuszona - z satysfakcją przypomniał jej sytuację z pokoju redakcyjnego. Jeszcze raz zapragnął uświadomić jej, jaką ma władzę nad nastrojami. - No to może teraz wypije pani ten boski płyn?

Małgośka nadal uśmiechając się podniosła do ust kieliszek. Tylko na to czekał. Powiedział jakby się wahając - Ale... - ręka

Małgośki zamarła w połowie drogi - ależ niech pani wypije, nie ma obaw. Muszę pani zadać tylko jedno pytanko. Pomyślała:

- Ty skurwielu?! - i poczuła jak krew odpływa z jej twarzy. Czuła, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma i chluśnie mu kieliszkiem w ten obleśny pysk!!

- Pani Małgosiu, zanim wzniesie pani toast za moje zdrowie, proszę odpowiedzieć, czy przyjmuje pani moją propozycję. Małgośka najbardziej opanowanym głosem na jaki ją było stać powiedziała:

- Pana zdrowie, panie dyrektorze. Oczywiście, że przyjmuję pańską propozycję. A co więcej - na chwilę zawiesiła głos - myślę, że spełnię wszystkie pańskie oczekiwania. - Ostatnie słowa wypowiedziała patrząc mu prosto w oczy.

- Ja też tak myślę i dlatego wybrałem panią. - Wstał i podszedł do biurka. Powtarzając cały ceremoniał nalał sobie sporą porcję tego samego koniaku. Małgośka w swoim kieliszku miała zaledwie pół łyka, ale jej nie zaproponował. Usiadł i powiedział unosząc kieliszek w górę. - Pani zdrowie - powoli małymi łydkami upił połowę zawartości kieliszka. Tak na oko prawie setkę. Oparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi.

- Dobrze - zamruczał pod nosem - proszę przyjść do mnie w środę o ósmej rano, to uzgodnimy szczegóły. - Do widzenia - powiedział i nawet na nią nie spojrział. Już był zajęty swoimi myślami.

Jak na razie szachy sukcesu ustawił tak jak chciał. Małgośka odstawiła kieliszek i wstała. Właśnie podchodziła do drzwi, gdy zadzwonił telefon. Zynkiewicz natychmiast podniósł słuchawkę.

Wymownie spojrział na ociągającą się Małgośkę. - Cholera! - pomyślała - co mnie podkusiło, żeby wstać! Co tu teraz zrobić, żeby usłyszeć rozmowę z tym Blumszteinem?! - Ale usłyszała tylko - tak, czekałem na twój telefon... - musiała wyjść, bo nic nie wymyśliła.

Drzwi nieubłagane się zamykały i w końcu zamknęły.

Zanim wyszła z sekretariatu zastanowiła się, jakie naprawdę ma odczucia. Stwierdziła, że bardzo mieszane.

Z jednej strony czuła ogromną satysfakcję, bo wszyscy pękają z zazdrości, ale z drugiej strony wkurzał ją sposób, w jaki Zyn-kiewicz ją traktował. - Ale czekaj, już ja znajdę na ciebie haka! - pomyślała. - Muszę się koniecznie dowiedzieć co cię łączy z Blumszteinem. - Tak myślała wychodząc z sekretariatu. I nagle przypomniała sobie telefon od Naderowej. Pomyślała nie bez rozbawienia - jak to sytuacja może się diametralnie zmienić w ciągu godziny. Muszę do niej szybko zadzwonić! - pomyślała.

Przypomniała sobie, że to przecież właśnie w tym domu bywał na przyjęciach jej nowy szef.

Szła szybko korytarzem, zajęta własnymi myślami. Nie zwracała uwagi na mijanych kolegów. Nigdy nie zachowywała się w taki sposób. Zawsze rozdawała uśmiechy na lewo i prawo.

Nie wiedziała, że zanim dojdzie do swojego pokoju cały budynek już będzie wiedział, kto został szefem prywatnego biznesu za cudze pieniądze.

Tak też się stało. Zanim weszła do pokoju, wiedzieli wszyscy, od archiwistek na najwyższym piętrze, po woźnych na dole.

Nadał pochłonięta własnymi myślami weszła do pokoju redakcyjnego. Skierowała się prosto do wieszaka. Nie miała ochoty na rozmowy. Przypadkowo zerknęła w lustro. Zobaczyła utkwiony w siebie wzrok młodej stażystki, która była sprawczynią paryskiego nieszczęścia sprzed godziny.

Małgośka uśmiechnęła się do lustra. Tamta w odpowiedzi puściła porozumiewawcze oko. Dla Małgośki informacja była czytelna. - Acha! - pomyślała - wszyscy już wiedzą! Ale błyskawica! Przez sekundę zastanawiała się co ma zrobić. Odwróciła się przodem do pokoju. Jednym spojrzeniem oceniała sytuację. Pomyślała, że nic się nie zmieniło. - Wszyscy macie w oczach syndrom głodnego psa! Nie wiadomo, czy będziecie gryźć czy

prosić na dwóch łapach! - pomyślała i odezwała się pewnym siebie tonem - Nie martwcie się. Będę o was pamiętać.

Nawet nie założyła płaszcza, odwróciła się i wyszła. Szybko zbiegła po schodach i z portierni zadzwoniła do Naderowej.

- Anka? To ja, Małgosia. Właśnie wychodzę z telewizji i jadę prosto do ciebie. Postarała się o to, aby jej głos był wręcz uwodzicielski.

Anna Naderowa była bardzo zadowolona z tego telefonu. Pomyślała

- jak ja cię dobrze znam. Wiedziałam, że z takich kremów nie zrezygnujesz. - Usiadła w salonie i odkleiła ceny z kremów, które kazała sobie dostarczyć taksówką ze sklepu.

Małgorzata Stawska dojechała do posiadłości Naderów w niecałe pół godziny. Zatrzymała się przy bramie. Nie zdążyła spojrzeć w lusterko, żeby poprawić makijaż, gdy brama otworzyła się bezszelestnie przed jej maluchem.

Niezależnie od pory roku rezydencja Naderów zawsze wzbudzała w niej mieszane uczucia. Te pozytywne dotyczyły wrażeń estetycznych.

I tym razem przejeżdżając powoli przez park, a następnie okrągłym podjazdem pod usytuowany na podwyższeniu imponujący budynek, była pełna zachwyty.

Ogród był arcydziełem ogrodnictwa. Nikt by nawet nie przypuszczał, że te ogromne stare drzewa zostały posadzone dopiero cztery lata temu.

Naderowa, nawet stuletnie, wielkie drzewa potrafiła kupić za pół ceny. Najpierw upatrzyła sobie najpiękniejsze okazy w różnych parkach w mieście. Następnie dotarła do właściwych ludzi, opłaciła kogo trzeba. Jesienią kazała wykopać i przesadzić do siebie, na teren parku. Na samym końcu postawiła warunek, że jak się nie przyjmą, to nie zapłaci. Ludzie, którzy zrobili to dla niej, tak się tym przejęli, że nawet zlecieli Akademii Rolniczej przeprowadzenie analizy porównawczej kwaśności ziemi dla posadzonych drzew. Wszystkie rośliny, poza jednym

bukiem się przyjęły. W tej sytuacji Anna Naderowa zapłaciła tyle ile obiecała, a nawet coś dołożyła.

Małgośka знаła tę historię z ust samej Naderowej. Kiedyś na babskiej kawie była świadkiem jak Anna to komuś opowiadała. To znaczy, doradzała w jaki sposób należy postąpić, żeby mieć takie ogromne, stare drzewa i krzewy. Uzasadniła to na koniec tym, że przecież nie będzie niszczyła swojego lasu wokół posiadłości, skoro można kupić kradzione drzewa. Małgośka aż nie mogła wtedy w coś takiego uwierzyć. Ale kiedy stopniowo bliżej poznawała Naderową, dochodziła do wniosku, że to absolutna prawda.

Wśród krzewów dominowały, oszałamiająco kwitnące od wiosny do jesieni, rododendrony w najbardziej bajecznych kolorach. Położony wśród płożących iglastych zielonych krzewów basen robił niezwykłe wrażenie, między innymi dlatego, że o tej porze roku był nadal pełen wody.

Małgośka podziwiała szczerze tę posiadłość.

I to była ta druga część jej mieszanych uczuć. Uważała, że to ona, ze swoją inteligencją, sławą i urodą powinna mieszkać w takim luksusie, a nie ktoś tak prymitywny jak Anna Nader, w dodatku robiący interesy w nieuczciwy sposób. Ten ogród to jeszcze pół biedy.

Większe katusze przechodziła wewnątrz domu. Zawsze wtedy myślała o swoim dwupokojowym mieszkaniu na dziesiątym piętrze, że ślepa kuchnią.

Małgośka miała w stosunku do domu Anny Nader typowo miłosne objawy. Z jednej strony nienawidziła go, a z drugiej kochała całą sobą. Czuli się w nim jak u siebie.

Miała szczerzy zamiar zamieszkać w takiej posiadłości. Pragnęła żyć w takich warunkach, za takim dwumetrowym murem, w takim ogrodzie i z takim Jaguarem w garażu.

Nie było takiej przeszkody, z którą by się nie zmierzyła dla osiągnięcia tego celu. Przecież była panią Małgosią z telewizji. Zaparkowała swojego malucha na jednym z kilku miejsc z napisem na asfalcie "Goście". Nawet położenie tego miejsca zostało dokładnie przemyślane. Idąc w kierunku domu miało się przed oczami wszystko co było w nim najpiękniejsze. Na wprost rzucał się w oczy przeszklony ogromny taras od południowej strony, otwarty latem z trzech stron, zimą osłonięty tylko szklanym dachem stawał się ogrodem zimowym. Był wyłożony płytami marmurowymi, tworzył całość z wmurowanym na środku niskim stołem. Z tego samego marmuru co podłoga. Stół miał najmniej dwa metry na trzy. W środku rosły w zależności od pory roku żółte karłowate chińskie róże, jesienią obsadzano to miejsce bladoróżowymi storczykami w otoczeniu stale kwitnącej, białej, drobniutkiej jak pierwszy śnieg, gipsówki.

Front domu zawierał wiele elementów stylu hiszpańskiego. Najbardziej charakterystycznym były dwuskrzydłowe wrota w ciemnej dębowej ramie. Oba skrzydła wypełniał piękny, stylizowany, utrzymany w tonacji wrzосу i zieleni, witraż.

Pomimo stabilności drzwi odnosiło się wrażenie, że rozległe piętro wisi jakimś cudem w powietrzu. Cały parter bowiem składał się w przeważającej mierze z okien do samej ziemi.

Małgośka podchodząc do owalnych frontowych schodów pomyślała, że w końcu dzisiaj zapyta Naderową ile kosztuje ogrzewanie tych co najmniej 800 metrów kwadratowych.

Witrażowe wrota otworzyła gosposia. - Ta stara jędza pewnie znowu oblicza za ile mam dzisiaj na sobie - pomyślała ze złością.

Tak było w rzeczywistości. Hanka, mocno już wiekowa kobieta nie mogła zrozumieć tego, że te panie z telewizji tak nędznie chodzą ubrane. W telewizorze to tego nie widać, ale wystarczyło tylko stanąć koło takiej i już było widać.

Dlatego właśnie odnosiła się do znanej spikerki z lekką pogardą. Jej pani. pani Anna nosiła tylko nowe buty na obcas-

kach, a jej to kazała nawet myć podeszwy. Tylko z ostatniego sezonu w szafie stało ze trzydzieści par. Wszystkie na pięknych, w takim samym kolorze jak buty, prawidełkach.

A ta redaktorka taka zarozumiała, a na nogach zawsze miała jakieś takie rozdeptane karpie, w dodatku brudne pod spodem, dzisiaj też, i pachniała jakoś tak... tak biednie.

- Bardzo proszę. Pani jest w saloniku na górze. - Już chciała powiedzieć, że trzeba wytrzeć buty, ale nie zdążyła bo akurat pani schodziła z góry.

- Wejź Małgosiu. Bardzo proszę. Przyjechałaś tak szybko, że nawet nie zdążyłam powiedzieć Hance, że przyjedziesz. - Szybkim krokiem podeszła do niej i ucałowała w oba policzki.

Małgośka wyraźnie poczuła zapach alkoholu i pasty do zębów. Zdjęła płaszcz i nie odwracając się w stronę gosposi podała go jej.

Anna poufałym gestem wzięła Małgośkę pod łokieć i skierowała w stronę schodów. Jednocześnie rzuciła przez ramię polecenie. - Będziemy z panią redaktor na górze. W lodówce jest sałatka z krewetek, do tego kawa, tosty. Acha! przyszykuj też półmisek z szynką i poledwicą. Widząc minę Małgośki odezwała się przymilnie - Co zjesz to twoje. Będiesz miała obiad z głowy.

Małgośka opuszczała posiadłość po prawie trzech godzinach żegnana czule, wręcz wylewnie, przez wstawioną mocno Annę. Przy drzwiach Naderowa prawie ze łzami w oczach powiedziała - Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś moją jedyną przyjaciółką. Bardzo cię proszę nie mów nikomu o tym co zobaczyłaś na kasecie - lekko zachwiała się na nogach. - Oj chyba muszę się położyć - roześmiała się typowo alkoholowym chichotem, ale oparła się o stojący przy wejściu sekretarzyk i dodała bardzo przytomnie - nie muszę ci chyba kochana mówić, że nie masz się liczyć z kosztami. Zapłacę każde pieniądze, żeby się pozbyć tej kurewki.

Małgośka była tak zaskoczona tym, że Anna pokazała jej ten film, że w tej chwili stać ją było tylko na stwierdzenie - muszę się bardzo mocno zastanowić nad tym wszystkim. - Naderowa zrozumiała to jednak zupełnie inaczej. Jej reakcja była natychmiastowa - kochana moja, ja przecież dobrze wiem, że ty jesteś bardzo inteligentna. Pracujesz przecież w telewizji! Taka osoba jak ty musi dostać dużo większe wynagrodzenie niż kto inny. Ja o tym wiem. Ja o tym wiem najlepiej!

Małgośka chciała jak najszybciej wyjść. Wiedziała z doświadczenia, że Naderowa może tak jeszcze gadać godzinę. Nie zapytała wprawdzie o Zynkiewicza, bo uznała, że nie był to odpowiedni moment, ale kosmetyki dostała. Musiała przyznać, że zestaw był luksusowy. Musiałaby za nie zapłacić co najmniej ze cztery miliony. Szybko się pożegnała i wyszła.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Tyle wrażeń w jednym dniu. Ale tak to już jest. Jak się nic nie dzieje, to się nic nie dzieje, a jak zaczyna - to wodospad. - To ta Naderowa mnie tak wykończyła - myślała jadąc autostradą w stronę miasta - co za męcząca baba. A w dodatku nic jej nie można powiedzieć. Nawet intrygi knuje tak, że są pozbawione możliwości manewru. Wszystko co wymyśli jest takie prymitywne. Jak ona mogła takimi metodami dojść do takiego bogactwa? - Małgośka zwolniła trochę. Jechała bardzo powoli. Lubiła myśleć w samochodzie. - Kto mógł przysłać taką kasetę? - zastanawiała się. Film został nakręcony przez fachowca i w dodatku na profesjonalnym sprzęcie, takim jakiego używa się przy okazji wizyty głowy państwa. Nie powiedziała tego Naderowej. Domyślała się kto mógł nakręcić ten film. Dostęp do takiego sprzętu miało tylko kilku ludzi. Jednak tę wiadomość postanowiła zachować dla siebie. Informacja taka z godziny na godzinę stawała się droższa. A poza tym nie wiadomo jak się wypadki potoczą - rozmyślała.

Wjechała na swoje osiedle i rozglądała się za miejscem do zaparkowania. Oczywiście jak zawsze wszystko było zajęte. Była bardzo zmęczona. Marzyła tylko o tym, żeby się położyć do łóżka. - No wprawdzie nie dzisiaj i nie jutro, ale kiedyś na pewno będę rano patrzyła z okna swojej sypialni na basen w ogrodzie - myślała manewrując maluchem i parkując go na chodniku, metr od wejścia do bramy.

Zbierała właśnie pakunki z siedzenia obok i już miała wysiąść gdy nagle usłyszała potworny hałas. Ktoś tak z całej siły walił pięściami w dach samochodu, aż podskoczyła. Temu łomotowi towarzyszyły wulgarne pijackie przezwiska - Ty głupia pizdo, gdzie parkujesz!! - Znowu uderzenie, tym razem w tylną szybę. Małgośka odwróciła się do tyłu wystraszona. W słabym oświetleniu dostrzegła, że pijaczków było dwóch - to gorzej - błyskawicznie pomyślała.

- Chodnik jest do chodzenia, a nie do twojego zasranego samochodu!
- krzyczał ten wyższy nadal grzmocąc pięścią w szybę. Opanowała się szybko. Wiedziała, że jak wysiądzie i napastnicy zobaczą kogo zaczepili, to natychmiast im mina zrzednie i zaczną przeproszać. Zawsze tak było. I z pijaczkami i z policjantami. Przezornie jednak przełożyła gaz z torebki do kieszeni płaszcza i spokojnie wysiadła. Z uśmiechem numer jeden odwróciła się w stronę napastników, którzy byli tak pijani, że opierali się o jej samochód. Kątem oka, nie odwracając się, zauważyła przemykającą do bramy parę mieszkającą na tym samym piętrze co ona.

Napastnikami byli dwaj pijani mężczyźni, dokładnie tacy, jakich jest w każdym mieście na takich osiedlach zawsze pełno.

Małgośka już chciała powiedzieć coś miłego, ale nie zdążyła. Ten wyższy, trzymając ręce zaciśnięte w pięści, stanął przed nią na rozkraczonych nogach. Do dolnej wargi miał przyklejonego, obślinionego, śmierdzącego papierosa. Wycedził z nienawiścią - Zoba, zoba Mietek, kto nam najechał na chodnik. Panienska z

okienka!! - Przysunął się do niej jeszcze bliżej, tak blisko, że nie mogła się ruszyć. Za sobą miała maskę samochodu.

Nie mogła uciec. - Nawet nie zdążę wyjąć gazu! - pomyślała.

- Ty kurwo jedna - syczał napastnik. - W odległości kilku centymetrów, miała przed sobą rozjuszoną pijacką gębę, cuchnącą tanim alkoholem i od miesięcy nie mytymi popsutymi zębami.

Skrzywiwszy się, odwróciła twarz w bok.

- Cooo! Nie podobam ci się?! - Gęba jeszcze bardziej przybliżyła się.

Małgośka wstrzymała oddech. Pijak rozjuszony jej zachowaniem, chwycił ją gwałtownie za poły płaszcza. Uniósł lekko w górę. -

Nooo! I co!! Tak ci tą bużkę zaraz przestawię, że przez miesiąc nie pokażesz się w tej zasranej telewizji.

Ten drugi widząc, że kumpel jest w dobrej formie, zaczął go gwałtownie odciągać od Małgośki. Był dużo mniejszy od tamtego.

Sam się mocno chwiał na nogach, toteż nie okazał się wybawicielem spikerki. Większy napastnik nadal trzymając jedną ręką płaszcz

Małgości, drugą gwałtownie i silnie odepchnął koleś. Nawet się nie odwrócił, gdy tamten jak długi rozłożył się obok nich na chodniku.

Oczy wlepił cały czas w Małgośkę. - Tyy! - Napastnik widocznie przemyślał co chce powiedzieć, bo aż zmrużył zapijaczone oczka -

tyy! Powiedz tym swoim koleśiom w telewizji, że im to się tylko tak wydaje, że są już ważniejsi od takich jak ja!? - Mówiąc te słowa

potrząsnął nią jak workiem. W końcu puścił, gwałtownie popychając na maskę samochodu.

Małgośka zachwiała się niebezpiecznie, ale ten bezwolny ruch był jedynym na jaki ją było w tej chwili stać. Nie mogła się ruszyć. I to

był najprawdziwszy w świecie strach. Potworny, paraliżujący, robiący z człowieka worek treningowy. Strach!!

Nadal stojąc w miejscu patrzyła wielkimi rozszerzonymi oczami jak jej napastnik pomaga swemu koledze wstać. Ten mniejszy wyraźnie

nie miał na to ochoty. Potraktował chodnik jak łóżko. Nawet podwinął nogi pod siebie. W końcu ciągnięty w górę stanął na nogi.

- Mietek!! Obudź się do cholery. Nic jej

nie zrobiłem! - Ten duży trzymał tego mniejszego za kołnierz kurtki. Ten mniejszy wydawał z siebie niezrozumiałe słowa.

- Chodź Mietek! Uderzę gównem, a pójdę siedzieć za człowieka!! - Wybełkotał odwracając się jeszcze raz w jej stronę. Patrzył jej przez chwilę w oczy, splunął prosto pod nogi. Już chciał odejść, ale rozmyślił się. Ponownie stanął na rozkraczonych nogach i harkotem pełnym nienawiści powiedział - Wszystkim wam się w dupach przewracało! Myślicie, że możecie nam w tej telewizji wciskać kit! Sami złodzieje! Kurwa mać!! - Szarpnął chwiejącym się kołnierzem - chodź Mietek! Nie ma co. Ona jest tak wystraszona, że aż sra w gacie! - A ty! - Ponownie zrobił krok w jej stronę i Małgośka aż wcisnęła się w blachę maski samochodu - jak tylko spróbujesz zawiadomić gliny, to ja będę o tym wiedział szybciej niż ty pierniesz! Rozumiesz!!? Zrobił jeszcze jeden krok, ale ponieważ Mietek zachwiał się, wyrażając wyraźną ochotę ponownego skorzystania z gościnności chodnika, chwycił go, tym razem pod pachy. Nadal jednak bacznie przyglądał się Małgoście. Skrzywił się. W tym grymasie nienawiści pojawiło się coś nowego, coś bardzo niebezpiecznego. Nienawistnym, butnym głosem wybełkotał: - Przecież ty jesteś Żydówka!! Kurwa! Zawsze mówiłem, że w tej telewizji same Żydy!!!

Odwrócił się do niej tyłem i ciągnąc za sobą powłóczącego nogami kołnierz powoli odchodził. Jeszcze raz odwrócił się i z odległości dziesięciu metrów wrzasnął - Pamiętaj! Jak zadzwonisz na gliny, to dopadnę cię w windzie.

Małgośka jeszcze przez długą chwilę stała jak sparaliżowana. Nogi jej się trzęsły, że nie mogła się ruszyć. Bardzo powoli, opierając się plecami o samochód, żeby się nie przewrócić, schyliła się i podniosła z błota torebkę i torbę z kosmetykami. W taki sam sposób, opierając się plecami o samochód, stanęła z powrotem na nogi. Nadal jej się nogi trzęsły. Nagle bardzo mocno zakręciło się jej w głowie. - O Boże! - pomyślała przecież

oni mnie rozpoznali! - Sparaliżowany strachem umysł przypomniał sobie, że należy myśleć. Ale jej umysł zaczął funkcjonować zbyt gwałtownie, bo poczuła kwaśny obrzydliwy smak w gardle. Chciało się jej wymiotować!! W ostatniej chwili nie panując już nad odruchem pomyślała - przecież nie będę rzygać na ulicy!

Niestety było za późno. Organizm robił co chciał. W ostatniej chwili, ponownie upuszczając przy tym torebkę, zdążyła podnieść do twarzy plastikową reklamówkę firmy Dior. Poczowała się o tyle lepiej, że przestała się trząść. Pojawił się jednak potworny szum w głowie. Zwinęła torbę w rulon. Starła się nawet na nią nie patrzeć.

Wystarczył dotyk. Zawiniątko było obrzydliwie ciepłe i miękkie. Powoli, ale już pewniej, schyliła się po torebkę. Tak samo powoli ruszyła w stronę śmietnika. Podeszła do zamkniętego kontenera na śmieci, otworzyła klapę, chciała wyrzucić pakunek, gdy pod wpływem straszego smrodu z kontenera ponownie zrobiło jej się niedobrze. Czuła co ją czeka. Ponownie obrzydliwa kwaśność podchodziła jej do gardła. - O nie!!! -pomyślała - już wystarczy! Nie dam się!!!

Z największym obrzydzeniem połknęła z powrotem obrzydliwą maź zbierającą się w gardle. Wstrzymała oddech i szybkim krokiem odeszła od śmietnika. Poza zasięgiem smrodu wypuściła powietrze i kilka razy odetchnęła. - Ty głupi penerze!! -pomyślała z wściekłością, która akurat w tej chwili dodała jej ogromnej siły. - Nawet gdybym musiała do tego jeszcze nasrać to nie wyrzucę do śmieci kilku milionów tylko dlatego, że mnie wystraszyłeś!! - pomyślała.

Podążając szybko w kierunku wejścia do bloku ukradkiem spojrzała w stronę postojów taksówek. Nikogo już nie było. W ogóle nikogo w pobliżu nie było. Może dlatego powiedziała na głos chcąc się wyładować - a ty zawsze głupi gnoju zostaniesz

tylko robolem! Prawie wchodziła już do oświetlonej bramy, gdy coś ją tknęło i spojrzała w górę.

Do piątego piętra światła we wszystkich oknach były pogażone. Zupełnie jakby ktoś wyłączył prąd. - Ale mieliście za darmo kino co? - pomyślała z wściekłością. Chołota! - Jeszcze raz przesunęła wzrokiem po ciemnych oknach, widząc oczami wyobraźni pochowane, zadowolone postacie za firankami. Przez zaciśnięte zęby wysyczała: - Wy do końca życia będziecie gnić w tych klitkach!! Ale nie ja!!!

Wyprostowała się, ściągając łopatki do tyłu i weszła do bramy. Pod pachą, wraz z obłożoną torebką, ścisnęła plastikową reklamówkę wraz z tak różną zawartością.

Wchodząc do bramy z całej siły trzasnęła szklanymi drzwiami, aż się szyby zatrzęśły.

Jakoś dziwnie przy windzie nikogo nie spotkała. - Chołota! Nie dość, że światła pogasili, to jeszcze się pochowali w tych swoich norach!! - myślała czekając na windę, - o nie!! To nie jest miejsce dla kogoś takiego jak ja!

Wjechała na swoje dziesiąte piętro. Wsiadła. Drzwi windy powoli zamykały się za nią. Ścisnąc pod pachą torbę z tak okropnie poniżającą ją zawartością, szukała po omacku w torebce kluczy od mieszkania. Na jej piętrze znowu było ciemno. Ktoś wykręcił żarówkę. Drzwi już się domykały. Aby złapać wydobywającą się z windy smugę światła w ostatniej chwili wsunęła stopę pomiędzy metalowe drzwi a futrynę. Z torebki wypadło pudełko zapalek.

Schyliła się po nie. I nagle olśnienie!! Ogarnęło ją przyjemne uczucie tak potrzebnej w tej chwili złośliwej przewagi.

Szybko wsiadła z powrotem do windy. - Żeby tylko nie było nikogo! - pomyślała. Wjechała na ostatnie piętnaste piętro. Wsiadła, rozglądając się błyskawicznie po długim korytarzu, jednocześnie przytrzymując windę nogą. - Cholera, żeby tylko nikt nie wylazł teraz z mieszkania! - pomyślała i nadusiła na

przycisk drugiej windy. - O rany szybciej! - niecierpliwiła się.

Wydawało się jej, że ta druga winda jedzie całe wieki.

W końcu winda zatrzymała się obok tej, którą już zatrzymała. - No teraz wam dam popalić! - pomyślała z satysfakcją, wkładając pomiędzy drzwi a framugę pudełko zapalek. Drugie zablokowała jednorazową zapakowaną w ładny kolorowy papier podpaską higieniczną. - Zawsze uważałam, że jedną podpaskę trzeba mieć w torebce. Nigdy nie wiadomo kiedy się może przydać! - pomyślała. Już była w świetnym humorze.

Zbiegając po cichu schodami na dziesiąte piętro myślała: Mam tylko nadzieję, że do jutra rana, kiedy się będziecie spieszyć do roboty nikt z piętnastki nie będzie zjeżdżał na dół. Szybko otworzyła drzwi do swojego mieszkania. Zatrzaszkując je za sobą, oparła się o nie całym ciałem. Poczowała ulgę i zaczęła się śmiać. - No i tak to jest w życiu - powiedziała na głos - wystarczy się tylko natychmiast odegrać i już jest lepiej.

Weszła do łazienki i nie zapalając światła wrzuciła do wanny torbę Diora.

Jeszcze w płaszczu poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę. Do jednej szklanki wlała coca-cole, a do drugiej pół szklanki ginu -jedyne go alkoholu jaki był. Wciągnęła powietrze i duszkiem wypłała tę drugą szklankę. Wypuściła powietrze i powoli, czując słodki smak, wypłała coca-cole. Odstawiła szklanki i pomyślała.

- Albo się upiję, albo znowu będę rzygać.

Weszła do pokoju i nie zapalając światła usiadła na kanapie podwijając nogi pod siebie. Ostatnią myślą przed zaśnięciem, było to, że szkoda tak pięknych pudełek od kremów i maseczek, bo na pewno się zniszczyły, ale co tam pudełka - najważniejsze, że kremy leżą sobie spokojnie w wannie... To nic, że w...

I zasnęła.

Rozdział 15

Jacek wbrew swoim oczekiwaniom musiał aż dwa dni namawiać matkę do tego, żeby zaprosiła do domu Tomka z żoną. Coś się chyba między nimi zepsuło, bo Wanda bardzo stanowczo odmawiała urządzenia tej kolacji.

A czas naglił. Łukasz stawał się coraz bardziej natarczywy. Bał się. Dzwonił po trzy albo cztery razy dziennie.

Właśnie dzisiaj rano matka zgodziła się, żeby Tomek przyszedł wieczorem na kolację.

Jacek od dobrych dwóch godzin wydzwaniał do Łukasza, a tego ciągle nie było. Już był zły. Siedział teraz jak głupi w domu i gapił się na telefon. Powoli go to wkurzało. Zanosilo się na udział w niezłej aferze, a tu nic się nie dzieje. Łukasz nic nie chciał gadać przez telefon. Ciągle powtarzał tylko, że wszystko w porządku i ucinał każde pytanie Jacka. Jacek kilka dni temu na siłowni podsłuchał rozmowy dwóch byczków z obstawy "Pingwina".

Opowiadali sobie tę całą historię. Wersja była wprawdzie mocno zmieniona, ale dla nich najważniejsze było to, że tak się dał podprowadzić ten Cygan z Gdyni. Jacek, bardzo intensywnie ćwicząc obok nich, ostrożnie nasłuchiwał o czym mówią. Już nie mógł z wysiłku, ale w końcu usłyszał to co chciał - Beema poszła w Bielsku Białej i to nawet za dobrą cenę. Ten, który ją podprowadził w Lublinie Cyganowi, dobrze ją sprzedał - "Pingwin" mówi, że niezły z niego cwaniak. - Jacek usłyszawszy te słowa w końcu mógł odłożyć sztangi.

Teraz, rozmyślając o tym wszystkim, stał przy oknie i wpatrywał się bezmyślnie w przejeżdżające ulicą samochody.

Z parteru domu dochodziły go odgłosy awantury.

Matka znowu darła się na gosposię. Trzecia awantura w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. - pomyślał.

Jacek słyszał donośny, wrzeszczący głos matki i nieśmiałe tłumaczenie gosposi Elki.

Tym razem Wanda przyczepiła się do tego, że Elka położyła wilgotną szmatkę od kurzu na marmurowym blacie stołu, a miała powiedziane, żeby tak nie robić, bo na marmurze zostają ślady.

Jacek pomyślał, że ta gosposia nie będzie miała w tym domu życia. Matka będzie się na niej pastwić na wszystkie sposoby. Miała ku temu konkretne powody. Nie dość, że Elka była prawie karłem, to jeszcze garbata.

Wanda przyjęła ją do pracy, bo dowiedziała się, że Elka przez dwadzieścia lat prowadziła dom u biskupa.

Mieć gosposię po biskupie - to dopiero było coś!

Jacek nie wiedział wprawdzie jaki był biskup, ale na pewno nie kazał kłaść szmaty na talerzu. - Już ta moja matka to jest kompletnie rąbnięta. Ta nowa gosposia powinna jej tę szmatę w czasie dzisiejszej kolacji podać na talerzu - pomyślał, uśmiechając się do własnych myśli.

Odwrócił się tyłem do okna. Sięgnął po kurtkę wiszącą na oparciu krzesła. Postanowił nie czekać dłużej. Właśnie się zastanawiał jak przemknąć na dole, żeby nie napatoczyć się na matkę, gdy usłyszał charakterystyczny klakson Golfa Łukasza. Aż podskoczył do okna. Łukasz stał obok samochodu z głową zadartą w górę. Patrzył w okno Jacka. Gdy tylko go ujrzał krzyknął - otwórz bramę i garaż! Szybko! Nie czekając na odpowiedź wsiadł do samochodu.

Jacek zbiegł po trzy stopnie na dół. Wanda wraz z gosposią stała dwa metry od schodów. Odwróciła się zdziwiona słysząc taki rumor. Była przez chwilę tak zaskoczona, że nawet przestała krzyczeć na gosposię. Ta korzystając z okazji, bardzo

szybko zrobiła unik pod uniesionym ramieniem Wandy i zniknęła w kuchni.

Wanda nabrała powietrza i odwróciła się, żeby dalej robić swój ulubiony wykład o tym jaki to jest elegancki dom, ale gosposi już nie było.

Wzruszyła tylko ramionami i westchnęła - i tak się chołoty nie nauczy.

Jacek wpadł do garażu. Jednocześnie nadusił oba przyciski: ten od rozsuwanej bramy wjazdowej i ten od unoszącej się w górę od garażu.

Auto Łukasza błyskawicznie przejechało przez bramę. Jacek usłyszał, że z piskiem opon zatrzymało się przed garażem.

Nadusił przycisk zamykający bramę zewnętrzną. Wiedział, że coś się dzieje, bo Łukasz nigdy jeszcze nie zachowywał się tak nerwowo za kierownicą.

- O cholera, ale mu się spieszy - pomyślał i patrzył ze zdumieniem na to co się działo przed nim. Łukasz nie czekając aż drzwi się podniosą wjeżdżał do środka w miarę jak się unosiły. Jacek był pełen podziwu dla umiejętności Łukasza. Wyglądało to zupełnie tak jakby czerwony Golf unosił bramę otwierając ją 'sobie. Nie było widać nawet szpary pomiędzy wsuwającą się maską samochodu, a unoszącą się ogromną płaszczyzną drzwi. W chwili gdy otwór stał się na tyle wysoki, że samochód mógł się zmieścić, Łukasz wjechał do środka i zatrzymał się kilka centymetrów od wykafelkowanej ściany. Krzyknął przez otwarte okno - zamykaj!! Szybko!! - wysiadł. Jacek wykonując polecenie pomyślał tylko, że ciekawe co by było, gdyby w tym miejscu stał zaparkowany Mercedes jego matki. Łukasz oparł się o maskę Golfa i zapalając papierosa powiedział - jechali za mną, ale ich zgubiłem.

- Kto?! - spytał Jacek już zamykając bramę. Łukasz przyglądając się jego czynnościom zapytał: - Słuchaj stary! Kto jeszcze oprócz ciebie zna kod alarmu?

- Stara.
 - A można go zmieniać tak, żeby nie pytać jej o zgodę?
 - Pewnie! To co, mam zmienić?
 - Nie - Łukasz zamyślił się przez chwilę - ale jak się tego dzisiaj nie pozbędziemy to będzie trzeba.
 - Co!! to znaczy, że przywiozłeś to ze sobą tutaj?! Jacek był zaskoczony.
 - A co miałem zrobić? Zaczynają mi deptać po piętach. A ta wasza chałupa to najlepsza twierdza jaką znam.
- Rozglądając się uważnie po garażu spytał: - No i co, udało ci się namówić starą do zaproszenia tego SB-ka?
- Tak. Udało się. Nie mogłem się do ciebie dodzwonić...
 - Naprawdę? - Łukasz się wyraźnie ożywił - na kiedy?
 - Na dzisiaj wieczór...
 - No to doskonale. Jeżeli wszystko pójdzie gładko to lepiej być nie może. Nareszcie pozbędziemy się tego gówna.
- Zmienił ton i spytał: - Lepiej powiedz o której jest ta wizyta i przypuszczalnie o której wyjdą. To bardzo dobrze, że dzisiaj przychodzą, bo ja tu muszę zostać tak długo, aż się tego nie pozbędę.
- Łukasz już wyraźnie uspokojony skierował się w kierunku schodów prowadzących do wnętrza domu. - Od wczoraj nic nie jadłem. Muszę coś zjeść.
- Weszli razem do kuchni.
- Co chcesz? - spytał Jacek otwierając lodówkę.
 - O rany! Wszystko! - Łukasz kierowany wspaniałym zapachem maślanych ciasteczek podszedł prosto do blachy dopiero co wyjętej z piekarnika z maleńkimi gwiazdeczkami z kruchego, francuskiego ciasta.
 - O Boże jakie pyszne!! - mrucał z pełnymi ustami. Jeszcze czegoś takiego nie jadłem.
 - Nie zjedz wszystkiego! - Jacek odwrócił się w chwili gdy Łukasz wpychał do pełnych już ust następne trzy ciasteczka,

przewracając przy tym oczami. - To są ulubione ciasteczka żony Tomka!!

- O rany, mogłeś mi wcześniej powiedzieć! - udał prześladny strach wycierając usta wierzchem dłoni. Obaj byli w świetnych humorach.

- Dostyc żartów - Łukasz podszedł do dużego kuchennego stołu i usiadł przodem do wejścia. Zawsze siadał przodem do drzwi. - Nalej mi na początek whisky. Tylko samą. Bez wody. Muszę się napić. Żołądek mam w ósemkę. Łukasz uważnie przyglądał się jedzeniu, które Jacek ustawiał na stole. Na ciemnym blacie dębowego stołu pojawiło się po kolei wszystko, co stało w ogromnej, jak dwudrzwiowa szafa, lodówce. To znaczy wszystko to, co zostało już przygotowane na wieczorną kolację.

Jacek też miał ochotę coś zjeść. Udzielił mu się zarówno dobry nastrój Łukasza jak i jego głód. Podał mu sporą szklanekę whisky z samym lodem. Sobie też nalał. Z przyjemnością pociągnął spory łyk i odstawił szklanekę obok lodówki.

Na stole stały już półmiski: z szynką, indykiem w galarecie, wspaniałym schabem nadziewanym farszem ze śliwek, sałatka z homara, oraz imponujący metrowy szczupak w galarecie, udekorowany jak urodzinowy tort. Łukasz patrzył na to wszystko. Ogromny stół był już cały zastawiony.

- Stary daj spokój, siadaj, już wystarczy - powiedział powoli, bardzo dokładnie smarując masłem koperkowym spory kawałek świeżej bagietki.

- Zaraz zaraz, muszę znaleźć tego łososia, co go rano dwie godziny kroilem - odpowiedział Jacek i ukląkł przed lodówką, której górne drzwi otworzył na oścież - cholera gdzie Elka go włożyła - zastanawiał się zanurzony do połowy w czeluści lodówki. Łukasz z rozkoszą patrzył na dokładnie rozsmarowane masełko koperkowe na bułce. Podniósł ją do ust i już miał zatopić

w niej zęby, gdy nagle drzwi od kuchni gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich - Wanda!

Zatrzymała się w drzwiach i skamieniała. Jej zaskoczony wzrok najpierw zatrzymał się na siedzącym na wprost Łukaszu, później na zastawionym jak na przyjęcie stole. Pech chciał, że na pierwszym planie spostrzegła właśnie szczupaka. Przez chwilę patrzyła na stół, następnie przeniosła wściekły wzrok na Łukasza. Spostrzegła szklanę z whisky.

Jacek nie widział, że matka weszła do kuchni. Nie mógł też tego słyszeć, bo ustawili sobie głośno radio. Wanda też go nie zauważyła, bo był akurat zasłonięty otwartymi na oścież ogromnymi drzwiami od lodówki, w której uparcie szukał półmiska z wędzonym łososiem.

W jej oczach pojawiła się wściekłość. Łukasz wiedział do czego matka Jacka jest zdolna. Dostrzegł złe błyski. Siedział jak skamieniały z otwartymi ustami, z koperkową kanapką w jednej ręce, ze szklanką whisky w drugiej i z durną miną.

Wanda, widząc na stole wszystkie smakołyki i samotnie siedzącego Łukasza z JEJ whisky w szklance, dostała szału. Na domiar złego kątem oka spostrzegła, że na blaszce leżącej pod oknem nie ma połowy ciasteczek i wściekłość sięgnęła zenitu!

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Rzuciła się w stronę Łukasza. Po drodze z całej siły kopnęła nogą otwarte na oścież ciężkie wrota lodówki. Gwałtownie wyrwała Łukaszowi szklanę z ręki. Właśnie miała go wygonić ze swojego domu, gdy za jej plecami rozległ się potworny ryk.

Samoczynnie zamykające się górne drzwi lodówki przygwoździły połowę Jacka w środku.

Ponieważ ta połowa, która krzyczała znajdowała się wewnątrz lodowej szafy, dźwięk był zupełnie jak z ogromnej puszk. Druga połowa - pośladki i nogi groteskowo wystawały z lodówki.

W tym samym momencie, w którym rozległ się ryk, Wanda akurat chwyciła blachę z ciasteczkami. Niestety nie tylko wzrok miała zamroczony wściekłością. Musiało jej też paść na słuch, bo błędnie oceniła to skąd usłyszała ten przeraźliwy, dziwny dźwięk.

Pomyślała, że to jest dźwięk dochodzący z zewnątrz.

Miała zajęte obie ręce. W jednej trzymała szklankę z whisky, w drugiej blaszkę z ciasteczkami. Wrzuciła szklankę do zlewozmywaka i nadal trzymając blachę, wolną już ręką otworzyła kuchenne drzwi do ogrodu.

Łukasz akurat wstawał. Koniecznie chciał uwolnić Jacka. Z lodówki dochodziły dźwięki tłuczonego szkła i ponowny ryk.

Już, już się podnosił, gdy do kuchni wpadła garbata gosposia ze srebrną tacą w ręku. Na tacy leżał talerz a na nim brudna szmata. Czegoś takiego jeszcze nie widział.

Otworzył jeszcze szerzej oczy i usiadł z powrotem.

Pani Elka błyskawicznie ogarnęła wzrokiem całą kuchnię.

Spostrzegła tylko to, co zagrażało jej osobiście. Dla niej najważniejsze było, że jej pani stoi w otwartych drzwiach kuchni z blachą wspaniałych ciasteczek! - To ja wstałam o piątej rano, żeby dla was darmozjadów upiec maślane ciasteczka, a teraz co?! - pomyślała przerażona i rozgoryczona do granic możliwości.

Wanda w tym momencie stała w otwartych drzwiach do ogrodu, tyłem do kuchni i dlatego nie zobaczyła ani gosposi, ani talerza ze szmatą, ani, co najważniejsze, wypełnionych łzami i wściekłością oczu pani Elki. Sama była rozwścieczona! Wrzasnęła - Mam tego dosyć!! Powyrzucam wszystkich z tego domu!!

Pani Elka musiała usłyszeć "wszystko" zamiast "wszystkich" bo jak na osobę tak niezgrabną, i w dodatku służącą u biskupa, z istic kocią zwinnością kilkoma susami znalazła się pod prawą pachą Wandy!

Jedną ręką chwyciła blachę z ciasteczkami, a drugą zarzuciła

Wandzie na głowę szmatę z talerza. Między drugim a trzecim susem garbatej, rozjuszonej gosposi Łukasz

podskoczył do lodówki i gwałtownie szarpnął drzwi, ale te ani drgnęły. Jacek poruszał się gwałtownie i wierzgał nogami. No i oczywiście darł się, przeklinając na czym świat stoi. Wanda zaskoczona tym, że nagle nic nie widzi, za to słyszy straszne dźwięki za sobą, pomyślała tylko jedno: - Napad!

Pani Elka, której wytrzymałość na poniżanie akurat w tej chwili skończyła się wrzasnęła prawie nie swoim, męskim głosem: - To ja mam tego burdelu dosyć!! Nie będzie mi tu nikt wyrzucał psom moich ciastek!! Sama to zrobię!! Wyrwała blaszkę z ręki Wandy i z całej siły wyrzuciła w głąb ogrodu.

Dla Wandy, która szarpała się ze śmierdzącą szmatą, dźwięk spadającej z kamiennych schodów do basenu blachy był dużo głośniejszy niż gdyby widziała co spada. Instynktownie, jednym susem cofnęła się w głąb kuchni, gwałtownie zamykając przy tym drzwi, na progu których stała akurat pani Elka. Może gdyby nie była garbata, to nie wyleciałaby jak z katapulty na środek trawnika. Ale Wanda tego już nie widziała, ani nie słyszała. Uwolnwszy się w końcu od szmaty, zobaczyła to, co działo się naprawdę za jej plecami. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej niż kiedy weszła. Łukasz szarpał się z wrotami lodówki, z której ku jej ogromnemu zaskoczeniu wystawały nogi w dzinsach Jacka! Krzyki wydobywały się właśnie stamtąd.

- O Boże! - Wanda aż zakryła dłonią usta. - Nie mogła się ruszyć.

- Niech mi pani pomoże do cholery!! - głos Łukasza natychmiast przywrócił jej jasność myślenia. Podbiegła i oboje usiłowali otworzyć zakleszczone drzwi, ale te ani drgnęły.

- Co wy do kurwy nędzy robicie!! - Jacek był wściekły. Czuł, że drzwi nie da się otworzyć, ale uważał, że oni muszą to zrobić.

Rozzochrana Wanda i rozbawiony do łez Łukasz przez kilka minut szamotali się z drzwiami. W końcu Wanda uspokoiła się i obejrzała zawiasy od lodówki. Powiedziała - Nie wiem jakim

cudem, ale dolny zawias nad dolnymi szufladami się wyłamał i zakleszczył w futrynę drzwi.

Jacek nie przestawał krzyczeć i przeklinać. W końcu padło pytanie, którego Wanda od paru minut się obawiała.

- Jak ja się tu do cholery znalazłem?!

Wanda spojrzała błagalnym wzrokiem na Łukasza, który już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale spojrzał na Wandę i zrezygnował.

Pomyślał - przyda się mała komitywa z tą diabelską babą.

Odpowiedział więc szybko:

- Elka cię zamknęła i dodał - lepiej rusz głową jak to zrobić od środka żebyś stamtąd wylazł!!

- Elka! - wrzasnął - kurwa czy ty myślisz, że ja jestem takim idiotą, że w to uwierzę! Na to trzeba siły a nie garbusa! Jestem pewien, że to moja mamuska albo ty!!

W tym momencie Wanda zaczęła się śmiać, puściła drzwi i usiadła na krześle przy stole. Patrzyła na zaskoczonego jej reakcją Łukasza i co spojrzała na pośladki i nogi Jacka, to wręcz zanosila się ze śmiechu. Niestety Łukaszowi ten śmiech się udzielił. Przez chwilę oboje pokładali się ze śmiechu. Wanda aż ocierała łzy. Sytuacja była tak komiczna, że dotarło to nawet do rozwścieczonego Jacka. Też zanosił się śmiechem. Z perspektywy lodówki brzmiało to jak upiorny rechot. Tego Wanda już nie mogła wytrzymać. Skręcała się ze śmiechu na krześle. - nie, no nie mogę. Za chwilę pękne ze śmiechu. Muszę wyjść. - Ostatnie słowa wypowiedziane przez matkę bardzo dokładnie usłyszał Jacek. Zdażył ryknąć: - Nieee! - ale Wanda zgięta w pół, trzymając się za brzuch, i cały czas szczerze się śmiejąc, otworzyła drzwi kuchenne. Śmiech zamarł jej na wargach. Na trawniku, między srebrzystym świerkiem a klombem z kwitnącymi jeszcze zimowymi różami siedziała pani Elka i płakała. Wanda patrzyła na nią i nadal nic z tego nie rozumiała. Stała tak przez dobrą chwilę.

Ani Łukasz ani Jacek nie mogli zrozumieć dlaczego Wanda tak nagle przestała się śmiać. Jacek nasłuchiwał przez parę sekund i zapytał Łukasza z niepokojem w głosie - Co się stało? Łukasz nadal mocował się z drzwiami. Jackowi przynosiło to pewną ulgę. Ucisk nie był tak silny. - Nie wiem - odpowiedział Łukasz i odwrócił głowę żeby zobaczyć, ale powtórzył tylko - nie wiem. - Z tej odległości widział tylko, że Wanda stoi przodem do ogrodu jak skamieniała. Krzyknął więc - pani Wando! Co się stało? - Ale Wanda nie odpowiedziała, tylko nagle, biegiem ruszyła do przodu. - Pójdę zobaczyć - powiedział Łukasz i już miał puścić drzwi, ale z lodówki rozległ się tak rozpaczliwy krzyk - Niiiee! - że zmienił zamiar. Usłyszał błagalny głos Jacka - nie puszczaj tych cholernych drzwi, bo wtedy mnie jeszcze bardziej przyduszają.

- No dobra, ale chyba dosyć tej zabawy. Jak mam cię z tego wydostać?
- A co ty sobie myślisz?! Że ja to wiem?! Wymyśl coś! Mam już tego dosyć. Po pierwsze wyłącz to gówno. Przynajmniej nie będzie mi tak zimno.
- No dobra, ale za to będzie ciemno i nie znajdziesz łososia.
- Przestań sobie żarty stroić i wyłącz.
- No dobra, ale muszę puścić drzwi.
- W porządku, ale przedtem zaklinuj je czymś.
- To lepiej ty weź jakiś talerz i zaklinuj od środka.
- Dobra - Jacek usiłował dosięgnąć lewą ręką do szpary między obudową lodówki a szparą przy zawiasach. Niestety było to niemożliwe. Odległość była zbyt duża. Prawą ręką nie mógł w ogóle ruszyć. Od barku miał ją uwięzioną w całości na półce z półmiskami z rybami. Kiedy jakaś siła wepchnęła go do środka akurat sięgał po tego nieszczęsnego łososia - że też ta cholera musiała stać w głębi lodowy i musiałem wejść do środka - pomyślał. Teraz całą dłoń miał obłożoną plastrami różowego łososia - Łukasz - zawołał Jacek z obawą w głosie. Nie słyszał

żadnego ruchu za sobą i to go poważnie zaniepokoiło - co? -głos przyjaciela dochodził z tego samego miejsca.

- Nie mogę nic zrobić. Lewą ręką nie dosięgam, a prawą mam w... nie chciał już mówić o tym cholernym łososiu, więc powiedział - zupełnie unieruchomioną - musisz sam coś wymyśleć.

- Właśnie się rozglądam - Łukasz rzeczywiście rozglądał się, co by tu znaleźć, w zasięgu ręki, żeby choć na chwilę zaklinować drzwi i zobaczyć co się dzieje w ogrodzie. Działy się tam bowiem dziwne rzeczy. Łukasz słyszał cichy płacz. Takie jakby skomlenie i głos matki Jacka jakiego nigdy nie słyszał. Łagodny i, co najdziwniejsze jakby przepraszający. Pomyślał, że tam naprawdę działo się coś, co warto zobaczyć.

I w tym momencie zauważył leżącą pod stołem srebrną tacę, którą pani Elka upuściła na podłogę rzucając się ze szmatą na swoją chlebowawczynię. - I co? nic nie możesz znaleźć? - głos Jacka był bardzo cichy. - Już mam! Łukasz nadal trzymając drzwi usiłował lewą nogą przysunąć tacę do siebie tak blisko, żeby się po nią schylić. Nie było to wcale łatwe. Taca była śliska i podłoga też. Na domiar wszystkiego jak była tuż, tuż, to zahaczyła się ozdobnym rzeźbionym uchwytem o nogę krzesła.

- O kurwa! - zaklął

- Co się stało?! Pospiesz się!

- Robię co mogę, tylko ta cholera zahaczyła się o krzesło!

- Jaka cholera!?! - głos Jacka jakby nabrał siły.

- Taca - Łukasz bardzo powoli manewrował teraz tacą i nogą, żeby wysunąć ją spod krzesła.

- Jaka taca! Po co ci teraz taca! - Jacek znowu krzyczał.

- Taca! Normalna, srebrna taca - Łukasz już, już przesunął ostrożnie tacę w kierunku siebie, cały czas dzielnie trzymając drzwi - właśnie ta taca, którą zablokuje drzwi. - Patrzył jak jego noga powoli wysuwa tacę spod krzesła. Już miał się po nią schylić, gdy Jacek wrzasnął.

- Czyś ty zwariował! Tylko nie ta taca. Matka cię zabije! To jest zabytkowa taca z XVIII wieku. Kosztowała... ale nie zdążył już nic powiedzieć. Poczł jak ciężkie drzwi gwałtownie ugniatają mu żebra - aałł - zawył.

Łukasz z wściekłością puścił drzwi. Spokojnie schylił się po tacę. Podszedł z boku do lodówki i tak jak zamierzał jedną ręką ponownie rozchyłał drzwi a drugą bez słowa wciskał tacę w powstałą w ten sposób szparę. Pasowała idealnie. Drzwi nie mogły już przyduszać Jacka.

Przez powstałą szparę zobaczył oświetlone łypiące na niego oko Jacka.

To, co o nim pomyślał przed chwilą, natychmiast mu przeszło. Mimo komizmu całej sytuacji przyjaciel wyglądał żałośnie. Popatrzył jeszcze raz i powiedział - Teraz będzie lepiej, zaraz cię stąd wydostanę - już miał odejść, ale dodał jeszcze - przynajmniej masz co jeść. - Jacka policzek zanurzony był w kryształowej misce z kawiozem.

- A teraz się spokojnie zastanowimy jak cię stąd wydostać - powiedział, i dodał po chwili, przyglądając się zawiasom. - Pójdę po twoją matkę. Mówiąc to wyłączył lodówkę z kontaktu. Mimochodem spojrział na zegarek i nagle przypomniał sobie po co tu przyjechał. Przeraził się. Była czwarta. - Muszę go wydostać i to szybko - pomyślał i podszedł do otwartych drzwi do ogrodu.

To co zobaczył nasunęło mu jedną myśl: - Że z kolacji nici.

Wanda szła bardzo powoli przez trawnik prowadząc zapłakaną panią Elkę. Tuliła ją do siebie jak dziecko. Łukasz patrzył jak zatrzymała się i połą poplamionego krwią szlafroka obcierała łzy płynące po umazanej błotem zbolalej twarzy gosposi. Mówiła - no już, już, niech pani przestanie. Ja naprawdę nie widziałam pani. No proszę, proszę przestać - powtarzała łagodnie - zaraz zadzwonimy po najlepszego lekarza. Ja naprawdę nie widziałam, że pani tam stoi! Dowiemy się kto mi zarzucił tę wstrętną szmatę na głowę! - Na ostatnie słowa gosposia zaniósła

się znowu szlochem. Wanda nadal podtrzymując prawie omdlewającą panią Elkę, ruszyła w kierunku domu. Będąc już tylko metr od drzwi powiedziała. - Elka sobie usiądzie, a ja wyjaśnię całą sprawę. Elka wie, że ja to potrafię! - ostatnie słowa powiedziała stanowczym tonem. Łukasz bacznie obserwował twarz gospoisi. Elka w tym momencie wywróciła oczami do góry i zemdląła. Łukasz zdążył ją chwycić w ostatniej chwili. Inaczej przewróciłaby się do tyłu. Chwytając ją pod pachami pomyślał, że garbatemu musi być bardzo ciężko w życiu. Wanda krzyknęła

- O Boże!

- Niech ją pani weźmie za nogi - Łukasz przytomnie kierował sytuacją, posadzimy ją w kuchni na krześle. Siedzając zemdloną gospoisię Łukasz spostrzegł, że jej sweter jest mocno poplamiony krwią. Krew sączyła się z miejsca gdzie tak arogancko wystawał garb. Pomyślał - o rany, jak ciężko musi być garbatemu na świecie! - i coś ścisnęło go w gardle.

Wanda już stała przy nich ze szklanką wody. Powoli, delikatnie poila łyżeczką panią Elkę. Na jej twarzy malowało się szczere zmartwienie. - Namocz ręcznik zimną wodą i przyłóż jej do czoła - powiedziała stanowczo do Łukasza nie podnosząc na niego wzroku. Łukasz szybko wykonał polecenie. - Trzymaj tak. Dobrze. A teraz delikatnie odchyl głowę do tyłu - opanowanym głosem wydawała polecenia. - Nie nie tak mocno. O, tak dobrze. Wanda powoli wlewała wodę do poruszających się ust Elki.

- Co się tam dzieje do cholery! Zapomnieliście o mnie czy co! Przecież słyszę, że jesteście w kuchni. - Jacek był wściekły. Nie mógł zrozumieć dlaczego go zostawili.

Po raz pierwszy od chwili powrotu do kuchni Wanda spojrzała na Łukasza i powiedziała - w dolnej szufladzie z lewej strony jest elektryczny nóż do krojenia zamrożonego mięsa - spokojnie wydawała polecenia. Wyjmij wszystko z drugiej komory, półki też powyjmuuj. Żeby była pusta - W tym momencie Elka cicho

jęknęła. Wanda przestała mówić do Łukasza i zmieniła okład na czole gosposi. Jej twarz stała się w mgnieniu oka łagodna i czuła. - Co za baba - pomyślał Łukasz z podziwem, wykonując jej polecenia. Na to rozległ się wściekły głos Jacka. - Czy wyście odpięli!! Jaki elektryczny nóż!! To już lepiej granat!! Może mi w końcu ktoś powie co tam się dzieje. - Cicho bądź! - głos Wandy zrobił się stanowczy. Już panowała nad sytuacją.

- Pani Elka zemdląca - odpowiedziała ostro.

- Pewnie ze strachu, że mnie tak urządziła i jeszcze każesz jej zapłacić za lodówkę - sarkastycznie odpowiedział Jacek. Wanda, odwróciła się w stronę lodówki i już otwierała usta, żeby kazać mu się zamknąć, gdy zobaczyła wystający brzeg srebrnej tacy. Spojrzała ponownie na Elkę, chciała ją szybko ocucić i zapytać skąd się ta taca tam wzięła. W tym samym momencie zobaczyła szeroko otwarte, zdziwione, wpatrujące się w nią oczy gosposi i usłyszała za sobą huk tłukącego się szkła.

Odwróciła się gwałtownie. Jacek wolną ręką wygarniał, wyrzucając na podłogę, wszystko co miał pod ręką na półce.

Tego było już dla Wandy za wiele. Była wściekła i dlatego postanowiła ostatecznie opanować sytuację. Stanowczym krokiem podeszła do lodówki i z całej siły kopnęła syna w wystający tyłek. Jacek aż zawył. Wanda usłyszała za sobą jęknięcie ponownie mdlejącej gosposi. Odwróciła się gwałtownie w jej stronę i wrzasnęła: To nie klasztor!! Niech mi tu Elka nie histeryzuje do cholery!! - Już pewna swojej przewagi odepchnęła Łukasza od sąsiedniej pustej komory lodówki, zakasała poplamiony krwią i błotem szlafrok i weszła do środka rzucając przez ramię do zdumionego Łukasza i pół przytomnej Elki: - Dalej, bierzcie się za sprzątanie! Natychmiast pozbierać szynkę, kabanosy i wszystko co się da uratować! I żeby mi się nic nie zmarnowało! Poukładać na półmiskach i zanieść do lodówki w spiżarni. -Spostrzegła ich zaskoczenie. Powiedziała ostro: - Dalej, co się

tak gapiacie?! Brać się za robotę. Zapominacie, że mamy dzisiaj gości?!

Poskutkowało, Łukasz z panią Elką zabrali się za zbieranie jedzenia z podłogi, Wanda zajęła się swoją robotą.

W skupieniu, nie odzywając się już więcej, przecinała elektrycznym nożem ściankę lodówki, żeby uwolnić z niej swoje dziecko.

Po całej tej aferze Wanda zaprosiła Łukasza na wieczorną kolację.

Skoro pomagał w uwolnieniu Jacka - uważała, że mu się to należy.

Jacek z Łukaszem zamknęli się w pokoju na górze i rozważali sytuację. Jacek pojękiwał, choć tak naprawdę poza tym, że zmarzył nic mu się nie stało. Łukasz był zdenerwowany do granic możliwości. Obaj uważali, że Łukasz w żadnym wypadku nie powinien znaleźć się w polu widzenia Tomka. A co dopiero kolacja przy wspólnym stole!! Ale jak wytłumaczyć Wandzie, że Łukasz wprawdzie jest w domu, ale na wystawną kolację do gości nie przyjdzie? Wanda nie była głupia, a im nic mądrego nie przychodziło do głowy.

Łukasz chodził tam i z powrotem po pokoju, ale nic nie mógł wymyśleć. Kiedy tu przyjechał jakąś godzinę temu, miał zamiar przechować się w pokoju Jacka i przeprowadzić plan, który tak precyzyjnie przygotował.

Teraz trudno było nawet mówić o jego wykonaniu. Tamtego planu po prostu już nie było. Łukasz chodził po pokoju i myślał, a ciarki przechodziły mu po plecach.

- Przestań łązić, bo mnie to wkurza!

- Nie mogę. To mnie uspakaja - rzucił przez ramię Łukasz i podszedł do okna. Zatrzymał się o jakiś metr od niego, żeby nie móc zostać dostrzeżonym przez zakręcone do połowy żaluzje. Przez chwilę obserwował ulicę. Nic podejrzanego nie zobaczył. To go trochę uspokoiło. Odwrócił się w stronę leżącego na łóżku Jacka i powiedział: - No dalej wymyśl coś! Jacek wzruszył ra-

mionami i zapalając papierosa powiedział: - Co!? Ja mam wymyślać? Od myślenia to jesteś ty.

- Cholera, jakoś nic mi nie przychodzi do głowy. - Łukasz zamyślił się na chwilę. Myślał o tym jakie wrażenie zrobiła dzisiaj na nim matka Jacka. Już się nie dziwił jakim sposobem doszła do tak zawrotnej fortuny. Miała w sobie coś z naturšczyka. Nie dziwił się też, że każdy facet od niej uciekł. Dwóch mężczyzn w domu to o jednego za dużo.

Rozmyślania te przerwał ostry dźwięk telefonu. Łukasz aż podskoczył. Jacek parsknął śmiechem. On nie był taki zdenerwowany. Nada] traktował to wszystko jak świetną zabawę.

Łukasz już po pierwszych słowach Jacka zorientował się, że dzwoni dziewczyna. Jacek w takich sytuacjach zawsze zmieniał głos. Robił się przeerotyzowany. Ich rozmowa zaczęła go już po chwili drażnić. - Tu sytuacja bez wyjścia a ten gada o dupie Marynie - pomyślał rozdrażniony.

- No, kończ już - funkał zniecierpliwiony.

Jacek kwiął głową, przewracając oczami i odsuwając słuchawkę od ucha co miało znaczyć, że dziewczyna gada i gada. Łukasz wykonał zniecierpliwiony gest wskazując na zegarek. Czekaając, aż ten skończy, podszedł do regału ze szkolnymi książkami. Według zwyczaju, za nim powinna znajdować się buteleczka ginu. Włożył rękę za książki, w miejscu gdzie powinna stać. Wzrok jego padł na komodę.

- O kurwa!! dokumenty!! - krzyknął i chwycił się za głowę, bo przypomniła mu się scena, na którą patrzył obojętnie jak na normalną czynność - jak garbata pani Elka pakuje do dużego kosza na bieliznę wyjmowane z odłączonej od prądu lodówki pakunki z zamrożonym mięsem. Odwrócił się gwałtownie w stronę peplającego Jacka i rzucił stanowczo: - Kończ już! W odpowiedzi zobaczył lekceważący ruch ręką. Wtedy krzyknął głośno - kończ do cholery!! Leć na dół po swoje lewe papiery!!

Jacka aż poraziło. On też widział to przekładanie do kosza mięsa. Rzucił telefon rozłączając się i nie mówiąc nawet "cześć". Całkiem zapomniał, że jest ciężko ranny, wyprysnął z pokoju i jak burza zbiegł na dół.

Dokumenty, zgodnie z instrukcją, zawinął w plastikowy worek a następnie w duży, przecięty na pół kawał wołowego mięsa. Z powrotem spakował do worka z kartką "wołowina na zrazy" i schował do zamrażającej dolnej komory lodówki.

Wiedział co teraz będzie. Matka była obsesyjnie skrupulatna jeśli chodzi o jedzenie i teraz przekładając wszystko do zamrażarki w piwnicy, dokładnie przejrzy pakunki z mięsem, sprawdzając daty zamrożenia. W takich sytuacjach miała zwyczaj te mięsa, które leżały już dwa tygodnie przeznaczać na pokarm dla psów. Jeszcze zamrożone wrzucała do kotłów z gotującym się makaronem. - O Boże! Uchowaj mój paszport przed kotłem z makaronem - myślał Jacek, zbiegając do piwnicy.

Wpadł do spiżarni. Kosza nie było. Otworzył wieko zamrażarki i gorączkowo przeszukał całą zamrażarkę, aż mu zgrabiały dłonie. Niestety wołowiny z granatową wkładką nie znalazł. Wiedział co to znaczy. Biegiem ruszył przez ogród do budynku na zewnątrz, który był przeznaczony na kuchnię dla psów.

Wpadł do środka. Od progu buchnął obrzydliwy zapach -smród gotowanego makaronu i mięsa bez soli. Aż się cofnął odruchowo, ale po sekundzie postanowił sprawdzić swoje okropne przypuszczenie. Tym bardziej, że na posadzce spostrzegł wiklinowy kosz. Pusty! A na palnikach dwa bulgoczące garnki z żarciem dla psów.

Wstrzymując oddech chwycił wielką chochlę na długim drewnianym drągu i rozpoczął poszukiwania w pierwszym kotle. Buchnęła na niego tak śmierdząca para, że aż musiał odwrócić głowę. Ale szczęście mu dopisywało. W bulgoczącej mazi dostrzegł granatową okładkę paszportu, która jednak natychmiast zniknęła, zanurzając się ponownie. Zaczął nerwowo mieszać. Z tego zdenerwowania nie zwracał w ogóle

uwagi na to co się działo za nim, dlatego nie usłyszał, że drzwi otworzyły się i ktoś wszedł. Jego oczom ukazał się rąbek paszportu, gdy nagle usłyszał za sobą: - Co pan tu robi!?! - Natychmiast puścił chochlę i odwrócił się wystraszony. Zanim zdążył wykrztusić z siebie jakieś niedorzeczne kłamstwo, pani Elka, bardziej wystraszona niż on, zaczęła się tłumaczyć i ustawiając na długim aluminiowym blacie kolorowe miski dla psów powiedziała:

- Niepotrzebnie pan Jacek to robi. Ja już szykuję. Wysłałam tylko na chwilę. - Była tak wystraszona, że Jacek zupełnie nie wiedział co powiedzieć. Ale nie musiał się odzywać, bo Elka nie dopuściła go do głosu. Wyraźnie się obawiała, że on też ją zruga. Prawie płaczącym głosem prosiła: - Niech pan Jacek już stąd wyjdzie. Ja to zrobię. Proszę nie mówić pana mamie, że psy nie dostały na czas. - W jej głosie wyraźnie słyhać było błaganie.

- Dobra, dobra, już idę - odpowiedział, ale zaraz dodał: - Ja dam psom - kątem oka dostrzegł bowiem wynurzające się prawo jazdy. Aby się jej pozbyć musiał uzasadnić jakoś swoją obecność, a poza tym miał dosyć tego jej pokornego skomlenia - o rany, co się tak Elka denerwuje - mówił - przyszedłem bo... bo pomyślałem, że do Elki przyjechał akurat lekarz, a te cholerne stwory ujadały mi pod oknem. Poczucie obowiązku widocznie było silniejsze bo Elka zabrała się za odbieranie wielkiej chochli i jak ją już chwyciła, to nie chciała puścić. Jacek z przerażeniem dostrzegł ponownie wynurzającą się granatową okładkę. - Niech mi Elka do cholery nie przeszkadza!! Niech idzie do kuchni szykować kolację!!

Jednym szarpnięciem wyrwał jej chochlę z ręki, aż się zatoczyła. Odwróciła się i powłócząc nogami wyszła. Kiedy już była przy drzwiach rzucił jej przez ramię: - Może Elka powiedziec mojej matce, że już nakarmiła psy!

W jej oczach natychmiast pojawiło się uwielbienie dla Jacka. - Dzięki ci Boże, że chociaż pan Jacek ma takie szlachetne serce

- pomyślała. Odwróciła się i spostrzegłszy pochylone plecy Jacka nad kotłem lekko westchnęła i wyszła.

Jacek jednak nie widział tego szczęścia na twarzy gosposi, bo zajęty był własnym szczęściem. Udało mu się chwycić róg paszportu.

Chciał zdjąć z niego przylepiony makaron, ale zrezygnował i wrzucił taki oblepiony mazią, mięsem i makaronem do pierwszej z brzegu miski, którą Elka przed chwilą ustawiła na stole. Teraz pozostało mu do wyłowienia prawo jazdy. Nie było to już takie proste. Prawo jazdy nie wyróżniało się kolorem od tego paskudztwa w kotle. Udało mu się to dopiero po kilku minutach. Tak samo jak poprzedni dokument, i z takim samym obrzydzeniem, wrzucił do tej samej miski. Puścił silny strumień zimnej wody w zlewozmywaku obok stołu i już, już zabierał się do płukania zawartości miski, gdy drzwi otworzyły się nagle z takim impetem, że aż się zatrząsał: - Co tu się do cholery dzieje?! Czego te psy tak jazgoczą!?! - Zaskoczona Wanda dostrzegła Jacka z miską w ręku - a ty co tu robisz?! Sam to żresz czy co!?

- zatrzymała się na progu. Jacek błyskawicznie chwycił chochlę i nalał szarej mazi na dopiero co wyłowioną zdobycz. Postawił miskę na stół i wziął drugą powtarzając czynność. Przeklinał w duchu na czym świat stoi. Nie odwracając się, takim samym tonem jak matka fuknął: - O rany, czego się znowu czepiasz? Twoje ulubione psy wyły mi pod oknem, to przyszedłem im dać jeść? - Wziął do ręki trzecią z kolei miskę.

- A gdzie jest Elka, widziałam jak przed chwilą tu szła?! - głos Wandy był podejrzliwy.

- Kazałem jej iść do kuchni. Jeszcze się tak trzęsała, po tym jak ją wyrzuciłaś na środek trawnika, że bałem się czy nie wpadnie do jakiegoś kotła.

- No dobrze, dobrze - Wanda się trochę uspokoiła. Już chciała wyjść, ale spostrzegła miski na stole. Podeszła i wzięła pierwszą z nich z napisem "Gabi". Akurat była to miska jej ulubionego charta - najbardziej paskudnego i złośliwego ze wszystkich

ośmiu psów. Za drzwiami słychać było jego charakterystyczne piskliwe ujadanie.

Jacek dobrze znał ten obrazek. Wiedział, że teraz matka odgoni inne psy i z rozkoszą będzie się przyglądała jak Gabi pochłania makaron, mięso, jego lewy paszport i prawo jazdy. Wszystko bez soli! Serce mu zamarło, a krew odpłynęła do pięt. - O Boże! - pomyślał.

Wandzie przypomniało się o witaminach dla kupionego za trzydzieści milionów szczeniaka. Z miską w ręku, otwierając już drzwi odwróciła się jeszcze, żeby mu o tym przypomnieć. Na widok wyrazu twarzy Jacka zatrzymała się jednak.

- Co ci jest!?! - spytała szczerze wystraszona. Twarz Jacka była w kolorze gotowanej wołowiny w makaronie, albo jeszcze bardziej szara. Szybko podeszła do niego i odstawiła miskę z napisem "Gabi" na miejsce. Podsunęła mu krzesło i nalała do aluminiowego kubka wodę z kranu. Jacek rejestrował wszystkie jej ruchy tylko pod jednym kątem: na jak długo odsunie się od niego niebezpieczeństwo? Usiadł na podstawionym krześle. Wypił wodę. Spojrzał przez chwilę na naprawdę szczerze zatroskane oczy matki i pomyślał: - Te dwie minuty już niczego nie zmieniają. Jediną szansą byłoby gdyby ten cholerny pies zdechł na miejscu. - Ale odroczenie to zawsze odroczenie - pomyślał i oddał pusty kubek. Wyksztusił - jeszcze - i Wanda nalała ponownie wody pytając troskliwie: - Co ci jest!! Zadzwońmy po lekarza. Może jednak coś ci się stało przez tę lodówkę? - Patrzyła na syna coraz bardziej zmartwiona.

- Cholera - pomyślał, powoli pijąc małymi łykami wodę, która mu już rosła w żołądku. - Najlepiej by było gdybym rzeczywiście sam to zeżarł - pomyślał.

Prawie pokochał od pierwszego wejrzenia Elkę kiedy zobaczył ją w drzwiach wślizgującą się i wystraszoną.

- No!! Nareszcie Elka zaczęła myśleć, że coś się stało!! My byśmy tu mogli zawału dostać i umrzeć, a Elka by sobie kawkę

w kuchni piła!! - Wanda wyraźnie wracała do formy. Jacek odetchnął.

- Ależ proszę pani, ja myślałam... wydukała pokornie.

- Elka tu nie jest od myślenia, tylko od karmienia psów! Niech dla Gabiego podgrzeje jeszcze raz! Jest za zimne. Nie czekając na dalsze tłumaczenia, bez słowa wyjęła Jackowi kubek z ręki z niedopitą jeszcze wodą i odstawiła go na blat. Rzuciła krótkie -Idziemy! - i stanowczym krokiem skierowała się do wyjścia.

Jacek nie był w stanie niczego innego zrobić jak wykonać rozkaz. Posłusznie wstał i szedł za matką. Wychodząc dostrzegł jak zawartość miski z napisem "Gabi" z powrotem ląduje w mazystym makaronie. Aż jęknął.

Rozdział 16

Elka łykając łyzy mieszała makaron. Czekwała kiedy się zagotuje i na powierzchni pojawią się bąbelki powietrza.

Jedzenie dla psów szykowała bardzo niechętnie. Uważała, że one na to nie zasługują. Były strasznie głupie, zupełnie inne niż psy na wsi, gdzie się wychowała. Te tutaj czekały bez powodu, ganiały się po całym ogrodzie, załatwiały gdzie popadło albo spały. Nie było z nich żadnego pożytku.

Nie mogła też pojąć, że w tym domu kupuje się jedzenie specjalnie dla psów. A co gorsze - używa się do tego, tego samego mięsa które idzie na salony, tyle tylko, że trochę dłużej mrożonego. Taka nędza dookoła, a oni karmią wołowiną osiem obrzydliwych darmozjadów. Uważała, że to grzech. Strasznie się bała, że kara za to spadnie na nią. To przecież ona, Elka, gotowała i dawała psom to, co powinni jeść ludzie. Uważała też, że psów powinno się trzymać tyle, ile się da wykarmić resztkami z pańskiego stołu. Każda inna sytuacja była grzechem.

Aż bała się pomyśleć jaka kara może ją za to spotkać. Czasem zamykała oczy, żeby nie patrzeć jak to bulgoce w tych kotłach. Za każdym razem przypominały jej się obrazy wiszące u biskupa w gabinecie. Na tych obrazach były tak samo bulgoczące kotły jak te tutaj, tylko, że tamte były w piekle. Biskup mówił jej kiedyś, że są to ryciny z któregoś tam wieku, chyba z XVI. Ale przecież piekło jest wiecznie.

Akurat napełniła miskę najgorszego z tych diabelskich stworzeń "Gabięgo", gdy nagle mignęło jej przed oczami coś ciemnego, że aż podskoczyła. Ciekawość była jednak silniejsza. Niestety kocioł sięgał jej prawie do połowy klatki piersiowej i nie mogła się bardziej schylić żeby zajrzeć do środka. Rozejrzała się po kuchni. Na stojące obok krzesło bała się wejść, więc wzięła mały stołek do obierania ziemniaków. Stała na nim i zaczęła rytmicznie, powoli mieszać. Wiedziała, że przy czwartym lub piątym zamieszaniu to co jest na dnie wypłynie na wierzch. Nauczyła się tego pracując kiedyś w kuchni przy wojsku. Zawsze co lepsze kęski z dna kotła dostawali od niej ci żołnierze, których lubiła, a nie sierżanci.

Teraz jej metoda się sprawdziła. Przy czwartym obrocie chochlą na wierzch wypłynęła ciemna, nieduża książeczka, a zaraz za nią jeszcze coś w nieokreślonym kolorze, ale za to ze zdjęciem. Elka delikatnie wyłowiała to wszystko. Leżącą obok kuchenki szmatą wytarła z lepiącego się makaronu i kawałków rozgotowanego mięsa. Nie zaglądając do środka przezornie schowała do kieszeni pod fartuchem. To była jej specjalna kieszeń na nieprzewidziane okazje, przyszyta od spodu po prawej stronie.

Elka sama sobie szyła fartuchy i wszystkie miały taką kieszeń.

Wszystkie były mocno umarszczone i kieszeni pod spodem nie było widać. Miała takich fartuchów sześć: trzy szare, dwa granatowe i jeden biały.

- Najpierw nakarmię te darmozjady, a później w spokoju zobaczę co to jest - pomyślała wycierając ręce w szmaty.

Domyśliła się oczywiście, że są to dokumenty i że z tego powodu zastała młodego pana gmerającego chochlą w zupie. Karmiąc kręcące się jak głupie wokół własnego ogona psy, humor jej się wyraźnie poprawił. Aż taka głupia nie była, żeby się nie domyśleć, że z tymi dokumentami coś jest nie tak.

Czuła całym sercem, że los się do niej uśmiechnął. Za ten garb, za to, że całe swoje nędzne życie była pośmiewiskiem, za to, że nie kochał jej żaden mężczyzna. Nawet w wojsku żaden z wygłodniałych żołnierzy nie miał na nią ochoty. Właśnie tam się z niej najbardziej śmiali.

Tylko biskup ją szanował i tylko u niego czuła się bezpiecznie, ale niestety umarł.

Że też musiała przyjść do tego bezbożnego domu - myślała.

Dostawała wprawdzie pensję dwa razy taką jak na plebanii, ale traktowana była gorzej niż te wychuchane psy.

Teraz po raz pierwszy w życiu wstąpiła w nią odwaga. Bo to ona ma w kieszeni coś na czym komuś zależy. Siedząc skulona na małym stołku rozmyślała o tym jak po tygodniu służby w tym domu została okropnie upokorzona. Dokładnie pamiętała ten piątkowy poranek. Jak co piątek, między szóstą a siódmą rano czyściła wszystkie buty. Słyszała jak pani Wanda wróciła w nocy. Było to tak pomiędzy trzecią a pół do czwartej nad ranem. Pokój Elki był wprawdzie na samym końcu domu, ale hałas był taki, że słyszała wszystko. Tego ranka znalazła zamszowe szpilki pani Wandy niedbale rzucone przy wejściu. Rozpoczęła pracę właśnie od tych pantofli. Były okropnie zabłocone. Na obcasach miały nawet poprzyklejane źdźbła trawy. Na połowie lewego pantofla na przodzie widniała jasna plama. Elka męczyła się z nią dobre dziesięć minut. Poszła nawet do kuchni i próbowała poradzić sobie z tym trzymając but nad parą. Plama na chwilę zniknęła, ale jak tylko wilgoć odparowała pojawiała się znowu. Nie była to plama od błota. Była jakaś dziwna - bardzo sztywna i biała. Akurat zastanawiała się co z tym zrobić, gdy pani zeszła do kuchni po piwo. Spozstrzegła co Elka robi i rzuciła ziewając:

- Niech to Elka zostawi. - Ziewnęła i dodała lekceważąco:
- To już chyba nie zejdzie.
- Bardzo panią przepraszam, ale rzeczywiście nie chce zejść.

- Jak już wyszło to na pewno nie zejdzie. - Pani Wanda otworzyła piwo, wypła z puszki połowę i dodała: - Niech je Elka wyrzuci.

- Ojej takie drogie buty! I w dodatku nowe! Szkoda!

Na to Wanda zatrzymała się przy niej na chwilę, wzięła do ręki pantofel, przyglądała się przez chwilę plamie i powiedziała z uśmiechem:

- Wcale nie szkoda. Było świetnie. To co jest na tym bucie daje się zmyć ze wszystkiego, ale z zamszu nie zejdzie.

- Jak pani wie co to jest, to proszę powiedzieć. Może jeszcze raz spróbuję.

- Jak to!?! To Elka nie wie co to jest!?! - Spojrzała na nią pogardliwie i popijając przy tym łyk piwa stwierdziła: - No tak! Skąd niby taki ktoś jak Elka ma wiedzieć jak wygląda sperma na zamszowych szpilkach - rzuciła but na podłogę niedbale. Już chciała odejść, ale widząc zdziwioną, bladą, zgorzowaną twarz swojej nowej gosposi dodała jeszcze: - A co sobie Elka myśli! Nie jestem jeszcze taka stara!! - i poszła.

Rozdział 17

Annie Naderowej coś się ostatnio nie układało. Na domiar złego nie mogła zapomnieć o ostatnim kochanku. Właśnie o tym czyściutkim blondynie wyhaczonym w najbrudniejszej spelunie w mieście.

Wprawdzie spróbowała jeszcze raz czy dwa swojej ulubionej rozrywki, ale to już nie było to. Sytuacja i atmosfera wokół samego polowania, owszem była bardzo przyjemna i podniecająca, ale reszta zaczynała już ją nudzić.

Był jeszcze jeden powód, żeby z tym skończyć przynajmniej na jakiś czas.

Doszły do niej plotki powtarzane w mieście, że podobno jest taka jedna, która jeździ po spelunach we futrze i podrywa chłopaków. Słuchała tych podnieconych głupich bab i myślała robiąc zdziwioną minę:

- Jakie wy jesteście głupie i napalone.

Był jeszcze jeden sygnał alarmowy, że kłębią się wokół niej chmury - ta cholerna kasetka. Od momentu kiedy Stawska obejrzała kasetę, wyraźnie unikała kontaktu z nią. Nawet nie zjawiała się w Studio na umówiony już od miesiąca rewelacyjnie odmładzający zabieg.

Anna dowiedziała się po fakcie, że niedawno odbył się bardzo prestiżowy wernisaż. W najmodniejszej galerii była cała śmietanka towarzysko-finansowa Warszawy. A Stawska nie przysłała jej zaproszenia! Dla Anny było jasne, że coś się święci.

Jak zawsze dowiedziała się o imprezie, i o tym co się tam działo, od największej plotkary w mieście. Znały się od dawna. A kiedy zadzwonił telefon o jedenastej wieczorem i Anna usłyszała w słuchawce głos Miki Jezierskiej - wiedziała, że ma dwie godziny z głowy.

Nie myliła się. Jasne, że zawsze mogła posłużyć się starym chwytem i zacząć krzyczeć w pewnym momencie w słuchawkę:

- Halo, Halo, o rany znowu się rozłączył, te cholerne telefony. Halo! halo! Ja ciebie nie słyszę! Jak ty mnie słyszysz to dzwoń do mnie jeszcze raz - a potem odłóż słuchawkę i wyłącz telefon.

Jednak nie zrobiła tego tym razem. Woląca wysłuchać plotek. A może stało się coś, co mogło jej dotyczyć? Nawet ją zachęciła do opowieści mówiąc:

- Och jak dobrze, że dzwonisz. Podobno świetnie wyglądałaś na ostatnim wernisażu w galerii "Start"?

- Ooo! to już słyszałaś? Rzeczywiście wyglądałam doskonale! Ale miałam powodzenie! Nie wyobrażasz sobie! - Anna pomyślała ze złośliwą satysfakcją, że oczywiście nie wyobraża sobie powodzenia Miki, bo nigdy go nie miała. Aż cud, że udało jej się wyjść za tego ginekologa.

Mika ośmielona milczeniem Anny opowiadała:

- Słuchaj! Ale były jaja. Wyobraź sobie, że Małgośka, no ta twoja przyjaciółka z telewizji, tak się upiła, że aż strach. Przyszła też ze swoim nowym kochaniem ta piosenkarka, no ta... ojej jak ona się teraz nazywa. Oj no wiesz, ta co miała tego męża kompozytora. Taka chuda, ta co się robi na Madonnę... - Mika nie mogła sobie wyraźnie przypomnieć nazwiska. - Oj no ta co wyszła pół roku temu za tego przystojnego reżysera w Paryżu. - Anna już wiedziała o kogo chodzi. Szybko powiedziała:

- Iza Szuszyńska - bo wiedziała, że Mika chcąc sobie przypomnieć nazwisko przeleci wszystkie małżeństwa i kochanków. A to mogłoby trwać dwa dni.

- No! Właśnie ona. Ale słuchaj! Ten jej nowy kochaś podobno kupił jej willę w Konstancinie i nowego Forda.

- A kim jest ten nowy kochaś - spytała korzystając z przerwy. Wiedziała, że Mika w tym momencie pociąga drinka.

- Och! On jest strasznie bogaty. Podobno ma bank. - Żeby jednak to co powiedziała nie wypadło zbyt pozytywnie, szybko dodała z sarkastycznym śmiechem:

- Ale wiesz jak to teraz z bankami bywa, jednego dnia jest, a drugiego nie ma! No, ale swoją drogą, to się temu facetowi mocno dziwię.

- Dlaczego?!

- Jak to dlaczego?! Widziałaś ją ostatnio?! Nie!! - było to pytanie ot tak sobie rzucone, bo dobrze wiedziała co chce powiedzieć.

- Byłam z nią w łazience jak poprawiała makijaż. Słuchaj! Jak byś dobrze tupnęła to by cały tynk zleciał. A jakie ona ma zmarchy pod oczami! Nie wyobrażasz sobie! W telewizji nie widać jaka ona jest stara! Nie mówiąc już o tym, że podobno do dziś nie zapłaciła za biust, który kazała sobie zrobić pół roku temu.

- Zapłaci to teraz skoro ma takiego bogatego kochanka. - Anna słyszała o tym biuście już od pół roku. Cała Warszawa o tym mówiła, ale że nie zapłacony, to usłyszała po raz pierwszy.

- No pewnie. Swoją drogą, ona dobrze wie jak to się robi. Zobacz, zawsze ma bogatego faceta. Ale nie o niej chciałam ci opowiedzieć. Wyobraź sobie - jej głos stał się bardzo podniecony - pojawił się nowy chłopak. Nie wyobrażasz sobie. Jak marzenie. Jak przyszedł, to była chyba trzecia nad ranem. Wiesz jak to jest: wszyscy pijani w trzy dupy, więc od nikogo nie mogłam się dowiedzieć kto go wprowadza. A te dwa pedały, ci bracia co prowadzą galerię... Wiesz którzy?! - Anna odpowiedziała krótko: - Wiem.

- No właśnie oni. Jak go zobaczyli to myślałam, że na miejscu go zjedzą. Ale on nic sobie z tego nie robił. Rozejrzał się i wyobraź sobie... Albo nie! Zgadnij kogo zaczął podrywać? I to jak! - Anna dobrze wiedziała o co tej idiotce chodzi. Powiedziała więc:

- Ciebie?

- Skąd wiesz?! - Słuchaj, chłopak jak marzenie. Myślałam, że te pedały uduszą mnie na miejscu - taki w ich typie. Blondyn, loczki jak u dziecka z reklamy Pampersów, pachnący, lekko krzywe nogi, przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu... A jak na mnie patrzył tymi błękitnymi oczami... - Anna słuchała tej durnej paplaniny obojętnie, ale już czuła, a raczej przeczuwała, że los znowu płąta jej figla. Spytała na tyle obojętnie, na ile potrafiła się zdobyć:

- I co, umówiłaś się?!

- Tak dwa tygodnie temu byłam z nim na spacerze, a teraz -zawiesiła głos na chwilę i dodała - zadzwonił i umówił się ze mną na piwo!! - Annie dreszcz przeleciał po plecach.

- No to co? - Nadal starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie.

- Poczekaj, najważniejsze ci teraz powiem! On się umówił ze mną na to piwo na Pradze, w takiej mordowni. Nawet nie wiedziałam, że takie coś istnieje. To się nazywa "Szwejk". Czy ty sobie wyobrażasz?! Ja!! W takiej spółce! - w jej głosie było więcej zachwytu niż oburzenia. Anna powiedziała spokojnie:

- No rzeczywiście, nie wyobrażam sobie i dodała bardzo obojętnym tonem:

-1 co? Pójdiesz?

- No pewnie. Gdybyś go zobaczyła, to byś mi się nie dziwiła -zaszczebiotała.

- Potrzebujesz alibi, czy umówiłaś się w dzień dyżuru Kazika? - spytała szybko Anna. Musiała się dowiedzieć w jaki dzień i o której się umówili.

- O nie! - głos Miki był pełen euforii. - Nie potrzebuję alibi. Umówiłam się z nim na czwartek. Akurat Kazik wyjeżdża na symposium do Wiednia na trzy dni. - Anna pomyślała, że dzień już zna, ale musi się jeszcze dowiedzieć o której godzinie. Powiedziała więc:

- Oj szkoda, bo akurat miałam ochotę zaprosić cię we czwartek na obiad do Marriotta. Już się umówiłam ze Stawską i myślałam, że rrr. oże też wpadniesz - dodała obojętnie. Wiedziała, że pokusa pokazania się w towarzystwie najpopularniejszej spikerki będzie, dla tak próżnej baby jak Mika, ogromna. Celowo nie powiedziała, że na kolację, bo wtedy, ta idiotka odpowiedziałaby, że nie może a nie o której się umówiła. Jej przypuszczenia okazały się słuszne. Po dłuższej chwili wahania Mika odszczebiotała:

- Och, to wpadnę na chwilkę. Jestem umówiona dopiero na ósmą. Reszta rozmowy, a raczej monologu Miki nie była już interesująca. Przez następne pół godziny odzywała się tylko "tak", "nie" i "acha", ale musiała wysłuchać tego, że bardzo bogaty biznesmen pozwolił sobie na nietakt i przyprowadził na wernisaż kosmetyczkę z Marriotta. Mika oburzona powiedziała:

- No wiesz, kosmetyczka! Przecież to nie nasze sfery.

Anna pomyślała oburzona - za kogo ona się uważa do cholery! Córka dozorca i sprzątaczkę, a teraz mówi "nasze sfery"! Kretynka!

Mika kiedyś się upiła i opowiadała, że od dziecka postanowiła, że wyjdzie za mąż za lekarza. Jej matka sprzątała u lekarza w domu i dla niej największym marzeniem było, żeby dostać się do takiego domu. Oczywiście nie jako sprzątaczkę, tylko jako pani. Anna pamiętała dobrze, że mocno ją wtedy upiła i dowiedziała się jak to naprawdę było. Stare przysłowie "głowa uchłana dupa sprzedana" sprawdziło się. Mika w pijanym bełkocie zaśmiewając się opowiedziała o tym jak najpierw, mając pięć-

naście lat, sypiała ze starym lekarzem. A kiedy stary już nie mógł, to przymknął oko, gdy zabrała się za synka. Oczywiście wszystko odbywało się pod czujnym okiem mamusi sprzątaczkii, a wiadomo, że pomoce domowe wiedzą najlepiej jakie państwo mają słabości. Anna wcale się nie dziwiła, że Mika tak postąpiła. W końcu każdy sposób jest dobry, żeby wyjść ze slumsów. Nie to, że nie lubiła Miki. Była jej zupełnie obojętna. Była głupia, tłusta i brzydka. Nawet w plotkach była głupia. Peplała wszystko i wszystkim gdzie popadło, każdemu, kto tylko chciał słuchać. Gdyby Anna nie wiedziała w jaki sposób Mika stała się panią doktorową to by nie denerwowała jej ta wyraźnie dawana do zrozumienia wyższość, ale ponieważ wiedziała, szlag ją trafił, gdy usłyszała "nasze sfery". Pomyślała - mała domowa kurewka - teraz półtorej pani!

Już chciała powiedzieć coś, żeby jej dopiec, ale zrezygnowała. Pomyślała, że lepiej się nie odsłaniać i pojutrze wieczorem dać jej popalić.

Odkładając słuchawkę poczuła, że humor jej się poprawił. Nareszcie zaczynało się dziać coś, co pozwoliło świetnie się zabawić.

Na samą myśl o spotkaniu pojutrze na Pradze uśmiechnęła się do siebie. Niestety, bardzo szybko okazało się, że radość była przedwczesna.

Taka sama porcja kataklizmów, jaką szykowała komu innemu, została przygotowana właśnie dla niej.

Jak to zwykle bywa, szykując pasztet dla innych obniżyła czujność.

Telefon zadzwonił przy łóżku Anny Naderowej o siódmej rano.

Wprawdzie już nie spała, ale przez chwilę patrzyła na zegarek nie mogąc uwierzyć, że ktoś o tej porze odważył się zadzwonić. Przez chwilę nie odbierała, aż w końcu zaspanym głosem powiedziała do słuchawki:

- Słucham.
 - Anka? - Dobrze, że jesteś. - Głos Małgoški był wyraźnie podekscytowany. - Już myślałam, że masz wyłączony telefon. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam - wyrzuciła z siebie jednym tchem.
 - Obudziłaś. - Głos Anny był oschły i stanowczy. - przez tydzień?
 - Co przez tydzień?!
 - Przez tydzień myślałaś, że mam popsuty telefon?
 - Sama mówiłaś, że mam się czegoś dowiedzieć - głos w słuchawce nabrał ostrzejszych tonów.
 - No to czego się dowiedziałaś? - nadal była oschła.
 - Posłuchaj...
 - Słucham, słucham - wpadła jej w słowo. Nie miała zamiaru dać się robić w konia. Jeszcze nikomu się to nie udało. - Tylko chciałabym, żeby wiadomości były rewelacyjne, bo o tej porze...
 - Oj nie bądź taka! - Małgoška postanowiła nie dać się sprowokować. Dawno przygotowała tę rozrywkę i dawno postanowiła, że to ona tym razem rozda karty, zostawiając w swoim rękawie cztery asy.
 - Ta panienka z kasy nazywa się Wioletta Bednarek.
 - Wiem jak się nazywa. Umie czytać. - Anna nie miała zamiaru spuścić z tonu.
 - Ale nie wiesz, że jutro wieczorem jedzie z twoim mężem na dwa dni do Berlina - Małgorzata dla lepszego efektu pomilczała przez chwilę. Udało się. Anna nic nie powiedziała. Po drugiej stronie słuchawki była pełna napięcia cisza. Dodała więc takim samym tonem jakim prowadziła rozmowę: - Mają zarezerwowany apartament w Kempnińskim 666. To jest pewna wiadomość, więc nie sprawdzaj, bo rezerwacja jest na top sekret.
- Anna przez chwilę nie odezwała się. W końcu powiedziała:
- No dobra, dziękuję ci - i już miała odłożyć słuchawkę, ale dodała: - Dobrze, że zadzwoniłaś, bo kosmetyki Diora bardzo

podrożały. Nie czekając na odpowiedź rzuciła krótkie "cześć" i odłożyła słuchawkę.

Małgośka ze złości aż rąbnęła słuchawką na widełki. Była wściekła. Poczowała się tak jakby dostała w pysk, ale tylko zaklęła przez zaciśnięte zęby: - Jak dobrze wszystko pójdzie, to dam ci w prezencie na imieniny pudełko po tych kremach. I też się będziesz cieszyć! - wycedziła patrząc na aparat telefoniczny.

Mogła sobie pozwolić na głośne okazanie wściekłości, bo tym razem nie była sama rozmawiając z Naderową.

Naderowa wstała z łóżka i założyła swój ulubiony jedwabny szlafrok w łososiowym kolorze. Musiała przyznać, że tym razem Stawska zapracowała na najlepszy krem Diora. Podeszła do okna i patrząc na swój piękny ogród pomyślała, że trzeba bardzo dokładnie określić kolejność działań.

Była to wręcz wymarzona okazja do pozbycia się męża, a jednocześnie zatrzymanie całego majątku dla siebie. Na taką okazję czekała od dawna.

Czasu jednak było niewiele. Musiała natychmiast zacząć działać. Zeszła na dół, nastawiła ekspres do kawy, wyjęła z torebki notes z telefonami, wzięła do ręki telefon i wykręciła numer prywatnej kancelarii mecenas Mamejko. Czekając na połączenie naląła sobie filiżankę kawy. Wiedziała dlaczego do tej sytuacji wybrała właśnie jego. Był to największy skurwieli jakiego znała. A poza tym jako jedyny wśród wszystkich adwokatów, którym płaciła wzbudzał w niej szacunek. W niektórych sytuacjach był nawet lepszy od niej. Już po trzech dzwonek usłyszała w słuchawce służbowy, przyjemny głos młodej sekretarki:

- Kancelaria mecenas Mamejko. Słucham.

- Chcę rozmawiać z mecenasem. - Anna zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Stała przed lodówką.

- Przepraszam, a w jakiej sprawie? - głosik był nadal miły.

- W prywatnej - rzuciła krótko, przytrzymując ramieniem słuchawkę przy uchu. Akurat otwierała lodówkę i poczuła przemożną chęć napicia się.

- Bardzo przepraszam, ale pan mecenas dopiero przyszedł i jest bardzo zajęty.

- Dla mnie nie jest nigdy zajęty! - udało jej się odkręcić butelkę Malibu. - Niech pani tyle nie gada i natychmiast mnie połączy! - powiedziała ostro. Nalała sobie sporą porcję kokosowego oleistego płynu. - Akurat na śniadanie - pomyślała.

Właśnie wstawiła szklanę do wgłębienia na igiełki i patrzyła jak naczynie napełnia się, gdy usłyszała lekko już zirytowany głos sekretarki. - No to co mam powiedzieć panu mecenasowi? Że kto dzwoni?

Pociągnęła spory tyk. Napój był boski. Poczuła jak przyjemną, zimną falą alkohol rozchodzi się po klatce piersiowej. Powiedziała do słuchawki głośno i stanowczo:

- Niech pani powie, że dzwonią pieniądze. Słyszysz pani!

Pie-nią-dze!?! - przeliterowała ostro. Nie znosiła sprzeciwu.

Tak jak się spodziewała, już po krótkiej chwili usłyszała w słuchawce przymilny tak charakterystyczny, prawie śliski, głos mecenasa:

- Ale żarty się pani trzymają, pani Anno. Tak od rana. Cha, cha, cha. Domyślam się, że ma pani do mnie bardzo ważną sprawę, bo takie piękne kobiety jak pani, pani Anno, to o tej porze jeszcze śpią.

Oj! ty mnie nie zagadasz - pomyślała. Słuchając tego typowo adwokackiego bicia piany pociągnęła jeszcze dwa tyki. Ten alkohol działał bardzo szybko. Był bardzo mocny i dlatego go lubiła.

- No właśnie. Zgadł pan, mecenasie. Mam bardzo ważną sprawę. Ze szklanką w jednej ręce i telefonem w drugiej podeszła do stołu i usiadła.

- No słucham szanowną panią. O co chodzi? - Jego głos stał się bardziej ostry.

- Mam ochotę porwać pana jutro na krótką wycieczkę do Berlina. Trochę przez alkohol, trochę z przyzwyczajenia w jej głosie było słychać sporo kokieterii, mimo że dobrze wiedziała, iż nie tędy droga.

- Ach jak by mi miło było spędzić z tak szykowną kobietą trochę czasu w tym pięknym mieście - szczebiotał, ale naprawdę jutro nie mogę - dodał krótko.

- Ależ panie mecenasie! - wpadła w taki sam okrągły sposób mówienia - tylko na parę godzin wieczorem. - Zrobiła przerwę na następny łyk. Wiedziała, że teraz jej nie wpadnie w słowo, bo intensywnie myśli jak się jej pozbyć. Dodała po chwili:

- To taka mała wycieczka prywatnym samolotem.

- W jakiej sprawie? - Jego głos nabrał nagle niebieskiej barwy marek zachodnich.

Pomyślała odstawiając szklankę - widzisz, zaraz lepiej. Odpowiedziała spokojnie:

- Musi pan załatwić prywatnego, bardzo zaufanego fotografa i zarezerwować jeszcze dzisiaj trzy pokoje w Berlinie w hotelu Kempinski na szóstym piętrze.

Przez długą chwilę w słuchawce panowała cisza. W końcu usłyszała krótkie:

- Ach tak? - Z tonu wywnioskowała, że już dobrze wie o co jej chodzi.

- To dobrze. Nie muszę więcej tłumaczyć - pomyślała.

- Pani Aniu - odezwał się tak jak nauczyciel do ucznia

- rozmawialiśmy już o tym przecież. Proszę zaufać mojemu doświadczeniu. To nie leży w pani interesie - naprawdę - na chwilę zawiesił głos i dodał: - Powiedziałbym nawet, że w pani sytuacji majątkowej ma pani zamiar popełnić duuuży błąd.

Chyba to "duuuży" ją tak wkurzyło. Wypiła jeszcze jeden spory łyk i starając się mówić spokojnie stwierdziła:

- Sama będę decydować o tym co jest dla moich interesów najlepsze. Pan jest mi potrzebny jako świadek do tego, że mój mąż jutro będzie z dupą w tym hotelu!! - Teraz pozostało jej już tylko czekać czy się zgodzi czy nie i uzgodnić cenę.

Jednak opierał się dalej.

- Pani nie rozumie. Nawet kodeks adwokacki nie pozwala mi na takie rzeczy. Musi pani zrozumieć... - Już nie zdążył nic powiedzieć, bo Anna była wściekła i miała dosyć dyskusji. Wrzasnęła w słuchawkę - Jaa! Ja muszę zrozumieć!! Ty mi nie będziesz mówił co ja mam robić!! - krzyczała rozjuszona - jak szmuglowałeś wóde na moją firmę to było dobrze?! Co?! Ile wtedy miałeś tych nędznych uciulanych przez kilka lat dolarów?! No ile - darła się nie dopuszczając go do głosu - pięć tysięcy, siedem tysięcy? No ile?! A teraz ile masz! Ile zarobiłeś na tej gorzale dzięki mnie!? No ile? Dwadzieścia, trzydzieści a może trzysta tysięcy dolarów. Myślisz adwokacino, że ja tego nie wiem. Akurat ja wiem najlepiej!! Zapaliła następnego papierosa i zaciągnęła się. Po tamtej stronie słuchawki panowała kompletna cisza. - No co, zatkało cię?! Myślałeś, że ja sobie nie poradzę z takim jak ty! Myślałeś, że z kim masz do czynienia, co!! Po prostu w dupie ci się przewróciło. Trochę za prędko zapomniałeś jak jeździłeś jeszcze rok temu maluchem i mieszkałeś w blokach w mieszkanku wielkości znaczka na list!! Odstawiła szklankę i usiadła na białej skórzanej kanapie. Nogi położyła na kryształowym stole. Przyglądając się sobie w wielkim lustrze nad kominkiem, uśmiechając się z zadowoleniem, z rozkoszą wsłuchiwała się w sapanie w słuchawce. Prawą ręką podniosła włosy do góry. Tym samym słodkim kokieterijnym głosem co na początku rozmowy przerwała milczenie słowami.

- Zapraszam pana jutro na szóstą wieczorem na lotnisko. Proszę nie zapomnieć o fotografii. Wszystko omówimy w samolocie. Dobrze?

- Tak... tak... dobrze. - Sapanie nie ustawało. - A kiedy, kiedy będziemy z powrotem?! - dosłownie słyszała jak mecenas się poci. Zresztą zawsze pocił się okropnie. Powiedziała wesoło:

- Och! Pan i fotograf możecie wrócić tym samym samolotem od razu. Samolot będzie na was czekał. - dodała ostrzej: - Ale oczywiście pod warunkiem, że załatwimy moją sprawę. - Bardzo podkreśliła słowo "moją".

- Tak tak. Oczywiście, jak załatwimy pani sprawę. - Jego głos był dokładnie taki jak sobie tego życzyła.

To był głos skopanego psa.

- A! zaraz, zaraz - wycodziła dla pewności - proszę nie zapomnieć, że rezerwacja w hotelu ma być na pańskie nazwisko! Uważała, że załatwiła sprawę więc dodała tylko - Do widzenia

- i wyłączyła się. Położyła słuchawkę na kanapie obok siebie.

Przeciągnęła się jak kot. Ziewnęła. - To alkohol - pomyślała. Wstała i poszła do kuchni. Zrobiła sobie grzanekę, posmarowała ją grubo musztardą i nałożyła kilka cienkich plasterków wędzonej, surowej szynki. Nalała sobie filiżankę kawy z ekspresu i usiadła przy stole. Od razu poczuła się lepiej. Spojrzała na zegar

- była ósma rano. - No to jedno mam z głowy. Nie ma to jak szybkie i skuteczne działanie. - Ostatnie zdanie powiedziała na głos.

Przez chwilę zastanawiała się kto jeszcze mógłby się przydać przy tym wyjeździe do Berlina. Szykując sobie następną grzanekę podjęła decyzję. Zawołała - Angelika! - Wiedziała, że córka odezwie się dopiero kiedy wrzaśnie. Ponowiła zawołanie, tym razem rozzłoszczonym głosem:

- Słyszysz, do cholery? Angelika! - drzwi na górze otworzyły się.

Anna w odpowiedzi usłyszała niechętne, zblazowane:

- Co? - Pomyślała z niechęcią: - Jak to się stało, że akurat ja mam taką córkę? - Powiedziała apodyktycznym tonem:

- Jutro lecimy do Berlina.

- O rany! Znowu! Po co!?! - W głosie dziewczyny było tyle niechęci, iż można by pomyśleć, że ma iść do dentysty albo na korepetycje z matematyki.

- Zobaczysz! - odpowiedziała ostro, ucinając jakąkolwiek dyskusję. Kończąc drugą grzanekę i trzecią filiżankę kawy pomyślała:

- Oj, zobaczysz. I się dopiero zdziwisz. A twój kochany tatuś jak się zdziwi. Lepszego świadka na to, że się kurwi po hotelach w Berlinie, niż jego własna córka nie mogłabym sobie wymarzyć.

Rozdział 18

Wanda postanowiła trochę odpocząć po incydencie w kuchni i z panią Elką w stołowym. Przyszykowała sobie kolejnego drinka i już była w świetnym humorze, tym bardziej, że dochodziły ją ostatnio słuchy o sporych kłopotach Naderowej.

Cała Warszawa trąbiła o tym, że Jurek Nader ma nową kochankę, i że tym razem to coś poważniejszego. Opowiadano legendy o urodzie Violetty, ojej włosach, nogach oraz o bajecznych prezentach kupowanych dla niej przez Nadera.

Zdecydowanie największą rozkosz sprawiało Wandzie słuchanie opowieści o tym jaka to kaseta krąży po Warszawie. W ciągu ostatnich kilku lat nie było filmu, który by wzbudził takie zainteresowanie. Jak za starych dobrych czasów pożyczano ją sobie na godzinę, na dwie i puszczano dalej w obieg. Wanda słyszała, że podobno robiono nawet zapisy. Po tej informacji zastanawiała się nawet, czy te 30 kaset, które rozesłała anonimowo po swoich znajomych, to nie było trochę za mało. Właściwie to w obieg poszło 29. Była pewna, że trzydziesta kaseta została skrzętnie przez Naderową ukryta.

Wklepując grubą warstwę tłustego, odżywczego kremu w twarz i szyję - pomyślała: - Jeden dobry uczynek już zrobiłam, teraz kolej na następny.

Ostatnio bowiem niepokoiło ją zachowanie Jacka. Obserwowała go od jakiegoś czasu i stwierdziła, że dzieje się coś o czym ona nie wie. I nie były to problemy damsko-męskie. Z tym by sobie dawno poradziła.

O znajomość z Łukaszem Blumszteinem była zupełnie spokojna. Nawet zadowolona. Łukasz był trochę starszy od Jacka i też był bardzo bogaty. Był dobrze wychowany, znał dwa języki. Jacek przez tę znajomość miał kontakt z elitą. W końcu matka Łukasza była najpopularniejszą spikerką w telewizji. Jej mąż był bajecznie bogaty za komuny i teraz. Teraz, tak jak oni wszyscy jeszcze bardziej niż poprzednio.

Wanda wchodząc z gotówką w jakieś duże interesy słyszała tu i ówdzie szeptane informacje, że jest to człowiek, który trzęsie wszystkim.

Mało kto go jednak znał.

Wanda miała sporą ochotę dostać się w zasięg tych interesów, ale mimo starań nigdy nie udało jej się dostać do tego domu. Jacek w ogóle nie chciał słyszeć o takiej sytuacji. Wanda postanowiła poczekać. Znała życie. Wiedziała, że okazja prędzej czy później się nadarzy.

Ale nie to wzbudzało teraz jej obawy. Teraz obawiała się, że Jacek wymknie się jej spod kontroli. Wcale nie miała ochoty zostać sama. Monika już dawno wyjechała, Wacek ożenił się z tą dziwką.

W wielkim domu razem z nią został już tylko Jacek - jej ukochany syn.

Poważnie myślała o tym, żeby zatrzymać go w domu przy pomocy dziewczyny. Jedną z możliwości było przyjęcie na służbę młodej gosposi ze wsi, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Nie o taki typ chodziło. Już dawno zorientowała się jakie dziewczyny podobają się jej synowi.

Myślała, myślała i wymyśliła. Był ktoś, kto idealnie nadawał się do wymyślonej przez Wandę sytuacji. Właśnie dzisiaj miała ich poznać. Zresztą Jacek od paru dni marudził, żeby zrobiła kolację i zaprosiła Tomka Bielawę z żoną. Twierdził, że teraz są takie czasy, że lepiej utrzymywać kontakty ze wszystkimi. Nigdy nie

wiadomo czy któregoś ranka nie obudzimy się z powrotem w komunie - argumentował.

W tej sytuacji było jej nawet na rękę zorganizowanie takiej kolacji. Mogła bez podejrzeń zaprosić wybraną przez siebie kobietę dla własnego syna.

Uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Wiedziała, że wszystko pójdzie gładko.

Agata, jej dawna znajoma, idealnie się do tego nadawała. Spełniała wszystkie stawiane przez Wandę warunki. Była mniej więcej piętnaście lat starsza od Jacka, rozwiedziona, nie miała dzieci, była szczupła.

Zadzwoiła do Agaty pod stary numer telefonu. Okazało się, że Agata nadal tam mieszka. Wanda celowo wspomniała, że będzie kilka osób i jej dorosły syn Jacek.

Agata zdziwiła się, że ten mały Jacek, którego pamiętała, ma już prawie dwadzieścia lat. Przez chwilę rozmawiały o nowych kremach odmładzających, gdy Agata wspomniała, że była na świetnej wycieczce w Szwajcarii i w zasadzie żadnych kremów nie potrzebuje. Mimo dociekliwych pytań nie chciała nic więcej powiedzieć. Śmiejąc się powtarzała tylko: - Zobaczysz, zobaczysz, tego się nie da ukryć.

Wanda była bardzo zaintrygowana zachowaniem się znajomej i z niecierpliwością czekała na wizytę. Myślała, że to bardzo dobrze się składa, że będzie Tomek Bielawa. On bardzo lubił obecność ładnych kobiet.

Spojrzała na zegarek. Pomyślała, że musi się pospieszyć. Nakładając już trzecią warstwę pudru - stwierdziła, że już czas zrobić następną operację plastyczną. Jednak tym razem pojedzie do Włoch albo do Francji, nie do tej Polanicy. Wprawdzie lekarz ostrzegł ją, że nie wolno utyć, ale oni tak tylko gadają, bo nic nie potrafią. Trzeba jeździć na Zachód a nie do Polanicy.

Ostatnio w gabinecie kosmetycznym dokładnie się przyjrzała sławnej aktorce, o której wszyscy mówią, że jest kochanką tej

wiecznie pijanej piosenkarki rockowej. Ma dobre pięć dych a buźkę jak trzydziestolatka. Wanda dowiedziała się od jej kosmetyczki, że ostatnią operację tamta robiła we Włoszech. Właśnie wstała, żeby sobie zrobić drinka, gdy do pokoju wszedł Jacek. Odwróciła się do niego i powiedziała ze złością:

- Ile razy ci mówiłam żebyś pukał przed wejściem. Jacek tylko wzruszył ramionami. Wszedł do pokoju i marszcząc nos powiedział:

- Mogłabyś tu wietrzyć czasami. Usiadł rozwalony na fotelu naprzeciwko toaletki przy której Wanda się malowała - słuchaj, muszę z tobą pogadać.

Miał zamiar coś namącić, podpuścić matkę na gosposię. Bał się, że Elka odda dokumenty matce. Rozglądał się po pokoju. Jego wzrok padł na łóżko. Przypomniał sobie, że wziął parę złotych ostatnio spod jednej nogi. Właśnie się zastanawiał czy Wanda już zaglądała, ale nawet jeżeli, to mogło to niczego nie zmienić. Sama dobrze nie wiedziała ile trzyma forsy i gdzie. Nie, ten pomysł odpada. Zresztą Wanda nie miała wcale ochoty na rozmowę. Oburzona, patrząc na syna w lustrze powiedziała:

- Zwariowałeś!! Nie mam czasu, za dwie godziny przychodzą goście. Przecież muszę się umalować!

Jacek przyjrzał się spoconej, mocno umalowanej twarzy matki i pomyślał, że chyba wystarczy tego malowania. Ale nie powiedział tego.

- Słuchaj, przeszkadzasz mi, muszę się ubrać.

- To się ubieraj. Ja sobie zrobię drinka. - Nadal intensywnie myślał co namącić.

- Łukasz już poszedł? - spytała zrzucając szlafrok i otwierając wszystkie skrzydła lustrzanej szafy.

Jacek spojrzał na ciało swojej matki z lekkim obrzydzeniem. Wcale się nie dziwił, że stary ją zostawił - pomyślał.

- Nie - odpowiedział, wrzucając sobie do szklanki ostatnie dwie kostki lodu i nalewając ginu z karafki. Z ukosa spojrzał na

matkę. Nieźle musiała już wypić, licząc po dwie kostki lodu na szklanke - pomyślał. Dolał sobie wody, pociągnął spory łyk i usiadł z powrotem na fotelu.

- Dlaczego!?! - spytała. Wyrzuciła z szafy kolejne ciuchy i rzucała je za siebie. Jeden za drugim lądowały na łóżku tworząc spory bałagan.

- Bo sama go zaprosiłaś na dzisiejszą kolację.

- Jaa? - Wanda nie pamiętała tego, ale przypomniała sobie. Tak rzeczywiście było, więc mruknęła:

-Atak. Przypominam sobie. Daj mi jakąś porządną koszulę. Przecież nie zejdzie mi na dół, na eleganckie przyjęcie w tym podkoszulku. Stała przed lustrem i przykładała do siebie nową fioletową suknię. Kupiła ją trzy miesiące temu w butiku Mondy. Już wtedy była za ciasna, ale Wanda kupując ją stanowczo postanowiła, że schudnie.

- Chyba nie masz zamiaru się w to wbić! - Jacek od razu spostrzegł, że suknia jest o dwa numery za mała. Z dezaprobatą patrzył jak jego matka odgryza zębami złotą metkę wiszącą na cienkim plastikowym patyczku przy bocznym szwie sukni.

- A właśnie, że mam!! - ucięła krótko.

- O rany! zastanów się! Przecież z daleka widać, że ta kiecka jest na ciebie za mała o dwa numery!

- A co cię to obchodzi? - spojrzała ostro na syna, przewiesiła suknię przez ramię, wyjęła z pudełka czarne szpilki na wysokim, srebrnym, metalowym obcasie i poszła do łazienki.

- Masz rację. Co mnie to obchodzi - odpowiedział Jacek, ale słowa trafiły w próżnię. Wanda zamknęła za sobą drzwi od łazienki. Już chciał wyjść ale wstał i odstawił pustą szklanke.

- Więc co chcesz ode mnie? Co to za ważna sprawa? -Usłyszał przytłumiony głos matki z łazienki.

Zastanowił się przez chwilę co odpowiedzieć. Jego wzrok padł na pustą szklankę, którą Wanda odstawiła idąc do łazienki. Spytał: - Przynieść ci drinka? - Dobrze wiedział, że jeśli matka wypije jeszcze jednego, to są większe szanse na odwrócenie kota ogonem, na wypadek gdyby Elka postanowiła poinformować Wandę o tym co znalazła w makaronie. Teraz Wanda była jak na gust Jacka stanowczo niedopita, a w takich przypadkach szybko się rozjuszała i wtedy nic już nie można jej było wytłumaczyć.

Rozdział 19

Tadek był ostatnio zadowolony z siebie coraz bardziej. Szczęście, które mu sprzyjało nie opuszczało go od dłuższego czasu. Przygoda ze "Szwejką" odkrywała przed nim nowy świat. I nie miał zamiaru odpuścić żadnej szansy, która umożliwiłaby mu zmuszenie Anny do utrzymywania go. Wsiadając w tamtą noc do czekającej na niego taksówki pod posiadłością był wściekły. Miał dosłownie ochotę dać komuś w mordę. Za to, że ta kobieta potraktowała go w taki sposób i nawet mu nie zapłaciła. Musiał coś zrobić, bo nie miał nawet na zapłacenie za taryfę. Po krótkim namyśle kazał się zawieźć na przyjęcie, na które wybierał się zanim spotkał tę futrzastą cizję w "Szwejku".

Z doświadczenia wiedział, że zabawa w takich miejscach trwa przynajmniej dwie doby. Takie w tym środowisku były reguły gry. Na ogół imprezy zaczynały się w piątek, a kończyły w niedzielę. A bywało, że i w następną.

Im więcej pojawiała się osób, gotowych zgodzić się na coś więcej niż zwykle damsko-męskie we dwoje, tym uznawano, że zabawa jest lepsza.

Szczęście sprzyjało mu tamtego dnia. Zaraz przy furtce natknął się na siedzącą na trawniku postać. W słabym świetle ogrodowej lampy rozpoznał, że jest to bardzo popularny dziennikarz sportowy. Ten sam, który bez przerwy opowiada o szkodliwości picia alkoholu w sporcie. Teraz siedział na trawniku i walczył z pijacką czkawką. Akurat kiedy Tadek do niego podchodził - tamten koniecznie chciał przestać czkać. Zaciskał obie dłonie na ustach. Niestety

nie było to takie proste. Czkawka przeważała nad woła. Wraz z czknięciem było ostre przekleństwo. Usiłował powiedzieć:

- To, to... - czknięcie - grzybki. Przez chwilę przyglądał się butom, które zatrzymały się obok. Najwyraźniej spojrzenie wyżej było ponad jego siły. Wybełkotał wykonując przy tym zachęcający ruch ręką: - Czy możesz się do mnie schylić?

Tadek nachylił się i lekko potrząsając jego ramieniem spytał:

- Stary, możesz mi pożyczyć na taryfę? - W odpowiedzi tamten pijacko łypnął na niego. Kilka razy zamrugnął oczami i mocno je na koniec rozszerzając, odchylił głowę do tyłu wykrzywiając twarz w grymasie, który miał być uśmiechem wybełkotał:

- O jejkę! - Idź tam! Idź! - znowu czknął i roześmiał się. Ponownie spojrzał na Tadka i mrużąc oczy powiedział nabierając przedtem mocnego oddechu:

- Ale się te przedniodupce i tylniodupce ucieszą. Takiego... Szwarc, Szwarc, Szwarc... No podwójnego Murzyna - wydukał w końcu - dawno tu nie było. - Machnął ręką, co miało znaczyć, żeby Tadek poszedł do willi.

- Najpierw daj mi na taryfę, to pójdę. - Tadek przykucnął, rozstawiając szeroko kolana dla zachowania równowagi. Usłyszał:

- Aha! - i zobaczył jak tamten zaczyna grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki. Najpierw wyciągnął zupełnie niezłe damskie majtki. Przez chwilę je oglądał mrugając oczami i kiwając ze zdziwieniem głową, a następnie z wyrazem olśnienia na twarzy powąchał je. Nabrał powietrza i wybełkotał:

- Mo... Mo... Monika - przez chwilę zastanawiał się czy schować je z powrotem do kieszeni, ale okazało się, że taka czynność przekracza jego możliwości, więc założył je sobie na głowę.

Uwalniając w ten sposób ręce ponownie sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wyciągnął portfel i spojrzał na Tadka. Przyglądał mu się przez chwilę. Jego pijackie oczka wodziły wzrokiem za rytmicznie poruszającą się w ustach Tadka zapałką. Już

zapomniał, po co wyjął portfel. Bardzo go zaintrygowało, jak można tak szybko przesunąć zapałkę z jednego kącika ust w drugi. Tadeusz tylko przez sekundę się zawahał. Błyskawicznie ogarnął spojrzeniem cały ogród i wejście. Nikogo nie było. Dziennikarz trzymał w jednej ręce portfel, a palcem drugiej machał Tadekowi przed nosem i usiłował coś powiedzieć. Tadek domyślił się, że coś o grzybach, ale mało go to obchodziło. Wcale go ten spitek nie bawił. Poufałym, pełnym zrozumienia gestem poklepał go po ramieniu. Przy trzecim klepnięciu gwałtownie zakleszczył ramię uciskając tętnicę szyjną, uniemożliwiając ofierze jakikolwiek gest. Jednocześnie lewą ręką chwycił portfel. Jednym ruchem wytrawnego kieszonkowca otworzył go. Wprawnymi palcami błyskawicznie, nawet nie patrząc na to co robi, wyjął z właściwej przegródki wszystkie pieniądze. Nadal nie zwalniając kleszczowego uścisku schował pieniądze do tylnej kieszeni swoich spodni. Portfel wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki dziennikarza. W tym samym momencie zwolnił uścisk na ramieniu i ponownie łagodnie poklepał. W tym samym momencie, dziennikarz spostrzegł, że zapałka znieruchomiała w lewym kąciku. Nie wiedział tylko, dlaczego tak cholernie rozboleła go ramię. Tadek podniósł się, poprawił na kolanach spodnie, które lekko się w tym miejscu wypchały. Sprawdził czy dość głęboko schował forszę w tylnej kieszeni. Spojrzał w dół na siedzącą postać i powiedział: - No teraz frajerze możesz sobie czkać ile chcesz - i poszedł w kierunku rzęsiście oświetlonej secesyjnej willi.

Rozdział 20

Marian Blumsztein nie miał dzieci i nie chciał ich mieć. Uważał swoją decyzję za świadomą i w pełni uzasadnioną. Tak samo jak rude włosy, wybitna jednostka pojawia się co drugie pokolenie. Nie miał ochoty walczyć całe życie z jakimś bachorem, tylko po to, aby musiał kiedyś i tak umrzeć.

Jednak przez małżeństwo z Magdaleną został zmuszony do kontaktów z dzieckiem. Na początku małżeństwa, gdy Łukasz był mały, Marian nie miał większych kłopotów z pasierbem. Zresztą nigdy się nim zbytnio nie zajmował. Chłopak robił co chciał. Jego matka też nie miała za dużo czasu dla syna. Zajęta była swoją urodą i karierą. Zarówno ona jak i Marian zgodnie uważali, że jest to amerykański model wychowania. Najlepszy jaki może być. Zimny wychów: żadnych emocji, okazywania uczuć, wspólnych obiadków czy wycieczek.

W ich ogromnym, pięknym luksusowym domu, każdy robił co chciał. W efekcie Magdalena albo spała z maseczką na twarzy bo musiała wypocząć przed występem w telewizji, albo odpoczywała z inną maseczką na twarzy bo była zmęczona po dyżurze. Marian wymagał od niej tylko jednego - żeby pięknie wyglądała na ekranach telewizorów.

Jednak okazało się, że taki mały skurczybyk w domu też może być zagrożeniem. Marian musiał przyznać, że jego pasierb, bardzo szybko nauczył się tych podstawowych prawd życiowych, które są najważniejsze.

W wieku 22 lat, a więc po dziesięciu latach obserwowania jak ojczym załatwia swoje interesy pokazał Marianowi co potrafi.

Któregoś wieczoru, bez ostrzeżenia, przeszedł do najbardziej profesjonalnego ataku - do szantażu.

Marian bardzo dokładnie pamiętał ten wieczór. Pierwszy kłopot wyłonił się zza budki parkingowego przed hotelem "Victoria", akurat w chwili gdy chciał wsiąść do swojego BMW i odezwał się do niego słowami:

- O rany, ale masz wózek!

Marian przyglądał się przez chwilę postaci stojącej przed nim.

Paweł Misiuna wyglądał jak z obrazów Dudy-Gracza. Na domiar wszystkiego śmierdział tak, jakby przed chwilą wyszedł z kanału. Spotkania nie dało się uniknąć. Marian wyjął z kieszeni banknot jednomilionowy i fuknął tylko:

- Nie mam czasu. - Już wsiadał do samochodu, gdy podbiegł do niego boy hotelowy z kartką w ręku. Boy patrzył przez chwilę na Pawła zdziwionym wzrokiem i zapytał:

- Czy mam zawołać policję? Marian odpowiedział krótko: -Nie!

Boy uklonił się i podając kartkę powiedziała:

- Bardzo przepraszam pana, panie Blumsztein, ale akurat jak pan wyszedł ktoś zostawił wiadomość dla pana i kierownik kazał mi pana dogonić. Uklonił się nisko. Marian dał mu napiwek i schował kartkę do kieszeni.

Misiuna obserwował całą scenę z dużym zainteresowaniem. Nagle roześmiał się tak dobrze znanym Marianowi pijackim rechotem i zawołał:

- O kurwa! To ty się ale ustawileś w życiu, taki wóz, ten płaszczyk, ten garnitur! Pewnie jesteś ważna figura! Ch, cha, cha! Tylko czemu, kurwa nazywasz się teraz Blumsztein? Przecież wtedy nazywałeś się Bluma!

Marian już trochę zdenerwowany dyskretnie rozejrzał się po parkingu, ale na szczęście nikogo nie było.

Paweł nie dawał za wygraną. Bełkotał: - Znowu coś cwaniaczku kombinujesz! Wtedy pensjonat ze sraczem za stodołą, a teraz izraelski Blumsztejn, zamiast wiejskiego Blumy! No, no! To daj staremu kumpłowi na piwo. Marian dał mu jeszcze dwa miliony, szybko wsiadł i odjechał. W ostatniej chwili usłyszał jeszcze jak Paweł zawołał: - Pozdrów swoją siostrzyczkę Mary-chę!!

O kartce przypomniał sobie dopiero po kilku minutach. Przeczytał ją na pierwszych czerwonych światłach.

Spotkanie z dawnym wrogiem wytrąciło go trochę z równowagi, ale wiadomość, którą otrzymał rozzłościła nie na żarty. Wynikało z niej bowiem, że jego regularnie przekupiany poseł zaczyna się stawiać. Ustawa od której zależały dwa duże interesy zamiast uzgodnionego terminu, za dwa tygodnie, miała się zmienić za tydzień.

Tego samego dnia wieczorem, akurat w chwili gdy udało mu się w końcu uzyskać połączenie przez specjalny telefon, do gabinetu bez pukania wszedł Łukasz. Marian przeklinając w duchu na czym świat stoi przerwał połączenie, ale nie odezwał się do niego. Łukasz nie czekając na zaproszenie usiadł naprzeciwko biurka w skórzanym leninowskim fotelu. Przez chwilę patrzył ojczymowi w oczy. Marian wyraźnie dostrzegł złe błyski w spojrzeniu pasierba. W końcu Łukasz wycedził przez zęby:

- Potrzebuję dwa zestawy lewych papierów!

Marian nie odezwał się. Zastanawiając się ile Łukasz może wiedzieć powoli wyjął z leżącej na biurku paczki cameli papierosa. Wziął do ręki dużą kryształową zapalniczkę. Zapalił nią papierosa, ale nie odstawił od razu na biurko. Przez chwilę dokładnie się jej przyglądał obracając w prawej dłoni. Łukasz też sięgnął po camela. W tym momencie Marian odstawił zapalniczkę na biurko. Łukasz sięgając po zapalniczkę uniósł się lekko z fotela i pochylił do przodu. Marian tylko na to czekał. Błyskawicznym ruchem chwycił go za poły kurtki i mocno szarp-

nał do przodu. Jednocześnie podniósł się ze swojego fotela na tyle, żeby znaleźć się nad nim, ale to był błąd. Jego wiejskie sposoby mocno się zdezaktualizowały. Napadnięty Łukasz jednym silnym szarpnięciem głowy w górę załatwił kilka spraw naraz. Zadał ojczymowi ogromny ból i posadził z powrotem na fotelu.

Marian oszołomiony zarówno ciosem, jak i niespodziewaną agresją przez chwilę nie mógł dojść do siebie. Patrzył jak Łukasz spokojnie przypala sobie papierosa kryształową zapalniczką.

Milczenie ponownie przerwał Łukasz. Zaciągając się came-lem powiedział krótko:

- Dwa paszporty, dwa prawa jazdy. Oszołomiony potrząsnął głową i spojrzał na pasierba.

- Dobrze - odpowiedział. - Postaram się to załatwić.

- Taak?! - w głosie Łukasza było więcej sarkazmu niż pytania.

Marian spojrzał na niego i zastanowił się ile tamten wie. I w tej samej chwili jego wątpliwości zostały rozwiane.

- Zrobisz to tu i teraz - powiedział Łukasz. - Przy mnie. Nie mam zamiaru się stąd ruszyć. Wyjdę z tego pokoju z dokumentami w kieszeni - dodał zaciągając się papierosem. - Mają być dokładnie takie jak twoje. - Mimo zaskoczenia Marian odetchnął.

Zorientował się bowiem po ostatnich słowach Łukasza, że gówniarz wprawdzie zapędził go w kozi róg, ale najważniejszego nie wie.

Wprawdzie i tak wie wystarczająco dużo, żeby zachwiać jego bezpieczeństwem, ale w tym przypadku rachunek był prosty. Dając mu paszporty i prawa jazdy, Marian ma go w ręku. Podstawowa równowaga zasad szantażu zostaje zachowana. Obaj od tego momentu mogli się trzymać w szachu równo. Gdyby Łukasz znał jednak drugą część faktów uzyskałby bardzo niebezpieczną przewagę. Ale to było niemożliwe. W Polsce bowiem nie istniały żadne źródła informacji. Jediną osobą, która znała przeszłość i transformację Mariana Bluma był on

sam - teraz Marian Blumsztein. Nawet jego ukochana żona nie знаła prawdy. W chwilach największych uniesień Marian nigdy nie zwierzał się. A poza tym zdobycie Magdaleny zaplanował bardzo precyzyjnie. Najpierw bogactwo i dokładna edukacja w zakresie podstawowego prawa życiowego: pieniądze, pieniądze, pieniądze, następnie bardzo precyzyjna, z iście szwajcarską dokładnością przeprowadzona, zmiana wszystkiego co dotyczyło przeszłości. Dlatego Marian i tym razem postąpił zgodnie ze swoją żelazną zasadą. Najpierw uspokoić trzeba czujność przeciwnika i poczekać aż popełni błąd.

Wyjął ze schowka dwie puste książeczki paszportowe, dwa blankiety prawa jazdy, pudełko z pieczętkami i pióro "Pelikan".

Przez chwilę miał ochotę wziąć to drugie ze specjalnym atramentem. Na granicy natychmiast by zdradził właścicieli paszportów. Ale to był tylko moment. Poza impulsem zemsty nie było żadnego uzasadnienia, żeby tak zrobić. A w takiej sytuacji nie wolno popełniać błędów i działać pod wpływem impulsu.

Postanowił spełnić żądanie Łukasza. Z szuflady wyjął specjalne okulary. Włączył niewinnie wyglądającą lampę na biurku. Dawała ona bardzo ostry snop światła, ale spełniała też inną tajemniczą funkcję. Automatycznie, co kilka sekund, bezszelestnie wykonywała fotografię naświetlanych dokumentów.

Tak przygotowany powiedział krótko:

- Daj mi fotografie i napisz na kartce wszystkie dane. Łukasz roześmiał się głucho!

- No nie! Myślisz, że jestem taki głupi! Przekonałeś się chyba, że tak nie jest! Zresztą po co ci to. I tak obaj wiemy, że jak będziesz chciał, to nie przekroczę żadnej granicy z tymi papierami. Ale ja wiem, że tego nie zrobisz, bo chętnie się mnie pozbędziesz! - I podyktował swoje dane. Bardzo dokładnie obserwował jak ojczym preparuje dokumenty. Trwało to prawie

godzinę. Nie odzywali się do siebie ani razu. Drugi zestaw był dla jakiegoś kolegi Łukasza, którego Marian nie znał.

Na tym sprawa się skończyła. Ich wzajemne stosunki rodzinne były takie same jak zawsze, jakby nigdy nie załatwiali żadnej sprawy. Marian nawet nie zainteresował się czy Łukasz albo jego koleś skorzystali z paszportów przekraczając granicę. Nie było powodu w tym celu uruchamiać jakiegokolwiek źródła informacji na granicy. Zresztą nic się nie mogło stać, bo dokumenty były jak najbardziej prawdziwe. To, że zostały wypisane wieczorem w prywatnym domu, a nie we właściwym urzędzie, nie miało żadnego znaczenia skoro wszystko w nich było autentyczne.

Ale ostatnio Łukasz nawet nie dzwonił. Marian był zły na niego, ponieważ Magdalena zrobiła się bardzo nerwowa. Miała pretensje do Mariana. Chodziła po domu zdenerwowana, paliła obłędne ilości papierosów po raz pierwszy lekceważyła wyznaczone przez niego godziny snu w ciągu dnia. O to Marian był wściekły na pasierba. Jego żona miała być zawsze piękna i wypoczęta. Właśnie dlatego tak pracował, żeby było widać, w jakie opływa luksusy i nie ma żadnych problemów. Jego żona miała być właśnie taka. A jej synek zakłócił porządek rzeczy.

I jeszcze do tego wszystkiego Marian musiał jechać do Sopotu. Ktoś chciał go nieźle oszukać. Wiedział, że sobie z tym poradzi. Miał pełną informację o tym, że Agata przewiozła przesyłkę zgodnie z planem. Wykonała wszystko dokładnie tak, jak miało być wykonane. Tej samej nocy gdy dostarczyła ją w Sopocie przesyłka zniknęła. Marian był wściekły. O błędzie nie było mowy. Taka forsa nie ginie ot tak sobie przez przypadek. W takie cuda nie wierzył. Kiedy tamtego ranka zadzwoniła Jola z tą wiadomością i zapłakana usiłowała mu tłumaczyć coś o swoim wozie, kazał jej się zamknąć i odnaleźć pieniądze. Ale jak na razie nie miał na ten temat żadnych wiadomości.

Rozdział 21

Elka pięknie nakryła stół w jadalnym do wieczornej kolacji. Pani kazała nakryć na sześć osób, a pan Jacek mówił o pięciu, ale to nie jej sprawa. Jeszcze raz spojrzała na wszystko, otworzyła okno, żeby wywietrzyć i poszła do swojego pokoju nad garażem.

Nie mogła narzekać. Pokój był bardzo ładny - duży, jasny, od południa, z kolorowym telewizorem. Miała nawet własną małą umywalkę z kafelkami wokoło. Do tej umywalki włożyła dwa paszporty i dwa prawa jazdy, które bez większego trudu wyłowiła z psiego jedzenia. Powoli zmywała z nich mazistą substancję. Prawa jazdy nie dały się uratować. Rozgotowały się kompletnie. W miarę wyraźne pozostały tylko zdjęcia, pana Jacka i pana Łukasza.

A przecież jego matka pracowała w telewizji! Elka nie mogła się nadziwić.

Nie mogła zrozumieć jak to wylądowało w kotle z makaronem, a po drugie dlaczego tam wylądowało. Dopiero kiedy dokładnie wymyła paszport udało jej się przeczytać, że napisane było inne nazwisko.

Pan Jacek mówił kiedyś, że Łukasz ma ojczyma, więc pewnie to drugie nazwisko jest jego. Ale aż usiadła gdy zobaczyła, że pan Jacek też ma paszport z innym nazwiskiem. Już teraz rozumiała dlaczego pan Jacek szukał w kotle tak uparcie. Dokumenty były fałszywe! Elka nie miała zamiaru mieć z policją do czynienia.

Postanowiła oddać to pani Wandzie i odejść z tego domu. Wytarła delikatnie zamazane strony. Prawa jazdy poskładała na tyle, żeby było widać co to jest. Zmieniła fartuch. Założyła biały, bo w domu było przyjęcie

i należało wyglądać jak przystało na dobrą służącą, tak jak pani sobie życzyła. Umyła twarz zimną wodą.

Schodząc na dół weszła do jadalni zamknąć okno. Pomyślała, że gościom może być zimno. To, co zobaczyła stojąc w progu przeszło jej możliwości jak na jeden dzień. Na stole stał wielki chart Gabi i kończył przystawki. Obrus był poplamiony błotem z jego łap i rozrzuconym wszędzie jedzeniem: kawałkami mięsa, wędliny, kawiozem, majonezem. Gabi spokojnie stał na stole, patrzył tymi żółtymi ślepiami na Elkę i odsłaniając kły, warczał. Z pyska wisiał mu wielki plaster szynki. Elka nie mogła się ruszyć ze strachu i z wściekłości. Patrzyła na poprzewracane kieliszki na stole i na podłodze. Miała ochotę rzucić się na to wstrętne psisko i walczyć z nim gołymi rękoma. I na to usłyszała za sobą rozwścieczony głos pani Wandy:

- Ile razy mówiłam Elce, żeby nie otwierała okna w jadalni jak jest żarcie na stole?! - I podeszła do psa, który akurat połykał następny plaster szynki - Gabi, złaż ze stołu - klepnęła go lekko po wielkim tyłku. - No dalej, co pańcia mówi do psa?! - jej głos wyraźnie złagodniał. - Zostaw to, dostaniesz później. - Chwyciła go za obrożę i łagodnie pociągnęła. Pies posłusznie zeskoczył ze stołu i znalazł się przy nogach Elki. Warknął na nią, więc cofnęła się wystraszona. Tego psa bała się zawsze. Sięgał jej do pasa.

Wanda krzyknęła na Elkę:

- Takiej głupiej służącej jeszcze nie miałam. Zwalniam Elkę od jutra rana?! Niech się wynosi z tego domu, a teraz niech sprząta natychmiast i nakryje na nowo! Jutro odciągnę z pensji to, co Gabi zjadł. Nachyliła się do psa i poklepując go po łbie powiedziała śmiejąc się: - Ale ci się dzisiaj udało co?! Wychodząc odwróciła się i powiedziała: - Chyba mi tu diabeł przysłał Elkę na moje utrapienie. - I trzasnęła drzwiami.

Elka posprzątała wszystko. Poszła do kuchni, nakroiła wędliny i mięso, zmieniła obrus, zamknęła okno i poszła na górę do pokoju pana Jacka. Po usłyszeniu "proszę", weszła. Na łóżku

siedział ze szklanką w ręku pan Jacek, a pan Łukasz stał przy oknie. Obaj spojrzeli wystraszeni na Elkę: - Mam nadzieję, że nie widać, że płakałam - pomyślała. Nikt z nich nie powiedział ani słowa. Elka podeszła do Jacka bardzo blisko. Włożyła rękę pod fartuch i podała mu zawinięte w ścierkę dokumenty. Jacek błyskawicznie schował je pod poduszką. Uśmiechnął się do niej jakoś tak jakby przepraszająco. Łukasz zrobił dwa kroki w jej stronę i już chciał coś powiedzieć, ale ona odwróciła się i szybko wyszła.

- No widzisz, a zastanawiałeś się ile jej zapłacić, żeby oddała. A tak kłopot z głowy i to za darmo - powiedział Łukasz.

- Jeszcze nie.

- Co jeszcze nie?!

- Jeszcze nie jest kłopot z głowy - powiedział Jacek delikatnie rozwijając lnianą wykrochmaloną do granic sztywności ścierkę. Łukasz podszedł i najciszej jak potrafił zamknął drzwi na klucz. - Jak to nie? - spytał siadając i biorąc do ręki mokry, ale czysty paszport. Oglądał go dokładnie zastanawiając się, czy w takim stanie nadaje się jeszcze do użytku. Co do prawa jazdy nie miał wątpliwości, że nie. Przez chwilę oglądał zniszczone dokumenty- Cholera, będzie kłopot - powiedział Łukasz.

- Nie będzie - Jacek usiłował ułożyć resztki prawa jazdy w całość.

- Co ty gadasz? - Łukasz pomyślał, że lepiej będzie zabrać od razu Jackowi paszport zanim zdąży ich w coś wpakować.

- Nic, przecież mówię, że nie będzie. Zaraz pójde do matki, opowiem jej jakąś historyjkę o skradzionej forsie, a matka wywali Elkę na zbity pysk. I po kłopotcie. Oglądał dokładnie paszport i dodał: -1 w ten sposób pozbedziemy się kłopotu. Nie ma się co przejmować. Zastraszymy ją i koniec.

Łukasz nawet nie spojrział na Jacka.

Rozdział 22

Tadek szedł środkiem trawnika w stronę otwartych na oścież drzwi tarasowych i myślał: - Ale się facet uwalił. Gdybym nie widział na własne oczy tobym nie uwierzył. Ciekawe ile miał w tym portfelu. Swoją drogą, jak oni to robią, że w telewizji zawsze są trzeźwi i gadają tak jakby nigdy w życiu nie pili.

Wszedł i zatrzymał się przy wejściu. Postanowił chwilę zaczekać czy przypadkiem ktoś nie zapyta go o zaproszenie. Ale gdzie tam! Większość kobiet przyglądała mu się drapieźnie zamglonym wzrokiem.

Tadek jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Przez chwilę myślał nawet, że może znalazł się na planie jakiegoś filmu.

Salon w przeważającej większości wypełniały sławne aktorki i popularni aktorzy. Przeszedł kilka kroków i oparł się swobodnie o ścianę. Trochę zdziwiony, ale z dużym zainteresowaniem przyglądał się jakiemuś staruchowi z muszką, który stojąc przed lustrem opowiadał jakieś swoje wizje niemiłosiernie wymachując przy tym rękoma i robiąc okropne miny. Tadek spostrzegł, że nikt ze stojących w pobliżu osób go nie słucha. Tamten jednak gadał do siebie w lustrze i był wyraźnie sobą zachwycony. Tadek nie mógł sobie przypomnieć skąd tego faceta zna. W końcu wpadł, że kiedyś kiedy był na premierze w teatrze, to ten staruszek zachowywał się tak samo, tyle tylko, że wtedy miał widownię, wtedy też zanudzał swoimi wizjami reżyserskimi. Tadek jeszcze przez chwilę przyglądał mu się z rozbawieniem i pomyślał: - Ale ma facet narąbane! Pewnie to następny z tych co mu staje do środka! Nagle zobaczył jak z drugiego końca sześć-

dziesięciometrowego salonu lekko się zataczając, zmierza w jego kierunku, zupełnie ładna blondynka około pięćdziesiątki. Szybko otaksował jej nogi i biodra. Zatrzymała się przy nim z kieliszkiem w ręku. Zachwiała się z wdziękiem i swobodnie oparła się o jego ramię. - Ooo! - zapiszczała wypijając łyk z kieliszka. - Chcesz?! - podniosła rękę z kieliszkiem tak wysoko, że jego brzeg znalazł się tuż przy jego ustach.

- Nie to - odwrócił zdecydowanie głowę, ale nie chciał jej zrazić - już na pierwszy rzut oka ma na sobie co najmniej dwadzieścia baniek w ciuchach i pięćdziesiąt w pierścionkach

- pomyślał, dokładnie taksując ją wzrokiem.

- A co?! - patrzyła mu czujnie w oczy cały czas delikatnie głaszcząc muskuły.

- Może wodę mineralną - miał ochotę trochę się rozejrzeć, a ta go uczapiała już przy drzwiach. Musiał znaleźć miejsce na zahaczenie się na kilka dni.

- To chodź - pociągnęła go delikatnie za ramię, ale zaraz zmieniła zdanie, zatrzymała się w pół kroku. Była dużo niższa od niego, więc wspięła się na palce i czułym szeptem powiedziała mu prosto do ucha: - Posłuchaj kochasiu. Jesteś tu nowym, ślicznym chłopcem i mam do ciebie prośbę. Obejmij mnie i przytul tak, żeby wszyscy myśleli, że ci się podobam. Zależy mi na tym, żeby komuś zrobić bardzo, bardzo na złość.

Zauważył, że w miarę mówienia wyszło na jaw, że wcale nie jest taka pijana za jaką chce uchodzić. Jej twarz znalazła się bardzo blisko jego twarzy. Kątem oka dokładnie jej się przyjrzał. - Co najmniej trzy operacje plastyczne, ale wszystkie udane

- pomyślał i powiedział:

- Załatwione. - Jednym wprawnym ruchem uwolnił ramię i przesuwając powoli dłonią po całych plecach w dół zatrzymał na pośladkach rozczapierzoną dłoń.

- Tak dobrze?! - spytał. Wykonując ten ruch przekonał się, że jest w staniku, ale bez majtek.

- Ty jesteś Monika - bardziej stwierdził niż zapytał, zaciskając lekko palce na niezłym, zupełnie sporym pośladku i popychając ją lekko do przodu. - Chciała, żeby wszyscy myśleli, że mi się podoba, więc trzeba teraz przejść z nią przez cały pokój - pomyślał.

- No a teraz się przejdziemy - nachylił się do niej.

- Bosko - zaśmiała się i zakręciła lekko pośladkami. - A skąd wiesz, że jestem Monika?

- Później ci powiem - szepnął jej do ucha.

- Tam pójdziemy - powiedziała i nadała kierunek pośladkiem. Skierowali się w stronę samotnie siedzącej, dosyć brzydkiej kobiety. Idąc w tym kierunku spytał:

- Koniecznie?!

- Koniecznie - stanowczo odpowiedziała Monika - i dodała zwalniając na tyle, żeby tamta nie mogła ich usłyszeć:

- To jest żona takiego znanego ginekologa. Zwykły prymityw, nic takiego, ale największa plotkarka w mieście. Usiądziemy tylko na chwilkę, żeby ją wkurzyć.

-1 po to ją prowokujesz mną? - pomyślał, że ci ludzie jednak mają świra.

- Jaja zawsze prowokuję.

-Po co?!

- Jak to po co!? Dla zabawy. No chodź. Zaczynało mu się to nawet podobać.

Kiedy się już zbliżali kanapowa bez skrępowania zmierzyła go wzrokiem.

Wiedział, że chciała, żeby to zauważył, ale nie podobała mu się. W ogóle nie miał zamiaru nawet na chwilę siadać razem z nimi. Gdy kanapowa powiedziała do niego wyniosłym tonem, ukrywając ilość wypitego alkoholu: - Jestem Mika.

Odpowiedział sucho: - to fajnie. - A potem odwrócił się i poszedł w stronę okna, bo po drodze dostrzegł stojące na podłodze w kącie całe palety wody mineralnej, kartony szampana, ginu i dziesięciolitrowe butelki whisky. Pomyślał, że musieli to dowieźć, bo przed chwilą jeszcze tego nie było. - Znaczy się, impreza zaczyna się na nowo - stwierdził zadowolony. Dla niego oznaczało to jedno - że będzie trwała jeszcze przynajmniej dwa dni. Tak jak zawsze. A to znaczy, że nie musi się stąd ruszać. No chyba, że się coś wyjaśni. Rozglądął się za jakimś jedzeniem.

- Chcesz coś zjeść? - to pytanie zadał mu obserwujący go od samego wejścia jeden z dwóch identycznie wyglądających starych facetów. Tadeusz odwrócił się i spojrzał na jego obleśny uśmiech. Nie miał żadnych wątpliwości - pedał. - Dlatego skinął tylko głową i wydobył dźwięk:

-Uhm.

Był głodny. Tamten chciał położyć mu rękę na ramieniu, ale spojrzenie Tadka było tak piorunujące, że na razie zrezygnował.

Powiedział nie zrażony:

- Pokażę ci gdzie jest - i dodał - tu obok.

W pokoju, do którego weszli, nie było prawie mebli, za to ściany poobwieszane były ogromnymi płachtami białej tkaniny od sufitu do samej podłogi o szerokości mniej więcej dwóch metrów. Na każdej takiej szmacie namalowany był prawie goły lub zupełnie goły mężczyzna. Ponieważ pokój był wysoki postacie miały wielkość potworów z filmów rysunkowych dla dzieci. Niektóre malowidła kojarzyły się z najgorszymi pornusami. Mężczyźni mieli na sobie albo rozpięte koszule albo byli bez spodni. Tadek pomyślał, że to jest obrzydliwe. Jeden nawet miał smoking i też był bez spodni. Bez trudu rozpoznał jego twarz. Była to fizjonomia bardzo popularnego aktora. Z rozbawieniem przypomniał sobie, że tego faceta przed chwilą widział przysypiającego na ogromnych metalowych kręconych schod-

kach. Akurat kiedy przechodził sławny aktor zwił się w kłębek zgodnie z zakrętem schodów.

Przyglądał się wiszącym nad nim postaciom mężczyzn. Nie było to łatwe, bo po pierwsze na wprost wzroku widział same porozpinane spodnie, a po drugie - malowidła bez przerwy się ruszały gdyż w pokoju panował straszny przeciąg. Wszystkie okna były pootwierane na przestrzał. Niektóre obrazy wisiały nawet na oknach jako firany, i te turkocząc jak flagi, podnosiły się i opadały. W ten sposób goli i półgoli mężczyźni bez przerwy nakładali się na siebie. Musiał przyznać, że mimo zimna w pokoju, zrobiło to na nim duże wrażenie. - Podoba ci się? - spytał po chwili pedał, który go tu przyprowadził. Dawid odczekał tyle ile uważał, że potrzeba, aby jego dzieło sztuki wywarło odpowiednie wrażenie. Był zachwycony, że przyszedł ktoś nowy i że mógł mu osobiście zaprezentować swoje nowatorskie dzieło. Ale zachwyt jakiego się spodziewał nie nastąpił. Nowa jednoosobowa widownia rozglądała się z większym zainteresowaniem po stole. Ale Dawid uważał, że to świetnie, bo oznaczało, że jego arcydzieło trafiło do najprostszych instynktów tego chłopaka, takich jak uczucie głodu i popędu płciowego. Tadek sięgnął po półmisek, na którym znajdowały się jeszcze trzy plasterki szynki. Na inny odłożył sałatę, której nie znosił. Specjalnie ominął talerzyki stojące na brzegu stołu. Były takie maluśkie, że chyba czekały na filiżanki z kawą, a nie na to, że ktoś będzie z nich jadł - pomyślał. Dokładnie, systematycznie obchodząc ogromny stół nałożył sobie na półmisek wszystkiego po trochu, oczywiście tylko wędliny. Nie był królikiem i zieleniny nie jadł. Nie przejmował się tym, że Dawid go bacznie obserwuje opierając się przy tym o czarnożółte malowidło. Tadek zdawał sobie sprawę, że stanął tak specjalnie. Dokładnie nad głową miał ogromnego zielono-fioletowego faceta bez spodni.

Gdy skończył, podniósł w końcu głowę i spojrzał na obserwującego go gospodarza.

- Nie ma keczupu? - spytał zdziwiony.

Dawid był zachwycony wyrafinowanym dowcipem swojego nowego gościa. Roześmiał się szczerze i pokiwał przecząco głową. Tadek wzruszył ramionami, zupełnie nie rozumiejąc z czego się tamten śmieje i wyszedł z pornograficznej komnaty.

W salonie nic się w zasadzie nie zmieniło. Monika siedziała na kanapie z doktorową, a aktor spokojnie spał na schodach.

Podszedłszy do kanapy przysunął sobie nowoczesny fotel do małego antycznego stolika. Odgarnął łokciem brudne talerzyki, postawił sobie swój półmisek i nie patrząc na nikogo, zaczął spokojnie jeść. Doktorowa spostrzegłszy półmisek aż czubaty od jedzenia na chwilę zaniemówiła i prawie przez sekundę wpatrywała się z otwartymi ustami. Nie słysząc jej trajkotu podniósł głowę. Z ustami pełnymi szynki z majonezem piychnął:

- Jak chcesz popatrzeć na jeszcze większego niż ja to idź obok.

Monika roześmiała się. Mika oburzona wzruszyła ramionami. Tadek ponownie nachylił się nad talerzem, ale nagle zaczął dokładnie wsłuchiwać się w trajkotanie tamtej. Akurat opowiadała o czymś, co go zainteresowało.

Zorientował się, że osobą, którą dokładnie z taką namiętnością obgadywała jest jego ostatnia kochanka. Opowiadała, o nowych, bajecznych brylantach, które tamta kupowała w Amsterdamie. Ale to się wkrótce skończy, bo on zupełnie oficjalnie ma nową, młodą dziewczynę i ona jest w ciąży. On podobno chce zostawić swoją żonę. I to całkiem ogołoconą. A ta jakby o tym nie wiedziała, puszcza się nadal. Teraz już cała Warszawa mówi o tym, że jeździ po melinach i wyciąga młodych chłopaków. Jest taka głupia, że zawozi ich do siebie na "Wawel". Tadek słuchał tej paplaniny z zaciekawieniem. Już wiedział co zrobi. Posłuży się tym brzydactwem, żeby dotrzeć do swej bogatej znajomej.

Rozdział 23

Blumsztein działał bardzo szybko i precyzyjnie w chwilach zagrożenia. Jeszcze tego samego dnia po telefonie z Sopotu, przystąpił do działania.

W skrajnych przypadkach korzystał z usług swojego dawnego przyjaciela. Kiedyś też współpracowali, tyle że role były dokładnie na odwrót.

Jego przyjaciel Wojciech Karczewski był profesjonalistą w swojej dziedzinie. Do dziś wszyscy barmani w najlepszych barach nie odzywali się do niego inaczej jak "panie pułkowniku".

Pułkownik miał najlepszą w Polsce agencję dedektywistyczną i ochroniarską.

Marian spotkał się z nim na mieście. Zrelacjonował tyle, ile było trzeba. Karczewski nie zadawał żadnych pytań.

Po dwóch, godzinach Marian miał pełen raport na temat skradzionego w Sopocie BMW. Nie mógł wprost uwierzyć w to, że ci durnie zostawili taką forszę w bagażniku.

Po raz trzeci czytając raport zastanowiła go postać chłopaka, który uciekł Cyganowi ze stacji benzynowej. Sposób postępowania i fakt, że rozliczył się z "Pingwinem", za sprzedane BMW, świadczył o tym, że pieniądze miał właśnie on. Marianowi, jakoś dziwnie znajoma wydawała się ta postać.

Ponownie skontaktował się z pułkownikiem, zlecił dokładniejsze przepytanie Cygana z wybrzeża. Po otrzymaniu interesujących go informacji wszystko zaczęło mu się układać w spójną całość. Aż nie mógł uwierzyć w swoje podejrzenia. W końcu mimo sporego ryzyka przekazał do konfrontacji fotografie swo-

jego pasierba i jego przyjaciela, zrobione przy okazji wystawiania paszportów. Nie mylił się.

To jego pasierb był tą osobą, która zniknęła wraz z brezentową torbą nafaszerowaną dolarami.

Marian siedział przy biurku i wpatrywał się w kartkę z faxu, na której czarno na białym było napisane, że został zrobiony w wała we własnym domu.

Całą noc chodził jak lew po bibliotece i zastanawiał się nad tym jak to się mogło stać. Był przekonany, że nie popełnił żadnego błędu.

A jednak! Jakiś trybik maszyny puścił.

Usiłował przypomnieć sobie wszystkie, pozornie nie związane ze sobą fakty. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jeżeli to jest prawda, to kilka osób będzie miało spore kłopoty.

Zapalał trzydziestego już Camela i zastanawiał się jaki związek może z tym mieć Agata.

Ze wszystkich faktów wynikało, że żadnego.

Nagle jego wzrok padł na leżącą na biurku powiększoną do faxu fotografię tego drugiego, któremu wystawił paszport.

- Kurwa mać!! - zaklął głośno. Aż się chwycił za głowę. Zacisnął pięści. Jednym machnięciem ramion zrzucił wszystko z biurka. - Ty mały skurwysynie! Ja cię wykończę - krzyknął. Schylił się i podniósł z podłogi kryształową zapalniczkę. Cisnął nią z całej siły o ścianę.

Ostry dźwięk rozpryskującego się szkła oprzytomnił Mariana.

Cieężko opadł na fotel. Jego wzrok zatrzymał się na leżącej na podłodze fotografii przystojnego młodego bruneta. Wprawdzie odbitka nie była najlepsza ale wyraźnie miał przed oczami jego uśmiechniętą twarz i porozumiewawcze spojrzenie z Agatą w barowych lustrach "Stodoły". - Jak ja mogłem to przeoczyć?! - zastanawiał się. - No tak - myślał z wściekłością - trójka gówniarzy wyrokowała starego wyjadacza! - Nie to nie jest możliwe, rozważał, już trochę spokojniejszy. -

Przecież ona nie mogła wiedzieć po co jedzie do Szwajcarii! Nie, gdzieś tu w tym wszystkim musi być jakiś przypadek. Wtedy oni się nie znali. Po moim specjalnym, spreparowanym drinku wyśpiewała wszystko. - Zastanawiał się.

Mimo pory bladego świtu Blumsztein wykonał jeszcze jeden telefon. Nie minęło 15 minut i zarówno mieszkania Agaty, Łukasza jak i duża posiadłość matki Jacka były pod ścisłą obserwacją. Marian polecił również nagrywanie wszystkich rozmów telefonicznych w tych domach. Oczywiście z dokładnym podaniem numerów telefonów i nazwisk rozmówców. To zlecenie wydał sam. Nie potrzebował żadnych zezwoleń czy tych wszystkich bzdur, o których mówiono w telewizji. Miał swoich dobrze opłacanych ludzi na wszystkich centralach telefonicznych.

Rozdział 24

Od samego początku wyjazd do Berlina zapowiadał się nit najlepiej.

Angelika spóźniła się na lotnisko. Naburmuszony pilot co piętnaście minut musiał czekać na potwierdzenie korytarza powietrznego z wieży kontrolnej. W Berlinie, już pod samym hotelem, Anna musiała schować pod futro trzy spore aparaty fotograficzne. Fotoreporter chciał wparować do Kempnińskiego obwieszony aparatami. Pewnie myślał, że tak jak w Polsce, czym więcej aparatów na szyi, tym poważniej wygląda. Anna zastanawiała się nawet czy Mamejko wyjaśnił mu po co tu przyjechali.

Adwokat wyjaśnił jej szeptem w windzie, że to najlepszy fachowiec. Nawet niewinną sytuację damsko-męską potrafi sfotografować tak, że wychodzi istne porno. Annie ten facet wyjątkowo się nie podobał. Uważała, że jest zarozumiałym farmazonem, ale Mamejko twierdził, że zna się na robocie, więc postanowiła na razie się nie wtrącać.

W hotelowym pokoju, Mamejko jeszcze raz usiłował wyper-swadować jej udział w całej tej historii Angeliki. Twierdził, że dla sądu fakt wciągnięcia przez matkę małoletniej córki, może być bardzo niekorzystny, ale kazała mu się zamknąć. Sama ułożyła plan działania i miała zamiar przeprowadzić go od początku do końca.

Koszty się nie liczyły.

Na sam początek wchodził do akcji sam mecenas. Od 11 wieczorem zaczął wydzwaniać do pokoju jej męża i udając pijanego, łamaną niemiecką dopytywał się o Hansa Mitche.

Dzwonił tak cztery razy. W końcu Jurek zrobił to, co sobie Anna zaplanowała. Kazał na centrali wyłączyć telefon.

Dopiero teraz Anna wyjaśniła córce o co chodzi i co ma zrobić.

Reakcja Angeliki była taka, jakiej się spodziewała. Wzruszyła ramionami, postukała się wymownie w czoło i miała pretensje o to, że tak późno pójdzie do dyskoteki.

Anna chciała przekupić pokojówkę, żeby otworzyła drzwi, ale tym razem Mamejko miał rację, mówiąc, że tym razem może się to skończyć fatalnie. Suma, jaką chciała zaproponować, była dla hotelowej pokojówki fortuną. Mogło to wzbudzić w niej podejrzenia, ale za mniej nikt by się nie zgodził.

Potrzebna był zaprzyjaźniona osoba w hotelu, a takiej nie mieli.

Pozostawała tylko jedna możliwość - zmusić pokojową, do użycia uniwersalnego klucza.

W tym momencie do akcji wkroczyła Angelika jako skromna, nie umalowana, ubrana w ciuchy za trzy tysiące marek, subtelna dziewczyna, szczerze zatroskana o chorego na serce ojca.

Grzecznie, ale zmartwiona, łamaną niemczyzną prosiła pokojową o sprawdzenie czy jej ojciec w pokoju 666 nie zasnął. Oczywiście pokazała swój paszport na to samo nazwisko. Dyżurna pokojowa nie bardzo miała ochotę na otwarcie drzwi i sprawdzanie. Angelice pokazały się łzy w oczach. Jednocześnie zerknęła na wiszący na ścianie grafik, ale nawet jeżeli zostały na nim zaznaczone dwie osoby w pokoju 666 to i tak nie potrafiła się w tym zorientować. Po kilku minutach pokojowa połączyła się z kimś przez wewnętrzny telefon i kłaniając się wyszła z pokoju.

Angelika usiadła. Nie minęła minuta, a do służbówki wślizgnęło się dwóch barczystych, młodych mężczyzn.

Angelika tylko spojrzała i wiedziała kim są. Nie pierwszy raz miała do czynienia z hotelową obstawą. W Polsce wiedziała, jak takie sprawy się załatwia i co ile kosztuje.

Anna obserwowała całą scenę przez uchyloną szparę w swoich drzwiach.

Widząc czmychającą pokojówkę i dwóch mężczyzn w garniturach zamiast niej, wiedziała, że to wpadka. Tego nie przewidziała. Może dlatego zaczęła działać chaotycznie.

Zamknęła drzwi. Chwyciła i podpaliła leżącą na stoliku gazetę. Rzuciła ją na szklany stolik i pobiegła do łazienki. Zmoczyła miejscami ręcznik i też podpaliła. Wiedziała, że czujnik pożarowy zaalarmuje strażaków o pożarze w jej pokoju w ciągu pięciu sekund. Miała rację. Nie minęło piętnaście sekund a ktoś zaczął delikatnie, ale stanowczo dobijać się do jej pokoju. Postanowiła chwilę poczekać. I wtedy stało się coś, czego nie przewidziała. Ze wszystkich czujników na suficie chlusnęła woda. Trwało to sekundę, ale wystarczyło. Płomienia nie było, pożaru też nie, a ona stała na środku pokoju cała mokra.

Drzwi otwarto uniwersalnym kluczem. Do pokoju weszło kilka osób: młody strażak w granatowym mundurze, dwóch pielęgniarzy z zestawem reanimacyjnym. Niestety ich troska trwała tylko kilka minut. Po chwili do pokoju weszło tych samych dwóch mężczyzn z obstawy hotelowej, których widziała wchodzących do służbówki, a za nimi najprawdziwsza w świecie policja.

Na policję Anna pojechała radiowozem w asyście policjantki, dwóch policjantów i adwokata Mamejko.

Po spisaniu protokołu Mamejko oświadczył, że ją zatrzymują. Anna nie mogła w to uwierzyć. Spytała wystraszona:

- Dlaczego?! Na jakiej podstawie?! To co usłyszała w odpowiedzi doprowadziło ją do histerycznego wręcz ataku śmiechu. Mamejko wyjaśnił, bowiem, że jest posądzona o terroryzm.

- Ja!! O terroryzm!! Czy tym szwabom kompletnie odbiło -zaczęła krzyczeć. Chciała wstać, ale policjantka brutalnie posadziła ją z powrotem. Odwróciła się w jej stronę i rozwścieczona wrzasnęła:

- Ty cholerna gestapówo! Co ty sobie myślisz!
- Niech pani natychmiast przestanie! - Mamejko, też poważnie przerażony, krzyknął na nią. Anna spojrzała na niego zdziwiona.
- Co pani sobie myśli - już nie krzyczał, ale mówił bardzo rozkazującym tonem. - Gdyby nie moja obecność już by panią skuli. Pani sobie nie zdaje sprawy w jakim jest pani paskudnym położeniu. Oni nie żartują z terrorystami.

Anna na te słowa rozejrzała się po pokoju. Otoczona była sporą grupą policjantów. Tylko trzech było w mundurze, reszta w koszulach, z kaburami pod pachą i w wybrzuszonych w tych miejscach marynarkach. Wszyscy mieli wspólną cechę. Wpatrywali się w nią złym, zawziętym wzrokiem.

- Ja chyba śnię! - powiedziała kiwając z niedowierzaniem głową. - Czy oni ocipieli! A panu kompletnie odbiło! - spojrzała wściekła na Mamejkę. - Niech im pan powie, że to nieprawda! Do kurwy nędzy! Na co pan czeka! Za co ci do cholery płacę!? - krzyczała.

- Pani nadal nic nie rozumie... - nie skończył.

- Już ci raz mówiłam, żebyś mi nie mówił, że nic nie rozumiem! - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Dobrze - powiedział spokojnie mecenas. - Rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Niestety szanowna pani, musi się pani zdecydować w jaki sposób wyjaśnić tu obecnej niemieckiej brygadzie antyterrorystycznej to, że pani podpaliła w pokoju hotelowym ręcznik, że podżegała pani do napadu na szanowanego niemieckiego obywatela własną małoletnią córkę.

Anna wpatrywała się w twarz adwokata i nic nie rozumiała. Nie powiedziała nic. Poczowała, że zaczyna się bać.

- No proszę! - Mamejko znowu mówił tym napastliwym tonem. - No proszę! - Niech pani to wyjaśni. Oni czekają. Ja wszystko skrupulatnie przetłumaczę.

Anna nie odezwała się. Patrzyła na policjanta naprzeciwko i pomyślała, że to też mogłoby się nadawać na video.

- Szanowna pani - usłyszała ponownie napastliwy ton swojego adwokata - czy mam tym panom wyjaśnić jaki był cel pani postępowania? - spytał i szybko dodał: - Tylko zanim pani odpowie proszę wziąć pod uwagę fakt, że to jest policja specjalna, szczególnie szkolona na zamachy terrorystyczne i wątpię, żeby w takie coś uwierzyli, zwłaszcza, że chodzi o bardzo bogatego szanowanego niemieckiego obywatela.

- Co? - Anna dopiero teraz zrozumiała co do niej mecenas mówił.

- Jakiego obywatela niemieckiego? Co pan mówi?

- Przykro mi, że pani o tym nie wiedziała - stwierdził z sarkazmem. Po chwili spytał ponownie: - Czy mam im wyjaśnić przyczynę zachowania się pani, czy też nie?!

Anna czuła się skołowana. Zupełnie nie wiedziała co ma powiedzieć. Obecność niemieckiej policji wpływała fatalnie na nią.

Odpowiedziała:

- Nie! Proszę nie mówić po co przyjechaliśmy do Berlina. Adwokat na jej długotrwałe prośby skontaktował się jednak z Jurkiem.

Jurek Nader przyjechał do komisariatu o drugiej w nocy. Przez pierwsze piętnaście minut Anna darła się na niego i obsypywała najgorszymi wyzwiskami, a on siedział spokojnie i obserwował jej zachowanie z wyraźną pogardą. W końcu powiedział krótko:

- Rozwiedzimy się - i dodał - oczywiście na moich warunkach. Annę zatkało na chwilę. Po sekundzie oprzytomniała i postanowiła przejść do ataku.

- Ty chyba żartujesz?! To ty byłeś z dziwką w hotelu!!

- Masz na to dowód? - spytał z wyraźną kpina w głosie.

- Mam! - krzyknęła. - Jasne, że mam! Mam świadków!

- Tak! To może mi powiesz kogo? Może mi też wymyślisz na poczekaniu, co ci twoi świadkowie widzieli? Coo?!
- Ale Angelika... Nie skończyła, bo wpadł jej w słowo.
- No co Angelika! Co! Wciągnęłaś własne dziecko w to bagno! Ona jest ostatnią osobą, która stanie po twojej stronie!
- Był tak wściekły, że podniósł się z krzesła, tak jakby chciał ją uderzyć. W tym samym momencie stojący przy drzwiach niemiecki policjant zrobił krok w jego stronę. Jurek widząc to usiadł z powrotem, wykonując przeproszający gest. Policjant skinął głową i ponownie stanął na baczność przy zakratowanych drzwiach.
- Jeśli chodzi o naszą córkę - mówił już bardzo spokojny - to będzie mieszkała ze mną w mojej posiadłości i...
- Jakiej twojej?! Jakiej twojej?! - przerwała mu - Wawel jest nasz wspólny!
- I tu się mylisz. Od jutra będzie własnością spółki...
- Ty chyba na głowę upadłeś!! Beze mnie nie możesz tego zrobić, a ja się nigdy na to nie zgodzę! Nigdy! - Przy ostatnim słowie z całej siły rąbnęła pięścią w stół.
- Nie ośmieszaj się. Sama dobrze wiesz, że w sądzie można załatwić wszystko. Tylko zależy za ile.
- Jak wrócę to wszystko odkręcę - wycedziła - też za forszę!!
- Roześmiał się. - Taaak? - spojrział na nią spode łba i dodał:
- A jak myślisz kiedy wrócisz, bo to może trochę potrwać. Mówiąc to ostentacyjnie rozejrzał się po zakratowanym pokoju i dodał:
- Zamach terrorystyczny w Niemczech to nie przelewki. Zanim wszystko sprawdzą...
- Ty skurwielu! Nie wygrasz ze mną! - Krzyknęła, ale czuła, że może być inaczej.
- Wcale nie muszę. - Jego głos miał barwę pogardy. - Już jesteś przegrana. Nic nie masz. Oczywiście nie licząc dużych kłopotów.

- Mam, mam, kochasiu! Mam twoje dwie lewe spółki na przemyt wody i papierosów! Największa posiadłość w Warszawie, cztery Mercedesy i dwa lewe konta w bankach do prania brudnych pieniędzy. - Zmrużyła oczy i wysyczała: - i taką masę informacji, że razem z tobą pójdzie siedzieć połowa wiadomego nam ministerstwa... - Przyglądała mu się spode łba pewna swej przewagi. - Z kim ty idiotko chcesz się zmierzyć! - jego głos nabrał niebezpiecznej barwy zdecydowanej przewagi. - To ja tu dyktuję warunki. Skończyło się nawet twoje puszczenie się. Jesteś skończona. Skończona! Rozumiesz? Będiesz tu siedziała jak długo ja będę tego chciał! Żaden niemiecki adwokat nie weźmie twojej sprawy. Zresztą każdy, którego będziesz próbowała wynająć dostanie ode mnie dwa razy tyle ile ty mu obiecasz! Postaram się o to, żeby cała prasa roztrąbiła o twoim wyczynie. Nikt ci nie pomoże! Nikt! Rozumiesz? - pochylił się i spytał jadowicie: - Rozumiesz?! - Nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami. - No widzę, że zaczynasz rozumieć, więc przejdziemy do najważniejszego. Do Polski wrócisz dopiero po naszym rozwodzie. A w naszym... - poprawił się - w moim domu będę mieszkał z moją nową żoną. I zaręczam ci, że nie będzie już nigdy u mnie w domu ani jednego patentowego zamka!

Anna patrzyła na swojego męża wielkimi zdziwionymi oczami, ale on nie zwracał na nią uwagi i ciągnął dalej - ale żebyś nie myślała, że jestem bez serca, to kupię ci mieszkanie. Jeszcze się zastanowię, czy we Wrocławiu czy w Bydgoszczy - roześmiał się zjadliwie i dodał - a może w Lublinie.

Anna postanowiła przejść do ataku. Nie miała zamiaru bez walki oddać wszystkiego, Czuła, że wściekłość ją rozsadza. Gdyby mogła, zabiłaby go gołymi rękami. Zaczęła krzyczeć:

- Ta twoja dziwka! Ta, ta., ta kurewka! - postanowiła dopiec mu z tej strony. - Ożenisz się z następną kurwą!! Jesteś taki głupi, że nawet tego nie potrafisz rozróżnić. Widziałam ją! Jakaś

tam prowincjonalna miss. Tylko z takimi potrafisz! Tylko takie na ciebie lecą. - Wyrzuciła z siebie potok słów, a ze zdenerwowania zaczęła się nawet jąkać. - Tylko takie na ciebie lecą! A wiesz dlaczego? Na pewno nie wiesz! Za głupi jesteś na to! Ale ja ci powiem! - przez chwilę patrzyła na niego nienawistnym wzrokiem. I wycedziła - na takiego łysego, pocącego się buraka jak ty polecisz dla forsy tylko małolata! Na inne cię nie stać! Bo żadna kobieta z klasą nawet nie spojrzy na ciebie! - miała zamiar jeszcze bardziej go obrazić, ale w tym momencie roześmiała się. Dawno nie słyszała, żeby śmiał się tak głośno i szczerze. Zaskoczył ją swoją reakcją. Wiedziała, że dopiekła mu do żywego. Znała jego najtajniejsze sekrety i kompleksy.

- To, ty nic nie wiesz! - śmiał się patrząc na nią - myślałem, że jesteś czujniejsza! - śmiech go aż rozpierał na krześle.

- Czego nie wiem! Wszystko wiem! Wiem, że ożenisz się z tą kurewką, która przyprawi ci jeszcze większe rogi niż ja! Nawet zimą będziesz musiał jeździć kabrioletem bo nie wsiądziesz do innego samochodu! Nie zmieścisz się z takimi rogami!

- O Boże jaka ty jesteś głupia! - nadal się śmiał, ale jego głos stał się stanowczy. - Jak byś była choć w połowie taka inteligentna, jak myślisz, że jesteś, to byś nie dała się tak podpuścić.

Anna patrzyła na swojego męża i nie rozumiała o czym on mówi.

- Nadal nie rozumiesz?! - przestał się śmiać - ja byłem sam w tym pokoju.

- Co ty gadasz! Przecież widziałam...

- Nic nie widziałas! - krzyknął - miałaś tak myśleć. Dałaś się podprowadzić. - Zawiesił głos na chwilę i dodał lodowato - bo ja tak chciałem! Rozumiesz?!

- To niemożliwe! Przecież... ale głos zamarł jej w gardle.

- Możliwe! Możliwe - kiwał głową z miną absolutnej przewagi.

- Przecież miałam wiadomość z pewnego źródła... - powiedziała powoli, jednocześnie intensywnie myślała o tym jak to było.

- Taaak! Tu masz rację. Źródło było najpewniejsze jakie można sobie wyobrazić. - Anna usłyszała w jego głosie niebezpieczną nutę. Bawił się nią i sytuacją. Powoli zaczynała kojarzyć wszystkie kolejne fakty w jedną całość. Spojrzała na Jurka i pomyślała, że to nie może być prawdą. Nagle dotarło do niej jak podle została zdradzona!

Doprowadzona do granic wściekłości krzyknęła:

- Ile zapłaciłeś tej dziwce z TV, że do mnie zadzwoniła! No ile!?

- Po pierwsze, to nie dziwce - odpowiedział spokojnie - ona nie jest dziwką. W przeciwieństwie do ciebie! Jak raczyłaś zauważyć, to jest kobieta z klasą. A po drugie to nic nie zapłaciłem, bo nie musiałem. Takie kobiety jak ona...

- Co! Może mi powiesz, że nie interesują się forszą! Ty głupi cwaniaku, co jej obiecałeś. Że kupisz jej większe mieszkanie od tej nory w której mieszka?! Nie ma co! Sporo cię jednak telefon kosztował! - Prychnęła z sarkazmem.

- Nie będę kupował żadnego mieszkania. Małgorzata Stawska już nie będzie potrzebowała żadnego mieszkania.

Anna zdumiona wpatrywała się w swojego triumfującego męża. Nie mogła a co więcej, nie chciała uwierzyć w to co przyszło jej do głowy. Nie odezwała się.

- Ooo! Widzę, że zaczynasz rozumieć. - powiedział, przyglądając się z wyraźną satysfakcją reakcji Anny. Po chwili dodał:

- No, moja droga straciłaś ostatnio swój instynkt samozachowawczy.

- A to dziwka!! - Wykrztusiła i poczuła, że cała krew odpływa jej do nóg.

- Oj, jaka ty jesteś wulgarna. Już raz ci powiedziałem, żebyś tak nie mówiła. - Zamyślił się na chwilę i dodał - nie mam najmniejszego zamiaru tłumaczyć ci twojej własnej głupoty. Ale Małgosia jest wspaniała i wyrozumiała nawet dla ciebie. Wymogła na mnie, żebym ci pozwolił zabrać z domu to co jest twoje. Ja wprawdzie uważam, że nic nie jest twoje, ale zgodzi-

lem się. Zresztą uważam, że Małgosia ma gust lepszy od twojego i urządzi ten dom dużo gustowniej.

Anna była blada jak ściana. Jurek przez chwilę przyglądał się jej przerażonej bladej twarzy i nie ukrywając satysfakcji dodał:

- Ja z moją pozycją, jednego z najbogatszych ludzi w Polsce potrzebuję kobiety z klasą.

Anna pomyślała, że zaraz zemdleje.

Jurek powoli wstał, już idąc w stronę zakratowanych drzwi zatrzymał się jeszcze i pogardliwym tonem dodał.

- Aha, od czasu do czasu, odwiedzi cię mój adwokat. Grzecznie popiszesz wszystko co ci przywiezie, bo inaczej posiedzisz tu w Berlinie dłużej. Zawsze w ministerstwie lub konsulacie mogą zginać dokumenty.

Odwrócił się i skierował w stronę wyjścia. Policjant wyprężył się jak struna.

Anna patrzyła na niego przerażona. Wiedziała, że już jak coś postanowi, to wszystko skrupulatnie doprowadzi do końca. Znała kilka osób w Polsce, które jej mąż doprowadził do ruiny. Zawsze jak sobie postanowił to osiągnął sukces.

Nawet teraz, na policję przyjechał tak ubrany, żeby zrobić wrażenie. Miał na sobie bardzo elegancki, dwurzędowy, w kolorze ciemnego grafitu, garnitur od Valentino, krawat i koszulę Windsor. Na nogach buty Lloyd - warte mniej więcej tyle, ile wynosiła pensja stojącego w drzwiach policjanta.

Była gotowa się założyć, że swoje czarne Ferrari zaparkował na wprost wejścia do komisariatu. W Niemczech każdy reagował na widok tego auta jednakowo. Tu każdy, nawet mały chłopak wiedział, że jest to wóz za dwa miliony marek. Pochodził z nieseryjnej produkcji i dlatego miał taką wartość. Tych samochodów po świecie jeździ tylko tysiąc egzemplarzy.

Anna pomyślała, że przed takim samochodem nawet naczelnik policji się ukloni.

Ona bardzo dobrze wiedziała, jakim sposobem jej mąż stał się właścicielem tego cacka. - Ale jakie to w tej chwili ma znaczenie - pomyślała.

Ze stanu apatycznego zamyślenia, wyrwał ją głos jej męża.

Usłyszała:

- Aha, zostawiłem ci w depozycie tysiąc marek, żebyś miała na papierosy. Nie chcę cię martwić, ale w tym miejscu alkoholu nie dostaniesz. Policjant otworzył przed nim drzwi i tyle go widziała. W berlińskiej areszcie siedziała równo miesiąc. Trzy razy odwiedził ją mecenas Mamejko. Trzecia wizyta miała miejsce na dwa dni przed jej planowanym wyjściem. Podpisała wszystko co jej podsunął. W ten prosty sposób pozbyła się Mercedesów, swojego ukochanego Jaguara, spółki, kont i dziesięciu hektarów ziemi, na której stał jej Wawel.

Ceną była wolność. Zgodnie z obietnicą sprawa została umorzona. Rachunek za pobyt w areszcie, za pobyt w hotelu Kempiański, za wizytę miejskiej straży pożarnej, za podpalony ręcznik wyniósł w sumie 8.000 marek.

Całość uregulował mecenas.

W zamian za to wszystko co podpisała, na odchodnym dostała szarą kopertę.

W jej wnętrzu znalazła bilet kolejowy pierwszej klasy Berlin - Poznań i drugi Poznań - Lublin z datą opuszczenia aresztu berlińskiego, dwa patentowe nowe klucze na zwykłym kółku, z przyczepioną kartką, na której zapisany był adres: Osiedle Zwycięstwa 16 mieszkanie 78 i dziesięć banknotów jednomiliono-wych. To wszystko.

Jadąc pociągiem miała pustkę w głowie. Nie mogła i nie chciała rozmyślać nad tym wszystkim co się stało. I udawało jej się to. Była na tyle silna, że potrafiła nad tym zapanować. Instynktownie bowiem wiedziała, że jeśli zacznie myśleć, to zwariuje. Gdy tylko nachodziły ją te myśli zawsze powtarzała

sobie słowa, które kiedyś usłyszała w jakimś kabarecie "Życie jest jak gówno na kole. Raz na górze raz na dole". To jej pomagało. Jednak odzyskana wolność nie dawała jej już takiej siły. Pięć godzin stała na korytarzu. Prawie zasypiała na stojąco ale w przedziale był taki smród, że nie mogła wysiedzieć. Na dworcu w Lublinie wsiadła w taksówkę i kazała się zawieźć pod adres z kartki. Wjechała na szóste piętro. Spokojnie otworzyła. Widać było, że zamki są dopiero wstawione. Na końcu korytarza uchyliły się drzwi i starszy pan w brudnym jak cały korytarz podkoszulku wychylił ostrożnie głowę. Spojrzała na niego złym wzrokiem. Wcale się nie cofnął. Z wyraźnym zainteresowaniem przyglądał jej się pijackimi kaprawymi oczkami. Weszła. Zapaliła najpierw wszystkie światła. Mieszkanie było trzypokojowe, nie większe niż jej sypialnia. Na środku największego pokoju stały jej meble. I stara zielona wersalka z garażu. Zacisnęła pięści. Poszła do kuchni. Lodówka była pusta. W zamrażarce w folii leżał tylko zamrożony bochenek chleba i litrowa butelka Wyborowej. Nalała sobie pół szklanki. Wódka była mocno schłodzona, aż oleista. Pod wpływem zetknięcia dłoni z zamrożoną, oszronioną butelką jakby obudziła się z koszmarne snu. Wypiła małymi łykami zawartość szklanki. Potrząsnęła mocno głową. Chciała się obudzić. Rozejrzała się po kuchni i natychmiast zamknęła oczy. Pomyślała z przerażeniem, że to nie może być prawda. To jest niemożliwe, żeby ją to spotkało! Chciała krzyczeć. Otworzyła oczy i obesła mieszkanie. Reszta pomieszczeń była pusta, Czuła jak alkohol robi z niej watę. Rozejrzała się. Nie było żadnego lustra. Odsunęła karton i ciężko opadła na wersalkę. Jej wzrok zatrzymał się na sekretarzyku. Za małą szufladką po prawej stronie wetknięta była koperta. Wiedziała, że jest to wiadomość dla niej, ale nie była pewna czy chce dowiedzieć się co, tam jest. Patrzyła na kopertę dobrych parę minut. W końcu wstała, zsunęła buty i podeszła do sekretarzyka. ale rozmyśliła

się. Poszła do kuchni i nalała ponownie taką sarną ilość alkoholu. Wróciła do pokoju. Po drodze wypła alkohol. Wzięła kopertę i nie bez obaw, ale przygotowana na kolejny cios - rozerwała. Zanim to zrobiła domyśliła się co jest w środku. Koperta była sztywna, a więc mogły tam być tylko zdjęcia. Nie myliła się. Było jedno zdjęcie, ale za to jakie!

Z fotografii uśmiechała się do niej Małgośka, obok niej rozpromieniony jej były mąż. Jak przez mgłę Anna zauważyła, że stali przed pałacem ślubów, na zdjęciu była cała śmietanka finansowa i telewizyjna Warszawy. W tłumie gości, na pierwszym planie dostrzegła Mikę i swojego kochanka Tadeusza. Stali razem w czułym uścisku, ale było jej to obojętne.

Odruchowo odwróciła fotografię. Spodziewała się złości ze strony Jerzego i Małgośki, ale tym razem pomyliła się. Owszem był napis, ale zgoła inny. Przeczytała "Masz w kółku osobę, która jest przyczyną twojego nieszczęścia. To ona wysłała ci kasetę". Anna ponownie spojrzała na fotografię. Bez trudu znalazła twarz w kółku. Była to uśmiechnięta twarz Wandy...

Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Wypuściła z ręki zdjęcie i kopertę. Spojrzała pod nogi. Z koperty wysypały się banknoty studolarowe. Było ich dziesięć. Anna usiadła na podłodze zdumiona i wpatrywała się w zielone papierki. Wzięła do ręki jeden i dostała histerycznego ataku śmiechu. Nie mogła się wprost opanować. W pewnej chwili zdziwiona usłyszała, że krzyczy, krzyczy na cały głos, a łzy złości same lecą jej po twarzy. Cała się trzęsła. Żeby się opanować powiedziała na głos: - a pomyśleć, że jeszcze niedawno, jadąc na wakacje na Hawaje zabierałam na drobne wydatki sto tysięcy dolarów. A teraz ten chuj daje mi 1000. Ooo nie! Tak to się nie skończy. Nie daruję! Nie daruję! Nieeee! - krzyczała miotając się po podłodze. Dowlokła się do fotela i jednym ruchem zrzuciła kartony, zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Rozdział 25

Małgorzata w życiu nie przypuszczała, że jej plan powiedzie się tak doskonale i tak szybko. W najśmielszych oczekiwaniach przewidywała, że będzie to trwało przynajmniej pół roku.

Wprawdzie sukcesu była pewna, ale nie aż takiego. Bardzo chętnie przyznawała się sama przed sobą, że jest genialna. Po obejrzeniu kasety męża Naderowej z modelką, wiedziała, że jest to szansa dla niej. Druga tak szybko się nie zdarzy. Trzeba ją wykorzystać.

Postanowiła użyć swoich wszystkich wpływów i umiejętności.

Początkowo jej celem było to, co sobie postanowiła po obrzydliwej przygodzie z dwoma pijaczkami pod domem, czyli wyprowadzić się stamtąd! Jednak w miarę rozwoju sytuacji, pojawiła się szansa na coś dużo większego! Już oglądając kasetę domyśliła się czyja ręka prowadziła kamerę. Nie na darmo tyle lat jeździła po wszystkich pipidówkach na byle jakie koncerty. Poznała przez to wszystkie ekipy techniczne we wszystkich ośrodkach kraju, dlatego już po kilku ujęciach rozpoznała kto nakręcił tę donosicielską kasetę.

Bardzo szybko dotarła do operatora. Za obietnicę wpisywania go na listę płac konsultanta każdego programu dowiedziała się na czyje zlecenie za czyją forszę poboczył się w hotelu "Gdynia" przez parę dni. Nieźle się uśmiali z głupoty ludzi, którzy babrali się w takich sprawach.

Taki drobiazg można było zrobić za połowę tej ceny. I wcale nie było trzeba żeby pan operator mieszkał, pił i jadł w hotelowej restauracji aż trzy dni. No, ale głupich nie sieją. Sami się rodzą.

Małgoście udało się namówić operatora do sporządzenia następnej kopii. Dalej plan był prosty. Podzieliła go sobie na dwa etapy. Pierwszy etap polegał na zjednaniu sobie Jurka, pozyskaniu jego zaufania, a w konsekwencji dostania się dzięki temu w wyższe sfery biznesu "w górną strefę stanów wysokich". Wiedziała, że i tak mu zaimponuje. Lecz ci ludzie byli bardzo czujni, gdy chodziło o wprowadzenie nowej osoby.

Drugim etapem miało być owinięcie sobie Nadera wokół palca. W życiu nie przypuszczała, że uda jej się to zrobić tak szybko i tak łatwo i że uda się usunąć wszystkie przeszkody stojące na drodze do prawdziwego królestwa.

Najpierw postarała się o prowadzenie w hotelu Marriott programu promocyjnego jednej z firm amerykańskich. Jej właścicielką była znana kiedyś w Polsce dyskotekowa piosenkarka. Promocja dotyczyła wprowadzenia na rynek amerykańskiego wina. W imprezie tej miała wziąć udział modelka Violetta Bednarek - panienska Nadera. Logiczne było, że będzie obecny.

Pożyczyła sobie bardzo elegancki brązowy skórzany kostium od swojej najbliższej przyjaciółki Joli Malowej, której ostatnio bardzo dobrze się powiodło. Załapała się na bardzo bogatego biznesmena z Niemiec. Jola już od dawna nie pracowała w telewizji, ale utrzymywały ze sobą przyjacielskie stosunki. Niestety w buty do tego kompletu nie mogła się wbić. Jola nosiła 38 a ona 40.

Rozpuściła swoje piękne włosy. Zrobiła bardzo staranny makijaż. Włożyła kasetę magnetowidową do torebki i pojechała podjąć wyzwanie.

Impreza już od pierwszej chwili była fatalna. Kelnerzy jak zawsze rozglądali się po gościach, szukając dodatkowego zarobku. Firma wprowadzająca wino zachowywała się iście po amerykańsku: pretensjonalnie, wykazując absolutną ignorancję w stosunku do specyfiki i inności polskiego rynku. Szefowa firmy, przebywała za długo za granicą gdyż uważała, że tu się trzeba

zachowywać tak samo jak w Ameryce, a skutek na tym wygłodniałym rynku też będzie amerykański. Zaprosiła wszystkie znane i liczące się osoby z polskiego establishmentu, ale nawet wśród tych tak mało krytycznych osób wobec dużych pieniędzy wzbudzała niesmak.

Właścicielka, Grażyna Montaigne była hałaśliwa. Wszystkim, którzy mogli jej się na coś przydać wchodziła bez wazeliny w tyłek. A tu jednak trzeba trochę delikatniej, bo nie każdy w Polsce uśmiecha się i jest miły tylko wtedy gdy czegoś chce. Nie każdy też reprezentuje poziom uczuć i wrażliwość na poziomie operetkowym. A owa Amerykanka dokładnie tak wszystkich traktowała na przyjęciu. Wszystko na nim było groteskowe i w nadmiarze agresywne. Jednym słowem piorunująca mieszanka polskiego cwaniactwa i amerykańskiej drapieżności. Jak tylko zobaczyła wchodzącą Stawską, to rzuciła się w jej kierunku ciągnąc za rękę kamerzystę, żeby sfilmował wylewne przywitanie właścicielki firmy z gwiazdą polskiej telewizji.

Rzucając się na zaskoczoną i całując ją w oba policzki przez ramię jednocześnie rzucała profesjonalne uwagi na temat ujęć kamerą.

Małgosia poczuła się zamiast zaszczycona trochę zażenowana, ale natychmiast postarała się o to, żeby nie było tego po niej widać. W końcu bądź co bądź witała się z kasą.

Już po pół godzinie imprezy łapała porozumiewawcze spojrzenia znajomych i nieznajomych osób mocno zażenowanych tym co działo się na małej scenie.

Polskie modelki wyginały się we wszystkie strony z kieliszkami wina co miało znaczyć, że im to wino bardzo smakuje. Po chwili odbył się zaimprovizowany wywiad z osobami z widowni na temat ich opinii o winie. Wszyscy gadali jakieś górnolotne banialuki, starając się na tyle zdobyć przychylną amerykańską szefową, żeby wyjść przynajmniej z butelką wina. Stawska będąc poza zasięgiem oślepiających reflektorów bacznie obser-

wowała gdzie znajduje się Nader. W końcu tak wymanewrowała, przy okazji umykając przed drapieżną Polko-Amerykanką, że znalazła się obok niego.

Nie zauważył nawet tego. Nie odrywał oczu od swojej modelki, ubranej w bajeczny złoty kostium kąpielowy.

Jego dziewczyna wyglądała zdecydowanie najlepiej. Wyraźnie odróżniała się od reszty modelek. Widać było, że jest bardzo pewna siebie, zachowywała się kokieteryjnie, ale dokładnie na tyle, na ile wymagało tego zlecenie. Każdy, komu by przyszła na nią chęćka wiedział, że ta pewność siebie wcale nie bierze się ze świadomości urody. Taka pewność siebie cechuje się zawsze drapieżnością. Jej pewność siebie była spokojna i wręcz radosna. Ona już nie potrzebowała polować. Jej zwierzyzna czaiła się w mroku widowni. Małgośka stojąc w cieniu przez chwilę przyglądała się pełnej zachwyty twarzy Jerzego Nadera.

I w tym momencie przypomniało się jej doskonale powiedzenie, że mężczyzna tak długo goni kobietę, aż ona go nie złapie.

Niedaleko podium siedział Grześ, kolega ze studia. Gdy dostrzegł zmierzającą Małgorzatę, zapraszającym gestem przywołał ją do stolika. Małgośka tylko na to czekała. Akurat był jej w tym momencie potrzebny ktoś taki jak on. Przysiadła się. Posłała wszystkim obecnym przy stoliku promienny uśmiech i przechylając głowę wyszeptła do ucha słowa, na które tylko czekał:

- Napijesz się dziubasa?

- Maaasz! Pewnie! A co chcesz za to ode mnie?!

- Drobiazg.

- No mów. Za ten życiodajny płyn zrobię w tej chwili dla ciebie wszystko.

- Wiem - skinęła na kelnera. Nie zdążyła otworzyć ust, a dziennikarz rzucił:

- Setka z lodem i woda mineralna - nachylił się do niej i powiedział podnosząc do ust jej dłoń i składając na niej oślizgłe cmoknięcie.
- Ta baba jest jak skrzyżowanie ośmiornicy z jamochłonem - wskazał głową na Grażynę Montaigne. która akurat maltretowała młodą, początkującą, bardzo ładną aktoreczkę pytaniami o jej ulubiony alkohol, ciesząc się jak idiotka z odpowiedzi tamtej.
- Mieliśmy coś załatwić - wyszeptała dosyć ostro.
- Wiesz przecież, że lepiej się ze mną załatwia, jak wypiję jednego.
- Chyba trzeciego.
- Liczysz od początku tej godziny czy od piętnastu minut?
- No dobra - kelner przyniósł zamówiony alkohol. Małgośka usłyszała szept: Przesuń się i zasłoń mnie trochę. Odruchowo wykonała polecenie. Nie zdążyła jeszcze dobrze przesunąć się do przodu, gdy Grześ zapadając się głęboko w kanapę jednym ruchem przechylił szklankę. Teraz z zadowoloną miną chrupał głośno lód. - Dobra, a teraz mów. Tak jak powiedziałem, w tej chwili zrobię dla ciebie wszystko.
- Posłuchaj, dziewczyny zaraz skończą występ...
- Ty te wokalnie-seksualne wygiбы nazywasz występem? - przerwał jej w pół słowa.
- Nie przerywaj mi i słuchaj co mówię. Musiała zdążyć powiedzieć mu o co chodzi zanim zażąda drugiej setki. Jedna może wziąć na siebie załatwiając rachunek z Grażyną. - Pobajeruj tę dupencję w złotym kostiumie kąpielowym - Grześ z aprobatą uniósł brwi. - Idź do niej i powiedz, że ją wylansujesz. Zabierz ją zaraz do studia.
- Chwila, chwila, a jak nie będzie chciała?
- Czego nie będzie chciała, zgłupiałeś do końca?!

- Noo... pójść ze mną... - Małgośka wyczuła, że on wcale nie ma ochoty na realizację jej planu, ale ona musiała postawić na swoim. Impreza dobiegała końca.

- Rób co chcesz, ale ona musi zniknąć w ciągu pięciu minut i być zajęta przez dwie godziny. Za to zabiorę cię jutro do galerii na "Miraż".

- Przecież wiesz, że nasikałem im ostatnio w kieliszki i nie mogę tam iść.

- A ty wiesz, że ze mną możesz. A tam jest ocean alkoholu.

- No dobra. Tylko mi jeszcze powiedz co mam tej cipencji powiedzieć, żeby poszła ze mną i odstawiła tego tam - wykonał głową ruch w kierunku kąta, w którym cały czas stał Nader.

- O rany co się z tobą dzieje. Od kiedy ty nie wiesz jak się wrywa?

- Epidemia.

- Co?! - kącikiem oka spostrzegła, że towarzystwo zaczyna się snuć po barze.

- No mówię, że dopadła mnie epidemia.

- Jaka epidemia?!

- Nie staję mi - roześmiał się. Nie wiesz o tym, że w całej Warszawie panuje ta epidemia?

- Przestań się wygłupiać. Powiedz jej, że załatwisz jej wywiad w telewizji w programie reklamowym.

- A może w dzienniku telewizyjnym? - ponownie się roześmiał.

- Na występ w dzienniku telewizyjnym to by musiała poderżnąć ci gardło.

- No dobrze. Jesteśmy na jutro umówieni - powiedział głośno. Zauważyła, że dwaj pozostali przy stoliku mieli uszy skierowane w ich stronę, choć miny oczywiście ostentacyjnie znudzone. Wstała. Zaraz za nią wysunął się z kanapy Grześ i poszedł szybkim krokiem w kierunku sceny. Szybko spojrzała w kąt. Nader stał tam gdzie poprzednio. - No jak na razie jest tak jak

zaplanowałam - pomyślała i podeszła do grupki osób, w której środku stała zachwycona sobą właścicielka winnej firmy. Odczekała chwilę uśmiechając się. Kątem oka zauważyła, że kelner stoi w pobliżu i wyraźnie jej pilnuje. Wcale nie miała zamiaru zapłacić za wódkę. Nie mówiąc o tym, że przecież nie przyszła tu za darmo.

Grażyna Montaigne zauważyła, że Małgorzata czeka na nią.

Podeszła i chwyciła ją pod rękę. Zaszczębiotała:

- Bardzo, bardzo ci dziękuję, że zaszczębiłaś moją imprezę swoją osobą. Jestem ci niezmiernie wdzięczna. Gdybyś czegoś potrzebowała, to wpadnij do mnie do firmy. Jeszcze raz bardzo, bardzo ci dziękuję. Mam nadzieję, że bawiłaś się dobrze. - Cały czas trzymając Małgośkę pod ramię, prowadziła ją delikatnie w stronę wyjścia. - Ach kochanie bądź tak uprzejma i powiedz swoim przyjacielom od stolika, że wszystko co zamówili u kelnerów, płacą niestety sami. Och, zresztą przepraszam cię za ten nietakt. Oni na pewno o tym wiedzą. No to jeszcze raz ci bardzo dziękuję. Wybacz mi, ale muszę się udać za kulisy popłacić obsłudze hotelowej i modelkom. - Odwróciła się i poszła.

Kelner stał metr od Małgośki. Była wściekła, nawet nie potrafiła i nie chciała tego ukryć. Spytała ostro:

- Ile?!!

- Proszę mi pozwolić - usłyszała za sobą. Odwróciła się gwałtownie.

- Pani Małgosiu, nie pozwolę na to, żeby kobieta w moim towarzystwie płaciła - powiedział Jurek Nader, odwrócił się w stronę kelnera i uregulował należność. Małgosia skłoniła w podziękowaniu głowę i odezwała się modulowanym, jakby czytała serial filmowy, głosem:

- Amerykanie są jednak okropni. Strasznie żałuję, że dałam się namówić na prowadzenie tej imprezy. - Skinęła lekko głową w stronę sceny, na której modelki. Akurat z pożałowania godnym profesjonalizmem, aranżowały scenkę picia pysznego wina

na plaży i dodała: - pańska dziewczyna, panie Jurku, też nie wygląda na zachwyconą.

- Moja dziewczyna?! - udawał, że nie rozumie. Przypomniawszy sobie bowiem, że ostatnio parę razy od różnych osób usłyszał, że ona i jego żona bardzo się zaprzyjaźniły.

Małgośka przyjrzała mu się dokładnie. Musiała przyznać, że był szalenie elegancki. Czarny garnitur był bez wątpienia w najlepszym gatunku, tak jak klasyczna koszula w wąziutkie białe-błękitne paseczki z kołnierzykiem zapinanym na guziczki. Jaki miał krawat, jakiego gatunku i w jakich kolorach nie mogła dostrzec, ponieważ cofnął się o krok w cień, zupełnie tak jakby nie chciał, żeby ktoś dostrzegł, że ze sobą rozmawiają. Jej było to nawet na rękę.

- Panie Jurku, gospodyni imprezy organizuje dla zaprzyjaźnionych osób małe spotkanie po zakończeniu tej imprezy u Geslera. Prosiła mnie, żebym w jej imieniu pana zaprosiła. Mówiła prawie szeptem, nie patrząc w jego stronę. Oboje z pozornym zainteresowaniem, przyglądali się temu co działo się na oświetlonej scenie.

- Ale pani koleżanka mnie nie zna? - w jego głosie wyczuła stanowczość, a właściwie odmowę.

- Ale ja pana znam. Proszę to potraktować jako miłe spotkanie towarzyskie - lekko się uśmiechnęła. - Odwróciła głowę w jego stronę i dodała: - Proszę się nie obawiać. Prywatnie ona zachowuje się prawie normalnie - spostrzegła, że uśmiechnął się, więc dodała: - Zresztą to mi zależy, żeby pan pojechał ze mną. - Zawiesiła na chwilę głos i dodała: - Bardzo mi zależy. Mam do pana ważną sprawę. Myślę, że dobrze by było gdybyśmy mogli przez chwilę porozmawiać na osobności.

W odpowiedzi skinął głową.

Wyszli z hotelu i poszli na parking. Przechodząc przed rzędami zaparkowanych samochodów Małgorzata zastanawiała się jakim samochodem on jeździ. To co zobaczyła przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Gdy podchodzili, rozpierzchnęła się spora

gromadka dzieciarni myjącej szyby samochodowe pod hotelem. Jej oczom ukazała się maszyna jaką oglądać można było tylko w reportażach telewizyjnych ze światowych salonów samochodowych. Niesamowicie wyglądające, imponująco lśniące coś, co wyglądało jak samochód Batmana - czarne Ferrari. Nader zauważył jej zaskoczenie, gdyż ona wcale nie starała się tego ukryć. Wiedziała, że sprawi mu tym przyjemność. Oboje byli zadowoleni. On - bo wsiadał do Ferrari z ładną kobietą, którą rozpoznawała na ulicy cała Polska, ona - bo wsiadała do Ferrari - samochodu, za którym odwróci się cała Polska. Nawet nie poczuła kiedy ruszyli, ale po chwili aż wcisnęło ją w fotel. Znaleźli się obok autobusu miejskiego. Patrzyła przez szybę i zaskoczona oglądała przez chwilę podwozie autobusu.

- Przyzwyczaj się pani. - Od chwili wyjścia z Marriotta były to pierwsze słowa jakie padły z jego ust.

- Tak, ale wrażenie jest niesamowite - odpowiedziała, nie odwracając głowy w drugą stronę. Nie chciała żeby zauważył, jak bardzo jej się to podoba.

Pomyślała, że zrobi wszystko, dokładnie wszystko, żeby mieć szansę, przyzwyczać się. Przejazd z jednego końca Warszawy na drugi tej szansy nie daje.

- Muszę się panu do czegoś przyznać - starała się, żeby jej głos miał barwę lekkiego zażenowania. Akurat zatrzymali się na czerwonych światłach przy przystanku autobusowym i Mał-gośka z satysfakcją zauważyła, że wszyscy ludzie stojący na przystanku patrzą na samochód. - Trudno się dziwić - pomyślała.

- Pani? Co takiego się stało? - spytał, ale kątem oka przyglądał się swojej pasażerce. Miała piękne włosy, niezłą cerę, mimo mocnego scenicznego makijażu. Była dobrze ubrana, tylko te buty - pomyślał - ale to drobiazg. I tak jak gdzieś wejdą, to wszyscy będą musieli zwrócić na nią uwagę. Dobrze wiedział, że

ta wizyta u Geslera jest zmyślona. Dowiedział się o tym kiedy ona podeszła do stolika z tymi trzema facetami. Ale właśnie to go zainteresowało. Nawet gdyby miała ochotę namawiać go na jakieś interesy był skłonny udawać, że jest tym zainteresowany. Już dawno myślał o tym, że chętnie by się z nią umówił. Nie bardzo wiedział jak z taką kobietą należy postępować. To było coś innego niż jego żona i innego niż wszystkie modelki. Z tamtymi nie było żadnych podchodów. Jego myśli przerwał przyjemny głos tak dobrze znany z TV.

- Muszę się panu przyznać, że wcale nie ma imprezy u Geslera. Powiedziałam tak, żeby być z panem. Mam panu coś ważnego do powiedzenia.

- To ja się cieszę, że będziemy chwilę sami - odpowiedział skrecając na trasę łazienkowską i zajeżdżając drogę gwałtownie syrence i maluchowi. Syrenka piskliwie zatrąbiła. Przyspieszenie było tak gwałtowne, że Małgoškę aż wcisnęło w fotel. - Widzi pani? - roześmiał się - gdyby tylko mógł, toby rozwalił swoją syrenkę, żeby mi wjechać w tył. A, że nie może to trąbi. Tacy są Polacy.

- No to do czego chce się pani przyznać? - spytał wjeżdżając na lewy pas, na liczniku miał 160 km na godzinę.

- Już się przyznałam. Muszę z panem porozmawiać o ważnej sprawie.

- Dla kogo ważnej?!

- Dla pana.

- Ooo!! - To się robi interesujące. Na ogół to ja decyduję co jest dla mnie ważne.

- Niestety tym razem ktoś inny zdecydował za pana. A pan o tym nie wie - odpowiedziała stanowczym głosem.

- To jest niemożliwe - zaśmiał się.

- Możliwe! - Małgoška patrzyła jak na pełnym gazie podjeżdżają na podjazd restauracji w Łazienkach i zatrzymują się na wprost wejścia.

- Zapraszam panią na obiad - powiedział uśmiechając się promiennie.
- Tu pan zostawi samochód?! Przed samym wejściem?! Roześmiał się i odpowiedział:
- Oczywiście. Zawszę tak robię.
- Ale tu nie wolno - naiwnie zdziwiła się.
- A kto bogatemu zabroni? - zaśmiał się wyłączając odrzutowy silnik.

Weszli do środka. Mimo półmroku większość ludzi przy stolikach odwróciła głowy w ich stronę. Jak spod ziemi wyrósł szef sali. Zaprowadził ich do okrągłego stołu przy oknie na sześć osób. Wprawnym gestem zabrał kartonik z napisem "rezerwę". Małgosia usiadła tyłem do okna. Umiejętność szybkiej oceny korzystnego oświetlenia przydała się. Wpadające z boku światło, doskonale oświetlało rozpuszczone swobodnie, spadające na ramiona gęste i ciemne włosy.

- Mam nadzieję, że się tu pani podoba - zapytał przyglądając się jej z nieukrywaną aprobatą.

Odłożyła kartę nie otwierając jej. Wiedziała, że zaczyna mu się podobać i postanowiła to wykorzystać. Chciała podtrzymać nastrój spontaniczności, spontanicznej szczerości. Musiała zagrać rolę przyjaciółki, która ostrzega go przed niebezpieczeństwem, a przy tym podpuścić go na tyle, żeby nie żałował modelki.

- Panie Jurku - jest pan bardzo miły. ale ja najpierw muszę panu powiedzieć dlaczego zależało mi na spotkaniu z panem.

- Może najpierw zamówimy - trzymał otwartą kartę.

- Nie. Wolę panu teraz powiedzieć, bo może się okazać, że zaraz stąd wyjdziemy - z premedytacją podbijała piłeczkę.

- O nie!?! Co by mi pani nie powiedziała, nie zrezygnuję tak szybko z pani towarzystwa - odwrócił się do wyczekującego kelnera i powiedział:

- Szampana proszę - odłożył kartę. Oparł się łokciami o blat stołu i spytał - o co chodzi?

- Będzie pan szantażowany - powiedziała udając zdenerwowanie.
- To aż takie dziwne dla mnie nie jest.
- Może. Tym razem jednak może pan stracić wszystko. -Zauważyła, że jest rozbawiony jej przejęciem, a więc było dokładnie tak jak chciała.
- Proszę, niech mi pan pozwoli opowiedzieć wszystko. Nie bardzo potrafię wytłumaczyć panu pobudki działania ludzi, którzy za tym stoją, ale chcę, żeby pan sam ocenił fakty. Tak będzie najlepiej. - Przy ostatnich słowach głęboko spojrzała mu w oczy - pana żona ma kasetę magnetowidową, na której jest pan, no powiedzmy w niedwuznacznej sytuacji, ze swoją ostatnią znajomą w hotelu "Gdynia" w Gdyni. Kasetą została jej przysłana wraz z anonimem, w którym był adres, imię i nazwisko tej dziewczyny. Pańska żona ma zamiar zrobić z tego użytek. Chce się z panem rozwieść i pozbawić wszystkiego.

Pomyślał, że akurat to jest niemożliwe, ale postanowił nie przeszkadzać i dowiedzieć się wszystkiego do końca. Doskonale wiedział czego chce Małgosia. Trochę żałował. Chętnie by się z nią teraz pokazywał. Modelka ostatnio go wyraźnie nudziła. Zgadzała się na wszystko i była głupia, ale mógł mieć pretensje tylko do siebie. Przecież poderwał ją w magazynie meblowym. Nawet nie umiała dobrze wypełnić faktury. Słuchał tego co mówiła Małgośka Stawska i obserwował ją. Podobała mu się, była naprawdę ładna, nawet ładniejsza niż w telewizji. Właśnie się zastanawiał, jak to zrobić, żeby umówiła się z nim jeszcze raz, gdy otworzyła torebkę i położyła na stole kasetę magnetowidową. Bardzo zdenerwowana powiedziała:

- Proszę mnie nie pytać skąd to mam. Zrobiłam to dla pana, bo jestem oburzona tym, że ludzka podłość może zniszczyć komuś życie. Robię to, bo jestem przekonana, że to uchroni nie tylko pana, ale i pana żonę od niepotrzebnych kłopotów.

Ostatnie zdanie wypowiedziała dokładnie takim przejętym głosem, jakim w telewizji prowadziła audycje mające na celu wzbudzić w ludziach wyższe uczucia, litość, oburzenie na cudzą krzywdę.

Patrzyła mu szczerze w oczy zupełnie tak samo jak w obiektyw kamery. Wprawdzie nie było tego widać, ale była przekonana, że zrobiło to na nim wrażenie, jakie sobie zaplanowała.

Skoro potrafi wstrząsnąć obojętnymi ludźmi przed telewizorami mówiąc z okienka, to użycie tych samych chwytów w bezpośrednim kontakcie musi odnieść ten sam skutek.

- To wszystko - powiedziała cicho.

Wiedziała, że sposób w jaki rozegrała tę rozmowę musi odnieść zamierzony skutek. Skupiła na tym wszystkie swoje zdolności aktorskie i całą wrodzoną przebiegłość, która przez tyle lat pozwoliła jej utrzymać się na powierzchni w telewizji, jadąc tu postanowiła stanowczo, systematycznie i przebiegle doprowadzić swój plan do końca.

Oczywiście był jeszcze jeden problem - ta modelka, ale z tym postanowiła rozprawić się w dalszej kolejności. Wystarczyło najpierw doprowadzić go do takiego stanu, żeby poczuł co to znaczy pokazywać się z taką popularną kobietą jak ona, a później mu namącić w głowie wyższym poziomem intelektualnym. Nie za bardzo. Na tyle tylko, żeby mu zaimponować, ale w żadnym wypadku nie wzbudzać poczucia niższości. Później można śmiało pakować Violette do jakiegoś reżyserskiego łóżka i ujawnić to na całą Warszawę. I sprawa załatwiona.

Jak na razie to, co zaplanowała udało się doskonale. Jurek był zdenerwowany, ale z jego zachowania mogła wywnioskować, że jest nadal pewny siebie. Zamówili obiad.

Niestety stary sprawdzony sposób na mężczyzn czyli doprowadzenie do rozmowy o nim samym w tym wypadku nie sprawdził się. Jurek Nader był bardzo powściągliwy, wręcz ostrożny, ale to mogło wynikać z sytuacji. Nie zraziło jej to. Zmieniła rozmowę na drugi dyżurny temat. Na samochody. I miała rację.

Bardzo chętnie opowiadało zaletach poszczególnych samochodów, którymi jeździ, o stajni którą posiada, z lubością wymieniał marki samochodów sportowych, jak sieje na Zachodzie kupuje.

Opowiedział jej o tym jak poprzednie Ferrari dostarczone do Polski specjalnym wagonem kolejowym z Włoch odesłał z powrotem gdyż przy odbiorze w obecności przedstawicieli fabryki, którzy przyjechali specjalnie na jego życzenie, złamał się kluczyk w stacyjce. Oczywiście w tych warunkach, fabryka z taką renoma musiała zgodzić się na dodatkowe warunki wyszczególnione przez polskiego adwokata. Taka sytuacja bardzo zagrażała bowiem dobrej marce firmy jaką jest Ferrari. I takim sposobem, w ciągu trzech dni dostarczone zostało właśnie to nieseryjne czarne Ferrari, którym teraz jechali. Dużo droższe od poprzedniego, ale przysłane w ramach reklamacji za tamto.

Jurek był wręcz rozbawiony opowiadając jej to wszystko. Na koniec tej opowieści stwierdził, że każdy samochód można kupić prawie za pół ceny, tylko trzeba wiedzieć jak to zrobić.

Po skończonym obiedzie kazała się odwieźć do telewizji. Wcale nie dlatego, że miała tego wieczoru dyżur. On miał Ferrari i wiedział jak je zdobyć i zaimponować innym, a ona miała twarz z telewizji i wiedziała jak jemu zaimponować i zdobyć to Ferrari i jego. Musiała jednak przyznać, że rachunek zapłacił ładnie. Dyskretnym gestem przywołał kierownika sali i coś mu szepnął, a następnie poszedł do baru i coś podpisał. Bardzo jej się to spodobało. Nie samo załatwienie sprawy, ale to, że chciał się tak bardzo pokazać z jak najlepszej strony.

Miała pełną świadomość tego, że zrećcznie przez nią kierowany wszedł na drogę, z której dla żadnego mężczyzny nie ma odwrotu - na drogę męskiej próżności.

Załatwiała sobie maksymalną ilość dyżurów i to takich, które kończyły się późno w nocy. Wiedziała, że pokazując mu się w telewizorze kropla po kropli dążyć będzie swoją ścieżką do niego. Umawiała się z nim po dyżurach pod telewizją, żeby mógł

ją biedną, zmęczoną odwozić do domu. Zmuszała go w ten prosty sposób do myślenia o niej przez cały dzień i wieczór. W dni, w które nie miała dyżuru nie umawiała się z nim. Tłumaczyła swoje zachowanie, że przecież ma życie prywatne, a dla niej prywatność to rzecz święta.

Bardzo szybko doprowadziła do tego, że zaczął wydzwaniać do niej z lekkim żalem, że nie ma dla niego czasu. Wtedy łaskawie zgodziła się pójść z nim kilka razy na spotkania niby towarzyskie, niby w interesach. Doskonale orientowała się o co w tym chodzi. Kiedy gdzieś wchodzili czuła, że wszyscy biznesmeni czekają nie tyle na niego, ile na nią.

Natychmiast stawali się bardzo ożywieni. Jurek zachowywał się wtedy jak paw. Pokazywanie się z osobą taką jak ona było w środowisku tym jak nagroda Nobla dla nauczyciela biologii w szkole podstawowej.

Miała tylko jeden problem, z którym nie bardzo wiedziała jak sobie poradzić. Ciuchy. Jej kostiumy nie nadawały się do tego, żeby się pokazywać w nich na żywo. Co innego telewizja - tam nie widać gatunku. W trakcie tych przypadkowych wizyt w różnych firmach widziała, że czasem nawet sekretarki były ubrane dużo lepiej niż niejedna gwiazda w telewizji. W dodatku skończyło się pożyczanie, bo Jola niedwuznacznie dała do zrozumienia, że ma tego dosyć twierdząc, że Małgośka używa innych perfum i to jej bardzo nie odpowiada. A ona była pewna, że chodzi tylko o jedno, Jola stała się zazdrosna.

Już pewnie cała Warszawa wiedziała, że Stawska złapała szczęście za nogi i teraz jeździ czarnym Ferrari.

Po dwóch tygodniach stwierdziła, że czas na fochy. Dobrze wiedziała, że może sobie na nie pozwolić. Dwa razy umówiła się z nim w mieście i nie przyszła. Za pierwszym razem nie zadzwonił przez trzy dni. Na czwarty dzień czekał na nią o 11 wieczorem pod telewizją. Ani słowo nie padło między nimi na ten temat. Pojechali na przyjemną kolację do małego dworku. Stwierdziła,

że już jest gotowy. Dokładnie знаła te objawy u mężczyzn. Miała jednak pełną świadomość, że zalicza się do kobiet zimnych, nieprzystępnych. Nie miała zamiaru tego zmieniać. Akurat w tym przypadku, z którym miała do czynienia, to był najważniejszy jej atut.

Dla takich ludzi, czym drożej tym lepiej.

Umówiła się za dwa dni pod Salą Kongresową wieczorem.

Prowadziła koncert. Po występie wymknęła się tylnym wyjściem i wskoczyła do taksówki, którą wcześniej zamówiła. Przez cały wieczór nie odbierała telefonu, który dzwonił jak najęty. Na następne dwa dni odwołała dyżury w telewizji. Nie musiała się nawet tłumaczyć dlaczego. Było sporo chętnych do zastępstwa. Po czterech dniach zadzwoniła do jego biura. Sekretarka po usłyszeniu jej głosu natychmiast chciała ją połączyć, ale ona kazała tylko przekazać, że będzie czekała w Victorii wieczorem między 20 a 21.

Oczywiście przyszła po 21, ale nie za dużo. Za ostatnie pieniądze kupiła bandycko drogi łososiowy kostium i w podobnym kolorze buty. Torebki nie zabrała. Kupiła bukiet róż w tym samym kolorze. Wiedziała, że ten bukiet załatwi wóz albo przewóz. Każdy stęskniony mężczyzna na widok swojej wybranki, która ma nie wiadomo skąd bukiet róż przychodząc na spotkanie, musi się poczuć mocno zagrożony, że ma rywala.

Gdy tylko pojawiła się w rozsuwanych drzwiach hotelu podszedł do niej, wziął za rękę i nie ukrywając złości wyprowadził z hotelu.

Przed samym wejściem na miejscu z namalowanym napisem "No parking" stało jego auto, które zauważyła już z daleka, podjeżdżając taksówką. Delikatnie, ale stanowczo wsadziła ją do środka. Usiadła, kładąc bukiet na kolanach.

Ruszył prawie zrywając asfalt z jezdni. Miał zaciśnięte zęby, aż mu zuchwa chodziła. Otworzył przyciskiem szybę po swojej stronie i nie zwalniając ani na chwilę, prawą ręką zabrał bukiet

z jej kolan i wyrzucił przez okno. Pędził jak szalony ulicami.

Małgośka nie odzywała się.

Nagle skręcił w prawo i gwałtownie zatrzymał się przy krawężniku w bocznej uliczce. Odwrócił się całą postacią w jej stronę, oparł prawą dłoń o jej zagłówek, a lewy łokieć o kierownicę. Nadal wściekły, w dokładnie taki sposób jaki przewidziała, odezwał się patrząc w jej zdziwione oczy. - Posłuchaj...

- Nie ty posłuchaj... przybrała niewinną minę, kobiety miotanej wewnątrz, cierpiącej, ale pewnej siebie. - Nie możemy się więcej widywać.

- Dlaczego? - spyta! mocno zbity z tropu.

- Chyba wiesz dlaczego - mówiąc to patrzyła mu w oczy. - Jesteś żonaty, masz piękna kochankę, a tu raptem cała Warszawa aż huczy o nas. - Zawiesiła na chwilę głos - a przecież między nami jest tylko wspaniała znajomość. Nic więcej - spuściła oczy.

- Posłuchaj... - spróbował coś powiedzieć, ale ponownie wpadła mu w słowo.

- Nie, nie. Ja jeszcze muszę ci coś powiedzieć. Bardzo mi imponujesz, bo ja wiem jaki jesteś naprawdę. A poza tym -zawiesiła na chwilę głos - jest jeszcze coś... Mam szansę ułożyć sobie życie. Dostałam bardzo interesującą propozycję w pracy. Zupełnie inną niż ta dotychczasowa. Będę się spotykać z zupełnie innymi ludźmi i... ponieważ jestem ogólnie znana, nie mogę sobie pozwolić na takie plotki jakie teraz krążą o nas. Chyba rozumiesz.

Wiedziała, że od tego, co i jak teraz powie w tym zamkniętym czarnym pudle za miliardy złotych, zależy jej przyszłość.

Oparł się na siedzeniu i jakby do siebie powiedział:

- Wiesz o tym bardzo dobrze, a nawet lepiej niż ja, że żony nie mam. Już dawno każde z nas żyje na własny rachunek. A co do kochanki - też nie mam. Zresztą nie mam zamiaru ci się

tłumaczyć. Z powrotem usiadł tak jak przedtem, tyle, że bardziej się nachylił w jej stronę.

- Twoje obawy o plotki na nasz temat można bardzo łatwo i szybko załatwić.

Patrzył jej prosto w oczy wzrokiem pewnego siebie Iwa, który nie wie że jest już w klatce.

Nie odezwała się. Wiedziała, że nie może go teraz spłoszyć.

Przetarła tylko czoło delikatnie dłonią.

- Nie martw się kochanie - powiedział czule - przecież wiesz, że wystarczy tylko jedno twoje słowo i zrobię dla ciebie wszystko. -

Patrzył na nią rozanielonym wzrokiem. Widziała, że ma ochotę wziąć ją w ramiona. Ale to nie było jeszcze to. co zaplanowała sobie na dzisiejszy wieczór.

- Wszystko, wszystko, jakie wszystko do cholery - myślała błyskawicznie. Co to jest dla ciebie wszystko? Na pewno nie to samo co dla mnie - myślała patrząc mu w oczy i robiąc minę załamanej tym, że muszą się rozstać. Uśmiechnęła się lekko, położyła mu rękę na karku i delikatnie paznokciami przebierała we włosach mówiąc najczulej jak pozwalały na to okoliczności i żeby nie przekroczyć bariery jego inicjatywy:

- Już na pierwszym naszym spotkaniu powiedziałam ci, że nie chcę żeby komuś działa się krzywda. Nadal tak uważam, zwłaszcza że chodzi o ciebie.

- Przecież wiesz, że największa krzywda stanie mi się jak odejdiesz ode mnie. - Widziała, że oczy robią mu się maślane, a przecież tylko go dotknęła. - Nieźle mu się musiałam parę razy przyśnić - pomyślała i zarzuciła mu na szyję drugą rękę.

Całując ją, nie mógł się opanować. Wyszeptał jej zdyszczonym szeptem do ucha:

- Wiesz, że musisz być ze mną. Już nie pozwolę ci na to, żebyś mnie zostawiła. Będziesz żyła w takim luksusie na jaki zasługujesz. Nie pozwolę, żeby jacyś faceci dawali ci róże. Wziął jej twarz w swoje dłonie i patrząc w oczy powiedział:

- Powiedz, że za mnie wyjdiesz!

- A co z... - nie zdążyła nic powiedzieć. Delikatnie położył dłoń zakrywając jej usta. Pokiwał przecząco głową mówiąc: -Nic się nie martw. Wszystko załatwię najpóźniej za tydzień.

- Tylko powiedz, proszę powiedz, że za mnie wyjdiesz! -Błagał całując ją namiętnie po dłoniach jak szalony. - Pragnę żebyś była najwspanialszą żoną w Warszawie. - Błagalnie patrzył jej w oczy i czekał na odpowiedź.

- Tak - powiedziała cicho i dodała: - Wyjdę za ciebie - i pomyślała: - Akurat tu masz zupełną rację. Będę najwspanialszą żoną Warszawy. Po miesiącu była już żoną Jerzego Nadera. Mieszkała we wspaniałej rezydencji. Tej samej, do której jeszcze nie tak dawno przyjeżdżała jako ubogi gość.

W międzyczasie tylko raz zadzwoniła do Anny Naderowej i powiedziała o planowanym wyjeździe Jurka z modelką do Berlina, ale przy tej rozmowie był Jurek, więc nie denerwowała się, że tamta ją zaskoczy jakimś pytaniem.

Teraz już nie miała żadnych kłopotów. Na życzenie swojego nowego męża bardzo często pokazywała się w telewizji.

Któregoś dnia stojąc przy oknie tarasowym i patrząc na piękny basen w ogrodzie pomyślała że może on wie jak kupić każdy, nawet najdroższy samochód za pół ceny, ale za to ona wie jak sprzedać siebie za miliardy.

W prezencie ślubnym od męża dostała białego Jaguara XJ-200.

Rozdział 26

Jacek wrócił do pokoju na górze. Zrezygnował z napuszczania matki na Elkę. Postanowił zaczekać aż nadarzy się inna okazja.

Łukasz stał przy oknie i pilnie obserwował ulicę.

- Zauważyłeś coś? - zapytał Jacek stając za nim.

- Nie, chyba nie... - w jego głosie słychać było cień niepokoju - chociaż... - Ale nie skończył bo zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - rzucił Łukasz przez ramię jednocześnie chowając się za zasłonę i przez szparę z boku pilnie się czemuś przyglądając na ulicy.

- Jak mam nie odbierać. Czy ty nie przesadzasz? - Jacek podszedł do telefonu - nie mogę nie odebrać, bo matka w łazience nie słyszy telefonu... - Podniósł słuchawkę.

Łukasz obserwował ulicę. Może Jacek ma rację, że trochę przesadzam - pomyślał. Ale wiedział, że jeżeli w ciągu dziesięciu minut dwa te same samochody trzeci raz przejeżdżają powoli tą samą ulicą, to coś jest nie tak.

Nagle dotarło do niego co Jacek mówił przez telefon. Zaczął się tej rozmowie przysłuchiwać. Zaskoczył go ton rozmowy. Jacek śmiał się. Bardzo szczerym śmiechem.

- Z czego się tak cieszysz? - spytał nadal obserwując ulicę. Jacek rzucił krótko w jego stronę - zaraz ci powiem, ale będą jaja!? - a do słuchawki powiedział: - No dobra, dobra, obiecuję, że nie puszcę pary z ust. No, nie denerwuj się. Jak obiecałem to dotrzymam słowa. Zresztą co będę psuł sobie zabawę. O rany! - zaśmiał się głośno - jak cię matka zobaczy to padnie

trupem na miejscu. - Na chwilę przestał się śmiać. Kiwając głową uważnie słuchał osoby, która zadzwoniła. Powiedział w końcu: - Jak chcesz. Tylko przyjedź prosto z lotniska, ł rozłączy! się.

- Kto dzwonił, że się tak ubawiłeś - Łukasz spojrzał na rozbawioną twarz przyjaciela.

- O rany jak ci powiem, to padniesz! - Ponieważ Łukasz nie podzielał jego emocji dodał - odejdź od tego okna. Jak ona tu przyjdzie, to będziemy mieli taki ubaw, że twoje papieroski odpadną w przedbiegach.

- No to w końcu powiedz kto dzwonił i o co chodzi - Łukasz zasunął zasłony i usiadł na fotelu. - No mów - powiedział zapalając kolejnego papierosa.

- Słuchaj, to była Monika! - wyrzucił jednym tchem - wyobrażasz to sobie?! Moja siostra Monika dzwoniła z Amsterdamu z lotniska! Właśnie wsiadają z przyjaciółmi do prywatnego samolotu i przyjeżdżają dzisiaj wieczorem do Warszawy! Jezu! -rozbawiony przeturlał się przez łóżko - ale będą jaja jak ją matka zobaczy! Nie wyobrażasz sobie stary, co tu się będzie działo! - spojrzał na zegarek i powiedział: - Już lecą. Będą w Warszawie za dwie godziny. Ty nic nie wiesz o tej całej historii, ale opowiem ci innym razem. Matka jej nienawidzi... ! - przez chwilę się zastanawiał, ale dodał zdecydowanie. - Nie, nie teraz. To jest długa historia. Łukasz wpadł mu w słowo pytając krótko:

- A po co ona tu przylatuje?

- Tak do końca to nie wiem. Jakieś grube ryby z Amsterdamu przylatują tu na czyjeś imieniny czy urodziny... nie zwróciłem na to uwagi. Zresztą ona im się urwie i przyjedzie do nas na kolację, - Ja nie mogę! - Jacek chodził po pokoju jak lew. Widać było, że ta informacja aż go roznosi. Nie potrafił opanować swojego podniecenia - Jezu co tu się będzie działo!

Łukasz patrzył na niego i nie rozumiał tak nagłej zmiany.

- No dobra. Domyślam się, że nic nie wiem z waszych rodzinnych spraw - Jacek zatrzymał się na środku pokoju i już chciał coś powiedzieć ale Łukasz mu nie pozwolił. Podniósł dłoń i z uspokajającym gestem dodał: - Stary uspokój się. W końcu w twojej szafie leży milion dolarów. Więc zastanów się jak wizyta twojej siostry z Amsterdamu ma się do tego.

Jacek patrzył przez chwilę na niego. Widać było, że docierają powoli słowa, które usłyszał. Ciężko opadł na łóżko.

- No tak - powiedział krótko. Ale natychmiast zerwał się i ponownie zachwyconym tonem zawołał: - Stary! To przecież nawet lepiej! Będzie taka afera, że nasz plan musi się udać! Tu będzie awantura jakiej jeszcze nie widziałeś! I nikt nie zwróci na nas uwagi!

Rozdział 27

Minęły trzy minuty od chwili gdy Monika skończyła rozmowę ze swoim bratem w Warszawie gdy na biurku Mariana Blum-szteina zadzwonił telefon.

Marian spokojnie wysłuchał nagranej rozmowy. Zapisał wszystkie podane dane. Numer telefonu z którego było połączenie. Godzinę odlotu samolotu z Amsterdamu. Natychmiast zadzwonił do Pułkownika i kazał sprawdzić czym zajmuje się Monika. Kto leci razem z nią? Do kogo? O której przylatują do Warszawy. Jaka firma załatwia korytarz powietrzny i przygotowuje obsługę lądowania na Okęciu.

W drugiej kolejności kazał sprawdzić na czyje imieniny przylatują. Bardzo mu się ten Amsterdam nie spodobał. Tym bardziej, że godzinę przedtem dostał wyczerpujący raport, iż Łukasza nigdzie nie ma i nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie jest.

Rozdział 28

Wanda biorąc prysznic doszła do wniosku, że przecież nie może zwolnić pani Elki, bo kto poda dzisiejsze przyjęcie.

Ubrała się. Otworzyła szampana. Ostatnio bardzo polubiła ten trunek. Był doskonały na przetrwanie. Między jednym mocnym drinkiem a drugim.

Z kieliszkiem w ręku przez chwilę oglądała siebie w lustrze.

- Co on mówi, że suknia jest na mnie za mała - myślała oglądając się ze wszystkich stron. - Jak stanę trochę bokiem to nie widać. A poza tym na pierwszy rzut oka widać ile kosztowała.

Jeszcze przez chwilę robiła próby ustawiania się przed lustrem. Z satysfakcją stwierdziła, że potrafi trzymać kieliszek z szampanem i tak ruszać biodrami jak Alexis. - Ona wcale nie jest zgrabna - pomyślała - jest stanowczo za chuda! - stwierdziła, delikatnie popijając szampana i patrząc przy tym sobie w oczy - zupełnie tak jakbym patrzyła w kamerę - myślała. - No ciekawa jestem jak wygląda teraz Agata - usiadła przed lustrem i postanowiła do niej zadzwonić. Miała dokładnie przygotowany plan przywitania jej i przedstawienia Jackowi. Ale żeby to wypadło tak naturalnie jak sobie zaplanowała to Agata nie mogła się spóźnić.

Rozdział 29

Agata wyjątkowo nie miała ochoty na przyjęcie u Wandy Rutkowskiej. Zdecydowała się pójść tylko z jednego powodu. Miała ochotę utrzczyć jej nosa. Dobrze wiedziała o tym, że jej piękna dwudziestopięcioletnia twarz doprowadzi Wandę do rozpacz. Nie mówiąc już o tym, że kostium od YSL za półtora tysiąca dolarów dawał wiele do myślenia tak pazernej i zazdrosnej osobie jak Wanda. Właśnie siedziała przed lustrem i szczotkowała swoje piękne, gęste, jasne włosy gdy zadzwonił telefon. Przerwała szczotkowanie zapamiętując szybko ile jeszcze razy musi przejechać po nich ostrą włosianą szczotką i odebrała telefon.

- Dzień dobry, kochanie - usłyszała szczebiotliwy głos Wandy tak sobie dzwonię do ciebie, żebyś nie zapomniała, że się na dzisiaj ze mną umówiłaś - na chwilę się zawahała i dodała - byłaś u fryzjera?
- Nie... - Agatę zaskoczyło to pytanie. Odpowiedziała rozbawionym głosem - nie, ja nie chodzę do fryzjera. Przecież wiesz, że z moimi włosami nie muszę.

- No tak, tak, tak sobie tylko zapytałam. Wiesz, ja właściwie dzwonię do ciebie... - Agata wyczuła, że Wanda jest po kilku drinkach i nie odezwała się. Ta chwilowa cisza w słuchawce była znacząca. Wanda musiała łyknąć. Po chwili usłyszała - wiesz ja cię bardzo przepraszam, ale czy przysłać po ciebie taksówkę?

Agata została tym pytaniem ponownie zaskoczona. Zupełnie nie rozumiała o co chodzi. Odpowiedziała z wahaniem w głosie:

- Nieee... Nie trzeba. Sama sobie zamówię.

- Ach tak? Bo wiesz, jeszcze raz cię przeproszam, ale zależy mi na tym, żebyś się nie spóźniła... bo wiesz, kolacja jest na ciepło...

- Ach tak! - roześmiała się i dodała - nie martw się będę punktualnie. Nie spóźnię się ani minuty.

- Oj! To dobrze. Doskonale.

- Ale wiesz co - Agata postanowiła skończyć tę bezsensowną rozmowę, tym bardziej, że coś trzeszczało w jej telefonie dodała więc - jeżeli nie mam się spóźnić to muszę jeszcze pięćdziesiąt razy popieścić swoje włosy szczotką.

- Ach! To nie będę ci przeszkadzać. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - odpowiedziała Agata.

Wanda bardzo zadowolona z tej rozmowy natychmiast zadzwoniła do Tomka. Do jej planu potrzebny był właśnie on.

Miała ochotę wykorzystać jego słabość do kobiet. Tomek niezależnie od sytuacji dostawał amoku na widok wysokiej dziewczyny. Sam miał metr siedemdziesiąt w kapeluszu i nawet w obecności swojej żony Kasi niej potrafił się opanować. Z miejsca zaczynał atakować. Prawił wyrafinowane komplementy, całował po rękach, patrzył powłóczyście w oczy.

Wanda doskonale pamiętała o tym, że za dawnych czasów ich współpracy Tomek załatwiał pewne sprawy za samą obietnicę poznania go z Agatą.

Teraz miała okazję. Wanda zastanawiała się tylko, czy przypadkiem Agata nie wyda mu się już trochę za stara.

Ale zaraz odrzuciła tę myśl. Agata nadal była wysoka i szczupła. A Tomek nie miał już takich możliwości jak kiedyś. Jeszcze parę lat temu mógł sobie zażyczyć udziału w naborze modelek wyjeżdżających na Zachód. Taki był ważny. A teraz? Mógł tylko patrzeć w telewizor.

Dlatego Wanda postanowiła, że najlepiej będzie jeżeli zjawią się u niej w domu mniej więcej w tym samym czasie. Miała

nadzieję, że jej syn natychmiast zauważy zachowanie Tomka i tym bardziej zainteresuje się Agatą.

Zadzwoiła do Tomka. Wprawdzie wiedziała, że oni się nie spóźniają, ale chciała się upewnić, czy na pewno przyjdą.

Długo nie rozmawiała. Dowiedziała się, że oczywiście przyjdą.

Oczywiście na czas. Wprawdzie przyjadą swoim Polonezem, ale Kasia nie będzie piła bo bierze lekarstwa, ale też z przyjemnością przyjedzie na pyszne maślane ciasteczka pani Elki.

Wanda odłożyła słuchawkę i pomyślała - cholera jasna! Te ciasteczka! Przecież z tego nic nie zostało! Natychmiast Elka musi upiec maślane ciasteczka dla żony Tomka. O Boże!! Jak to dobrze, że zadzwoniłam.

Szybko wyszła z pokoju i poszła do służbówki.

Rozdział 30

Na biurku Mariana Blumszteina ponownie zadzwonił telefon. Zanim odebrał pomyślał - jestem ciekawy kto jeszcze jest zamieszany w to wszystko?

Odebrał. Tak jak poprzednio meldunek zaczynał się od podania numerów telefonów. Najpierw kto, a następnie do kogo dzwonił.

Dopiero w następnej kolejności puszczano nagraną rozmowę.

Już sama informacja, że z domu Jacka Rutkowskiego zostało dokonane połączenie z telefonem Agaty doprowadziło go do furii. Ale tylko na chwilę.

Opanował się. I tym razem postanowił nie ulegać emocjom. Chciał na zimno i z premedytacją przeprowadzić swój plan. Wszystko stawało się coraz bardziej klarowne.

Zapalając kolejnego papierosa pomyślał - może coś na początku wam gówniarze się udało! Ale zapomnieliście, że macie do czynienia z fachowcem. - Już miał zamiar kazać puścić taśmę z nagraniem rozmowy Agaty z domem Rutkowskich, ale w tym momencie łącznik odezwał się na drugim, włączonym na interkom telefonie - bardzo pana przepraszam, nie chcę przeszkadzać, ale z tego samego numeru idzie akurat następne połączenie. Które mam panu włączyć?

Marian natychmiast odpowiedział - najpierw numer telefonu! - i dodał wściekły - z nazwiskiem abonenta! Tak jak wam kazałem do jasnej cholery! W tym samym momencie odezwał się na trzecim telefonie fax. Marian krótko i ostro wydał dyspo-

zycję do telefonu: - Tak jak powiedziałem, pełen meldunek za dziesięć minut! - i rozłączył się na tym aparacie.

Przez chwilę bezmyślnie przyglądał się wysuwającej się z faxu kartce papieru. Poczekał do końca i gwałtownie oderwał kartkę. Tekstu było sporo. Pomyślał - no chyba na coś trafiłem i zaczął czytać.

"Monika Kaczmarska ur. 16.06.1966r. w Warszawie. Córka Wandy Kaczmarskiej, ojciec nieznany. Od 1988 roku przebywa na stałe w Holandii. Zameżna. Mąż Ahmed Saha, z pochodzenia Egipcjanin. Poprzednie miejsce zamieszkania Zjednoczone Emiraty Arabskie. Od 1986 roku obywatel Holandii. Cztery razy żonaty. Poprzednie dwie żony z pochodzenia Czeszki, jedna Rosjanka. Trudni się sutenerstwem. Oficjalnie posiada przedsiębiorstwo przewozowe. UWAGA - nieoficjalne dane! -podejrzany o przemyt narkotyków. Marian odłożył na chwilę kartkę. Czuł, że musi się opanować. Wstał i kilka razy przeszedł się po pokoju. Zastanawiał się nawet czy nie nalać sobie koniaku na uspokojenie, ale zrezygnował. Otworzył drzwi tarasowe i wyszedł na chwilę na zewnątrz. Ostre zimowe, wilgotne powietrze wzmogło jeszcze napięcie. - Kurwa mać - zaklął na głos - tego się nie spodziewałem! - Pomyślał - byłem w dużym błędzie! To oni to tak zorganizowali! Cholera jasna! Za co ja płacę moim kapusiom! Przecież taka transakcja nie mogła zostać utrzymana w tajemnicy. Narkotyki za milion dolarów w Polsce! Ktoś do cholery musi to przecież wprowadzać na rynek. - Wrócił do pokoju. Czuł, że jest wściekły do granic możliwości. Gdyby mi teraz któreś z tej złodziejskiej trójki wpadło w ręce tobym zabił. Tak na pewno! Bym zabił!

Podszedł jednak do barku i nalał sobie spory kieliszek koniaku. Zapalił kolejnego papierosa. Ciężko usiadł w fotelu. Jednym haustem wypił koniak. Przeanalizował szybko swoje szanse.

Miał zdecydowaną przewagę. Oni nie wiedzieli, że on wie! To po pierwsze. A po drugie, jak by na to nie patrzeć ta trójka to amatorzy i prawie dzieci. Tylko ten cholerny Arab. Ale do jego lądowania na Okęciu - spojrzał na zegarek - dużo czasu pomyślał, jeszcze przeszło godzina.

- Jeżeli wy myślicie, że wam się uda uciec z moim milionem dolarów to się grubo mylicie! - pomyślał i podszedł do biurka. Usiadł w fotelu i położył nogi na blacie. Przeczytał pozostały tekst faxu. Nazwiska osób znajdujących się w samolocie nic mu nie mówiły. Ale był pewien, że są to osoby związane z tym rodzajem interesów. - Imieniny - pomyślał, - już ja wam urządzę takie piorunujące imieniny w Polsce na jakich jeszcze nigdy w życiu nie byliście! I nie będziecie! Już nigdy!

Ponownie spojrzał na zegarek, mijało akurat dziesięć minut od poprzedniego meldunku z centrali telefonicznej. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

- Tylko krótko - rzucił do słuchawki - numer telefonu, nazwisko i adres abonenta.

- Już podaję - 4728667 - Tomasz Bielawa. Czy mam panu odtworzyć rozmowę?

- Nie - powiedział krótko i rozłączył się. Poczuł, że krew mu się burzy. Powiedział do siebie - Tu was mam skurwysyny! To taką drogę sobie znaleźliście! SB-cją chcecie ten towar wprowadzić na rynek!! Wy chyba zapomnieliście z kim macie do czynienia! - dwa razy z całej siły wałnął pięścią w stół. I wyraźnie poczuł, że odzyskuje wewnętrzną równowagę. Już wiedział wszystko. Kto, z kim, za ile i w jakim celu.

Tomka znał tyle o ile. Nie pracowali wprawdzie nigdy razem, ale obaj wiedzieli kto jest kim. I co najważniejsze kto ile i co może. Marian dobrze pamiętał, że dwa lata temu wstawił się za nim, u swojego znajomego gdy Tomek prosił o protekcję kiedy został bez pracy.

Marian kiwał się rytmicznie w obrotowym fotelu - myślał - Chyba ci głupi mały SB-ku rozum odebrało! Zapomniałeś z jaką władzą masz do czynienia. A powinienes jeszcze pamiętać! - Oj! Powinienes! - Powiedział do siebie. - Jego głos zabrzmiał złowieszczo. Zdjął nogi z biurka i wstał. Przeciągnął się, spojrzął na zegarek. No! - powiedział - czas wziąć się za działanie. - Uśmiechnął się lekko i dodał - niech mi ktoś powie, że istnieje taka bzdura jak zbieg okoliczności! cha, cha, cha, - zaśmiał się sarkastycznie - zbieg okoliczności - powtórzył - taką bzdurę to oni mogą wciskać policji, ale nie mi! Pięknie sobie wszystko zaplanowaliście. Nie ma co! Ale nawet się nie spodziewacie co was dzisiaj czeka!

Rozdział 31

Anna Naderowa siedziała w przedziale pierwszej klasy pociągu Lublin-Warszawa. Miała dokładnie obmyślany plan zemsty.

Uśmiechała się do siebie z zadowoleniem. - Takiego pasztetu w sobotę wieczorem droga Wandziu, w dodatku we własnym domu to się nie spodziewasz! - myślała.

Była żądna zemsty i postanowiła zacząć od tej prymitywnej, pewnej siebie bamberry!

Długo myślała co ma zrobić. Nie miała już takich możliwości jak kiedyś. Głównie ze względu na brak pieniędzy. Ale od czego są bazy! Postanowiła zacząć właśnie od takiego miejsca. Wiedziała, że prędzej czy później coś jej wpadnie w ręce. I nie myliła się! Włożyła rękę do torebki i z rozkoszą dotknęła kilku twardych wypukłości w papierowej torbie. Pomyślała - już ja ci dzisiaj wieczorem pokażę! Będiesz biegać jak zaszczute zwierzę po całym domu z góry na dół, aż w końcu schowasz się w piwnicy ze strachu! Szkoda, że nie miałam więcej pieniędzy, bo bym ci wjechała do domu czołgiem! - rozmyślała, czując, że myślenie o tym co robi dodaje jej odwagi. Starła się nie myśleć o tym co będzie później. Miała szczerą nadzieję, że zanim się wszyscy otrząsną, uda się jej uciec.

Już za pierwszym razem jak poszła na bazar spostrzegła przystojnego, młodego ciemnego Gruzina. Po butach poznała, że jest żołnierzem. Od razu wiedziała czym handluje. Nie miała większych trudności z porozumieniem się z nim. Jej rosyjski nadal był doskonały. Nie mówiąc już o doświadczeniu w zała-

twianiu interesów z Ruskimi. Pamiętała, jak się z nimi rozmawia. Przy trzecim spotkaniu Wołodia przedstawił jej pełen asortyment uzbrojenia byłej Armii Czerwonej. Nawet była rozbawiona tym jak bardzo chciał jej sprzedać UZI. Aż się roześmiała. Ale on to zrozumiał zupełnie inaczej. Z przejęciem obiecywał, że nauczy ją na ich poligonie z tego strzelać. Spojrzała mu wtedy w te przepastne czarne oczy i pomyślała, że miałyby ochotę na zupełnie inne strzelanie. Ale szybko otrząsnęła się z tego marzenia. Już teraz była naprawdę czujna. Wiedziała do czego może doprowadzić lekkomyślność i pewność siebie.

Kupiła od niego pięć ręcznych granatów. Po trzydzieści tysięcy sztuka. Za dodatkowe dziesięć dolarów Wołodia bardzo dokładnie objaśnił jej instrukcję używania. Nie były to bowiem granaty takie sobie zwykłe.

Miały kilka dodatkowych cech, które w zależności od okoliczności temu kto je posiadał dawały sporą przewagę. Anna po tym instruktażu pomyślała sobie, że nigdy w życiu nie przypuszczała, że można tak udoskonalić zwykły granat. Za te dziesięć dolarów otrzymała przeszkolenie godne komandosa z Afganistanu.

Jechała teraz do Warszawy i od czasu do czasu wsuwała dłoń do torebki dotykając papierowej torby.

Odczuwała w tym momencie taką samą radość i satysfakcję jak kiedyś, gdy wozila diamenty.

Wtedy też te zwykłe szare kamyki kryły w sobie siłę i potęgę. I teraz miała w torebce siłę i potęgę. Trochę inną. Ale akurat teraz potrzebowała czegoś takiego.

Rozdział 32

Marian tym razem bardzo szybko uzyskał połączenie przez satelitę. Usłyszał właściwy głos w słuchawce więc wydał krótką dyspozycję - za trzydzieści pięć minut wprowadzamy wariant numer cztery!

- Jesteś pewien! - Marian usłyszał pytanie, którego się spodziewał.

- Rób co ci mówię! - Jego głos stał się ostry.

- Za ile! - tego pytania się spodziewał rzucił krótko - dziesięć procent!

- Od ilu? - padło zasadnicze pytanie.

- Od tyłu co w czerwcu. - W słuchawce przez chwilę była cisza. Po chwili usłyszał - w porządku. Za tyle mogę się podłożyć. Ale, ale!

Kiedy i gdzie odbiór pieniędzy - zapytał głos.

- U mnie w ogrodzie, cztery godziny po zakończeniu akcji

-odpowiedział spokojnie Marian i dodał - przedtem się w żadnym razie nie pokazuj. Nie odbieraj też tego telefonu.

- W porządku! Tylko jeszcze jedno. Który adres?

- Ten pierwszy - odpowiedział Marian spoglądając na zegarek dodał

- minęły już cztery minuty. Zaczynaj!

- Ten pierwszy adres! Tam potrzebuję dużo ludzi!

- To już twoja sprawa. Cena uzgodniona, nie ma o czym dyskutować!

- rzucił ostro i rozłączył się.

Oparł się wygodnie w fotelu a nogi wyciągnął na biurku. Położył dłonie na karku i naciągnął napięte mięśnie. Przez chwilę masował sobie kark. Odczuwał ostry ból w łopatkach. Wiedział, że jest to wynik napięcia. Zapalił kolejnego papiero-

sa. Z niechęcią spojrział na pełną popielniczkę. Pomyślał - no kochani, nawet nie wiecie, że pętla się już wokół was zaciska! Przez chwilę rozglądał się po swojej pięknej, imponującej, urządzonej w wiktoriańskim stylu bibliotece. Jego wzrok zatrzymał się na wypełnionej od podłogi do sufitu półce, z oprawionymi w wiśniową i czarną skórę książkami.

- Taak - zadumał się na chwilę - ciekawe, czy w którejś z was znalazłbym rozwiązanie takiej sytuacji. - Przeciągnął się i powiedział w pustkę ogromnego pokoju - Nic się tak w życiu nie liczy jak doświadczenie! Jeszcze godzina i pieniądze będą moje!

Rozdział 33

Wanda postanowiła natychmiast wydać polecenie Elce odnośnie ciasteczek. Jednak po drodze do jej pokoju, jeszcze raz postanowiła sprawdzić czy wszędzie w domu Elka wykonała polecenia zgodnie z jej życzeniem.

Zaczęła obchód od łazienek na dole. Ocena była pozytywna.

Wszystko lśniło i pachniało. Wszędzie równo poukładane wrzosowe i turkusowe ręczniki z jedwabnym haftem. Lustra tak wyświecone, że apartament królewski na warszawskim zamku by się nie powstydział. Wanda zajrzała w każdy kąt i zakamarek. Wszędzie było tak czysto, że nawet pomyślała - może mnie jednak trochę za bardzo poniosło w tym stołowym. Chyba jej nie zwolnię. Gdzie ja znajdę taką czystą gospochę?

Na górze było tak samo. Podłoga lśniła jak lustro. Na poręczach ani śladu rąk. Postanowiła jakoś udobruchać panią Elkę.

Przeszła do końca korytarza i weszła stromymi schodami na piętro do przybudówki nad garażem. Lekko zapukała, ale nie czekając na przyzwolenie weszła do środka. Elka siedziała na łóżku i przerażonym wzrokiem patrzyła na nią. Od razu spostrzegła, że Elka płakała. Ale postanowiła udawać, że nie wie dlaczego. Nie zamykając drzwi z ręką na klamce powiedziała krótko - no co Elka taka naburmuszona? Jak Elka chce to ukarani Gabiego i jutro nie dostanie żarcia, tylko wodę. Ale co to da? Głupie zwierzę i tak nie rozumie. Ale Elka nie jest głupia i chyba tego nie chce? Co? Gospościa wpatrywała się w swoją chlebowawczynię i próbowała wydobyć z siebie odpowiedź - nie, no nie wiem ... pewnie,

że nie - jąkała się - co głupie zwierzę jest winne ... ja nie wiem. Bo ja chciałam pani powiedzieć, że pan Jacek ... - Ale Wanda wpadła jej w słowo - oj! Co Jacek ...jemu już nic nie jest, zresztą niech się Elka nie przejmuję, on już zapomniał o tej historii z lodówką. Elka zaczęła gwałtownie zaprzeczać kiwając głową i powiedziała - nie, nie, pan Jacek ... - zawahała się ale szybko dodała - pan Jacek może mieć kłopoty! Bo on ... - ale nie skończyła zdania. Wanda ponownie jej przerwała: - Och naprawdę niech się Elka o niego nie martwi. Zdrowy chłopak i nic mu nie będzie. Ale nie po to osobiście się tu do Elki fatygowałam. - Zawiesiła głos i dodała słodko - Tak się jakoś stało, że nie ma już tych pysznych ciasteczek maślanych. A wszyscy za nimi przepadają i wychwalają talenty pani celowo powiedziała, pani. Wiedziała, że polechce tym jej ambicje - jest jeszcze przeszło godzina do wizyty gości. Niech pani upiecze ze dwie blaszki. Dobrze? - spytała i przez chwilę przyglądała się twarzy gosposi. Widząc, że ta ma nadal dziwną minę dodała - Oj! Niech mi Elka nie kaprysi! Nie mówiłam poważnie o tym zwolnieniu z pracy! Może zostać, i nie będę odciągała za to co Gabi zjadł! Tylko niech już idzie robić te ciasteczka! Odwróciła się i wyszła.

Schodząc szerokimi schodami do salonu pomyślała. - Chyba szczęście zaczyna się do mnie uśmiechać. Mam taki piękny dom. Dużo pieniędzy. Dzisiejszego wieczoru wydam wspaniałe przyjęcie. Nic złego się wokół mnie nie dzieje. Zasłużyłam sobie na lampkę szampana. - Podeszła do stolika. Otworzyła francuskiego szampana. Nalała do smukłego kryształowego kieliszka.

Stanąła przed lustrem, uśmiechnęła się do siebie zalotnie i podnosząc kieliszek powiedziała - za twoje zdrowie Wando Rutkowska. Oby szczęście ci zawsze dopisywało!

Rozdział 34

Elka schodząc na dół do piwnicy po specjalne holenderskie masło do ciasteczek, pomyślała, że dobrze, jeszcze dzisiaj zostanie skoro pani ją tak prosi. Ale jutro sama da -mówienie. Bo ta historia z dokumentami pana Jacka i pana Łukasza musi się źle skończyć. Weszła do piwnicznej spiżarni nie zapalając światła. Od dziecka nauczona została oszczędności. Nie było potrzeby zapalania oświetlenia skoro i tak dobrze wiedziała gdzie co stoi. A otwierając pokrywę zamrażarki, światelko wewnątrz zapalało się automatycznie.

Weszła do środka i nagle zatrzymała się sparaliżowana strachem. Poczowała, że serce jej zamiera. Przerazona patrzyła w górę na małe okienko piwniczne. Za tym oknem nieruchomo w rozkroku stały tyłem czyjeś nogi. Były to męskie nogi. Obute w wysokie sznurowane buty. Żołnierskie buty! Takie same, tylko czarne, wojsko nosiło idąc na poligon. Pomyślała: - Boże! To moja wina! Wojsko przyjechało po pana Jacka. A ja nie powiedziałam pani, że wiem o dokumentach! Co teraz będzie! W co młody pan się wplątał! Co ja mam zrobić? Boże oświeć mnie! -myślała błagalnie wznosząc oczy w górę.

W tej samej chwili włączył się agregat zamrażarki. Cicho kojąco zaczął mrużyć. Elka spojrzała w tamtą stronę i pomyślała: - Tak zrobię! Upiekę ciasteczka i nic nikomu nie powiem! Bo jak powiem to będzie na mnie. Ponownie spojrzała w okienko. Czarne nogi nadal stały w rozkroku i nie ruszały się. Pomyślała - a może ja się mylę, i dzisiaj ma być

na kolacji ktoś ważny i to jest taka ochrona. Przecież biskup też miał czasami ochronę. Pomyślała i uspokojona powoli wyszła ze spiżarni. Zastanowiła się jeszcze, czy wyjąć masło z zamrażarki czy nie. Ale na wszelki wypadek zrezygnowała. I poszła do kuchni piec ciasteczka.

Rozdział 35

W pokoju Jacka Łukasz zgasił światło i stał przy oknie. Przez chwilę Jacek się buntował, ale w końcu założył sobie słuchawki, zaniknął oczy i słuchając Stinga położył się na łóżku. Postanowił się odprężyć przed pewną jak w banku wieczorną awanturą matki z Moniką.

Nawet się cieszył ze spotkania z nią. Był bardzo ciekaw jak teraz jego przyrodnia siostra wygląda. Kiedyś mu się bardzo podobała. Monika powiedziała mu przez telefon, że ma dla matki niespodziankę. Ale nie chciała powiedzieć co to będzie. Śmiała się tylko i powtarzała: - Zobaczysz, zobaczysz, sam się zdziwisz - jego bardzo ta niespodzianka intrygowała. Zastanawiał się co to może być. Tym bardziej, że Monika powiedziała, że z tymi znajomymi z którymi leci do Warszawy była akurat na super przyjęciu, gdy dowiedzieli się, że w Warszawie jest impreza. No to postanowili przylecieć.

Jacek miał nadzieję, że razem we trójkę urwą się z tej nudnej kolacji i pojedą pod Warszawę na tamtą balangę.

Łukasz stał w ciemnym kącie i obserwował ulicę. Ale mimo swojej obsesyjnej podejrzliwości, nie dostrzegł nic takiego, co mogłoby go zaniepokoić.

Mimo to nie odchodził od okna. Miał złe przeczucie.

Rozdział 36

Agata ostatni raz przesuając szczotką po włosach pomyślała, że jest to naprawdę ciężka praca i wcale się nie dziwi, że Scarlet O'Hara miała do tego służącą.

Ale już po chwili spoglądając z satysfakcją na piękne lśniące, długie, puszyste włosy stwierdziła, że wysiłki się opłaciły.

Pomyślała: - Tak między Bogiem a prawdą to z taką twarzą nawet nie powinnam się malować. Kiedyś musiałam włożyć sporo wysiłku w to, żeby odjąć sobie pięć lat. To dlaczego teraz mam sobie dodawać! Delikatnymi ruchami obsypała twarz sypkim, jasnym pudrem.

Następnie przez dwadzieścia minut starannie, powoli tuszowała rzęsy czarnym, lśniącym tuszem. Na sam koniec leciutko pociągnęła końcówki długich rzęs granatowym. Zabieg ten sprawdziła już dawno. Ta odrobina granatu nadawała oczom głębię i subtelny niebieski odcień. Na usta nałożyła pędzelkiem cienką warstwę czerwonej pomadki. Środek serduszka ust wypełniła małą plamką o ton jaśniejszej szminki. Dzięki tej małej różnicy kolorów stawały się pełniejsze i bardziej namiętne.

Uważnie przyjrzała się sobie. Stwierdziła z przyjemnością, że wyglądała pięknie. Na koniec delikatnym różowym pudrem podkreśliła wystające kości policzkowe. Ale nie robiła tego tak jak ooisują we wszystkich kobiecych żurnalach. Ona miała swój sposób. Ciemniejszą smugę malowała poniżej kości policzkowych. W ten sposób uzyskiwała bardzo koci wyraz twarzy.

Ubierając piękny, błękitny kostium zastanowiła się, czy nie zrezygnować jeszcze z tej nudnej kolacji u Wandy Rutkowskiej i nie pojechać do "Stodoły". Pomyślała - Dzisiaj sobota, może bym spotkała tego przystojnego bruneta? Wyglądam tak szalowo, może jednak lepiej poszukam go w mieście? - Ale zrezygnowała z tego zamiaru. Bo nie mogła jednak oprzeć się typowo kobiecej pokusie: popsucia humoru innej kobiecie. - No tak -pomyślała - do tego zestawu idealnie pasowałoby ładne futerko. Przecież nie mogę założyć tego starego taniego flauszowego płaszcza. Zdecydowała, że narzuci tylko na ramiona swój kremowy frencz. Zamówiła taksówkę i przystąpiła do swojej ulubionej czynności. Do perfumowania się. Zawsze zostawiała to na koniec. Traktowała to jak wykwintny deser.

Rozdział 37

Marian tym razem postanowił sam, osobiście przypilnować akcji. Wyszkolona, najbardziej profesjonalna brygada "Pułkownika", powoli, bezszmerowo i niewidocznie zajmowała wyznaczone pozycje na terenie ogrodu, dachu i w promieniu dwustu metrów poza obrębem posiadłości Wandy Rutkowskiej. Dokładnie wiedzieli kogo szukają. "Pułkownik" pokazał im zdjęcia. Rozkaz był wyraźny.

Tylko te osoby, reszty nie ruszać!

Z psami "Pułkownik" poradził sobie sam. Zawsze lubił to robić.

Dostały mięso nafaszerowane usypiającym narkotykiem. Ale przedtem wykonały dla "Pułkownika" upiorny koncert szczekania. Do nagrania wystarczyły trzy minuty. "Pułkownik" przekonał się, że ten śmieszny pozornie pomysł, puszczenia taśmy z nagraniem szczekania kilka razy uchronił jego brygadę od dodatkowych, zbędnych przy przeprowadzaniu akcji komplikacji.

Był fachowcem. Nie zaniedbywał drobiazgów. Zawsze powtarzał swoim ludziom, że diabeł siedzi właśnie w drobiazgach.

Siedząc w zaparkowanym za zakrętem samochodzie sprawdził łączność ze wszystkimi ludźmi. Wszystko grało. Każdy potwierdził miejsce rozmieszczenia, odległość od bramy wjazdowej na posesję, widoczność, oraz wzrokowy kontakt z jednym uczestnikiem akcji.

Teraz pozostało tylko czekać na gości.

Pierwszym samochodem, który podjechał pod bramę posiadłości była taksówka. Akurat w momencie, w którym Agata nadusiła przycisk dzwonka podjechał biały Polonez. Agacie

było zimno w narzuconym na ramiona cienkim płaszczu, ale postanowiła poczekać na gości akurat wysiadających z zaparkowanego przed dużym Jeepem Poloneza. Na ulicy było bardzo jasno, dlatego od razu rozpoznała wysiadającego mężczyznę. Był to ten sam człowiek, który przed laty załatwiał im przemyt przez granicę.

Agata go nigdy nie poznała osobiście. Ale kilka razy widziała go z Wandą. - No ciekawa jestem o co w tym wszystkim chodzi? - pomyślała - kiedyś Wanda broniła się pazurami, żeby mnie z nim nie poznać, a teraz zaprasza na wspólną kolację. - Domyśliła się, że ta skromna kobieta obok niego to żona. Uśmiechnęła się promiennie i powiedziała - Dobry wieczór państwu. Widzę, że ten wspaniały wieczór spędzimy razem - i przywitała się.

Tomek był cały zachwycony. Bez skrepowania, taksując wzrokiem, oglądał Agatę od góry do dołu. Bardzo dobrze ją pamiętał, ale nie spodziewał się, że jest aż taka piękna.

Jego żona wyraźnie okazała niezadowolenie z tego spotkania.

Bardzo oschle przywitała się, podając dłoń jak kawałek gumy i cedząc nazwisko pod nosem.

Całą tą krótką scenę bacznie oglądała na małym monitorze w hallu Wanda. Nadusiła przycisk i wpuściła ich do środka. Otworzyła drzwi i stojąc w progu, rozkładając ramiona w powitalnym geście powiedziała: - Witam, witam moich przemiłych gości! Widzę, że już zdążyliście się poznać. Bardzo się z tego cieszę! - Cofnęła się do wnętrza domu i zawołała - Jacek! Goście przyjechali!

W tym samym momencie Agata przekroczyła próg i znalazła się na wprost Wandy w rześście oświetlonym hallu.

- Jak to ... zdążyła powiedzieć Wanda i zaniemówiła. Stała z otwartymi ustami i wpatrywała się w Agatę. Ta nie odzywając się uśmiechała się do niej łagodnie.

Zaskakujące zachowanie gospodyni udzieliło się pozostałym gościom. Przez chwilę w kompletnej ciszy wszyscy przy-

glądali się stojącej na środku, uśmiechającej się, pięknej dziewczynie.

- Agata! co się stało z twoją twarzą?! - palnęła Wanda.

- Ojj! - Agata roześmiała się pełnym radosnym śmiechem - ładnie mnie witasz - i dodała rozbawiona - a co nie podobam ci się? - Zdejmując narzucony płaszcz pięknym kobiecym ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu.

Akurat ten ruch zdążył zobaczyć schodzący z góry Jacek. Patrzył na dziewczynę stojącą tyłem do niego, na ten upojny ruch głową i nie wierzył własnym oczom. Zatrzymał się i wstrzymując oddech z walącym jak młot sercem czekał aż się odwróci. - Nie to niemożliwe - przeleciało mu przez głowę.

Agata, powoli odwróciła się podążając za wzrokiem Wandy, utkwionym od chwili gdzieś nad jej głową.

Uśmiech zamarł jej na twarzy. Poczwała, że to co się w tej chwili dzieje w tym pomieszczeniu, jest czymś niezwykłym. Nogi się pod nią ugięły. Miała wrażenie, że czuje, dosłownie czuje jak ją obejmują jego ramiona. Nic i nikt poza nimi nie było w tym momencie ważne. Patrzyła w jego zdumione, zachwycone oczy i pomyślała błyskawicznie - Boże, kiedy ci się za to wszystko odwdzięczę, ale spraw, żeby to nie był sen!

Spytała cicho - Jacek? Jacek na dźwięk swojego imienia wypowiedzanego przez jej usta lekko potrząsnął głową, zupełnie jakby obudził się z hipnozy. Cztery stopnie schodów które dzieliły go od Agaty przeskoczył jednym susem i nie mogąc się opanować, nie zważając na nikogo chwycił ją w ramiona i przytulił. Agata poczuła, że tym razem naprawdę nogi się pod nią uginają. Na ułamek sekundy poddała się temu uniesieniu i czule przyłgnęła do niego. Zdumiona do granic możliwości Wanda przyglądała się tej scenie. Musiała przyznać, że Agata wyglądała wręcz promiennie. Była młodsza o co najmniej dziesięć lat. Wanda spodzie-

wała się skojarzyć tę parę, ale żeby tak szybko i gwałtownie, to nie przypuszczała. Pomyślała, że koniecznie, przy najbliższej okazji musi powiedzieć Jackowi, ile on naprawdę ma lat! Nagle . przyszło jej do głowy, że może oni się już znają, a ona o tym nie wie! Zapytała więc - A! To wy się znacie?! - Jednocześnie bacznie im się przyglądając.

Agata resztkami woli delikatnie uwolniła się z ramion Jacka, spojrzała mu zalotnie w oczy.

Zrozumiał to spojrzenie. Oboje udając zdziwienie, równocześnie odpowiedzieli - Neeee!!

Wypadło to zabawnie i jednocześnie rozładowała się pełna napięcia sytuacja. Wszyscy parsknęli śmiechem.

Całą tę scenę z rozbawieniem obserwował stojący obok Łukasz.

Jacek dostrzegł go dopiero teraz. Powiedział swobodnie - mamó, skoro już się poznaliśmy to może jeszcze przedstawimy Łukasza.

Wanda dopełniła obowiązku gospodyni mówiąc - mojego syna już poznałaś, a to jego kolega Łukasz Blumsztein.

Podając mu rękę i uśmiechając się Agata pomyślała, że bardzo szybko spełnia się jej prośba. To nie jest sen. Rachunek za Jacka stoi obok niego! Poczowała, że zbladła, ale szybko się opanowała.

Postanowiła poczekać i dowiedzieć się o co chodzi. Nie miała wprawdzie złych przeczuć, ale wytłumaczyła sobie, że jest omamiona spotkaniem z Jackiem i dlatego nie wyczuwa niebezpieczeństwa. Bo tego, że takowe istnieje, była pewna. W takie zbiegi okoliczności nie wierzyła. - Cholera jasna - pomyślała, - za tym wszystkim musi stać Marian! Tylko po co?! - rozmyślała siadając przy pięknie, suto zastawionym stole.

Obok niej Wanda posadziła Tomka. Jacek usiadł naprzeciwko. Nie odrywał od niej zachwyconego wzroku.

Wanda obserwowała zachowanie się syna i była zadowolona z siebie. Pomyślała - no! Już jak ja coś wymyślę to musi być bomba!

Rozdział 38

Marian Blurnsztein siedząc razem z "Pułkownikiem" w samochodzie wysłuchał pełnego meldunku o tym co się działo na ulicy. Kto przyjechał, o której godzinie, kto z kim ile minut i o czym rozmawiał.

Był spokojny i rozluźniony. Jak na razie wszystko układało się według jego przewidywań. Pozostawało tylko poczekać na jeszcze jedną osobę.

Na gościa z Holandii. Według jego obliczeń powinna się tu pojawić za dwadzieścia minut, góra pół godziny. I o to był spokojny.

"Pułkownik" wysłał człowieka na lotnisko. Gdy tylko samolot wylądował, otrzymają meldunek.

Właśnie rozmawiali z "Pułkownikiem" o dalszej części akcji, rozważając różne warianty gdy odezwała się czujka: - Uwaga meldunek! coś się dzieje!

- Co? - krótko spytał "Pułkownik".

- Od strony zachodniej podjechała taksówka. Zatrzymała się. W środku siedzi kobieta. Taksówka stoi na zgaszonych światłach.

Kobieta nie wysiada.

- Możesz jej się przyjrzeć - spytał.

- Mogę, ale muszę się przesunąć i stracę kontakt wzrokowy z trójką.

Marian uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Spojrzał na

"Pułkownika" i skinął przyzwalająco głową.

- W porządku, tylko szybko! - padło polecenie. Nie minęła nawet chwila gdy usłyszeli - już melduję. Blondynka, średniego wzrostu, rozgląda się nerwowo po ulicy. Na ulicy nikogo nie ma. Słabo widzę twarz, bo podniosła kołnierz futra. Ale chyba koło

czterdziestki. Uwaga! Taksówka ruszyła i powoli jedzie wzdłuż ogrodzenia posesji. Na przestrzeni 500 metrów nie ma innych domów. Tylko ogrody z posesji na froncie.

- W którą stronę jadą?

- Właśnie zawracają i jadą w waszą ulicę! Uwaga, są od was pół minuty drogi!

- Ale masz sprzęt! - z nieukrywanym podziwem powiedział Marian. - Zdradź mi tajemnicę. Podczerven w kolorze, czy jeszcze coś nowego.

- Zupełna nówka - odpowiedział "Pułkownik" - pozostałość po zaprzyjaźnionej armii ... - przerwał bo w tym momencie wyjechała z zakrętu taksówka. Jechała bardzo powoli. Nawet nie musieli się chować. Kobieta siedząca w środku zainteresowana była obserwacją stojącej w wielkim ogrodzie willi. Dom widoczny był z trzech stron, ponieważ parcela na której stał była narożnikowa.

- A to co za cholera - rzucił Marian wpatrując się w mały monitor, na którym wyraźnie widział twarz kobiety w taksówce. Pokaż mi kierowcę i sprawdź czy nie ma jeszcze kogoś w środku. "Pułkownik" wykonał polecenie. Tak jak poprzednio, najpierw na ekranie pokazały się kolorowe kontury twarzy i po chwili wyraźna fizjonomia kierowcy. Sprawdziłeś - spytał Marian.

- Sprawdziłem - komputer podaje, że tylko dwoje ludzi jest w środku. Dać ci jeszcze raz kobietę? - spytał i dodał widząc, że Marian się zastanawia - decyduj się, bo jak wjadą w tamtą ulicę to będą poza zasięgiem termicznych fal.

- Nie - padła odpowiedź. - Widziałem ją wyraźnie. Nie wiem kto to jest. A ty nie znasz jej? - spytał.

- Nie. Nigdy jej nie widziałem. Ale na wszelki wypadek możemy sprawdzić.

- Nie zwracaj sobie głowy. - Marian zamyślił się na chwilę i dodał - niech twoi chłopcy się nią nie zajmują. Czekamy na kogo innego.
- Myślisz, że jest podstawiona, zanim przyjedzie tamta?
- Dokładnie tak. Nie możemy się w taki śmieszny sposób zdemaskować.
- No to czekamy?
- Czekamy.

Rozdział 39

Wanda, nie zanedbując gości, zerknęła czujnie od czasu do czasu na Agatę. Szczodłą ręką podsuwała kawior, sałatkę z homara, maleńkie jak monety chrupiące bułeczki. Jacek zajmował się alkoholami. Ale robił to automatycznie. Był tak bez reszty pochłonięty patrzeniem na Agatę, że z rozpędu, nalał Kasi - żonie Tomka do szklanki zamiast wody mineralnej, czystą whisky.

Katarzyna wyraziła swoje niezadowolenie kwaśną miną. Widać było po niej, że jest bardzo niezadowolona z takiego ogromnego zainteresowania mężczyzną obecną przy stole dziewczyną.

Wanda patrzyła na Agatę i znowu dostrzegła doskonale obcięte, piękne gęste włosy. Piękną zmysłową, o kocim wyrazie twarzy. Nie uszedł jej uwadze doskonały kostium, w którym od razu rozpoznała francuski krój, a co za tym idzie - cenę. Pomyślała, że koniecznie musi wyciągnąć Agatę na chwilę do kuchni i dowiedzieć się skąd ta nowa twarz a co najważniejsze, kto za to wszystko zapłacił.

Tocząca się przy stole rozmowa była banalna.

Agata była przyzwyczajona do zachwyconych spojrzeń, ale w tej sytuacji, promienny, upojny wzrok Jacka trochę ją krępował. Nie chciała, żeby ktoś domyślił się jak bardzo ona też jest przejęta tym co się stało.

Spojrzała na Jacka ponad stołem. Ich oczy spotkały się. Uczucie, którym serce jego było wypełnione odzwierciedlało się na jego twarzy.

Starannie unikając czujnego wzroku Wandy i jadowitego spojrzenia żony Tomka przeniosła wzrok na Łukasza. Akurat ten mężczyzna odnosił się do niej obojętnie. Zastanowiła się nad tym, że w ogóle nie jest podobny do Mariana Blumszteina. Ale nie uszło jej uwadze, że jest bardzo spięty i niespokojny. Ciągłe zerkał w stronę okien i drzwi. To ją trochę zaniepokoiło.

Nagle poczuła, że musi być przez chwilę sama i zastanowić się nad tym wszystkim. Wstała od stołu i uśmiechając się do wszystkich powiedziała - przepraszam - i wyszła odprowadzona zachwyconym spojrzeniem Jacka. Tomek fachowym okiem mężczyzny rozkochanego w wysokich kobietach odwracając się za nią zmierzył ją od góry do dołu i aż mlasnął z zachwytem. Ale skarcony ostrym wzrokiem swojej żony, pokornie zajął się przyprawianiem befsztyka tatarskiego.

Agata weszła do łazienki. Zamknęła się. Na nadgarstki rąk puściła silny strumień wody. Przez chwilę patrzyła na swoje odbicie w wielkim lustrze. Strumień zimnej wody trochę ją ostudził. Wytarła ręce i poprawiła pomadką usta. I w tym momencie przypomniała sobie jak wyglądała miesiąc temu. Wtedy po raz pierwszy spostrzegła małe pionowe zmarszczki wokół ust. Jeszcze prawie niewidoczne, ale jakże okrutne gdy się je dostrzega, pierwszy raz! - A teraz! Ani śladu! - pomyślała - o Boże czyżbym naprawdę uwierzyła, że mam 25 lat! Co się ze mną dzieje!? Przecież ten chłopak nie ma więcej jak 20! - Myślała z prawdziwym przerażeniem - jeszcze nie jest za późno! - Mrużąc oczy powiedziała ostro do siebie w lustrze - puknij się w głowę! Nie masz 25 lat tylko 35!! Ale nic to nie pomogło, bo nagle z przerażeniem stwierdziła, że chce być zakochana! Jak niczego na świecie pragnie czulej, młodej miłości. Pełnych fascynacji spojrzeń, wpatrywania się godzinami w telefon, który nie dzwoni, głuchych telefonów. Małych sprzeczek, o byle co, które i tak prowadzą do zgody. Ponownie powiedziała na głos - już nie chcę łóżka! Chcę opę-

tańczej, szczeniackiej miłości, scen upiornej zazdrości. Jego zaborczej miłości, braku zrozumienia. Obrażania się i godzenia. Łez w poduszkę i swoich i jego! Chcę tego wszystkiego co jest upajającym koszmarem jak się ma 25 lat!

Przepełniona tym postanowieniem otworzyła drzwi i już miała wyjść gdy jednocześnie usłyszała potworny huk i trwające ułamek sekundy drżenie budynku.

Zamarła przerażona.

Rozdział 40

Anna Naderowa długo nie musiała szukać miejsca z którego postanowiła rozpocząć atak. Idealne okazało się łagodne wzniesienie przy parkanie na tyłach ogrodu. Wprawdzie dom stał dosyć daleko, ale za to nie zasłaniały go drzewa. W tym miejscu bowiem był basen. Idąc pustą ulicą w stronę upatrzonego miejsca starała się wyglądać na osobę która się trochę spieszy, ale nie za bardzo.

Zastanowiło ją tylko, dlaczego psy Wandy nie ujadają pod płotem. Ale już była obok wzniesienia. Zwolniła kroku. Odbezpieczyła granat i nie zatrzymując się, zgodnie z instrukcją Wołodii odliczyła czas i rzuciła najdalej jak potrafiła. Z tej odległości nie mogła się upewnić czy w basenie jest woda czy nie. Ale miała nadzieję, że Wanda w tym wypadku ma takie same zwyczaje jakie miała ona mieszkając na "Wawelu".

Odbezpieczyła następny granat i przesunąwszy małym pokrętłem dwa punkty rzuciła w lewą stronę. Chciała, żeby trafił obok dużego tarasu na parterze.

Miała nadzieję, że Wanda jest w domu i siedzi właśnie w tym salonie. Prawie równoczesne, dwa ogromne wstrząsy i towarzyszący im huk zatrzęsły willą. Z tarasowego okna poleciały szyby. A ogromna wysoka na trzy metry fala wody z basenu wyrywając okno wdarła się bez przeszkód do salonu, zalewając dosłownie wszystko.

Rozdział 41

Już po pierwszym wybuchu "Pułkownik" starając się opanować zaskoczenie wydał krótki ostry rozkaz - natychmiast meldować! Co jest do kurwv nędzy! - Wiedział, że to nie jego ludzie. Nie mieli przy sobie granatów. Nie mieli żadnej broni! Oczywiście nie licząc morderczej fachowości w dłoniach.

- Dwójka, trójka, meldujcie do cholery! Co to jest! - Meldunek wprawdzie został podany, ale zagłuszył go kolejny wybuch.

"Pułkownik" po sile wybuchu, wiedział co zostało rzucone. Spojrzał na zdumionego Mariana i rzucił ostro - Kurwa mać, to są ruskie odłamkowe, co tu ... - ale nie skończył bo odezwał się głos czujki stojącej na dachu - widzę ją, to ta kobieta z taksówki! - meldujący mówił szybko, fachowo, spokojnie. - Jaki rozkaz? - padło pytanie.

- Stój tam gdzie stoisz - "Pułkownik" już był opanowany. Zerknął na Mariana i zapytał - zdejmujemy tę babę? Marian odpowiedział krótko - natychmiast! Musimy się dowiedzieć o co chodzi... chciał dodać jeszcze coś, aie "Pułkownik" szybko wydał dyspozycje - siódemka, ósemka - macieja najbliżej! natychmiast zatrzymać tę piekielną babę i przyprowadzić do mnie! Tylko ostrożnie! Sprawdzić dokładnie co jeszcze ma przy sobie oprócz granatów! Uwaga! Nawet paznokcia nie możecie jej złamać!

Rozdział 42

Anna po usłyszeniu drugiego wybuchu odwróciła się za siebie. Chciała wykorzystać zaskoczenie i rzucić następnym granatem od strony ulicy. I stanęła jak wryta. Tuż przed sobą zobaczyła dwie postacie żywcem wyjęte z wiadomości telewizyjnych o zamachach terrorystycznych w Belfaście. Odwrót zagradzało jej dwóch, ubranych na czarno z twarzami w czarnych kominiarkach dwumetrowych mężczyzn. Sparaliżowana strachem nie mogła się ruszyć. Wiedziała, że nawet mrugnięcie okiem może się skończyć przetrąceniem karku. Chciała coś powiedzieć, ale nagle strach przywrócił jej jasność myślenia. Pomyślała: - Niemiecka brygada antyterrorystyczna! Jak ja głupia mogłam pomyśleć, że oni mnie zostawią w spokoju!! - Przez chwilę wpatrywała się w czarne zamaskowane twarze, ale w wyciętych na oczy otworach dostrzegła tylko złe, zacięte spojrzenia.

Pomyślała - nawet nie wiem, czy rozumieją po Polsku! -wszystkie najgorsze, najczarniejsze myśli jak błyskawica przeleciały jej przez głowę - To koniec - pomyślała ... I nagle wpadł jej do głowy genialny w tej sytuacji pomysł. Przez chwilę wpatrywała się w nich wielkimi oczami, poczekała chwilę aż łzy napłyną jej do oczu - powoli podniosła trzęsące się ręce do twarzy i zakrywając się nimi i zaczęła płakać...

Pierwszy wybuch tak mocno zatrzęsł stołem w jadalnym salonie, że przewróciły się kieliszki, które akurat przed chwilą Jacek napełnił francuskim szapanem. Nikt nie zdążył nawet pomyśleć co i dlaczego się stało, gdy domem wstrząsnął drugi

wybuch. Pierwszy od stołu zerwał się Tomek i krzyżąc - wszyscy pod stół! - wybiegł z pokoju.

Miał zamiar zobaczyć co się dzieje. Huk wybuchu wyraźnie dobiegał od strony ogrodu.

Ale w chwili gdy otworzył na oścież podwójne drzwi od salonu wystarczył ułamek sekundy, żeby je natychmiast zamknąć z powrotem. Jego oczom ukazał się zdemolowany wodą salon. Przez wyrwane z futryną okno akurat łagodną falą spływał do ogrodu bukiet róż ze stłuczonego wazonu, obraz ze ściany i potłuczony serwis do herbaty z chińskiej porcelany. Jako ostatni, spływał różowy jedwabny obrus.

Zatrzasnął drzwi zastawiając je sekretarzykiem stojącym obok. W tym momencie dostrzegł przy drzwiach łazienki skamieniałą postać Agaty. Już chciał krzyknąć, że ma się schować, ale akurat z jadalni wybiegł Jacek, a za nim Łukasz. Pędem wbiegli po schodach na górę. Na pierwszym podejściu schodów Jacek dostrzegł stojącą niżej Agatę. Dwoma susami znalazł się przy niej. Chwycił za rękę i rzucając krótkie - chodź - pociągnął ze sobą na schody. Na zdumionego Tomka nawet nie spojrzął.

Cała trójka wpadła do pokoju Jacka. Nikt się nie odzywał. Agata ze zdumieniem patrzyła na ich zawzięte, wystraszone twarze.

Pomyślała, że obaj wyglądają o dziesięć lat doroślej, niż jeszcze pięć minut temu przy stole. Obaj chwycili kurtki. Wszystko działo się błyskawicznie.

Jacek spod poduszki wyjął jakieś zawiniątko. Pytająco spojrzął na Łukasza. Ten tylko skinął przyzwalająco głową. Nikt się nie odezwał. Agata stojąc przy drzwiach obserwowała ich. Nic nie rozumiała, ale zdawała sobie sprawę, że ci dwaj dobrze wiedzą co się tu dzieje i dlaczego ktoś rzuca bombami w ogrodzie. Czuła, że jakaś siła odbiera jej rozum. Nie potrafiła nawet logicznie myśleć. Ale gorsze było to, że pomyślała jedno - o Boże to mi się naprawdę podoba! - Patrzyła jak Łukasz gwałtownie

wyszarpuje z łóżka prześcieradło. I mówi w stronę stojącego przy szafie Jacka - Torba!!!

Jak na zwolnionym filmie przerażona zobaczyła w dłoni Jacka torbę!! Brezentową, beżową torbę ze skórzanymi uchwytyami. Wyraźnie widziała odznaczające się przez miękką tkaninę kartony Marlboro! - Boże!! To przecież ta sama torba. Ta sama, którą przywiozłam ze Szwajcarii! O co tu chodzi!? - pomyślała i ze strachu zamknęła oczy.

Nagle poczuła dłoń Jacka zaciskającą się na jej dłoni i mocne szarpnięcie. Usłyszała - szybko!! wiejemy stąd!! - otworzyła oczy i przerażona spojrzała na niego. Chciała coś powiedzieć. Zanim zdążyła otworzyć usta byli już na dole i zbiegli schodami do garażu. Jacek mocno trzymał ją za rękę i po drodze tylko rzucił - nic się nie bój! Później ci wszystko wytłumaczę. Zatrzymali się w dużym garażu. Jacek otworzył małą skrynkę na ścianie i błyskawicznie przydusił kilka kolorowych guzików.

W tym momencie rozległ się straszny świst i wycie syreny alarmowej. Łukasz rzucił - jeszcze bramy! - Jacek coś nadusił i zaczęła się unosić brama garażu. - Spróbujemy od strony kuchni! - wszystkie dyspozycje wydawał Łukasz. On też trzymał pod pachą zawiniętą w prześcieradło torbę. Ruszyli biegiem na górę, wpadli do kuchni, Łukasz zatrzymał się na chwilę i starając się opanować zdenerwowanie powiedział: - słuchajcie, od tego jak szybko przebiegniemy przez ogród zależy)' wszystko - spojrzał na Agatę i dodał - zdejmij te szpilki! Musisz biec boso! - Agata bez słowa wykonała polecenie. Trzymała buty w dłoni. Łukasz już otwierał drzwi ale dodał szybko:

- Od tej strony będzie pusto, żadnych samochodów! Oni wszyscy wpadną do domu, jak zobaczą otwartą bramę i garaż. Musimy dobiec do twojego Jeepa! Spojrzał na ich przerażone miny i stanowczo dodał - musi się udać!!

Agata pomyślała-jacy oni?! - ale już nie było czasu na żadne pytania.

Otworzyli drzwi i pędem ruszyli przez ogród. Nawet nie wiedziała jak przeskoczyła przez płot. Nagle już na ulicy, poczuła, że okropnie boli ją lewe udo. Ale w tym szaleńczym biegu taka myśl trwała tylko ułamek sekundy.

Ledwo zdążyli wskoczyć do Jeepa, Łukasz ruszył zrywając asfalt. Ale ku jej ogromnemu zdumieniu nie jechali ulicą, tylko na pełnym gazie przejechali przez ogród Wandy, taranując przy tym parkan. Nikt nie odezwał się, aż do momentu w którym Jacek zapytał -1 dokąd teraz?

- Musimy jak najszybciej wydostać się stąd - odpowiedział Łukasz.

- No dobra, ale do granicy mamy co najmniej pięć godzin -Agata pomyślała, że oni chyba oszaleli. - Jaka granica!

- Masz paszport? - Łukasz rzucił w stronę Agaty.

- Jaaa? - jej zdumienie nie miało granic.

- No tak, ty! Ciebie pytam - jego głos był ostry, ale spostrzegł wściekły wzrok Jacka, więc dodał łagodniej - już teraz musisz jechać z nami. - Zawahał się przez chwilę i dodał - Mamy przy sobie coś takiego, że lepiej będzie dla ciebie, jeżeli nigdy nie złapią cię ludzie, do których to należy.

- Co takiego? - spytała maskując zdenerwowanie, jednocześnie spojrzała prosiącym wzrokiem na Jacka. Wiedziała, że on się jej nie oprze, Jacek już chciał coś powiedzieć, ale Łukasz był szybszy - rzucił - powiemy ci jak przekroczymy granicę. Jacek szybko dodał chcąc załagodzić sytuację. - Najlepsze w tym wszystkim jest to, że my to mamy, a nie wiemy czyje to jest. Ale nie martw się kochanie - mówił patrząc czule w jej oczy, to jest coś takiego, że będziemy żyli w Monte Carlo jak książęta. Czule pieszcząc jej dłoń dodał - to nie jest ważne czyje to było. Teraz jest nasze!

Agata pomyślała w tym momencie, że jeżeli dowie się za chwilę co to jest, to będzie musiała im powiedzieć, że wie czyje to jest!!

Rozważała szybko - co ja mam im powiedzieć! Jak to

się mogło stać, że torba wpadła w ich ręce? Przecież ten zamach w ogrodzie to robota Mariana! O Boże! A może on myśli, że ja o tym wszystkim wiedziałam. O co tu chodzi?! Czy ten Łukasz naprawdę nie wie czyja to torba?! A może tylko udaje!? Przecież on musi wiedzieć, że za tym stoi jego ojciec?!

Wszystkie myśli galopem przelatowały jej przez głowę - Postarała się skupić i pomyślała, - oni wiedzą co jest w torbie, a ja wiem czyje to jest! Muszę im powiedzieć! Marian jest bardzo groźnym człowiekiem. Nie przekroczymy granicy! Nie mamy żadnych szans! Agata przytuliła się do Jacka. Przez chwilę nikt, w pędzącym prawie pustymi ulicami samochodzie się nie odezwał. Milczenie nagle przerwał Łukasz.

- Mam szalony ale genialny pomysł!

- Znowu - sarkastycznie stwierdził Jacek tuląc do siebie skuloną Agatę.

- Słuchaj! - Jest jeden samochód w Warszawie, którym przekroczymy granicę nie zdejmując nogi z gazu! - przy tych słowach zwolnił i skręcił w lewo. Dodał - pojedziemy po ten samochód.

- Słuchaj stary! Jeżeli myślisz o samochodzie prezydenta, to ja się wypisuję z tej wycieczki! - Jacek rozejrzał się po dzielnicy i domyślił się dokąd jadą. Ale celowo wpadł w żartobliwy ton. Chciał zaimponować Agacie. Miał nawet ochotę szepnąć jej do ucha co jest w torbie, ale spostrzegł w lusterku uważne spojrzenie Łukasza.

- Nie, nie ten samochód. Jest jeszcze jeden!

- Masz kluczyki? - Jacek wiedział o czym samochodzie mowa. W odpowiedzi Łukasz roześmiał się krótko i odpowiedział

- stary wszystko da się otworzyć. Każdy samochód, każde drzwi, wszystkie serca... W tym miejscu Agata nie zastanawiając się skończyła zdanie za niego

tylko parasola w... - w porę ugryzła się w język i roześmiana dodała - znam to powiedzenie. Świetne - powiedziała szybko, chcąc ukryć zmieszanie spytała zwracając się do Jacka:

- Czy wy macie zamiar ukraść samochód? - Jacek zawahał się ale odpowiedział - nie, skąd, musimy go tylko pożyczyć - i dodał, zwracając się do Łukasza - mam nadzieję, że go nie ma w domu.

- Ja też!

- A jak będzie?

- To też sobie poradzę - odpowiedział Łukasz wysiadając z samochodu.

Agata rozejrzała się po ulicy na której się zatrzymali. Stali przed okazałą pięknie utrzymaną przedwojenną willą. Łukasz odwrócił się jeszcze i przyglądając im się przez chwilę powiedział z uśmiechem: - Słuchajcie ptaszki, jak wyjadę z garażu natychmiast się przesiądziecie do mnie, i nie zapomnijcie tego - położył na kolanach Jacka torbę - jeżeli nie wrócę za dziesięć minut to radźcie sobie sami. Agata w tym zamkniętym pudle samochodu nagle poczuła, że cała ta ironia zbiegów okoliczności, jej niewiedza co jest prawdą, co przypadkiem, co podniecającym niebezpieczeństwem a co prawdziwą podniętą obiecywaną przez los miłości w sumie daje jej jedno. Poczucie wolności!

Jacek poczuł, że to jest jedyny moment, żeby jeszcze ją ostrzec.

Bardzo tego nie chciał. Bał się, że ona wysiadzie i ucieknie.

Delikatnie wziął jej twarz w dłonie i nachylił się. Przez chwilę patrzył w oczy i już chciał powiedzieć co im grozi ale poczuł jak serce zaczyna mu walić młotem. Agata delikatnie oswobodziła twarz z jego dłoni i zbliżyła swoje usta do jego ust. Wiedział, że jak ją teraz pocałuje, zakocha się w niej na całe życie! I już nigdy się nie uwolni od siebie. Wpatrywał się w jej kocie, niebieskie jak majowy świt oczy, nachylił się i pocałował ją. Przez chwilę

stali się jednym sercem, oddechem, czułą miłością i uniesieniem.
Parą kochających się ludzi.

Tę wspaniałą chwilę brutalnie przerwało pukanie w szybę.

O metr przed nimi stało zaparkowane z zapalonym silnikiem
BMW.

- Dalej wysiadajcie! - Łukasz był rozbawiony i dodał: oj ptaszki,
zostawić was na chwilę samych to zapominacie nawet o napadzie i
bombach. Biegiem przesiedli się do BMW. - Siadajcie z tyłu - rzucił
Łukasz - długa droga przed nami. Musicie zapiąć pasy. Przez
Warszawę przejechali zgodnie z kodeksem drogowym. Dopiero za
dużą zieloną tablicą z napisem Berlin, Hanower, Hamburg, Łukasz
na dusił gaz.

Agata jeszcze na tamtej ulicy podchodząc do samochodu wiedziała,
że jest to BMW Mariana. Gdy tylko wsiedli przytuliła się do Jacka.
Jacek czule gładził ją po włosach. Delikatnie pocałował ją w
policzek.

Czułość i delikatność z jaką jej dotykał wstrząsnęła nią. Przywarła
do niego mocniej i pomyślała - nie, nie zrezygnuję z tego. nic mnie
nie obchodzi, czyj to samochód, i nawet to, że w tej nieszczęsnej
torbie może być też bomba atomowa! - Uniosła głowę do góry i
drżącym głosem wyszeptała cichutko.

- Nigdy nie zapomnę jak dzisiaj trzymałeś mnie w ramionach. W tej
chwili tylko to się liczy. Już nie mogę i nie chcę od tego uciec.

- Patrząc mu w oczy spytała jeszcze ciszej: - A ty? Czy ty ... zanim
zdażyła skończyć zdanie jego ramiona objęły ją gwałtownie i lekko
uniosły w górę. Jego usta przycisnęły się do jej warg.

Po tym upojnym pocałunku Jacek nie wypuścił jej z ramion.

Pocałował lekko w szyję i do ucha szepnął: - Zupełnie zgłupiałem na
twoim punkcie.

Agata zdała sobie sprawę z tego, że niebezpieczeństwo i strach
ciągle jadą z nimi. Ale wiedziała, że los pcha jej w ręce

skarb, i nie da sobie tego odebrać. Nikt jej nie odbierze bezcennej, bo drugiej szansy na miłość.

Delikatnie rozpięła jeden guzik od koszuli i przytuliła twarz do nagiej piersi Jacka. Słuchając bicia jego serca wyszeptała do siebie - największym szaleństwem w moim życiu jesteś ty. Ale muszę zaryzykować - i pocałowała go czule w miejscu gdzie najgłośniej waliło mu serce.

Uniosła rozpromienione oczy w górę i powiedziała kokieteryjnie przechylając głowę: - Pamiętaj. Nigdy nie noś swetra. Musisz mieć dla mnie zawsze odsłonięte serce.

Wtuliła się w niego i poczuła, że zmęczona zapada w sen.

Rozdział 4 3

Jechali już dobrą godzinę, Łukasz prawie nie zwalniał, cały czas miał na liczniku 160. Pruł środkiem drogi.

Jacek poczekał, aż Agata zasnęła. Wychylił się do przodu i powiedział - zasnęła. Co robimy? Jaki masz plan. - Łukasz odpalił kolejnego papierosa cd tego, którego akurat kończył. Jacek dodał: stary, a jak ona nie ma przy sobie paszportu?

Łukasz spojrział na niego w lusterku i zaciągając się zapytał - szczęśliwy jesteś? - i nie czekając sam odpowiedział - pewnie, że jesteś! Też bym był! - Tu zawiesił głos i dodał - muszę ci stary przyznać, że miałaś rację. Jest piękna! Co ja mówię. Jest szalowa. - Na chwilę przestawił lusterko i spojrział na śpiącą Agatę. Ponownie ustawił lusterko i powiedział - nic się stary nie martw. Tym samochodem przejedziemy granicę bez zatrzymywania. A już na zachodzie kupisz jej taki paszport jaki będzie chciała.

- No dobra, a jeżeli twój ojczym już wie, że mu skradli samochód i zawiadomił policję i granicę. - Jacek odwrócił się i patrząc na śpiącą Agatę dodał - wiesz stary ja się trochę boję o nią.

Łukasz nic nie odpowiedział przez chwilę pomyślał tylko -gdybyś ty wiedział, że to on wystawił te lewe paszporty to byś naprawdę miał powód do strachu.

Jedną ręką trzymając kierownicę, drugą wyjął ze skrytki małe pudełko. Powiedział - teraz się nie odzywaj. - Wyjął małe słuchawki połączone z mikrofonem, nacisnął zielony przycisk na małej klawiaturze komputera i powiedział cicho do mikrofonu - siedem, jeden, trzy, trzy, cztery.

Jacek patrzył osłupiały co Łukasz robi. Ten kilka razy naduszał poszczególne przyciski klawiatury i nadawał. Po kilku minutach spokojnie zdjął słuchawki i powiedział do zdumionego Jacka.

- W porządku. Załatwione. Nikt cię na granicy i po drodze nie zatrzyma. Obiecuję ci to. Ale już po przekroczeniu granicy radźcie sobie ptaszki same. - Mówiąc te słowa zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Przez chwilę nie odezwał się. Następnie odwrócił się do Jacka i powiedział:

- Ja wysiadam. Ten samochód zostaw gdzieś na bocznej ulicy w Berlinie. Ale pamiętaj, że nie we wschodniej części. Bo możesz nie zdążyć wysiąść z tą torbą. - Otworzył drzwi od samochodu.

Przeciągnął się i powiedział - powodzenia - i wysiadł.

Jacek natychmiast wysiadł za nim. Zaskoczony przyglądał się zadowolonemu Łukaszowi i nie wiedział o co najpierw zapytać. Nie mógł zrozumieć tego zachowania. Zdumiony zapytał tylko - dlaczego?

Łukasz nie odezwał się od razu. Przez, pełną napięcia chwilę patrzył przed siebie na ciemne, puste pole. Zamyślony podniósł kołnierz kurtki, schował ręce w kieszenie, wzruszył ramionami i odpowiedział - nie wiem. Po chwili jednak dodał - już mnie ptaszki nie potrzebujecie. Teraz macie siebie. A o tę forszę to się nie martw. Ja to załatwię. Możecie sobie wziąć. - Uśmiechnął się do siebie i stwierdził - macie to o czym marzą wszyscy zakochani. Macie milion dolarów. Macie właśnie to o czym marzą wszyscy bogaci. Macie miłość!

Przez chwilę patrzył na lśniącą, czarną, pustą jak okiem sięgnąć nie autostrady. Zapalił kolejnego papierosa, spojrzał na zdumionego Jacka, uśmiechnął się tajemniczo i dodał stanowczo -ja tu zostaję! Jedź już. I pamiętaj! Macie być szczęśliwi!

- Dlaczego?! - ponownie spytał Jacek. Pomyślał, że Łukasz zawsze był dziwny. Ale żeby zostawać w Polsce! Mając milion

dolarów. Czuł, że Łukasz dobrze wie, dlaczego postanowił zostać, ale nie chce mu powiedzieć.

- Kochasz ją?! - spytał Łukasz patrząc przed siebie.

- Tak! bardzo! - natychmiast, bez zastanowienia odpowiedział Jacek.

- No widzisz - łagodnym głosem powiedział Łukasz - a ja nie mam takiej miłości - i dodał stanowczo - przecież nie będę kochał pieniędzy!

- Znowu zaczynasz! - Ostro powiedział Jacek. Już wiedział, że przyjaciel znowu wpada w filozoficzny przemądrzały ton, którym go zawsze denerwował. Krzyknął - ty chyba na głowę upadłeś! Masz worek pieniędzy! Możesz jechać do Ameryki! Do czego ty chcesz wracać!? Pokazałeś mi przed chwilą, że granicę możemy przekroczyć tym szpiegowskim BMW komunistycznego Jamesa Bonda! - Nie panując nad swoją złością wskazał szerokim, pogardliwym gestem rozciągające się przed nimi pole i wycedził przez zaciśnięte zęby - I ty mi mówisz, że chcesz zostać w tym nędznym, szarym kraju. Czy tobie durniu zupełnie odbiło?! No powiedz mi! Powiedz, dlaczego chcesz zostać?! - Wyrzucił z siebie ostatnie słowa i patrzył wyczekująco na Łukasza.

Łukasz przez chwilę nie odpowiedział. Nagle roześmiał się. Cały czas się śmiejąc kopnął kamień leżący na drodze. Jacek pomyślał, że Łukasz oszalał.

Łukasz przestał się śmiać, spojrzał poważnie na Jacka i odpowiedział:

- Wiesz dlaczego nigdzie nie pojedę? - Jacek milczał. Wiedział, że Łukasz mówi poważnie. Łukasz znacząco rozejrzał się wokół i dodał nie patrząc na niego.

- Nigdzie nie pojedę, bo Ameryka jest tutaj! Rozumiesz? Tu i teraz! Właśnie teraz. W tym nędznym, szarym kraju!

Przez chwilę zapanowała kompletna cisza. W końcu Łukasz wzruszył ramionami i dodał - najprzyjemniejszym jest zdobywa-

nie miliona dolarów. Przez chwilę przyglądał się zdumionemu Jackowi i zapytał - no powiedz mi stary, co to za przyjemność jak się już ma pierwszy milion dolarów?
Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i poszedł.